

Bolesław Mrówczyński
ARMIA MILCZĄCA



Bolesław Mrówczyński

MIECZ KAGENOWY

*Opowieść o Kraście,
nie koronowanej królowej
Zachodniego Pomorza*

I. ARMIA MILCZĄCA

II. DNI CHWAŁY



BOLESŁAW
MRÓWCZYŃSKI

ARMIA
MILCZĄCA

Opowieść
pomorska

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

1976

ilustrował ANTONI BORATYŃSKI

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1976

Redaktor

Halina Zawada

Kedaktor techniczny

Jerzy Jaworski

Korektorzy

Krystyna Pisarzewska

Wanda Witkowska

Dwa tysiące siedemset siedemnasta publikacja LSW

Wyd. III.

Nakład 20 000+305 egz.

Pap, druk, mat.

kl. IV 70 g. A-0.

Oddano do składania 16 XII 1976 r.

Podpisano do druku w czerwcu 1976 r.

Druk ukończono w lipcu 1976 r.

Ark, druk. 20; ark, wyd. 18,75

Zakłady Graficzne

87-100 Toruń,

ul. Katarzyny 4

Zam, nr 59

Cena t. I/II zł 100,-

DZWONY WINETY

I

Spływała z Bałtyku strojna w bandery z czarnymi krzyżami flota wojenna, a gdzie tylko okręty dobiły do portu, tam odzywały się natychmiast dzwony kościelne. Biły w Królewcu, Braniewie, Elblągu, Gdańsku i Łebie, biły w Strzałowie i Gryfii, biły w Lubece, biły we wszystkich miastach hanzeatyckich i głosząc coraz donośniej chwałę świątobliwych rycerzy Najświętszej Marii Panny, opowiadały równocześnie o ich wielkiej potędze. Ruchliwy to zakon, umie przy tym dobrze obracać mieczem. Nie tak dawno przecież stanowił jedynie niewielką gromadę przepędzaną bezkarnie z miejsca na miejsce, której bogobojni polscy książęta dali schronienie w ziemi chełmińskiej, a ledwie tam osiadł, od razu przejawiał wielkość. Otaczali go zewsząd groźni Prusowie. Uderzył na nich, wysiekł niesfornych, resztę zamienił w posłuszne narzędzia, na zgliszczach ich siedzib pobudował warowne zamki. Broniącą się zacieklej pogańską Jaćwierz wymiółł po prostu z powierzchni ziemi. Potrzebny mu był szerszy dostęp do morza. Nie namyślając się długo, wyrznął w ciągu jednego dnia dziesięć tysięcy patrzących na niego wrogo Kaszubów, zaparł się mocno w Gdańsku, a wkrótce wydarł Polsce całe dolne Powiśle. Na wschodzie wyrosła Litwa. Wykrwawia ją nieustannie, zmusza do przyjęcia chrześcijaństwa i gdzie wkroczy, tam stawia krzyże. Ale zachodu i południa także pilnuje dobrze. Już wbił się głębokimi klinami między słabe księstwa pomorskie, już im narzuca swą wolę, już zaczyna wznosić oręż nawet przeciw Jagielle. A oto dzisiaj przybyły mu nowe laury do wieńca sławy. Bałtykiem rządziło dotąd wszechwładnie Bractwo Żywienia* i przed jego mocą ugięły się często nie

tylko miasta, ale i państwa. Runął na nie zniecka, zdobył Gotlandię, na której piraci uwili sobie wygodne gniazdo, za jednym zamachem całą tę duńską wyspę przyłączył do swoich posiadłości i teraz będzie z pewnością wydawał stamtąd rozkazy nawet Szwecji i Danii...

* Słowniki objaśnienia na końcu książki.

Tak gwarzyły dzwony kościelne od Niemna po Łabę, a niemieccy księża i zakonnicy starali się z ambon przekładać ich dźwięki na ludzką mowę. Biły od rana do nocy, coraz radośniej roznosiły sławę krzyżackiego imienia, jak najdobitniej usiłowały podkreślić pobożność czynu. A już najwspanialej ze wszystkich przemawiały chyba dzwony kamieńskiej katedry. Panem udzielonym był w niej od niedawna biskup Mikołaj Bock von Schippenbeil, mąż zaufania Zakonu, przedtem jego prokurator przy kurii rzymskiej. Siedząc obecnie przy otwartych oknach, wsłuchiwał się bacznie w tę piękną muzykę i gwar uliczny i popadał w coraz większą zadumę. Po Rzymie Kamień mógł się wydać lichą mieściną. Dla niego jednak był to przede wszystkim niezmiernie ważny posterunek, na którym postawił go Malbork. Pomorze rozpada się przecież, lada dzień będzie można rozbierać je po kawałku. A ta katedra jak brytan: waruje czujnie wśród słabych książąt i gdyby tylko któryś z nich okazał się nieposłuszny, skoczy mu natychmiast do gardła...

Dzwony uderzyły donośniej. Na Dziwnę wpłynęły od morza wracające z Gotlandii wolińskie i szczecińskie okręty. Na ich pokładach znajdowało się wielu okolicznych rycerzy, biorących udział ochotniczo w wyprawie na Bractwo Żywienia, biskup więc ruszył się wreszcie i odtąd był bardzo ruchliwy. Aby dobrze wykonać swoje zadanie, musiał mieć wokół życzliwych ludzi. Wyszedł więc na powitanie do portu, ceremoniałem i dostojęństwem sprawił na wszystkich wielkie wrażenie, wieczorem urządził ucztę. Potrafił być miły. Nie zapominając ani na chwilę o swej duchownej powadze, chwalił jednak zręcznie zasługi, nikomu nie szczędził czasu, hojnie szafował upominkami. Dzielnie pomagał mu w tych zabiegach Konrad Bonow, archidiakon z Trzebuszy. Przewidując widocznie tę uroczystość, przybył przed kilkoma dniami, a teraz chyba nawet lepiej od niego zniewalał serca. Młody to był jeszcze człowiek, tryskał życiem i wesołością. Głowę przy tym miał mocną. Wznosząc nieustannie toasty i bratając się chętnie, rozpromieniał najsurowsze oblicza, a i sam bawił się świetnie.

– Wasze zdrowie, pogromcy Bractwa Żywienia, wierni słudzy czcigodnego Krzyżackiego Zakonu!

Toast siedł za toastem. Zubożała szlachta pomorska, zaciągająca się chętnie za żołąd na wojenne wyprawy, widząc tych panów pełnych łaskawości, szczodrych, rozmownych, szumiała donośnie i coraz mocniej płonęły głowy. Wraz z innymi szumiał także von Reetz. On miał więcej nawet powodów do uciechy od innych, biskup bowiem darzył go szczególnymi względami. Znał skądś jego dzieje, zagadywał często, wiedział dużo o jego czynach na Gotlandii. Nie przeoczył go również przy pożegnaniu i padły wtedy niezwykle słowa. Dając mu pierścień do pocałowania i błogosławiąc, dodał równocześnie żartobliwie, aby się nie dał zepchnąć z Pomorza, choćby przyszło mu użyć siły...

Reetz wyszedł głęboko wzruszony. Był tu człowiekiem obcym. Jak wielu innych młodych Niemców, kilka lat temu opuścił podupadłe rodzinne dworzyszcze za Łabą, aby poszukać przygód na dworach ksiąząt pomorskich. Dopisało mu szczęście. Zdobył pas rycerski, w Słupsku zaś, przy boku księżnej, ujrzał młodzieńką dziewczkę, córkę rycerza Kagen z Kodrąbia. Zakochał się w niej, zyskał wzajemność, a chociaż jej ojciec patrzył na niego niechętnie, doprowadził do ślubu i nie mając się gdzie podziać, zamieszkał chwilowo u teścia. Żona, niestety, wkrótce umarła. W nowym otoczeniu poczuł się bez niej jakoś nieswojo, toteż gdy tylko usłyszał o zaciągach krzyżackich, zgłosił się pierwszy na ochotnika. Na Gotlandii doszedł szybko do siebie. Szczęk oręża sprzyjał gwałtownym myślom, nie zabrakło oddanych przyjaciół. Rada więc w radę, łatwo doszedł do wniosku, że po żonie należy mu się nie tylko wiano, ale i prawo do ziemi. Prawda: Kagen ma jeszcze dwóch synów, którzy po nim dziedziczą. Ale przecież i jemu dach nad głową jest tak samo potrzebny...

Reetz prawie nie spał tej nocy. Na Gotlandii opowiadał niejednemu o swym dworzyszczu na Wolinie, w czasie drogi już je traktował w myślach jak swoją własność. Mimo to dręczył go podświadomy niepokój, bo wiano po żonie otrzymał dawno, lecz teraz biskup dodał mu ducha. Musiał wiedzieć coś o tej sprawie, najwyraźniej zachęcał go do oporu. A jakby i tego było za mało, polecił go opiece archidiakona. Bonow miał również rano wyruszyć w drogę powrotną, właśnie przez Kodrąb. Nie było w tym chyba przypadku. Wstąpi

tam z pewnością, pogada z Kagenem. Można to pan; z jego słowem i mieczem liczą się wszyscy, A gdy on staremu dokładnie wyłoży, że zięć należy też do rodziny...

Rycerz więc, chociaż niewyspany, wstał pełen najlepszych myśli i gdy tylko zakończyło się poranne nabożeństwo, różnym krokiem ruszył wraz z innymi do portu. Bonow ze swą drużyną znajdował się już na pokładzie. Wciągnięto żagle, a ledwie okręt odbił od brzegu, archidiakon podszedł do niego, pogawędził przez chwilę, słowem i gestem okazywał mu wielką życzliwość. Reetz stawał się coraz, weselszy. Wspaniałego miał opiekuna, umiejącego rozpraszać: troski. Odsunął się na bok i zapatrzył w wodę, do serca zaczęła napływać, cicha zaduma. Jakże piękna jest Dziwna!... Szeroko rozlewa wody: koło Kamienia; przegląda się w nich jak w zwierciadle potężny, biskupi gród. I to on właśnie wydaje tutaj rozkazy...

Rzeka zwęziła nurt, Reetz się obejrzał. Wysokie mury katedry, zanikały w oddali, dzwony za to, jak się zdawało, odezwały się teraz głośniej. Wyczytał z nich chyba jakąś szczęśliwą, wróżbę, uśmiechnął się bowiem do swych myśli i znów zapatrzywszy się w wodę, bacznie na nie nadstawiał ucha. Ucichły wreszcie. Poruszył się niespokojnie, jakby mu czegoś zabrakło, lecz dobry nastrój powrócił szybko. Dźwięki dzwonów, zaczęły teraz nadbiegać z południa, przemówiły kościoły w Wolinie. Biły tak samo radośnie, jak przedtem tamte w kamieńskiej katedrze i z nie mniejszym zapałem roznosiły szeroko sławę krzyżackiego oręża. A i w porcie powitano ich uroczyście. To miasto wysłało Krzyżakom na pomoc własne okręty, toteż czuło się także jak zwycięzca i pragnęło to mocno podkreślić. Bonow jednak śpieszył się bardzo. Rajcowie skrócili więc przemówienia, poprzestali na poczęstunku zamiast przygotowanej uczyty i z wielką gorliwością zaczęli podstawiać wozy pod zbroje i łupy wojenne dla okolicznych rycerzy.

Reetz nabierał coraz większej prężności. Widząc, jak obcesowo poczyną sobie archidiakon z mieszczanami, sam też pognął ich ostro, pierwszy załadował swe rzeczy, potem wziął dwóch rajców na stronę, uшиб od ręki jakiś interes i gdy ruszyli w drogę, już teraz drogą lądową, oni zabrali się także. Nie zwracał na nich uwagi. Myśli znów, umknęły do: biskupa i kamieńskiej, katedry i odtąd rzadko przesłaniała je jakaś chmura. Był młodym człowiekiem śmiało idącym, w życie, toteż łatwo odganiał od siebie troski. Pomagała temu

zresztą piękna pogoda. Czerwcowe słońce, chociaż nie wzniosło się jeszcze wysoko, przygrzewało mocno i coraz cieplejszymi barwami, malowało cały krajobraz. Podwolińskie nierówności zostały za nimi, przed nimi pojawiły się mokradła i torfowiska. Rozkładały się na, nich szeroko kaczeńce i jaskry, krwawniki przydawały im wdzięku płatami bieli, czerwieniły się dookoła tyśiączniki i koniczyny, jak uroczyska pełne zadumy rozsiadły się tu i owdzie kępy osiczyn, gdzieniegdzie strzeliła w niebo samotna sosna. Za to tam w dali, ku zachodowi, ziemia wysoko wznosiła się w górę i na niej panowała wyłącz- nie zieleń. Na prawo od drogi skrzyła się ciągle Dziwna, odcinając wolińską wyspę od łądu. Tam na lewo natomiast zamykał ją odwieczny bór, lecz w przeciwieństwie do rzeki zajmował olbrzymią przestrzeń i był tak, potężny i groźny, że nawet człowiek bardzo odważny nie ośmielał zapuszczać się w głąb...

Orzeł przemknął ponad głowami. Bonow, też zatopiony dotychczas w myś- ślach, obserwował go uważnie, dopóki nie zniknął mu z oczu, a potem ścia- gnął nieco wodze i zrównał się z Reetzem.

– O czym tak dumasz? – uśmiechnął się. – Idę o zakład, że o starym Ka- genie. Nie martw się, wszystko ułoży się dobrze. Pchnąłeś naprzód pachółka, z wieścią?

– Pchnąłem. Ale ze starym może być różnie... Potrafił on być twardy jak skała. A przy tym ma synów.

– Jeden już zginął od krzyżackiego miecza na Litwie – Bonow machnął ręką. – A i drugiego w tej chwili nie ma. Ufaj więc w Bogu, że i ten gdzieś padnie.

Znad Bałtyku, napłynęły gęściej obłoki. Ich cienie zaczęły się snuć po pa- stwiskach i bagnach i przytłumiać jaskrawe barwy. Dziwna ściemniała. Jakby z braku tego bocznego blasku, pogodna dotychczas twarz Reetza nabrała nagle ostrości.

– Hm... – chrząknął. – To pewna wiadomość?

– Całkowicie pewna. Zakon liczy wrogów bardzo starannie, a do mnie też coś niecoś dochodzi z tego rachunku. Jak więc widzisz, spadkobierców ubyło. A twoje prawa do ziemi przecież są niewątpliwe.

Reetz spojrział na niego spod oka. Tego właśnie wciąż nie był pewien, a przy tym wydało mu się, że w ostatnich słowach z lekka rozbrzmiała kpina.

– Mogą się, wtrącić Kagenowie z Duńskiej Góry – mruknął. – Albo z Pustkowa.

– A od czego masz miecz i pachołków? Nie wiesz, jak ich należy użyć? Głowa do góry!

Reetz wyprostował się odruchowo. Słowa padły tym razem tak ostro, jak krzyżacka komenda wydawana tam, na Gotlandii, i prężąc ciało, przenikały równocześnie do głębi swoją siłą i bezwzględnością. Rozgorzał cały. Schippenbeil potrafił wzruszać, lecz spojrzenie miał tak przenikliwe, że zawsze trzymał z dala swego rozmówcę. Ten natomiast dostojnik wydał mu się w tej chwili niezmiernie bliski nie tylko z ducha, ale także z wyglądu. Jako oznakę swej wysokiej kościelnej godności miał tylko wielki czarny krzyż na piersi i złoty pierścień na palcu, a poza tym różnił się od zwykłego rycerza chyba jedynie bogactwem zbroi. Oczywiście także wyrazem twarzy. Twarda ona była, władcza i nieustępliwa, a w tej chwili było w niej tyle mocy i bezwzględności, że Reetz aż się zadziwił. Wydało mu się, że ten człowiek powinien być na Gotlandii. Do tamtej krwawej rzezi przecież by wspaniale pasował...

– Mam broń i pachołków! – przejął bezwiednie coś z tej jego dzikości. – Niech popróbują!

Bonow objął go przeciągłym spojrzeniem. Przypadła mu widocznie do serca ta harda postawa, bo twarz nabrała znów zwykłego wyglądu.

– Podobasz mi się – rzekł. – Właśnie tak trzeba. Udało ci się wejść na tę ziemię, więc trzymaj się jej mocno, a gdyby zrobiło się ciężko – pędź do Kamienia ze skargą. Książęta tu się nie liczą, biskup powinien rozstrzygać spory. On ci krzywdy nie zrobi. Prawdę jednak mówiąc, nie przewiduję większych trudności. Stary już nie rusza się z łoża.

– Nie rusza się?...

– Odnowiły się dawne rany i chyba niedługo pociągnie. Powinien natychmiast sporządzić testament. Tego ja dopilnuję, a ty z miejsca obejmij rządę i chłopów w garść. Poza tobą nie mają przecież w tej chwili innego pana!

Ściszył zaraz głos i dalej dawał wskazówki, a w Reetzu rodził się dla niego coraz większy szacunek. Że znał on doskonale najskrytsze tajemnice ziemi pomorskiej, domyślił się jeszcze wczoraj i nie dziwił się temu nawet, zanim bowiem wyjechał na Gotlandię, przebywał dość długo w Malborku. Tam również każdy wyższy urzędnik wiedział wszystko o wszystkich. Natomiast jego

radę sprawiły mu niespodziankę. Były pełne zdrowego rozsądku, zachłanne, niezwykle trzeźwe. Zwalniały go przy tym ze wszelkich moralnych skrupułów, dawał mu je bowiem wysoki kościelny dostojnik, rozgrzeszał z góry. Im dłużej więc wsłuchiwał się w słowa, tym prostował się dumniej i tym bardziej zadzierał głowę, a jakby dla dodania mu mocy zaczął znowu przemawiać kościelny dzwon. Niewielki był wprawdzie i głos jego nie rozchodził się nazbyt daleko, lecz i on przyłączył się teraz do chóru i bił tak samo radośnie na chwałę krzyżackiego oręża, jak dzwony kamieńskiej katedry.

– Rób więc, jak powiedziałem – słowa Bonowa rozbrzmiały ostrzej. – Z Kagenem grzecznie, poważanie mu okazuj do śmierci. Rządy jednak należą do ciebie i w każdej chwili musisz o tym pamiętać. Słuchać masz tylko mnie i biskupa. A o resztę się nie martw.

Łąki i bagna pozostały za nimi, przed nimi ukazały się pola uprawne. Bonow umilkł i zapatrzył się na widniejącą w dali wieżę kościoła w Uninie, Reetz zaś znowu popadł w zadumę. Widział już w myślach kodrąbskie dworzyszcze, leżące w łożu starego rycerza, służbę i chłopstwo. Widział też siebie: spogląda z góry, donośnie wydaje rozkazy. Jakby w odruchu złości, mocno zacisnął usta. Ściągnięta twarz nabierała coraz większej twardości.

II

W Kodrąbiu służba krzątała się żywo. Powrót Reetza nie wzbudził w nikim radosnych uczuć, bo chociaż nie pozostawił po sobie złego wspomnienia, według pojęć mieszkańców wolińskiej wyspy był on tutaj przybłądą i sądzono powszechnie, że odjechawszy do Krzyżaków już nie pokaże się więcej. Natomiast zapowiadany przyjazd archidiacona sprawił duże wrażenie. Był to przecież po biskupie najwyższy dostojnik w diecezji, człek przy tym możny i skory do miecza, z którym musieli się liczyć nawet książęta. Bugdał więc, siwowłosy zarządca dworzyszczka, sam pilnował roboty i rozsyłając ciągle ludzi po nowe naręcza gałęzi i kwiatów, przystrajał pięknie bramę, zabudowania, nawet ostrokół, a równocześnie uprzętał starannie dziedziniec. Szło to nad podziw składnie. Każdy znał tu widocznie doskonale swoje zadania, polecenia bowiem padały niezmiernie rzadko i na ogół panowała zupełna cisza. Była

ona zresztą konieczna od dawna. Kto przypadkiem odezwał się głośniejsz lub potrafił coś nieostrożnie, spoglądał jak gdyby z lękiem w pobliskie okna. Za nimi leżał złożony ciężką niemocą rycerz Kagen, z dziada pradziada pan tego majątku. Dawniej też się zdarzało, że pozostawał w łóżu przez dłuższy czas, lecz nawet on sam nie brał nigdy tej choroby nazbyt poważnie. Dzisiaj natomiast byli przeświadczeni wszyscy, że nie ma już dla niego ratunku.

A rycerz rzeczywiście wyglądał licho. Zszarzała twarz, ręce leżące na poscieli jak martwe, zapadnięte głęboko oczy mówiły wyraźnie, że w tej powszechnej obawie jest dużo słuszności. Spojrzenie jednak było bardzo spokojne. Skupione, pełne zadumy spoczywało ciągle na wdzięcznej postaci siedzącego naprzeciw dziewczęcia, odczytującego głośno z wielkiej księgi łacińskie słowa.

„Wspomniany książę Mściwoj biorąc pod uwagę tak wielką niesprawiedliwość i przewrotność Niemców, którzy nie pozwalali mu rządzić i panować na własnym dziedzictwie – w głosie czuło się coraz więcej uczucia – zwoławszy popolite ruszenie swojej ziemi otoczył baczną strażą rzeczony gród i miasto...”*

* Kronika wielkopolska.

Kagen słuchał uważnie. Pomorzanom zawsze było za ciasno w ich niewielkich księstwach, toteż za młodu dużo wędrowali po świecie i zdobywając rycerskie pasy na odległych nieraz królewskich dworach, przyswajali sobie dobrze ten międzynarodowy język, jakim była łacina. On także podróżował немало i z tych podróży wyniósł nie tylko sławę, ale i wiele pamiątek. Od niechcienia rzucił okiem na izbę. Oto inne księgi, piękne świeczniki, ozdobne szarfy, topory, tasaki... Z każdą z tych rzeczy wiązało się jakieś wspomnienie, chociaż większość z nich stanowiła łup wojenny, zdobyty w nieustannych bojach z Brandenburgią, raz za razem atakującą Pomorze. W takich walkach oczywiście nigdy nie zabrakło Kagenów i z nich właśnie wywodzą się rany, które dziś go przygoździły do łóża. Mimo to miał bardzo szczęśliwą rękę i zazwyczaj przywoził do domu obfitą zdobycz. Nawet te szyby w oknach, oprawne w ołów...

„Lecz gdy Pomorzanie nie mogli ich zająć, poradzili swemu księciu panu Mściwojowi – słowa płynęły teraz wolniej, za to nabrały mocy – aby połączył się z panem Bolesławem, księciem Wielkopolski, swoim bratem ciotecznym,

który wtedy rządził mądrością i potężnym rycerstwem. Przybywszy do niego uzyskał od brata swego pomoc i obronę przeciw tym Niemcom, którzy zajmowali jego twierdze.”

Kagen znów skupił spojrzenie na twarzy naprzeciw. Śliczna i dobra dziewczka... Gorzej od niego znała łacinę, lecz tę księgę rozumiała na pewno dobrze, czytała ją bowiem nie po raz pierwszy. Wychowywał ją prawie od dziecka. Jej ojciec, pacholek wierny i dzielny jak Bugdał, zginął w jednej z bitew przy jego boku, matka odumarła ją wcześniej. Pozostała jej tylko babka. Zabrał więc dziecko do siebie, gdy podrosło – sam trochę poduczył, potem przez rok trzymał wędrownego bakalarza i gdy choroba zmoęła go ostatecznie, a dzieci zabrakło, doszedł do wniosku, że Bóg postanowił wynagrodzić mu dobroć. Dziewczyna dbała o niego jak córka, a przy tym dzięki umiejętności czytania wprowadzała w jego samotne życie miłą rozrywkę.

Za oknami rozległ się niespodziewanie głośniejszy gwar. Starzec nadstawił uszu.

– Wyjrzyj no, Krysto – rzekł. – Ludzie się schodzą, więc goście muszą być blisko. Dziedziniec już uprzątnięty?

Podeszła do okna. Przez otwartą szeroko bramę ludzie ze wsi sypali się hurmem i przynosząc także naręcza kwiatów, pomagali służbie w strojeniu domostwa.

– Kończą robotę – odrzekła. – A od Unina już słyhać konie.

– W takim razie i tu trzeba zrobić porządek. Jedną ławę zostaw przy łożu, a resztę odsuń pod ściany. Stół także.

Wodził za nią obojętnie oczyma, lecz naraz zmarszczył gwałtownie czoło. Pośrodku stał wielki i ciężki, dębowy stół. Podeszła do niego, objęła rękami z góry, przekreśliła w powietrzu i zanim rycerz zdążył otworzyć usta, ustawiła go pod ścianą tak swobodnie, jakby nie miał w ogóle wagi.

– Co ty wyprawiasz? – wzburzył się strasznie. – Ile razy mam powtarzać – z trudem przyciszał słowa – że ci nie wolno ujawniać siły? Co ciężkie, tak przedstawiaj, aby słyssał cię cały dom, wzywaj nawet pomocy. Niech wszyscy myślą, że jesteś słaba jak inne!

Krysta poczerwieniała. Przedtem sprawiała przez chwilę wrażenie olbrzymki obdarzonej nadludzka siłą. Teraz była wyrosłą wprawdzie nad wiek,

postawną i smukłą, ale ujmującą i skromną, szesnastoletnią dziewczyną, zakłopotaną szczerze wymówką.

– Dla twego dobra tak cię pilnuję – gniew w głosie starca ustąpił miejsca serdecznej trosce. – Niewiastę o takiej mocy można posądzić o wszystko, spaść nawet na stosie... A ta siła, którą Bóg cię obdarzył, może się nieraz przydać ci w życiu, więc ją zachowuj w cichości. Mocny cios zadany zniemacka zawsze jest najpewniejszy. O tym pamiętaj!

– Będę pamiętała, rycerzu...

Zmęczyła go ta długa przemowa. Odetchnął głęboko, a że już było słycać skrzypienie wozów, kazał się jej przybrać odświętnie, sam zaś ułożył się wygodniej i nasłuchiwał. Tak, są już obok... A oto wjeżdżają w bramę, stanęli. Przemawia Bugdał. Oczywiście po niemiecku, bo archidiakon na pewno nie rozumie tutejszej mowy. Wręcza mu chleb i sól, bardzo ładnie mówi o tym starym, słowiańskim zwyczaj. Zdolny był zawsze, jeszcze jako pacholek... A teraz przemawia z kolei do Reetza. Też ładnie...

Skończyły się powitania. Bonow udzielił błogosławieństwa wszystkim zebrany na dziedzińcu, coś tam powiedział Reetz i wkrótce goście znaleźli się w izbie. Krysta nieznacznie odsunęła się w kąt. Przez pewien czas przyglądała się Bonowowi, potem przesunęła wzrok na mnicha trzymającego się za nim jak cień i wreszcie utkwiała spojrzenie w Reetzu. Ucieszyła się z jego przyjazdu. Za życia żony zawsze był skory do wesołości, dowcipnie i z werwą starał się ją uczyć swego rodzinnego języka, na każdym kroku okazywał jej wielką życzliwość. Potem oczywiście się zmienił, lecz przecież temu nie można się dziwić. Mocno odczuł to wielkie nieszczęście. Wojna chyba jednak pomogła zapomnieć o troskach. Jest dziś znowu pogodny, a staremu rycerzowi więcej nawet niż dawniej okazuje szacunku...

Reetz, zajęty dotychczas Kagenem, odwrócił głowę. Dostrzegł ją wreszcie i w oczach rozbrzmiało zdumienie.

– Wprost nie do wiary – rzekł, podszedłszy do niej. – Ależ wyrosłaś! I wyładniałaś... Najgodniejszy rycerz poprowadziłby cię chętnie do ślubu!

Oczy rozbrzmiały mu wesołością. Spłonęła jak róża, bo i Bonow objął ją teraz zaciekawionym spojrzeniem, lecz że Kagen coś właśnie mówił do niego, zaraz odwrócił głowę. Reetz mało zwracał na to uwagi. Wziął ją za podbródek,

uśmiechnął się na widok tych gorących rumieńców, dodał jeszcze kilka miłych słów i wrócił na dawne miejsce.

– Namówiłem więc waszego zięcia – Bonow przemówił głośniejszym głosem – aby nie szukał szczęścia gdzie indziej. Wam jest teraz, rycerzu, potrzebny. Co z tego, że żona zmarła? Związał się jednak z rodem, toteż dopóki synów nie ma, niech pilnuje w ich zastępstwie majątku. Samemu wam przecież ciężko.

– Prawda, ciężko... Bugdał wprawdzie zna się na porządku i niezmiernie uczciwy, lecz i jemu należy się już wypoczynek. Ma te same lata, co ja.

– Sam Bóg więc wskazuje Reetzowi miejsce – głos archidiakona nabrął bardzo ciepłego brzmienia. – Macie dobrego zięcia, on to doskonale rozumie. A jeśli nie macie nic przeciwko temu, od razu gotów zabrać się do roboty.

– Niech się zabiera...

Starzec zapatrzył się w okno: po błękitnie nieba przesuwwały się lekkie, szarosine obłoki i przesłaniały często słoneczne światło. Wzruszyła go ta rozmowa. Był pewien, że kończą się jego dni, toteż mocniej niż kiedykolwiek przemawiały do niego przepojone troską i życzliwością słowa tego dostojnego gościa, który nie tylko wyświadczył mu zaszczyt wstępując w jego ubogie progi, ale znalazł też czas na zajmowanie się jego prywatnymi sprawami. Zgadzał się z nim zresztą, że w tym niespodziewanym powrocie Reetza jest palec boży. Przybył rzeczywiście na czas. Może już jutro...

Krysta widząc jego spokojną twarz, doszła do wniosku, że nie jest chwilowo potrzebna, i bezszelestnie wysunęła się z izby. Przyciągał ją ten wielki tłum, kupujący się na dziedzińcu, który dotychczas widziała jedynie przez okno. Zaskoczyła ją świetność drużyny archidiakona, zdziwiła obecność wolińskich rajców, zastanawiała nieznaną twarz pacholków. Byli wśród nich jednak także znajomi: Kruza, którego Kagen pozwolił zabrać Reetzowi, aby nie czuł się samotnie w podróży, i Wargin. Że ten pierwszy powrócił szczęśliwie z wojennej wyprawy, cieszyła się tylko, ale obecność tego drugiego obudziła w niej podświadomy niepokój. On również był na Gotlandii ze swoim panem, rycerzem z pobliskiego Kołczewa. Dlaczego więc nie pojechał z nim prosto do domu? Czyżby rycerz padł w bitwie?...

– Nareszcie widzę cię z bliska! – podbiegł do niej, gdy tylko ukazała się na dziedzińcu. – A już myślałem, że nie powrócę. Z Bractwem Żywienia sprawa niełatwa...

Wpatrywał się w nią jak urzeczony. Przed wyjazdem na Gotlandię zaglądał tu często z kolczewskim rycerzem, którego Kagen bardzo lubił, i w takich chwilach nie brakło sposobności do rozmów. Zawsze się jej podobał. Inni pachołkowie starali się zwracać na siebie uwagę hałaśliwością lub niezbyt zręcznym dowcipem. On nigdy nie szafował zbyt wiele słowem. Teraz też umilkł nagle, jak gdyby zląkł się, że powiedział coś niepotrzebnie, i ucieszyła się nawet z tego. Miała znów przed sobą tego, dawnego Wargina, w którym powściągliwość ceniła najbardziej.

– Jesteś w dobrym zdrowiu, to najważniejsze – objęła go ciepłym spojrzeniem. – A co z twoim rycerzem?

– Nie cierpi von Reetza, więc pojechał prosto do domu. A i mnie nie chciał puścić. Wy tłumaczyłem mu jednak – uśmiechnął się – że trzeba się przecież dowiedzieć o zdrowie chorego, bo to chrześcijański obowiązek, i w końcu pochwalił mnie nawet za troskę. Gdyby...

– A Wargin, nie próżnuje! – pojawił się przy nich Kruża. – Za wysoko sięgasz, biedny pachołku. Nie widzisz, że stoi przed tobą królowa?

Wesoło zabrzmiały słowa, nietrudno jednak było w nich dostrzec podziw. Krysta rzeczywiście wyglądała pięknie, w swoim świątecznym stroju. Kagen na ozdoby i suknie nie żałował nigdy pieniędzy, a zresztą odziedziczyła niejedno po jego córce i mogłaby śmiało stanąć w tej chwili choćby na królewskim dworze. Zaczęli natychmiast potwierdzać to inni, wokół zrobiło się tłoczno. W radosnej wrzawie niknęły szybko wszelkie inne odgłosy.

– I nas dopuście wreszcie do tronu! – padły niespodziewanie z boku wesołe, niemieckie słowa i jakiś młodzieniec zaczął się przepychać do środka. – Trzeba ż bliska popatrzeć ha ładne dziewczęta. Będziemy przecież mieszkali odtąd pod jednym dachem!

Za nim przysunęli się trzej inni, nie mniej rozochoceni, ale gdy stanęli naprzeciw Krysty, stracili śmiałość. Przedtem uśmiechała się, żartem odpowiadała na żart, zręcznie dobranym słowem podniecała ogólną wesołość. Teraz spoglądała tak chłodno i obojętnie, że nie byli pewni, czy z nich nie zakpiono

twierdząc, że to też sługa, a nie córka rycerska.

– Co za jedni? – Krysta przesunęła wzrok na Wargina.

– Pachółkowie rycerza von Reetza. Przyjął ich do służby w Malborku. Chyba zostaną tutaj.

– Niemcy?

– Niemcy.

Krysta odwróciła się obojętnie i rozejrzała się po dziedzińcu. Drużyna Bonowa wciąż stała z boku i nie mieszała się z tłumem. Rajcowie wolińscy siedzieli na ławie pod domem.

– A oni co tutaj robią?

– Nie mam pojęcia.

Rozmowy ucichły nagle. W drzwiach ukazał się Bonow i z nieodłącznym mnichem podszedł do swych pachółków, a Reetz zaczął coś omawiać z Bugdałem na boku. Krysta sądząc, że goście szykują się do odjazdu, wróciła do izby. Spojrzała uważnie na starego rycerza. Wydał się jej bardzo błady i smutny.

– Zmęczyły was te rozmowy – westchnęła.

– Zmęczyły...

Krysta w zamyśleniu podeszła do okna. Zdziwiła się nieco, bo na dziedzińcu zmienił się zupełnie obraz, chociaż nie wyglądało wcale, że ktoś zamierza wyruszyć w drogę. Drużyna Bonowa stała nadal w tym samym miejscu, lecz teraz jakby nabrała grozy. Wyprostowały się sztywno pokryte blachami postaci, włącznie wyrównały pod linię, z przymrużonych lekko oczu niespodziewanie powiało chłodem. Naprzeciw ustawili się półkolem ludzie ze wsi i służba, ale i wśród nich panował jakiś nie widziany tu nigdy porządek. Młodzieńcy stali na prawym skrzydle. Reetz zaś i goście znajdowali się pośrodku, a obok nich rajcy wolińscy.

Było cicho jak makiem siał. Te niezwykle przygotowania sprawiły na wszystkich niesamowite wrażenie.

– In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti, amen – rozległ się naraz donośny głos archidiakona z Trzebuszy.

Ludność miejscowa, znająca dobrze to łacińskie wezwanie z nabożeństw, przeżegnała się uroczyście i przyklękała, spodziewając się widocznie jakiejś nie oglądanej dotąd nigdy ceremonii kościelnej.

– Sławny rycerz Kagen, z łaski bożej pan na Kodrąbiu, czując, że lada chwila może go zabraknąć na tym ziemskim padole, ogłasza przez moje usta, aby nabrała większej powagi, swoją najświętszą wolę...

Powoli, ale donośnie padały niemieckie słowa, a stojący obok mnich przekładał je tak samo donośnie na język miejscowy. Na zachodnich krańcach Pomorza ludność stykała się często z Niemcami. Tutaj, na Wolinie, była dotychczas tylko jedna, rzucona głęboko w lasy, obca osada; brandenburcy najjeźdźcy nie zaglądali tu nigdy, obcy kupcy, księża i zakonnicy musieli się z konieczności przystosować do miejscowych zwyczajów. Ludzie bowiem tu byli hardzi, z jakimś ogromnym uporem trzymali się zawsze mowy swoich pradziadów. Bonow zdawał sobie z tego widocznie sprawę, jeśli użył od razu tłumacza.

– Już zaczynała ogarniać go rozpacz – płynęły dalej podniosłe słowa. – Sam tylko pozostał, nikt z najbliższej rodziny nie stanie przy jego łożu w chwili śmiertelnej trwogi. Ale oto dziś wrócił zięć, sławny rycerz von Reetz, mężny wojownik, który pod sztandarami czcigodnego Zakonu Krzyżackiego brał udział w świętej wojnie z okrutnymi piratami Bałtyku, z Bractwem Żywienia.

Uznając to za znak Opatrzności, pan na Kodrąbiu, szlachetny Kagen, przekazuje w jego ręce zarząd nad całym swoim dobytkiem!

Bugdał pobladł. Zaskoczyło go nieprzyjemnie, że załatwiono tę sprawę bez jego udziału, że nie powiadomiono go o tym choćby na chwilę przedtem. Przecież on włożył w tę kodrąbską ziemię trud swego całego żywota...

– Odtąd więc zgodnie z prawem boskim i ludzkim – słowa archidiakona nabierały coraz większej twardości – jako wierni poddani macie być posłuszni swojemu nowemu panu, z chrześcijańską pokorą wypełniać jego rozkazy, wykonywać każdą robotę z gorliwością dobrego sługi. Kto by zaś wyłamał się z tych obowiązków, tego spotka przykładowa kara, a imię jego niech będzie przeklęte na wieki!

Piersi Krysty zaczęły unosić się coraz szybciej. Wstrząsnęło nią to przemówienie. Czowała unoszącą się wokół groźbę, która jeszcze nie jest uchwytna, ale już się wdarła na ten dziedziniec jak widmo upiorne i bieli teraz przestraszonym twarzą chłopstwa i służby. Za nią rozległo się głucho westchnienie. Chciała się obejrzeć, lecz właśnie zmienił się obraz. Bonow odszedł na bok.

Jego miejsce zajął Reetz, skinął na rajców z Wolina, wskazał im ręką młodzieńców. Podeszli do nich, obejrzeni każdego dokładnie. I wreszcie czterem kazali wysunąć się naprzód.

– Udacie się z panami rajcami do miasta – Reetz, wyprężywszy się sztywno, obwieścił swą wolę. – Będziecie pełnili służbę na statkach. Ich rozkazy mają być odtąd dla was moimi rozkazami, ich wyroki będą zapadały w moim imieniu. Jeśli zaskarbicie sobie łaskę, po dziesięciu latach będziecie mogli wrócić do domu.

Splącał w ten sposób długi. Odjeżdżając na Gotlandię, uzupełnił w Wolinie zbroję, a że szkoda mu było wydawać pieniędzy z wiana po żonie, na słowo rycerskie i za rękojmią werbownika Zakonu zaciągnął pożyczkę. Miał ją spłacić po powrocie i mógł to dziś zrobić, bo żołąd wypłacano mu niezły, lecz znalazłszy się w porcie, przyszło mu na myśl, że można tę sprawę załatwić inaczej. Załoga okrętów wolińskich została w znacznej mierze wybita, do takiej służby na ogół nie było chętnych. Postanowił więc dać rajcom czterech ludzi i dobił natychmiast targu, a teraz twardą ręką wprowadzał w czyn swoje pomysły. Młodzieńcy w odruchu trwogi chcieli uskoczyć w tłum. Zanim jednak zdążyli zrobić krok, już otoczyli ich pachołkowie miejscy, przystawili włócznie do piersi, spętali ręce i pognali pod bramę.

– Możecie odjeżdżać – Reetz skinął obojętnie ręką na rajców. – Dług spłaciłem, przy świadkach. Jeśli wam uciekną, nie moja sprawa.

Tłum rozhuczał się gniewnie. Do szlochu kobiet przyłączyły się już klątwy i słowa buntu, wściekłość coraz donośniej dawała o sobie znać. Słyszano o takich wypadkach na dawnych ziemiach słowiańskich nad Łabą i w Meklemburgii, lecz w wolnych księstwach pomorskich chyba zdarzyło się to po raz pierwszy, a na pewno po raz pierwszy w Kodrąbiu. Chłopi byli tu wolni, płacili tylko daniny. A teraz sprzedają ich synów jak bydło!...

– Wezwij do mnie Reetza! – za plecami Krysty dał się słyszeć chrapliwy krzyk.

Przywołała go przenikliwie. Reetz odwrócił się wprawdzie i spojrzał na nią, lecz wtedy zbladła jak chusta. Ponure to było spojrzenie, tak przesycone wściekłością, jak gdyby i ją zamierzał wydać za chwilę miejskim pachołkom. Zaraz zresztą przestał zwracać na nią uwagę. Przynaglił rajców, popędził woźniców, pognął pięścią młodzieńców. Już wydawało się, że znajduje się za chwilę

za bramą, gdy niespodziewanie ukazał się przed nim Bugdał.

– Rycerzu – wykrzyknął – opamiętaj się! Jak świat światem, nikt nie sprzedawał ludzi na naszej wyspie. Nie masz do tego prawa!

– Milcz, abym i ciebie nie posłał z nimi!

– Powtarzam tu wobec archidiakona z Trzebuszy: nie masz do tego prawa. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Chcesz rządzić dworzyszczem, rządz, jeśli rycerz Kagen na to zezwoli. Ale od ludzi wara!

Tłum poruszył się gwałtownie, otoczył ich zewsząd, uniosły się w górę pięści. Bonow rozejrzał się bacznie: pachołkowie miejscowi i wolińscy zginęli w masie, rajcy skryli się za wozami, nie widać już było Reetza. Jego natomiast drużyna stała nadal karnie na swoim miejscu i pochyliwszy tylko nieznacznie włócznie, nie dopuszczała do siebie nikogo.

– In nomine Patris – odsunął się nieco dalej i potężnym głosem przegłoszył wrzawę – et Filii, et...

Wrzask ucichł nagle, jak pod cudownym zaklęciem wszystkie głowy pochyliły się w nabożnym skupieniu. Bonow zaś widząc, jak ten lud, tak groźny przed chwilą, pokornieje na sam dźwięk niezrozumiałych dla niego słów słyszanych tak często z kościelnej ambony, nasrożył się i potępieńczym gestem wyrzucił ręce do góry.

– Da Jesus sprach – przemówił potężnie, a mnich tłumaczył znów potoczyście. – „O du ungläubiges und verkehrtes Geschlecht”!* A mówiąc to, was miał na myśli, bo ledwie padło z ust prawego dziedzica tej ziemi pierwsze zlecenie, już się burzycie, zamiast je przyjąć w pokorze. O ludu niewdzięczny! Bóg po to stworzył rycerzy, aby rządzili; co więc robią, robią za jego wolą. A wy woli boskiej chcecie się przeciwstawiać?

* Rzekł tedy Jezus: „O plemię, przewrotne i niewierne” – Ewang. wg Łukasza IX, 41-42.

– Ludzkiej woli! – Bugdał wysunął się naprzód i także uniośł do góry ręce. – Nad pomorskimi rycerzami są jeszcze pomorscy książęta. Niech oni nam powiedzą, że wolno tutaj sprzedawać ludzi!

Archidiakon popatrzył na niego ostro i naraz jakby zapomniał o zaczętym kazaniu.

– Co u was za porządki – spojrzał tak samo ostro na Reetza. – Twój

sługa ośmiela się wypowiadać buntownicze słowa, a ty nic na to? Czyżbyś nie wiedział, jak się karze za taki występki?

Z twarzy Krysty spłynęła zupełnie krew. Oto była świadkiem czegoś, co wykraczało daleko poza jej wszelkie dotychczasowe pojęcia. Jeden z Kagenów w tych dawnych czasach, gdy wyspę opanowali na krótko Duńczycy, wzniecił przeciwko nim powstanie i pochwycony później przez wrogów, został zamordowany pod palmą męczeńską, od którego cały ród wziął swoje przezwisko. Ale i Bugdałowie już wtedy walczyli. Potem jeden z nich bronił zaciekle wyspy przed niemieckim biskupem, Ottonem z Bambergi, i o mało nie przebił go włócznią. Dopiero gdy książę pomorski zgodził się na przyjęcie chrześcijaństwa, też pozwolił się ochrzcić i westchnąwszy przy tym: „Bóg dał”, znalazł z kolei dla swego rodu przezwisko. A jego potomka chcą dzisiaj karać na kodrąbskim dworzyszczu... Siwowłosego starca, który wraz z Kagenami zawsze bronił ofiarnie ojczystej ziemi. I karzą! Obcy ludzie, przemawiający tutaj obcym językiem. Już prowadzą do słupa, już przywiązali. Już...

– Panie, ratuj! – Krysta przypadła do łoża z krzykiem. – Bugdała biją!...

Rycerz uniósł się na łokciu, jakby zamierzał wstać, lecz runął zaraz z chrapliwym jękiem.

– Dwadzieścia plag – Reetz tam wydawał w tej chwili wyrok. – Kto następny spróbuje nawoływać do buntu, zostanie ścięty. Framhold, ty masz najcięższą rękę. Zaczynaj!

Kagen chwycił z trudem powietrze. Za oknami słychać już było świst, rozległy się głucho westchnienia, zatargał powietrzem niewieści płacz. Mnich teraz jednak wystąpił, zaintonował litanie i zgłuszył wszystko.

– Boże, Boże!... – Krysta przylgnęła twarzą do pościeli Kageny.

– Co się tu dzieje?... Bugdała biją, nie słyszysz? Na twoim dworzyszczu!...

– Dziewięć, dziesięć, jedenaście – odliczał dobitnie Reetz.. – Ram, zamień Framholda, bo się umęczył. Dwanaście!...

Nareszcie rozległ się jęk. Litanie ucichła, Kagen zaś jednym rzutem ciała zerwał się nagle z łoża, chwycił wiszący na ścianie miecz i potoczył się ciężko do okna.

– Precz z mego domu! – krzyknął zaciekle. – Nie masz tu żadnych praw, obcy przybłądo!

– Piętnaście! – zakomenderował potężniej Reetz. – Szes...
– Archidiakonie z Trzebuszy! Zaklinam was w imię Boga: odpędźcie łotra!

Ludzie zapatrzili się w tego bezradnego starca, opierającego się ciężko o ramę okienną, Bonow jednak nie spojrzął. A po chwili, ciszej już teraz i smętniej, zaczęła się znów toczyć słowiańska modlitwa i łącząc się z jękiem skańca, coraz żałośniej płynęła w niebo.

– Bądźcie przekłēci! – starym rycerzem wstrząsnęła straszliwa pasja. – Oby was piorun niebieski zmiotł z tej nieszczęsnej pomorskiej ziemi. Oby...

Zachwiał się nagle i zanim Krysta zdążyła go podtrzymać, runął na ziemię. Uniosła mu głowę: twarz była jak martwa. Przesunęła wzrok na koszulę: z otwartych na nowo ran sączyła się krew. Wzięła na ręce bezwładne ciało i ułożyła z powrotem na łożu, a potem z wielką wprawą zaczęła zdierać opatrunki, przemywać, nakładać maści. Nie słyszała już nic, lęk o chorego zagłuszył w niej wszelkie inne uczucia. Gdy jednak w końcu otworzył oczy, trwożnie spojrzała w okno. Zaskoczyła ją wielka cisza. Gdzieś w dali toczyły się wozy, ale na dziedzińcu nie było chyba nikogo.

– Co się tam dzieje? – rozległ się na łożu zduszony szept.

– Skończyło się. Rajcy odjechali, ludzie odeszli. A inni skryli się pewnie w domu.

Kagen zsunął krzaczaste brwi i przez chwilę trwał tak, w jakimś wielkim myślowym wysiłku.

– Zdaje się, że słyszę coś niezwykłego – rzekł. – Coś, jakby dzwony...

– Słyszać je nawet dobrze. Z unińskiego kościoła.

– Nie o nie mi idzie. Poza nimi mam w uszach coś więcej... Przepięknie biją! I bynajmniej nie na chwałę krzyżackiego oręza...

Zsunął mocniej brwi, w wielkim napięciu zacisnął usta. A i Krysta się zaśluchała i wydało się jej, że starzec rzeczywiście ma słuszość. Gdzieś z północy, jakby znad morza, nadbiegał łagodny szum, zakradający się do serca srebrzystym dźwiękiem i jakąś przedziwną zadumą, sięgającą chyba bardzo daleko w przeszłość...

– Krysto – Kagen uniósł się gwałtownie na łokciu – trzeba zniszczyć tych łotrów!

Przytrzymała go, ostrożnie ułożyła głowę na poduszce, przetarła czoło. Przeraziły ją przejęte gorączką oczy.

– Trzeba wybić co do jednego – niecierpliwie odsunął jej rękę. – Tych z mieczem i tych z krzyżem! Gdy tylko zamknę oczy, pędź do wszystkich Kagenów i opowiedz dokładnie, jak było. Reetz pierwszy powinien zginąć!

– Dobrze, rycerzu... Tak właśnie zrobię. Ale teraz już leżcie spokojnie... Rany się zaogniły.

Przymknął oczy i wydawało się, że zaczyna zasypiać. Obserwowała w zamysłeniu szerniałą twarz, lecz nagle coś ją przyprawiło o wstrząs. Wargi chorego zacisnęły się w jakimś przerażającym grymasie, jakby wydawały ostatnie tchnienie.

– Wszyscy muszą wyginać, pamiętaj! – Kagen znów się poderwał. – Za nasze rany, za naszą mękę, za ten nieustający najazd niemieckich mnichów i księży błogosławiących podbój, a nas usidlających modlitwami i biorących w niewolę. Pierwszy zaś musi zginąć von Reetz! Za Bugdała, za tych chłopców wysłanych na wolińskie okręty, za okazaną mi dzisiaj pogardę. Dopilnujesz tego? Przysięgasz?

– Przysięgam, rycerzu...

– Na święty miecz Kagenów, który zawsze stawał wiernie w obronie Pomorza. Przysięgasz?

– Na święty miecz!

Na twarzy starca rozlała się uroczysta powaga. Przymknął przeżarte gorączką oczy i odtąd już ich nie otwierał.

– Ty mi tylko pozostałaś dzisiaj, dziewczeczko – przemówił cicho. – W tobie więc cała moja nadzieja, lecz jestem pewien, że mi nie sprawisz zawodu. Znam cię przecież dobrze. Siłę masz wielką, to ważne. A chociaż jesteś jeszcze bardzo młoda, nie brakuje ci także rozważli... Mądrze musisz sobie poczynić, pamiętaj. Reetz pierwszy... I o tym pamiętaj...

Coraz ciszej padały słowa, coraz słabiej poruszały się wargi i wreszcie wszelkie zmarszczki wygładziły się ostatecznie. Przyłożyła ucho do serca: wciąż biło. Uspokojona nieco, ujęła w dłonie starczą rękę i zaczęła gładzić ją pieszczotliwie. Wyczuła puls. Jakby pod wpływem tych nieznaczących uderzeń, gdzieś z wielkiej dali, na pewno sponad Bałtyku, zakradły się znowu do

serca niezmiernie miłe dźwięki, tchnące najwyraźniej czarem jakiejś przepięknej legendy.

– Krysto! – rozległ się naraz żarliwy szept.

– Słucham...

– Już wiem, co to za dźwięki! Biją dzwony naszej wspaniałej, starosłowiańskiej Winety... Słabo je słyszać, prawda. Przecież są zatopione. Lecz biją ciągle...

Pochyliła się nad nim czujnie. Zamknięte oczy nie rozchyliły się, twarz jednak nabrała wielkiej radości. Przesunęła ręką ponad wargami: oddech był słaby, lecz równy. Odetchnęła z ulgą. Rycerz spał tylko.

III

Godzina była popołudniowa. Na czacie w strażnicy nad bramą czuwał pachotek, pod drzewami wylegiwała się drużyna archidiakona. Cisza panowała zupełna. Niedawne wypadki sprawiły nawet na tych ludziach, przyzwyczajonych nie tylko do takich widoków, przygnębiające wrażenie, a chyba i Bonow nie czuł się dobrze. Przy obiedzie nie wypowiedział ani jednego słowa, Reetza nie dostrzegał, ciągle coś ważył w myślach. A po posiłku skinął tylko głową na siedzącego obok mnicha i skierował się do drzwi.

– Wasza wielbność odjeżdża? – odezwał się cicho Reetz, przybity tym głuchym milczeniem.

– Nie – Bonow przystanął i popatrzył na niego z namysłem. – Jeszcze nie... Odwiedzę tymczasem Kagena.

– Może i ja tam będę potrzebny?...

– Nie!

Bonow zrobił krok naprzód, ale się znowu zatrzymał.

– Pouczałem cię w drodze – wpił naraz w niego groźne spojrzenie – że staremu trzeba okazywać jak największy szacunek. Zwłaszcza przy ludziach. A ty co zrobiłeś? Biłeś chłopa, chociaż tamten zerwał się z łoża i przywoływał cię do porządku!

Reetz poczerwieniał. Czuł od początku, że w jakiś sposób ściągnął na siebie gniew archidiakona, lecz nawet teraz nie mógł dociec przyczyny.

– Przecież wasza wielbność – chrząknął niepewnie – też nie zwróciła na niego uwagi...

– A co miałem robić? – Bonow poruszył się wściekle. – Wziąć cię za kark i wyrzucić? Nie rozumiesz, bałwanie, że cię musiałem ratować? Gdybym odezwał się wtedy, już by cię nie było w Kodrąbiu!

Trzasnął drzwiami i wyszedł, lecz gdy znalazł się przy łożu chorego, wydawał się zupełnie spokojny. Starzec wciąż spał. Rzucił na niego okiem, potem na Krystę skromnie stojącą z boku, trochę dłużej zatrzymał wzrok na rozłożonej na stole księdze. Nie zdziwiła go ona wcale. Wśród ruchliwych Pomorzan czujących się tak samo dobrze na koniu, jak i na statku, sztuka czytania była bardzo rozpowszechniona i takie księgi można było znaleźć prawie w każdym dworzyszczu.

- Jak rycerz się czuje? – przysiadł na ławie.
- Bardzo źle. Rany się zaogniły.
- A ty nad nim czuwasz?
- Czuwam.

Przyglądał się jej badawczo, lecz wkrótce pochylił się czujnie nad chorym. Wydało mu się, że poruszył powiekami i po twardy przebiegło drżenie.

- Słyszysz mnie, rycerzu?
- Słyszę – rozległ się szept. – Ale nie chcę was znać!
- Czuję, że macie do mnie żal – Bonow zamiast się obruszyć, uśmiechnął się mile. – Niestusznie. Przecież nie mogłem przegnać waszego zięcia na oczach chłopstwa. Udałem więc, że nie słyszę wezwania, a potem temu bałwanowi natarłem porządnie uszu. Powiem więcej. Doszedłem do wniosku, że niepotrzebnie się za nim wstawiałem, i postanowiłem naprawić krzywdę, Reetz...

Bonow urwał nagle i spojrzał na Krystę.

- Wyjdź – wskazał jej drzwi.
- Zostań – Kagen naraz otworzył oczy. – Przy niej możecie mówić otwarcie. A mnie może być w każdej chwili potrzebna.
- Jak chcecie – Bonow machnął ręką. – Wasza sprawa, nie moja. Krótko mówiąc, Reetz, jak widzę teraz, nie bardzo do was pasuje i chciałbym jakoś dopomóc. Macie dwóch synów i do nich należy dworzyszcz. Ale co się stanie, jeśli nie wrócą?...

Kagen milczał.

– Otóż to – Bonow wyczekał chwilę i przemówił tym razem mocniej. – Wicie tak samo dobrze jak ja, że o śmiertelną przygodę nietrudno. Jeśli

jednak nie wróca, Reetz obejmie dziedzictwo. A na tym chyba wam nie zależy?

Kagen w odpowiedzi tylko zacisnął usta.

– Nie zależy – Bonow domyślił się głośno. – A że i ja straciłem do niego serce, daję wam dobrą radę: piszcie natychmiast testament. Jeśli synowie wrócą, obejmą rządy. Jeśli nie, trzeba przewidzieć kogo innego. A kogo?... Chyba najlepiej kamińskiego biskupa. Pobożny to pan. Będzie umiał zużyć taką darowiznę na dobre cele, a co najważniejsze – za tydzień czy dwa może przysłać swego zarządcę. Reetz nie będzie miał tu prawa wstępu. Zastanówcie się więc dobrze, bo radzę z serca. Jeśli zgodzicie się, możemy zaraz sporządzić akt. Jeśli nie, dosiadam natychmiast konia, bo i tak zmarudziłem za dużo czasu.

Kagen przymknął oczy. W głuchej ciszy, jaka zapadła, słychać było jedynie brzęczenie much.

– Więc jak? – archidiakon przynaglił.

– Piszcie...

Mnich przyniósł potrzebne przybory, zasiadł przy stole i przez pewien czas pióro toczyło się gładko po pergaminie.

– Wstęp gotowy – oznajmił. – Czytam: „In nomine Patris et...”

Rycerz słuchał obojętnie. Znał doskonale te zwroty, bez których nie mógł się obejść żaden testament, lecz naraz zmarszczył brwi. Po łacińskich słowach zaczęły płynąć niemieckie.

– Dość! – przerwał wzburzony. – Po naszymu piszcie. Na imię mi przy tym Jan, a nie Johann. I przebywam w Kodrąbiu. A nie w Kodram!

– Głupstwa gadacie – ofuknął go szorstko Bonow. – O co się mamy kłócić? – złagodził natychmiast ton. – Inni, nawet księżęta, sporządzają niekiedy testamenty po niemiecku i wcale im to nie przeszkadza.

– Ale mnie przeszkadza! Nie potraficie pisać po naszymu, piszcie więc po łacinie. Nazwy muszą być jednak dokładne!

Bonow machnął ręką ze złością i mnich zaczął pisać od początku. Znowu odczytał wstęp, rycerz zaczął dyktować swoją ostatnią wolę. Nie śpieszył się, bardzo starannie dobierał słowa, czuło się w nim ciągle głęboko zakorzenioną nieufność. A gdy niespodziewanie usłyszał tętent koni i skrzyp otwieranej

bramy, najwyraźniej się z tego ucieszył. Bonow wyjrzał przez okno i zaklął z cicha. Na dziedziniec wjeżdżał w otoczeniu licznych pachółków mąż zbudowany potężnie, strojny w olbrzymi złoty łańcuch zwisający do pasa, siwy wprawdzie jak gołąb, lecz trzymający się krzepko i tak pogodny, jak to pomorskie słońce toczące się w tej chwili po zupełnie bezchmurnym niebie. Jak gdyby na przekór swemu sędziwemu wiekowi, bardzo lekko zeskoczył z siodła, zagadał wesoło do służby, mocnym krokiem wszedł do sieni i wkrótce ukazał się w drzwiach.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – Kagen na jego widok zapomniał o wszystkim. – Witaj, Niekraku, z nieba mi spadłeś. Nikt tu nie był tak potrzebny w tej chwili, jak ty!

Bonow chmurzył się coraz bardziej. Drażnił go najwyraźniej ten rycerz dostojny, pewny siebie, czujący się tutaj jak w domu. Ongiś przybył z dalekich Łuzyc, dzięki życzliwości książąt osiadł na sąsiedniej wyspie Uznam, w Mielęcinie; czując mocne poparcie, nabrał szybko zuchwałości i daje się odtąd we znaki nawet potężnym, podgławskim opatom. A i teraz podkreśla hardo swą siłę, wciąż gada tylko z Kagenem, na niego nie spojrzy. Jak gdyby chciał świadomie podkreślić, że dla niego nie ma znaczenia żaden dostojnik!...

A Niekrak, jak się zdawało, rzeczywiście poza chorym nie widział nikogo. Nic zresztą dziwnego. Od najmłodszych lat łączyły go z Kagenem serdeczne stosunki, razem chodzili na wojenne wyprawy, jeden za drugiego nieraz nadstawiał karku. Kiedy jednak zaspokoił pierwszą ciekawość, spojrzął wreszcie na archidiakona i skłonił się przed nim z wielkim szacunkiem.

– Sądziłem w pierwszej chwili – przemówił zdziwiony – że jakiś przejezdny rycerz, a to przecież wasza wielebność! W takim stroju trudno poznać osobę duchowną... Do Kamienia czy w stronę domu?

– Do domu. Chory, jak widzę, dostał dobrego opiekuna, mogę więc ruszyć w drogę. A wy chyba zanocujecie?

– Wracam z daleka i tutaj właśnie postanowiłem urządzić popas. O ile więc gospodarz mnie nie przepędzi, zostanę.

Niekrak roześmiał się. Kagen mocno uściśnął mu rękę.

– Oby Bóg zawsze zsyłał mi takich gości – przemówił wzruszony. – Wasza wielebność naprawdę odjeżdża? – spojrzął ze zdziwieniem na archidiakona. – Testamentowi przecież daleko do końca, a taki czcigodny świadek bardzo się przyda.

Na czole Bonowa pojawiła się chmura, lecz zaraz zanikła.

– Na co wam testament? – roześmiał się. – Wyglądacie w tej chwili, jakbyście zamierzali wstać z łoża, toteż nie warto zatruwać myśli żałobnymi sprawami. Będę przejeżdżał tędy za miesiąc. W razie potrzeby zakończymy pisanie.

Skinął na mnicha i wyszli. Niektrak ujął przyjaciela za rękę.

– Czego chciał tutaj ten kruk? – odezwał się niespokojnie. – Gdzie się ruszy, tam spada na ludzi nieszczęście. Czyżby i tu się stało coś złego?...

Twarz Kagena jakby z warzył naraz siarczysty mróz. Zaczął opowiadać, świszczący oddech coraz częściej urywał słowa. Aż wreszcie tak się zadyszał, że Krysta musiała podbiec z pomocą.

– Bardzo źle ze mną – westchnął, gdy mu trochę ulżyło. – Pobiegnij po babkę. Może ona coś na to poradzi.

Patrzyła na niego spłoszona, nie bardzo pewna, czy może opuścić go w takiej chwili.

– Idź – uśmiechnął się nikle. – Dopóki pan na Mielęcinie jest przy mnie, nic się nie stanie. Przyślij babkę, a z powrotem się nie śpiesz. Umęczyłaś się dzisiaj, wiem dobrze. Musisz więc wreszcie odpocząć.

– Troszczysz się, jakby to ona była złożona niemocą – wtrącił żartobliwie Niektrak. – A dziewczyna przecież jak łania!

– Zasłużyła na troskę. Szczelbym marnie, gdyby nie ona.

– W takim razie i ode mnie należy się jej jakaś nagroda – Niektrak stawał się coraz weselszy. – Przyjmij ten złoty łańcuch. Dać ci na własność nie mogę, bo go noszę za karę, lecz wypożyczę na drogę. Twoja babka, o ile mnie pamięć nie myli, mieszka pod lasem?

– Pod lasem...

– Pilnuj go zatem dobrze – roześmiał się. – Zbójców podobno tu dużo.

Zarzucił jej na szyję, przekręcił, zarzucił raz jeszcze.

– Ślicznie wyglądasz! – wpadł w zachwyty. – Gdy będziesz jechała do ślubu, wypożyczę ci go po raz drugi. Daję na to rycerskie słowo. Zerknij w zwierciadło!

Znała go dobrze, bo nieraz zaglądał do Kodrąbia i zawsze okazywał jej wielką życzliwość, dała się więc także ponieść wesołości, a gdy się przejrzała,

splonęła nagle jak róża. Rzeczywiście było jej z tym łańcuchem bardzo do twarzy. I gdyby...

– Nie żartujecie, rycerzu?... – szepnęła. – Naprawdę mam zabrać go z sobą? Przecież to wielki majątek!

– Na pewno go zwrócisz.

W Kryście zrodził się niespodziewanie niepokój.

– Nie mogę wziąć – stanowczym ruchem sięgnęła do szyi. – Ze zbójcami nigdy nic nie wiadomo.

– Idź i nie przejmuj się – Niekrak przytrzymał jej rękę i pociągnął do drzwi. – Pacholek ci nie odbierze, bo wiem, jaką masz siłę, a zbójcy, wierz mi na słowo, kłaniają się na widok tego łańcucha. Pamiętaj tylko, że dopóki mi go nie zwrócisz, jestem tu więźniem. Bez niego nie wolno mi się nigdzie pokazać.

Roześmiał się beztrząsco i zamknął za nią drzwi. Ruszyła niezbyt pewnie naprzód, lecz znalazłszy się na dziedzińcu, śmiało uniosła głowę. Spodziewała się docinków, swawolnych uśmiezków, może nawet złośliwych uwag i gotowa była dać na nie ciętą odpowiedź. Zamiast tego powitała ją wielka cisza. Pachotkowie rycerza Niekraka spoglądali na nią w zachwycie i w ich spojrzeniach nietrudno było dostrzec bardzo dużo szacunku. Drużyna archidiakona jakby zamarła w zdumieniu...

Minęła bramę, weszła na polną dróżkę. Babka mieszkała właściwie nie pod lasem, ale już w lesie, na niewielkiej polanie. Skromna to była chałupka i skromne pole, którego nikt dawniej nie chciał uprawiać, przeniosła się tu jednak na starość, jako że miała wszędzie pod ręką zioła. Słyszała szeroko w okolicy ze swych umiejętności leczenia. Ludność chłopska odwiedzała ją stale, przysyłała konie rycerze, pojawiali się nawet duchowni. A już Kagen wierzył w nią święcie. Zdarzało się nieraz, że wył z bólu, a ledwie ona się pokazała, ból znikał natychmiast. Na braki więc nie mogła narzekać. Co było jej potrzebne do życia, otrzymywała jeszcze przed czasem z Kodrąbia.

Krysta minęła niewielki zagajnik i podeszła do chaty. Babka, przebierająca właśnie w progu świeżo zebrane zioła, zdumiała się nie mniej od pachotków na widok złotego łańcucha, lecz zaraz wykwitł na jej twarzy niepokój. Dowiedziawszy się jednak od kogo go otrzymała, uśmiechnęła się dobrodusznie.

– Wesoly pan – doszła do wniosku. – Stary, a przecież ciągle trzymają

się go żarty, jak gdyby nie zamierzał nigdy umierać. Chociaż... – zastanowiła się nagle. – Hm, tylko dla zabawy on chyba tego nie zrobił... Rozum u niego też bystry!

Weszła zamyślona do chaty, zabrała różne zioła i maści i znów znalazła się na podwórku.

- Posiedzisz tu trochę?
- Posiedzę, babciu. Czuję się jak ogłuszona i muszę jakoś ułożyć myśli.
- Prawda: straszny był ten dzisiejszy dzień...

Babka odeszła. Krysta pokręciła się po obejściu, zamiotła podwórce i izbę i wreszcie usiadła na ławie przed domem. Słońca już nie było widać, lecz między konarami migały jeszcze czerwone blaski zachodu. Zjawiały się coraz rzadziej, coraz nikłej prześwietlały korony i w końcu zagięły zupełnie. Z głębin leśnych zaczął napływać przyjemny chłód. Przyszła jej niespodziewanie ochota, aby raz jeszcze spojrzeć na słońce i ścieżką między drzewami skierowała się do pagórka, skąd widok był bardzo rozległy. Olbrzymia, czerwona kula właśnie zetknęła się z widnokregiem. Przyglądała się jej nieraz z tego samego miejsca i zawsze widziała jakiś odmienny obraz. Dziś znowu był inny. Jak hufce zbrojne przesuwały się nad nią niewidoczne przedtem obłoki, przybierały kształty karłów i wielkoludów, koni i wozów, pędzących na siebie drużyn, rozwiniętych chorągwi. Mocne barwy bladły jednakże szybko i wreszcie wraz z ostatnimi blaskami słońca rozplynęły się w mroku.

Od północy napłynął wiatr. Krysta głębiej wsunęła się w gąszcz. Tu było spokojniej, wiatr nie dochodził. W górze za to dmuchał coraz mocniej, szeleścił liśćmi, poruszał korony, narzucał myślom jakiś zgmatwany rytm i naraz wyładował się w uszach w przeciągłym huku. Przeniknął ją żar. Jak przez mgłę ujrzała katowanego Bugdała, tłum ludzi odmawiających w skupieniu litanię, archidiakona obrażającego w imieniu Chrystusa pobożny lud. Ogarniało ją coraz większe wzburzenie. Była przecież także częścią tego „przewrotnego plemienia”, jak smagnięcie biczem odczuła raz jeszcze ten wyzywający, niemiecki krzyk. Oddech stawał się coraz szybszy, rozgorzały policzki. Tam w górze ostrzej poruszył się bór. Jakby pod wpływem mocy spływającej z rozkołysanych konarów, sięgnęła gwałtownie ręką do ziemi, zerwała garść trawy i zgmiotła...

Gniew umknął nagle, spojrzała czujnie. Wydało się jej, że gdzieś obok

rozległ się odmienny od leśnych dźwięków, nieznaczny zgrzyt. Podniosła się z miejsca i przez pewien czas starała się coś wydobyć z otaczających ją wokół ciemności.

– Tu stoję – dał się słyszeć niespodziewanie pogodny, młodzieńczy głos.
– Nie lękaj się, zjawą nie jestem. I nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy.

O kilka kroków przed nią pojawiła się bezszelestnie ledwie widoczna, ludzka sylwetka. Krysta natężyła wzrok. Na tle tego cienia coś w kilku miejscach rozblęzło.

– Niepotrzebnie mnie straszysz, rycerzu – odezwała się obojętnie. – Nie lepiej było wyjść prosto na mnie?

– Obawiałem się, że spłoszysz się i uciekniesz.

– A wy chcieliście ze mną pogadać?

– Właśnie.

– Podejdźcie więc bliżej.

Cień przysunął się, ale wcale nie stał się przez to jaśniejszy. Ze smukłości postaci jedynie i z głosu można się było domyślać, że stoi przed nią jakiś młodzieniec.

– Naprawdę mnie się nie boisz?...

– Nie.

Przybliżył się bardziej, lewą ręką objął ją w pól. Nie przeszkadzała. Był to ruch miękki, powolny, nie zdradzający żadnych wrogich zamiarów. Kiedy jednak drugą ręką sięgnął do złotego łańcucha, zacisnęła ją w dłoni i tak samo łagodnie zaczęła odchyłać w dół. Próbował się przeciwstawić, ścisnęła mocniej. Użył całej siły i wtedy tak zgmiotła, że jęknął z bólu.

– Niesamowite!... – zadziwił się. – Rozumiem teraz, dlaczego się nie ulękałaś. Słaby nie jestem, ale ty przecież mogłabyś pogruchotać mi kości!...

Zamyślił się. Przez pewien czas słyhać było jedynie szelest liści trącanych wiatrem.

– Uważasz mnie chyba za zbójcę?...

– Gdyby tak było, odebrałabym wam dawno miecz.

– Widzisz go?... Przecież stoję w zupełnym mroku.

– Głównia się błyszczy. Tak samo zresztą, jak i pierścień na palcu.

Roześmiał się cicho i usiadł.

– Jeśli się nie śpieszysz, siadaj i ty – przemówił przyjaźnie. – Rycerz

Niekrak wiedział, komu powierzyć łańcuch... Zostanie chyba na noc w Kodrąbiu. A archidiakon?

– Zapowiedział, że zaraz odjedzie.

Przybywało coraz więcej pytań, Krysta odpowiadała cierpliwie. Rozmowa zaczynała jej sprawiać przyjemność. Miły to był głos, bardzo wdzięczna sylwetka, niewątpliwego uroku dodawała jej przy tym tajemniczość tego spotkania. Rycerz znał dokładnie wypadki, jakie zaszły na kodrąbskim dworzyszczu, i jeśli pytał, to chyba jedynie po to, aby wyjaśnić sobie jakieś drobne szczegóły.

– Oho, Bonow odjeżdża! – przerwał nagle rozmowę.

W miejscu, gdzie się znajdowało dworzyszcze, rozbrzmiały pochodnie. Przybywało ich coraz więcej i wreszcie w ich świetle zarysował się ostro zrąb ostrokołu i dachy budynków.

– Dziwne, że rusza na noc... – zastanowił się. – Droga przez lasy wolińskie jest niebezpieczna.

– Ufa widocznie swojej drużynie. Wydało mi się zresztą, że przestraszył się pana na Mielęcinie i chyba dlatego przyspieszył wyjazd. Towarzyszący mu mnich spisywał właśnie ostatnią wolę.

Świsnął przez zęby, jakby te słowa wyjaśniły mu wszystko.

– Rozumiem – wstał szybko. – Taki świadek był niepotrzebny.

Zasłuchał się. Skrzypnęła brama, ktoś krzyknął donośniej. Dotychczasowe człapanie przemieniło się w równy tętent pędzących koni. Odwrócił się i położył ręce na jej ramionach.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny – przemówił w nagłej zadumie. – Inna zasypywałaby mnie pytaniami: skąd się tu wzięłem, co robię, jak się nazywam, dokąd podążam? A ty nie zadałaś ani jednego?

– Wasza sprawa, nie moja.

– Prawda, moja sprawa. A jednak dziwne... No cóż, dziś muszę zaraz odjechać. Kiedyś cię jednak odnajdę znowu.

– A po co?

Roześmiał się. Dźwięczny to był śmiech, beztroski, lecz cichy, jakby z obawy, aby nie spłoszyć boru, i przez to wydawał się jeszcze wdzięczniejszy.

– Wyszła w końcu z ciebie przekorna niewiasta – odparł wesoło. – Postawiłaś pytanie zaczepnie, toteż odpowiem także zaczepnie: aby ci się oświadczyć!

– Nisko sięgasz, rycerzu – roześmiała się również. – Słudze chcesz się oświadczać?

– Mam ja w tym swoje wyrachowanie. Przy takiej urodzie i sile możesz się łatwo przemienić w królową.

– Wtedy sięgałbyś znów za wysoko.

– Prawda! Chciałem już dodać, że ci do tego pomogę, lecz teraz widzę, że działałbym tylko na własną szkodę.

Wysunęli się z gęstwy. Dotychczasowy mrok rozjaśnił się nieco, drzewa zaczęły się rysować coraz wyraźniej.

– Tak czy owak – wziął ją niespodziewanie za rękę – z pewnością jeszcze nieraz spotkamy się w życiu. Zawierz mi na słowo rycerskie: za mną nie kryje się krzywda. Okazuj mi więc zawsze taką ufność jak dziś.

– Dobrze...

Nie odzywali się odtąd. Rozłożyste bukowe korony rozsnuwały nad nimi gęstą zasłonę, przez którą z rzadka tylko prześwitywały jaśniejsze smugi. Szli jak pod sklepieniem świątyni i jak w niej każde sumiennie skupiało myśli. Krysta oddychała coraz swobodniej. Po dziennym gwarze, potępieńczych okrzykach, świstie batów, bolesnych jękach ten młody człowiek wyłonił się przed nią jak dobry duch wnoszący życie w zmartwiałą duszę. Nie czuło się w nim nic z tej oglądanej niedawno podłości. A przecież i on mógłby szerzyć dokoła grozę, bo na pewno umiał świetnie obracać mieczem, jeśli w tak młodym wieku zdobył rycerskie ostrogi...

Wyszli z lasu, w nikłej poświacie zarysowała się chata babki. Puścił jej rękę i stanął.

– Dziwnie układa się życie... – odezwał się w zamyśleniu. – Ujrzałem cię dziś po raz pierwszy, a wydaje mi się, że się znamy od dziecka. Jak ci na imię?

– Krysta. A wam?

Milczał przez chwilę.

– Wybacz, że nie odpowiem – odparł w zakłopotaniu. – Tymczasem nie mogę...

– A przecież zamierzacie mi się oświadczyć – roześmiała się trochę przekornie. – Jak wtedy was poznam?

– Poznasz mnie, poznasz – odzyskał wesołość. – Choćby po głosie. A na wszelki wypadek dam ci znak rozpoznawczy i bądź pewna, że się go nigdy nie wyprę.

Zanim się spostrzegła, co chce uczynić, coś przed nią rozbłysło złotem i na szyi zawisł niespodziewanie wisiołek.

– Ależ, rycerzu...!

– Nie zwracaj daru. Bądź spokojna: to dobry znak, za który nie żąda się nigdy zapłaty. A co do mego imienia...

– Nie mówcie. Dla mnie będziecie po prostu Rycerzem z Lasu.

Jakby w odruchu trwogi albo zdumienia cofnął się nagle o krok.

– Rycerzem z Lasu?... – powtórzył powoli.

– Co w tym dziwnego? – rozbawiła się. – Spotkałam was przecież w lesie!

– Prawda – rozweselił się także. – W lesie na ciebie napadłem, chciałem zabrać złoty łańcuch Niekraka. W każdym razie – spoważniał znowu – nie opowiadaj nikomu o tej przygodzie.

– Nawet panu na Mielęcinie? – wpatrzyła się w niego bacznie.

– No, jemu możesz... – odrzekł z wahaniem. – I rycerzowi Kagenowi również, ale nikomu więcej. Oczywiście o ile mi dobrze zyczysz.

– Dobrze wam życzę.

– Wobec tego daj szarfę na pożegnanie – przykląkł i z wielkim rozmachem przyłożył rękę do serca. – Każdy przecież rycerz musi mieć swoją bogdanke!

– A wy jeszcze nie macie?...

– Nie mam!

Krysta poczuła na twarzy gorący rumieniec. Znała dobrze ten rycerski obyczaj i czytała o nim w niejednej księdze, ale w tej rozmowie powaga zbyt często przeplatała się z żartem, aby ten młodzieńczy odruch potraktować poważnie. Ogarnęło ją rozdrażnienie.

– Nie kpijcie – odezwała się cicho. – Sługą wprawdzie jestem...

– Ale w przyszłości królową! Ja to odkryłem pierwszy i będę walczył z każdym, kto temu zaprzeczy. Choćby...

– Przestańcie! – przerwała mu szorstko.

Znieruchomiał i przez pewien czas wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Za dużo mówię – rzekł w zakłopotaniu. – Przebacz. Daj mi jednak wstęgę, bo to będzie dla mnie naprawdę miłą pamiątka. Choćby dlatego, że i na rycerza potrafisz krzyknąć.

Wziął ją za rękę, uściskał. Był znów taki jak na początku: nie narzucający się, czujny na każde słowo, pogodny, a równocześnie dziwnie poważny. Po chwili wahania podała mu wstęgę odpiętą z włosów, a że zniknął zaraz bez słowa w lesie, ruszyła również w drogę powrotną. Natknęła się wkrótce na wracającą do domu babkę. Zagadnęła ją tylko o zdrowie chorego i poszła dalej. Jak najdłużej chciała być sama. Rozmarzyło ją to spotkanie, przeżywała raz jeszcze wszystko. Naraz urwały się myśli. Gdzieś z boku, jakby od strony pagórka, na którym przebywali niedawno, rozległ się tętent. Przystanęła i nasłuchiwała uważnie. Samotny to był jeździec, z chwili na chwilę przynaglał konia. I pędził prosto do drogi, którą pojechał niedawno ze swą drużyną archidiacon z Trzebuszy...

Gdy znalazła się w końcu w izbie, w pierwszej chwili wyglądała jak oduurzona. Rzuciła okiem na Kagena: tak pogodnie rozprawiał z gościem, jakby zapomniał już o chorobie. Przysunęła się do niego nieznacznie.

– A, jesteś! – dopiero teraz ją dostrzegł. – Dużo tu mówiliśmy o tobie – przemawiał coraz weselej. – Zamiast sporządzać testament, od razu rozdziałam dary. Babka wzięła to i owo dla Bugdała i dla innych, a jutro weźmie więcej. Wiano zaś dla ciebie składam na ręce pana na Mielęcinie. Zabierze je zaraz z sobą. A za tydzień przyjedzie po ciebie.

– Po mnie? – Krysta cofnęła się przestraszona. – Dlaczego tak wcześniej?

– Nie wchodzi w to. Babka też z tobą pojedzie, wszystko już ustalone. A że akurat za tydzień masz...

– Nie martw się, dobrze ci będzie u mnie – Niektrak wpadł mu w słowa i objął Krystę zyczliwym spojrzeniem. – A jak z rozbójnikami? – zagadnął wesoło. – Któryś z nich nie próbował odebrać złotego łańcucha?

– A jakże, próbował!

Oczy Krysty nabrały jasnego blasku. Jak żywe zaczęły się znów przed nią przetaczać miłe obrazy, a błysk wisiorka spiął je niespodziewanie w jakąś prześliczną całość i serce wypełnił ciepłem.

– No i co? – Niektrak przysunął się do niej. – Dałaś mu radę?

– Widzicie przecież, że łańcuch cały – roześmiała się. – Lichy to zresztą

zbójca. Nie tylko niczego nie zabrał, ale jeszcze dołożył ze swego.

Wyciągnęła spod stanika wisiołek. Wziął go do ręki, obejrzał i wpatrzył się w nią znieruchomiałymi nagle oczyma.

– Piękny podarek – rzekł cicho. – Milcz odtąd i strzeż go jak oka w głowie. To znacznie więcej niż złoto i zwykła ozdoba...

IV

Reetza jakby nie było. Po odjeździe archidiakona zaszył się w kącie, wczesnym zaś rankiem dosiadł konia i z dwoma pachołkami udał się do Wolina. Gdy stamtąd powrócił, pan na Mielęcinie już od dawna był w drodze. Musiała to być przyjemna dla niego wiadomość, odetchnął bowiem z wyraźną ulgą i przez dłuższy czas przechadzał się pod oknami Kagena, zastanawiając się widocznie, czy go nie należy odwiedzić. Naraz przyszyły mu do głowy jakieś niedobre myśli. Zmarszczył brwi gniewnie, twardziej uderzył nogami w ziemię, zatrzasnął za sobą drzwi i odtąd ukazywał się rzadko. Ciągle był chmurny i nieprzystępny. Kiedy jednak w dwa dni później wszedł niespodziewanie do izby chorego, wydawał się bardzo pogodny. Rycerz spał. Pochylił się nad nim troskliwie, współczująco pokiwał głową, a potem na palcach zaczął się przybliżać do Krysty. Obserwowała go czujnie. Dawniej takie zachowanie pasowałoby nawet do niego. Dziś każdy jego ruch budził w niej podświadomą nieufność.

– Wycierpiał się biedaczysko w tym życiu – westchnął stanąwszy przed nią. – Kiepsko wygląda. A jak z bólami?

– Odeszły chwilowo.

– Babka zachodzi?

– Zachodzi.

– Złote ma ręce. Przecież i mnie kiedyś leczyła, pamiętasz? Niezłe byłem cięty wtedy mieczem, ale gdy ona zabrała się do roboty, po tygodniu prawie nie było śladu.

Najwyraźniej chciał wciągnąć ją w pogawędkę. Widząc jednak, że milczy, wbił oczy w ziemię.

– Stary wciąż na mnie zły?...

– Chyba tak.

Zdziwiła się. W tych cichych słowach wyczuła niemało skruchy.

– No cóż, stało się... – westchnął. – Spróbuję się wytłumaczyć, wynagrodzę Bugdała. A jeśli i ty powiesz za mną dobre słowo, z pewnością będzie znów dobrze. Bardzo cię przecież lubi.

Uśmiechnął się ujmująco i swym ulubionym dawniej ruchem chciał pogłodzić ją po policzku. Odsunęła się nieznacznie, ręka zawisła w powietrzu. Po jego twarzy przemknął grymas zniecierpliwienia.

– Widzę, że i ty boczysz się na mnie – rzekł cierpko. – Co cię ugryzło? Dawniej byłaś rada, jeśli pociągnąłem cię nawet za warkocz.

– Dzieckiem wtedy byłam. Od waszego wyjazdu upłynęło niemało wody.

Zapatrzył się na nią. Czuła się coraz gorzej pod tym spojrzeniem natarczywym, rozważającym coś chłodno, nabierającym coraz większej twardości. Naraz stanęła w pąsach. Jak smuga ognia z oczu naprzeciw buchnęła zwierzęca żądza i zanim zdążyła odskoczyć, pochwycił ją wpół i zgniół w gwałtownym uścisku.

– Prawda, nie jesteś już dzieckiem – przemówił chrapliwie. – A nawet, mówię to szczerze, jesteś piękną dziewczyną, najpiękniejszą chyba na całym Wolinie. Toteż teraz trzeba się z tobą inaczej obchodzić.

Zasłoniła się ręką, mocniej przegięła do tyłu.

– Co wyprawiacie? – hamowała z trudem wzburzenie. – Przyszliście się pogodzić, a znowu ścigacie burzę. Tego rycerz wam nie wybaczy.

– Wybaczy, wybaczy, ślicznotko. Zresztą nie jego sprawa. Lada dzień zamknie oczy, a ty mnie przypadniesz z całym dworzyszczem.

– Nikomu nie przypadnę! Jestem wolnym człowiekiem.

Oczy Reetza nabrały nagle krwawego blasku.

– I ty się zaczynasz buntować? – zasyczał. – Rycerz jest panem wszystkich swoich poddanych, a kto mnie nie będzie słuował, zatłukę na śmierć. I ciebie także!

Szarpnął nią silnie. Przemknęło jej przez myśl, aby przełamać go na pół i cisnąć jak szmatę na ziemię, lecz ostrzeżenia Kagena coraz natarczywiej wwierały się w mózg. Nie użyć siły za wcześnie...

A jeszcze nie było potrzeby. Trzymała go na uwięzi, nie dopuszczała za blisko tych ust wykrzywionych teraz już nie tylko żądzą, ale i zaciekłością. Burzył się coraz bardziej, szarpał i nie mogąc nic wskórać, wreszcie zaklął na cały głos.

Zaszurała słoma w sienniku. Reetz zwiotczał nagle, zacisnął zęby, odskoczył. Chory przebudził się i wpatrywał się w niego przepełnionymi wrogością oczyma.

– A ty tu po co? – w zupełnej ciszy padły ciche wprowadzie, ale dobitne słowa. – Powiedziałem: precz z mego domu! Czy mam wezwać sąsiadów, aby cię wyrzucili wreszcie z dworzyszcz?

Reetz podszedł bliżej i opuścił głowę. Wyglądał znowu na skruszonego grzesznika.

– Przyznaję: moja wielka wina – odezwał się cicho. – Nie okazałem wam wtedy należytego szacunku, ale człek stwardniał w bojach na Gotlandii i nie zdążyłem się jeszcze z tego otrząsnąć. Sami walczyliście nieraz, więc wiecie, że na to potrzeba czasu. Za późno zrozumiałem, że...

Przemawiał bez pośpiechu, wstydliwie, żałośnie, coraz sumienniejsz obnażał duszę. Gdy kończył przyrzekając poprawę, wydawał się szczerze wzruszony. Na Kagenie sprawiło to niewątpliwe wrażenie. Słuchał uważnie, nie przeszkadzał, z oczu umknęła wrogość. Zastąpiło ją zamyślenie i pogłębiło się bardziej, gdy w izbie znowu zapadła cisza.

– Człowiek u progu śmierci rozgrzesza łatwo – odezwał się wreszcie. – Zwłaszcza człowiek zrodzony na tej słowiańskiej ziemi... Chyba nawet za łatwo, bo przez to wzmacnia zuchwałość obcych, a swoich wpędza w coraz to większą biedę. No cóż, tak nas wychowali ojcowie, a że ja nie jestem od nich inny, też chyba wybaczę... Młody jesteś, prawda. W krwawym boju człowiek nasyca się żądzą mordy i na dłużej zakaza duszę. I temu nie mogę zaprzeczyć...

Skupiał przez chwilę myśli.

– Jak widzisz, staram się ciebie zrozumieć – dodał. – I co mnie bolało, wyrzucam z serca. Tak przykazywali moi przodkowie. Odjeżdżaj zatem w spokoju.

– Jak to: odjeżdżaj?...

– Odjeżdżaj, bo przecież pozostać nie możesz. Ledwie wróciłeś, wkroczyło za tobą zło. Wyłącznie młodością i bojem tego nie wytłumaczysz, toteż

czuję, że gdybyś pozostał, wyrządzisz tutaj jeszcze niejedną krzywdę. Do tego nie mogę dopuścić. Jestem prawym rycerzem, a Pan Bóg na to stworzył rycerza, aby bronił ojczystej ziemi i bronił słabszych. Gdybym mógł trzymać miecz, mógłbyś pozostać. Teraz, niestety, jedynie przy tobie siła. A ty lubisz z niej korzystać nie tylko wobec wroga, ale także wobec poddanych. Czy sądzisz, że nie dostrzegłem, jak napadłeś na Krystę?

Starzec wpatrzył się w niego gniewnie.

– Ośmielasz się na gwałt nawet w tej izbie! – przemówił znowu. – Mimo to powtarzam raz jeszcze: odejdz w spokoju, urazy usuwam z serca. A jeśli masz jakie braki, chętnie ci dopomogę.

Reetz, patrzący dotychczas w ziemię, uniósł głowę.

– Mam braki! – odrzekł wyzywająco. – Potrzeba mi całego Kodrąbia i nie ustąpię z niego, bo po żonie słusznie mi się należy. Chciałem z wami po dobroci. Nie umiecie się na tym poznać, gnijcie w barłogu. A dworzyszczem ja będę rządził!

Odrodził się ten Reetz, który na dziedzińcu odliczał starannie razy. Wstał, przeszedł się mocnym krokiem po izbie i stanął w środku.

– Ja będę rządził! – potwierdził donośnie. – A na pomoc nie liczcie. Pachołków mam dobrych, w razie potrzeby przybędą inni. Nie liczcie też na posłańców, bo od tej chwili nikt się nie wydostanie bez mojej zgody z dworzyszczem!

Rozejrzał się butnie, dłużej zatrzymał wzrok na wiszącym na ścianie mieczu.

– Rodowy miecz... – zastanowił się nad czymś. – Dobrze, zaczniemy od niego, bo kto go tutaj przypasze, ten rządzi. Niech zatem wiedzą wszyscy, że mnie przypadł w spadku!

Podszedł do ściany, pośrodku izby teraz stanęła Krysta. Zdawało się, że schwyci za chwilę ławę, że w strasznym gniewie połamie mu kości. Oczy Kageny trzymały ją jednak jak na uwięzi i im dłużej patrzyły, tym mocniej nakazywały zachowanie spokoju.

– Niech ktoś ośmieli się teraz zaprzeczyć moim prawom do Kagenowej dziedziny – Reetz roześmiał się drwiąco, stając przed starcem z jego mieczem u boku. – Nie chciałeś ze mną po dobroci, więc biorę siłą. Tobie on już

niepotrzebny. A do mnie pasuje świetnie.

Jak na urągowisko okręcił się wkoło, wyprostował hardo, wyciągnął miecz z pochwy, przeciął nim kilka razy powietrze. Stawał się coraz hałaśliwszy, a im więcej było w nim pychy, tym mocniej Kagen zaciskał zęby, tym rozpaczliwiej spoglądały zapadnięte głęboko oczy. Chciał coś przemówić. Zamiast słów wyrwało się jednak z piersi tylko ciche rżęzenie.

– Przestańcie! – Krysta przestała nad sobą panować i odepchnęła Reetza od łoża. – Nie wstyd wam tego pastwienia się nad bezbronnym?

Reetz spąsował. Pycha zamieniła się nagle w szal, w nikczemnej duszy pękły ostatnie więzy. Starego rycerza nie mógł zamordować wiedząc, że ściągnie to na niego powszechną hańbę, przed którą nie uchroni go nawet biskup. Teraz miał jednak przed sobą dogodny cel: dziewczkę służebną, za którą nikt się nie ujmie...

Miecz uniósł się ze świstem w powietrze.

– Obyś w pierw trupem padł! – Kagen poderwał się w łożu. – Oby ten miecz wymiół takich łotrów z tej ziemi doszczętnie! Oby...

Rycerz zwałił się ciężko, ale i ręka Reetza zwiśla bezwładnie. Zbrojnych przeciwników się nie bał, w boju często szedł pierwszy. Kłątwy jednak się bał. Zwłaszcza takiej kłątwy, na ten święty rodowy miecz. O jego mocy krążyły legendy, słyszał o niejednym nieszczęściu. Taka kłątwa podobno spełnia się zawsze...

– Nie umkniesz od kary – słaby, ale przedziwnie uroczysty w tej chwili głos Kagen a wzmacnił jego obawy. – Śmierć widzę nad tobą. Rychłą śmierć. Pewnie już pędzą moi synowie!

Reetz odetchnął głęboko. Ostatnie słowa dodały mu ducha.

– Na nich nie liczcie – rzekł kpiąco. – Jeden już gnije w litewskich lasach, powalony krzyżacką ręką. Drugiego ona także dosięgnie wkrótce.

Krysta przypadła do łoża. Starcem targnął gwałtowny skurcz, twarz pokryła się śmiertelną bladością. Pochyliła się niżej, czołem prawie dotknęła czoła. Widziała coraz wyraźniej w otwartych szeroko oczach narastający stopniowo chłód i pogłębiającą się obojętność. Coś tam jednak usiłowało się przez nie jeszcze przedostać i naraz załśniły jaśniej.

- Pamiętasz wszystko, Krysto? – rozległ się głuchy szept.
- Pamiętam, rycerzu.
- Dobrze pamiętasz?
- Dobrze pamiętam, rycerzu...

Wyglądała się twarz, oczy zaczynały zachodzić pustką. – Znów słyszę dzwony – raz jeszcze poruszyły się wargi. – Przepięknie biją.

- Pewnie dzwony Winety.
- Właśnie Winety. Naszej... słowiańskiej...

Znikły resztki jasności, zmartwiały usta. Krysta załkała cicho. Wydało się jej nagle, że wraz z tym pomorskim rycerzem odsuwa się od niej gdzieś w nieskończoność cały jej dotychczasowy, skromny wprawdzie, ale przecież do niedawna bardzo pogodny świat. Łzy spływały coraz obficie, w głowie narastał straszliwy szum. Jak brzegi morza podmyte gwałtowną falą, rozpadały się w proch wypieszczone w myślach obrazy przyszłości i dziewczęce marzenia...

- Gdzie klucz? – rozległ się naraz nad nią głos Reetza.

Krysta nie drgnęła.

– Gdzie klucz od skarbcza? – tupnął zaciekle nogą. – Odpowiadaj, gdy pytam!

Wstała powoli z klęczek. W jakimś ogromnym zdumieniu wpatrzyła się w rozognioną twarz, jak gdyby ujrzała w niej coś, co przechodzi ludzkie pojęcie.

– Nie wiem – odezwała się głosem bezbarwnym. – Ależ z was łotr!... Dobilście przed chwilą starego pomorskiego rycerza, a ledwie uszło z jego oczu ostatnie światło, już szukacie nie swoich pieniędzy!

Porwał za miecz, ale coś go wstrzymało przed cięciem.

– Za gładka z ciebie dziewczka, aby pozbawiać cię głowy – roześmiał się urągliwie. – Ułożę cię jak należy, a naukę zaczniemy zaraz. Pachołkowie – rzucił przez okno – do mnie!

Zbiegli się błyskawicznie, stanęli w wejściu.

– Do lochu z nią! – Reetz rozkazywał, jakby znajdował się znów na Goltlandii. – Nie ma prawa rozmawiać z nikim. A gdyby uciekła, wywieszam wszystkich!

Posłusznie pochyliły się włócznie, ostrza dotknęły ciała. Krysta w milczeniu ruszyła naprzód.

V

Bił nierówno samotny i skromny, uniński dzwon, żegnając odchodzącego na miejsce wiecznego spoczynku starego pomorskiego rycerza, i wprowadzając co chwila żałobną nutę, cieniem smutku pokrywał coraz szczelniej ludzkie oblicza. Na barkach Kagenów z Pustkowa i Duńskiej Góry majestatycznie wypłynęła z kościoła trumna pokryta kirem, pojawił się za nią pan na Kołczewie, poszli rycerze z Chynowa, Łojszyna, Korzęcina i Łęgów, ruszyli się inni. Na cmentarzu już kupił się wielki tłum. W głuchej ciszy stali stroskani chłopcy z Kodrąbia i ci miejscowi, rybacy znad Dziwny i od Świętoustcia, dworscy słudzy, smolarze z puszczy. Ten dzwon do nich chyba przemawiał najmocniej. Odchodził przecież prawy rycerz wrośnięty w tę ziemię z dziada pradziada, przestrzegający zawsze bacznie wolińskich praw, stanowiący przykład dla całej wyspy. Odchodził, chociaż dzisiaj był bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Z głębi ładu bowiem, od Trzebuszy i Brandenburgii, zaczęło się i tu zakradać w końcu bezprawie i jak śmiercionośna zaraza wywracać dawny, pomorski porządek...

Czoło konduktu zatrzymało się przy otwartej mogile, zrobiło się tłoczno. Wargin, trzymający się dotąd w pobliżu swojego pana, skorzystał z zamieszania i przemknął do stojącego opodal Kruży.

– Mam ludzi – szepnął. – Uderzymy o północy, bo jutro może być za późno. Pomożesz?

Jak cała okolica, wiedział o wszystkim, co się stało w Kodrąbiu, bo chociaż do Krysty nikt nie miał dostępu, służba знаła dobrze przebieg wypadków i roznosiła szeroko wieści. Przeraził się w pierwszej chwili, ta dziewczyna była mu bardzo bliska. Opanował się jednak szybko i myślał odtąd tylko, jak ją wydobyć z lochu. Na łaskę Reetza nie liczył, dobrze poznał go na Gotlandii. Ale przedostać się dziś wieczorem do dworzyszczka nie było łatwo...

Wzburzył się, kurczowo zacisnął pięści. Tłum przed nim falował, ludzie cisnęli się do mogiły, słychać było przemowy. Objął to wszystko jednym spojrzeniem i rozogniony wzrok skierował znowu na przyjaciela.

– Więc jak? – przynaglił. – Pomożesz?

Kruża skinął jedynie głową. Z wielką uwagą obserwował wciąż swego pana,

a i Wargin teraz na niego popatrzył. Reetz przez cały czas trzymał się blisko trumny, głowę zadzierał hardo, jakby na pokaz kładł często rękę na Kagenowym, rodowym mieczu. Ten miecz jednak wytwarzał koło niego zupełną pustkę. Rycerze z Pustkowa i Duńskiej Góry nie powitali go nawet, spoglądali wyzywająco, odsunęli szorstko, kiedy chciał ponieść zwłoki. A i inni stronili najwyraźniej od towarzystwa. Miecz rodowy był tu rzeczą świętą i mógł przejść tylko z ojca na syna. Kto więc nawet niezbyt dowierzał ponurym wieściom, jakie rozprowadano wokoło, w tym przypadku był pewien: przypasując go, ten człowiek popełnił świętokradztwo i choćby nawet nie poniósł kary, nie jest godzien ludzkiego szacunku.

– Czuję burzę w powietrzu – Kruża nareszcie otworzył usta. – Kagenowie na pewno zaraz po pogrzebie udadzą się do Kodrąbia, aby obliczyć majątek. Reetz ich wpuści albo przepędzi. Chyba jednak wpuści, bo w przeciwnym razie pomogą im inni. Ale że kłótnia będzie niesamowita, to pewne. Może uda mi się wtedy wydostać Krystę. Jeśli nie, poczekamy do nocy.

– Porządy z ciebie chłop... Czterech ludzi wystarczy?

Jeszcze przez pewien czas coś naszeptywali sobie do ucha. Skończyły się modły i przemówienia, posypała się ziemia, rycerze ruszyli do koni. A potem stało się to, co przed chwilą przewidział Kruża: Kagenowie z gromadą sąsiadów i pachółków znaleźli się razem z Reetzem na kodrąbskim dworzyszczu, w czasie stypy pogrzebnej rozgorzała gwałtowna kłótnia. Trwała niezmiernie długo i dawno minęła północ, gdy goście przy wtórze wzajemnych pogroźek zdecydowali się wreszcie na powrót do domów.

Kruża stał na strażnicy. Spomiędzy przesuwających się obłoków wyglądał często sierp księżycowy, zamigotała niekiedy gwiazda, nierówna poświata sączyła się skąpo na dziedzińcu i dachy. Przy lochu stał inny pachółek, w izbie zmarłego zapłonęło na krótko światło. Cisza była zupełna. Kruża zasłuchał się w nią i wodził powoli oczyma po polach otaczających dworzyszcz, po chłopskich chatach skupionych w dali, po skraju lasu. Gdzieś tam ukrywa się Wargin ze swymi ludźmi, czeka niecierpliwie na znak. Dać go jednak nie można. Reetz może się już położyć, ale z pewnością jeszcze nie zasnął. Ciężkie miał przecież dzisiaj przeżycia...

Jakby na potwierdzenie, w głębi domu rozległ się mocny krok i w chwilę później Reetz ukazał się w progu. Rozejrzał się po dziedzińcu, raz i drugi

przestąpił jakoś bardzo niepewnie z nogi na nogę i skierował się wreszcie do lochu.

– Zapal łuczywo – dał się słyszeć jego ściszony głos. – I otwórz drzwi.

Rozbłysło światło, zgrzytnęły zamki.

– Dziewka śpi?

– Chyba śpi...

– Nie szkodzi, obudzę – z ust Reetza wydobył się krótki, chrapliwy śmiech. – Usiądź na ławie przed domem i czekaj. Może będziesz potrzebny.

Wziął łuczywo do ręki, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Rzucił okiem na wiązkę słomy naprzeciw: Krysty na niej nie było. Przesunął wzrok nieco dalej i znieruchomiał. Stała w kącie oparta o ścianę, nieco pochylona, czujna, jakby się czająca do skoku, lecz jemu wydała się tylko bardzo bezradna i wystraszona. Oświetlił ją lepiej. W migotliwym blasku łuczywa ukazała się twarz niezwykle w tej chwili smutna i tak poorana zmarszczkami, jak gdyby nie należała do młodej i pięknej dziewczyny, lecz do leciwej niewiasty.

– Wziął cię jednak głód – westchnął szyderczo. – Trzy dni postu, nie drobiazg. Jakże więc: staniem się teraz dla mnie łaskawsza? Nie będziesz już nazywała mnie łotrem?

Nic nie odrzekła. Wziął to za objaw trwogi i zupełnego upadku ducha, toteż zdecydował się działać śmielej. Postawił z boku łuczywo, podszedł do niej i pieszczotliwym ruchem zaczął jej upinać nad czołem zwichrzone włosy.

– Od razu inaczej wyglądasz – uśmiechnął się mile. – Potrzeba ci tylko grzebienia i zwierciadełka, wiem o tym. Jeśli ci nie zabraknie rozumu, otrzymasz wszystko. Przy mnie na pewno będzie ci lepiej niż przy starym Kagenie. Potrafię być szczodry, a jak dobrze pójdzie, zabiorę cię nawet kiedyś na krzyżacki dwór do Malborka. Tak piękną niewiastę można pokazać wszędzie.

Przemawiał coraz łagodniej, serdeczniej, a równocześnie coraz mocniej działał na niego dziewczęcy czar. Jakby od niechcienia pogładził ją po policzku. Nie drgnęła. Znacznie już odważniej przesunął rękę na szyję, przyciągnął z lekka i niespodziewanie pochwycił ją w pól.

Krysta skuliła się nagle, łokciami rozerwała gwałtownie uścisk.

Dotychczas starała się panować nad sobą; skupiając myśli i szukając gorączkowo jakichś środków ratunku, dusiła w zarodku niepotrzebne odruchy. Teraz wzburzenie przerwało tamy i ukazawszy siłę, rozlało się równocześnie na twarzy gorącym rumieńcem.

– Aha, znowu pokazujesz zęby!... – Reetz zasyczał złowieszczo, – Ostrzegam po raz ostatni: będziesz posłuszna albo przywołam pachołków. Znają się oni dobrze na katowskiej robocie, ćwiczone ich przecież w Malborku. Wierz mi przy tym na słowo: ja nie Kagen, nie uznaję litości. Gdy przypalanie nie pomoże, mam jeszcze miecz. I jak mi Bóg miły, tak zetnę głowę!

Rozognił się, oczy rozbłyły dziko. Jakoś bardzo bezradnie zwiesiła głowę, jakby straciła hart, a on na ten widok rozplomienił się bardziej.

– Na kolana przed swoim panem! – warknął zwycięsko.

Krysta nie drgnęła. W jakimś wielkim skupieniu obserwowała zwisający mu u pasa miecz Kagenowy i zdawało się, że nic więcej jej nie obchodzi. Mienił się w świetle łuczywa, zakrawiał często czerwienią, to znów srebrzył się przejmująco, to promieniał niekiedy złotem i jak księga ogromna snuł nieprzerwanie wielką historię o zwycięstwach i klęskach, o życiu i śmierci, o świetności i nędzy, a przede wszystkim o tej niezmożonej, pomorskiej woli utrzymania za wszelką cenę wolności. Naraz przemówił dobitniej. Jak okrzyk bojowy, przejmująco i groźnie, zawirował jej w uszach chrapliwy głos wydającego ostatnie tchnienie starego rycerza...

– Na kolana! – Reetz tupnął zaciekle.

Wzburzyło go nieposłuszeństwo, poniosła żądza. Pochwycił ją znowu, szarpnął, sięgnął do szat, lecz nagle zastygł w bezruchu. Z oczu Krysty buchał przejmujący, jakby śmiertelny chłód. „Nadszedł czas – przynaglał ją coraz natarczywiej jakiś wewnętrzny głos. – Użyj natychmiast siły!” Sprężyła się w sobie, niespodziewanie zgmiotła mu rękę, w żelaznym uchwycie miażdżyła gardło, łamała ciało. „Pierwszy musi zginąć von Reetz! – napływały zza grobu przeżarte męką, dobitne słowa. – Za Bugdała, za tych nieszczęsnych chłopców sprzedanych na statki, za okazaną mi dzisiaj pogardę!”... Ścisnęła mocniej, coś trzasło. „Oby was piorun niebieski wymiółł z tej umęczonej pomorskiej ziemi!” – rozhuczała się wokół rozpaczliwa klątwa bezradnego starca, spoczywającego na łożu śmierci. Sercem targnęła gwałtowna burza. W gniewnym odruchu

uniosła w górę zwiotczałe ciało, jak workiem rąbnęła w mur i z obrzydzeniem odrzuciła od siebie zwłoki.

Dyszała przez chwilę ciężko. Ktoś nadbiegał od domu. Jak odbłask trwogi przemknął po jej twarzy płochliwy cień, lecz zaraz ustąpił miejsca jakiejś twardej decyzji. Myśli już układały się sprawnie. Zerwała z Reetza rycerski pas, założyła na siebie, dobytek miecza, skoczyła do drzwi. Ktoś pchnął je właśnie, rozbłysła włócznia. Pociągnęła za drzewce, krzyżackiego pachołka nadała na sztych. Przebiegła po trupie i wydostawszy się na zewnątrz, oparła plecami o loch. Z naprzeciwka pędziło trzech innych, ze strażnicy schodził z pośpiechem czwarty. W popłochu i z krzykiem, przy wtórze niewieścich zawodzeń ożywało błyskawicznie całe dworzyszczce...

Rozbłysł jaśniej sierp księżycowy. Łagodna poświata gęściej obsiadła dachy, posrebrzyła mocniej zrąb ostrokołu, wybieliła dziedziniec. Krysta rzuciła tylko na niego okiem i natychmiast odbiła walącą się na nią włócznię. Przysiadła zaraz, bo dwie inne zagroziły jej z boku, szybkimi obrotami miecza odsunęła od siebie groty. Na próżno, znów uderzono. Biła coraz gwałtowniej, raz i drugi skoczyła naprzód. Również daremnie. Niewprawna ręka nie potrafiła nikogo dosięgnąć, przeciwnik za to był bardzo sprawny. Początkowo zaskoczyła go siłą ramienia. Teraz już odnajdywał jej słabe strony, już wymieniał między sobą niefrasobliwe uwagi, już wydał krzyk triumfalny, już rozpoczął ostatni atak...

– Kagenowie, w bój!

Potężne zawołanie, które niejednokrotnie rozlegało się na polach bitew z Brandenburgią, wstrząsnęło naraz całym dworzyszczem. To Kruza szedł naprzód burzliwie i zwaliwszy zniemacka najbliższego zwarł się natychmiast z drugim, trzeciego odepchnął na Krystę. Skorzystała ze sposobności, rąbnęła z góry. A że i on się już zdążył uporać, miała nareszcie przed sobą otwarty widok.

– Ty ze mną?...

– Jakże mógłbym być przeciw tobie? – Kruza obruszył się. – Oboje jesteśmy przecież z Kodrąbia. Wargin zresztą nadchodzi, słyszysz? Mieliśmy cię odbić.

Przy bramie rozległ się gwar, odskoczyła gwałtownie furka. Krysta dotknęła czoła, jakby chciała lepiej ułożyć myśli.

– Siodłajcie konie! – krzyknęła porywczo. – Wyprowadzać w pole trzodę i bydło!

Wbiegła do lochu, a gdy po chwili znalazła się znów na dziedzińcu, w jej ręku płonęło łuczywo. Kruża znieruchomiał. Wydało mu się, że ogarnął ją szal, że pędzi przed siebie, jakby ją gnała śmiertelna trwoga. A oto przykłada głównie do strzechy dworzyszczu. Odbiega nieco, podpala znowu...

– Co ty wyprawiasz? – przypadł do niej wzburzony. – Przecież to dziedzictwo Kagenów!

– Niech płonie! Jeśli nie spalę, wprowadzi się tu jutro jakiś inny von Re-etz.

– Ale synowie Kagena...

– Jeden tylko żyje i na pewno nie będzie miał do mnie żalu. Podpalaj i ty!

Zdziwił się nieco. Twarde to były słowa, ale bardzo rozsądne; mimo to wzdragał się jeszcze. Pognała go ostrzej, zapędziła do pracy innych. Szła jak duch wojny poprzez całe grodziszczu i przystanęła dopiero wówczas, gdy ogień pochwycił nawet ostrokół.

– Tego zabieram – wskoczyła na jednego z koni, które już stały pod siodłem. – Kto chce uciekać ze mną, niech wsiada także.

Nie oglądając się na nikogo, ruszyła naprzód, minęła bramę, wyjechała na polną dróżkę. Poszli za nią pachołkowie z Kołczewa, poszedł Kruża, wolnego konia dosiadł nawet jakiś wyrostek. Coraz mocniej biły kopyta w ziemię.

– Trzeba się śpieszyć! – krzyknął Wargin, jadący za nią. – Pożar już dostrzeżono. Biją na trwogę dzwony we wszystkich kościołach!

Krysta popędziła swego wierzchowca. Ściszony gwar służby i chłopstwa zagarniającego trzodę i bydło, aby coś uratować dla siebie z pańskiego dobytku, zostawał za nią. Od wschodu za to przyłączał się szybko do dzwonów rozległy szum i wzmagął się z chwili na chwilę, jak gdyby narastała tam wielka burza, która wkrótce ziemię zamieni w piekło. Natomiast na zachodzie panowała nadal zupełna cisza. Odwieczny bór, groźny wprawdzie dla kupców i zamożnego rycerstwa, ale bezpieczny dla ludzi ubogich, przyciągał do siebie spokojem i mnóstwem kryjówek, w których można było łatwo uchronić głowę.

– Dokąd jedziemy? – krzyknął znów Wargin.

– Tymczasem po babkę.

– A potem?

– Przed siebie. W bór!

Wpadli między drzewa, zajechali pod chatę. Krysta, ciągle jeszcze wzburzona, weszła do środka, zabrała bez słowa staruszkę i jej skromny dobytek i znów znalazła się w siodle. Przysunął się do niej Kruża.

– Jeśli nie wiesz dokładnie, dokąd uciekać – odezwał się w zamyśleniu – lepiej będzie, jeśli ja teraz obejmę dowództwo.

– Prowadź.

Wysunął się na czoło, dopadł do dróżki, skrzył zaraz na zachód, jak ongiś Rycerz z Lasu popędził skrajem w stronę Przytoru. Za ich plecami, od Dziwny, szum narastał bez przerwy, już można było rozróżnić wyraźnie tętent. Dochodził od Kołczewa, od Korzęcina, od Łęgów, wraz z dźwiękiem dzwonów zaczął napływać gdzieś od Mokrzycy. Nasłuchiwała uważnie przez pewien czas i wreszcie przestała się nim zajmować. Jadący przed nią Kruża prowadził pewnie. Oderwała wzrok od jego pleców, spojrzała w lewo: potężny słup ognia i dymu bił nadal w niebo w tym miejscu, gdzie znajdowało się przedtem dworzyszczce. Westchnęła cicho i popatrzyła w przeciwną stronę: las unosił się tutaj nieznacznie w górę. Coś drgnęło w niej nagle, jakby w popłochu dotknęła piersi. Pod odzieżą wyczuła niewielki wisiołek. Znowu westchnęła, jakoś bardzo bezradnie zwiesiła głowę. Nieznany Rycerz z Lasu... Tak, tu go właśnie spotkała, na tym pagórku w głębi. Śpi chyba w tej chwili spokojnie. A może nie śpi?... Może też pędzi konno, jak tamtej nocy, w jakimś tajemniczym celu i w jemu tylko znanym kierunku?...

BITWA

O

WOLIŃSKI BÓR

I

Ranek wstał wietrzny i chmurny. Od morza nadbiegał głuchy szum toczącej się ciężko fali, ale znajdujące się niedaleko od wybrzeża jeziorko, zwane od wieków Gardnem, było zupełnie spokojne. Zapadło się głęboko wśród lasu, siedmioma ramionami wbiło się mocno między wyniosłe brzegi, w zatoczkach przystrojiło się pięknie wodnymi liliami, jak oko mędrca pełne zadumy przykuwało do siebie ciszą wokoło i głębią toni. Miało także swoją źrenicę. Prawie pośrodku widniała mała wysepka, a na niej przysadzista i potrzaskana, jakby znużona wiekiem, kamienna budowla.

Gdzieś tam w górach świsnął donośniej wiatr. Jakiś krnąbrny podmuch poleciał niżej, nabił sobie guzów na rozłożystych bukach, zatracił się, ale ostatnim tchnieniem zdążył jeszcze dotknąć nieznacznie wody i naraz wydało się, że to oko rzeczywiście żyje, że drgnęło z bólu, że spływają po nim obficie łzy. Mogło tak być. Swantewit, wszechmocny ongiś bóg osiadłych od Łaby po Wisłę Lechitów, poległ podobno dawno, broniąc do upadłego słowiańskiej ziemi przed najazdem zbrojnych w miecze i krzyże germańskich wrogów. Może zresztą nie poległ. Ludzie wtajemniczeni twierdzili stanowczo, że tylko ukrył się dobrze, aby odzyskać siły, i że na Ranie wciąż słychać w nocy, jak bije jego serce koło Arkony. Ten zaś zakątek jeszcze bardziej potwierdzał prawdę. Jeziorko przecież to jego oko, wysepka pośrodku – jego źrenica. Aby je ujrzeć i zyskać łaskę, od lat tysiąca ściągają tutaj olbrzymie tłumy i bijąc czołem, składały dary. Na tej wysepce stało wówczas święte grodziszczce; jego kapłani, widzący przyszłość, ludom z dalekich nawet okolic wydawali rozkazy.

Dziś z tej świątyni pozostały jedynie szczątki. Swantewit, ranny ciężko, odpoczywał po trudach bojów, a równocześnie, spoglądając na pokryte często chmurami, pomorskie niebo, układał jakieś niezwykle plany. Spokój miał zapewniony. Wszędzie dokoła, jak daleko sięgała ta gęsta, wolińska puszcza, czuwały nad nim duchy leśne, upiory i czarownice i strzegły go tak sumiennie, że kto nawet nie bał się zbójców, przed nimi musiał uciekać. Przekupić ich nie było można, litości nie znały. Kto więc ośmielił się zapuścić w głąb, ten ginął bez śladu i tylko jakiś smolarz odnajdywał niekiedy kości.

A i Żrenica Swantewita była strzeżona dobrze. Miejsce dawnych kapłanów zajęli od lat kilkunastu członkowie Bractwa Żywienia. Nie było ich wielu. Jeden z jego wielkich przywódców, Wotynicz z Rany zwany powszechnie Stortebekerem, znający doskonale najskrytsze tajemnice przybrzeżnych wysp, osadzał tu tylko najzaufańszych, ta bowiem placówka miała zadania szczególne. Stąd obserwowano bacznie Świnę, Pianę i Dziwnę, Kamień i Szczecin, aby dowództwo wiedziało, kiedy i na kogo uderzyć, a przy tym nie dało się nikomu zaskoczyć. Tutaj składano zapasy, aby w nagłej potrzebie móc zaopatrzyć okręty w oręż i żywność, a w razie jakiegoś nieszczęścia mieć bezpieczną kryjówkę. I tu wreszcie pozostawiano chorych i ciężko rannych, których leczenie gdzie indziej nastęrczało trudności.

Odpowiedzialna to była praca, wymagająca wielkiej zręczności, toteż znajdowali się tu ludzie przeważnie starsi, niekiedy kalecy nie nadający się już do walki na morzu, ale zahartowani w bojach i mający wielkie doświadczenie życiowe. Od czasu do czasu uderzyli na przepływający w pobliżu statek. Robili to bardzo rzadko i tylko wówczas, gdy byli całkowicie pewni zwycięstwa. Nie było potrzeby narażać się zbytnio, a zresztą należało bacznie strzec tajemnicy. W ostatnich jednak miesiącach coraz uważniej śledzili Bałtyk, w oczach było widać coraz większy niepokój. Coś się zepsuło w dotychczasowym porządku. Stortebeker przestał zaglądać, nie pojawiał się żaden łącznik, z dalekiego świata zaczęły napływać jakieś niejasne wieści. Aż wreszcie wraz z dźwiękiem dzwonów kamieńskiej katedry wyłoniła się prawda: Krzyżacy zdobyli Gotlandię, jej stolicę Visby zamienili w gruzy. A wraz z setkami innych obrońców padli w boju wszyscy dowódcy.

– Koniec z nami – ktoś westchnął na tę wiadomość.

– A więc dlatego tyle okrętów wojennych przepływa ostatnio przy brzegach!... Szukają kryjówek. Zamykają nam przy tym drogi!...

Twardzi to byli ludzie i gdyby przed nimi pojawił się wróg, poszliby na niego bez chwili namysłu. Odcięci teraz jednak zupełnie od świata, poczuli się jak osaczony zwierz, który w każdej chwili spodziewa się ujrzeć wroga. Przedtem cały Bałtyk należał do nich; jeśli nawet zdarzyła się czasem nieszczęśliwa potyczka, zawsze wiedzieli, gdzie schronić głowę. Do Bractwa należały dobrze obwarowane twierdze i zamki w Finlandii, Szwecji, Norwegii, Danii; na całym Pomorzu znajdowały się liczne i dobrze ubezpieczone kryjówki. Dostępu do nich broniła właśnie Gotlandia i stamtąd rozchodziły się naokoło rozkazy. Teraz zabrakło siły i brakło władzy. Zerwała się także łączność. Dawniej stale ktoś tutaj zaglądał z morza. Obecnie zrodziło się wielkie osamotnienie pośród czyhających dokoła nieprzyjaciół i ono męczyło najbardziej.

Leniwie narastał dzień. Za borem, na Bałtyku, szalał bez przerwy sztorm. Na jezioru nadal panował zupełny spokój i im mocniej słońce strzępiło chmury, tym większa cisza spływała na nie. A i grodziszcze z zewnątrz wyglądało wciąż jak wymarłe i gdyby ktoś nie wtajemniczony rzucił na nie okiem, mógłby przysiąc, że są to tylko ruiny, w których nie ma żywego ducha. W środku jednakże ludzi nie brakowało. Niektórzy warzyli strawę na poranny posiłek, dwóch chorych leżało pod ścianą, ktoś oddawał się medytacjom, Steffen – najstarszy z nich – siedział z boku i czytał księgę. Nie nęciła nikogo rozmowa. Co mieli sobie powiedzieć, powiedzieli już dawno i teraz każdy zastanawiał się tylko nad tym, co się stanie w przyszłości.

Poprzez małe okienko w górze spłynęło jaśniejsze światło: słońce widocznie rozdarło nareszcie chmury. Gamba, chłop zbudowany potężnie, podniósł się z ławy i jakby pod wpływem tego mocnego blasku nabrał od razu innego ducha.

– Dobrze będzie! – rozprostował ramiona aż trzasły w stawach. – Kto jak kto, ale Stortebeker żyje na pewno. Rękę ma pewną, oleju mu nie brak w głowie. Lada dzień zatem będą od niego wieści.

Steffen nawet nie uniósł oczu, za to kucharze, pragnąc rozproszyć nudę, podtrzymali rozmowę. Temat był ciekawy, a chociaż poruszano go

wielokrotnie, wciąż budził nadzieję, toteż inni także zaczęli zabierać głos. Coraz szybciej zaczęły padać słowa w najrozmaitszych językach, ale najczęściej w tej dziwnej, bałtyckiej gwarze, zrodzonej z wiekowego współżycia różnych narodów i pozwalającej się porozumieć swobodnie na każdym statku i w każdym porcie. Ta nieliczna gromadka stanowiła dokładny obraz całego Bractwa. Duńczyków było w nim mnóstwo, nie brakło Szwedów, Finów, Norwegów i Niemców, w olbrzymiej masie byli Słowianie. Do niedawna na jego czele stali przedstawiciele wybitnych niekiedy, rycerskich rodów, pragnących zyskać majątek i sławę. Przed czterema laty odsunęli się, a ich miejsce zajęli inni, którzy wyrosli z bojów. Szedł do nich chłop pokrzywdzony przez panów świeckich albo duchownych. Szedł nędzarz z podmiejskich wiosek, ginący z głodu. Szedł rycerz, którego podstępem lub siłą wyzuto z ziemi. Szedł nawet mnich lub mędrzec, który nie mogąc patrzeć na panujące wokół bezprawie, przyłączał się do tych „piratów” i wspierał ich sercem i głową.

Z takich więc ludzi składała się również załoga grodziszcza i mimo różnic językowych porozumiewała się świetnie. Rozmowa zresztą nie trwała długo. Niespodziewanie zadźwięczał dzwonek zawieszony u stropu i natychmiast zapadła głęboka cisza.

– Od lasu – Steffen oderwał wzrok od książki i nasłuchiwał uważnie. – Gamba, zobacz, kto idzie. Andersen i Wirko do łodzi.

Dopiero teraz można było dostrzec tę wielką siłę wewnętrzną, z której słyneło Bractwo. Słowa padły bez pośpiechu, wcale nie czuło się w nich podniecenia. Ludzie jednak odmienili się zupełnie i tak sprężysto wykonywali rozkazy, jak gdyby uderzał już na nich wróg.

– Smolarz – zawiadomił Gamba, wyglądający ukradkiem przez szparę w murze. – Chyba przynosi coś złego. Jak oszalały wymachuje rękami.

– Odpływać – Steffen podniósł się z miejsca. – Reszta oręż do ręki.

Nasłuchiwał dalej. Brzeg był blisko. Plusnęła o niego fala, nieznacznie uderzyły znów wiosła i raz jeszcze odezwał się plusk, lecz teraz obok. W otworze wejściowym ukazał się człowiek w poplamionej mocno smołą i dziegiem odzieży.

– Jacyś nieznani ludzie walą wprost na grodziszcze – oznajmił przejęty. –
Wszyscy na koniach i zbrojni!

– Mów krócej – osadził go Steffen chłodno. – Ilu ich jest?

– Ośmiu pachotków i dwie niewiasty. Zajechali w nocy do mnie, a rano
kazali prowadzić się tutaj. Znają hasła. Na wszelki wypadek umknąłem im w
gąszczy i przybyłem tu pierwszy. Ale i oni powinni być lada chwila. Wygląda
na to, że ktoś im wskazał kierunek.

Steffen zacisnął usta. Od morza przybywali nieraz ludzie nieznani, od lądu
nigdy. A i te niewiasty dały mu do myślenia. Nad to jezioro nie wolno było ich
sprowadzać nikomu i to prawo obowiązywało bezwzględnie.

– Wszyscy na brzeg – rzekł cicho. – Gamba z sześcioma ludźmi zajdzie
ich z tyłu. Ja z Wirką wyjdę naprzeciw, Andersen z chorymi strzeże grodzisz-
cza. Smolarz prowadzi.

Jak cienie zaginęli w leśnym półmroku ludzie zbrojni w angielskie łuki i
kusze, poszli za nimi inni z mieczami, włóczniami i tasakami. Steffen, utyka-
jąc lekko na lewą nogę, ruszył ostatni. Nie uszedł daleko. Usłyszał przed sobą
powolne człapanie koni i trzask gałęzi, przycisnął się więc za drzewem i patrzył.
Smugi światła starały się przecisnąć poprzez korony drzew i odbijając się wie-
lokrotnie od rozsypanych dokoła bukowych liści, wypełniały wszelkie luki
błękitnawym i rdzawoczerwonym blaskiem. Właśnie w jednej z tych luk ujrzał
wreszcie człowieka. Niewątpliwie pachotek. Sądząc ze stroju, nawet rycerski
pachotek... Stąpa śmiało i prowadzi konia za uzdę. A oto jakaś dziewczyna...
Dziwna dziewczyna, z mieczem u boku. Smolarz nic o tym nie wspomniał.
Także prowadzi konia. Na łęku siedzi stara niewiasta...

– Dokąd to Bóg prowadzi? – Steffen wysunął się naprzód.

Kruza przystanął i popatrzył na niego bystro.

– Do Żrenicy Swantewita – rzekł obojętnie.

– Skąd przybywacie?

– Z Arkony.

Przenikliwe dotychczas spojrzenie Steffena nabrało ciepłego blasku.

– Dobrze znasz hasła – rzekł w zamyśleniu. – Kto was przysłał?

– Brat Erlandsen z Rany.

– Erlandsen przebywał przecież na Gotlandii! – Steffen aż się cofnął z nagłego zdumienia. – Nie będziesz chyba twierdził, że tam go widziałeś?

– Tam go widziałem, na polu bitwy. I ocaliłem mu życie. Dlatego właśnie wskazał mi tutaj drogę.

– Walczyłeś po naszej stronie?...

– Nie, po krzyżackiej.

– A ci ludzie? – Steffen wskazał innych, którzy stali za plecami Kruży. – Również tam byli?

– Nie wszyscy.

– I też walczyli w krzyżackich wojskach?

– Tak.

Steffen wbił oczy w ziemię. Właściwie wszystko było w porządku, szczerść niezwykła. Ta jednak szczerść wzbudziła w nim mimowolny niepokój. Erlandsen cieszył się w Bractwie wielką ufnością. Ale przecież Krzyżacy znali doskonale sposoby, mogące wydobyć zeznania nawet z najtwardszego człowieka, i może teraz, przysyłając tak dziwną drużynę, szykowali już jakiś podstęp...

– Wytłumacz mi jeszcze jedno – odezwał się w zamyśleniu. – Z tej bitwy podobno nikt żywy nie wyszedł. W jaki więc sposób mogłeś uratować mu życie?

– Był ciężko ranny i natknąłem się na niego, szukając swoich. Zagadnął do mnie w naszej ojczystej mowie, więc zrobiło mi się go żal. Zerwałem z niego zakrwawione szmaty, zająłem się nim serdecznie, postarałem się, aby umieszczono go na tym samym okręcie. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo w czasie podróży powrotnej, przeprowadziliśmy niemało rozmów. I wtedy właśnie podałem mi hasło.

– A obecnie gdzie przebywa?

– Wysadziliśmy go w Kołobrzegu. Wraz z innymi rannymi z Pomorza miał być umieszczony w którymś z klasztorów do wyleczenia.

– Nic mu nie grozi?

– Chyba nie. Podałem go za pachołka jednego z rycerzy, który poległ razem ze swymi ludźmi, i tak się odtąd przedstawiał. Powinien się uratować. Nikt go tam przecież nie zna.

Kruża uśmiechnął się przyjaźnie. Steffen zrobił to samo.

– No cóż, chodźcie – rzekł. – Inne sprawy wyjaśnicie nam później. A

tymczasem powiedz: czego tutaj szukacie?

- Opieki.
- Ściga was jakieś nieszczęście?...
- Puściliśmy z dymem kodrąbskie dworzyszczce. Poza tym...

Steffen ruszył powoli i słuchał. Co mu opowiadano przedtem, mogło być prawdą lub nie. Teraz jednak Kruża mówił o sprawach niezmiernie bliskich, łatwych do sprawdzenia, jakby wypisanych na jego twarzy. Wyrażał się przy tym zwięźle, starannie unikał mocniejszych słów. Ale może właśnie dlatego budził od razu wiarę i wywoływał coraz większe zdumienie.

Stanęli nad brzegiem jeziora. Steffen podszedł do Krysty.

– Wsiadaj z babką do łodzi – rzekł ciepło. – My tu musimy jeszcze trochę pozostać. Trzeba się naradzić, co zrobić z końmi, bo wilków dokoła mnóstwo.

Krysta patrzyła przed siebie. Przedtem, poza Steffenem, nie widziała nikogo z obcych. Teraz zaczęli się wysuwać zza drzew ludzie zbrojni, czujni na wszystko, gotowi w każdej chwili do uderzenia.

– Na nas tak się czają? – zapytała nieufnie.

– Na was. Kto z obcych dotrze do tego miejsca, choćby przypadkiem, nie może stąd odejść żywy. Takie jest nasze żelazne prawo. Wam, oczywiście, nic nie grozi. Hasła znacie, odejść nie macie zamiaru. A ten miecz – zmienił pośpiesznie temat widząc, że z jej twarzy nie znika niepokój – zabrałaś Reetzo-wi?

– Odebrałam mu tylko – odrzekła szorstko. – Nie jego własność. To miecz rodowy pomorskich Kagenów!

Wsadziła babkę do łodzi, wrzuciła tobołki i sama się tam wreszcie znalazła. Plusnęły wiosła Steffen spoglądał na nią w coraz większej zadumie.

II

Minęło południe. Słońce odniosło w końcu zwycięstwo i rozproszyło zupełnie chmury, a teraz przez liczne otwory wlewało obficie światło do wnętrza grodziszczca, ukazując twarze zasłuchane, pełne napięcia, ani na chwilę nie odrywające oczu od Kruży. On zaś tak wyraziście malował obrazy zacieklých walk na Gotlandii, że urzekł nie tylko gospodarzy, ale i tych, którzy na nie patrzyli.

Siedzieli wszyscy przy suto zastawionym, olbrzymim stole. Wargin, słuchając również uważnie, przesuwiał równocześnie wzrok po misach cynowych, srebrnych pucharach, ozdobnych nożach i całym tym wielkim bogactwie, którego nikt by tu nie podejrzewał, spoglądając z lasu na zapadniętą ze starości, rozpadającą się na pozór budowlę. Zdziwił go także Kruża. Znał go od dziecka, widział na wojnie, śmiał się nieraz z jego dowcipów, cenił obrotność, zawsze do niego miał zaufanie. Nie przyszło mu jednak nigdy do głowy, że ma tak wielki dar krasomówczy i potrafi tak bystro patrzeć. Co podawał, podawał wiernie, a przy tym tak żywo, jakby jeszcze brał udział w bitwie.

– Z tego wynika – przerwał mu Steffen – że nie wszyscy z naszych polegli i bynajmniej nie zniszczono całej potęgi. Rozsiewane więc przez Krzyżaków wieści są bałamutne?

– Częściowo – wtrącił Wargin z namysłem. – Kto znajdował się w twierdzy, ocalał chyba cudem, bo jeńców nie brano. Ale Stortebeker ocalał na pewno. Słyszałem na własne uszy, jak rycerze zakonnicy klęli na widok oddalających się jego okrętów.

– Zatem pół biedy. Wrócił pewnie tymczasem na swe leża nad Morzem Północnym, a że żyje, więc i my nie zginiemy. Pozostały nam zresztą jeszcze zamki w Finlandii. Gdy...

– Chyba i one stracą wkrótce znaczenie – Wargin pokręcił niepewnie głową. – Podobno królowa Małgorzata już szykuje na nie wyprawę.

Rzadko zabierał dotychczas głos i tylko wówczas, gdy trzeba było podkreślić jakieś ważne szczegóły. Steffen w tym jego skupieniu i starannym dobieraniu słów dostrzegł chyba coś ciekawego, bo przez pewien czas przyglądał mu się z wielką uwagą.

– Też cenna wiadomość – przemówił powoli. – Nie jest źle, bo Stortebeker żyje, ale nie jest też dobrze i chwilowo musimy liczyć tylko na własne siły. No cóż – uśmiechnął się, jakby chciał innym dodać otuchy – bywało niekiedy gorzej. Jest nas zresztą teraz więcej niż było rano, toteż z tego można się tylko cieszyć. Przybyliście tu, bo potrzebujecie opieki. Nie ukrywam, że i nam jesteście potrzebni. Aby tu jednak pozostać na stałe, musicie stać się najpierw członkami Bractwa.

Przesunął wzrok z Wargina na Krużę, po kolei przyjrzał się wszystkim.

– Takie są nasze prawa i obowiązki – skupił się bardziej. – Połowa każdej zdobyczy idzie na uzbrojenie, wyposażenie okrętów i inne ważne cele według uznania dowództwa. Drugą połowę dzielimy w równych częściach między mieszkańców grodziszcza bez względu na to, czy brali udział w wyprawie, czy nie. Ten, kto by zdradził, zginie. Zginie także ten, kto by nie oddał łupu, stchórzył w bitwie lub nie wypełnił swego zadania.

Zrobił przerwę, na twarzy osiadała coraz głębsza powaga.

– Nazywają nas piratami – przemawiał dalej. – Niesłusznie. Jesteśmy chyba najuczciwszym z bractw, bo prawo obowiązuje u nas jednakowo wszystkim, a przy tym nie ma między nami bogatych ani biednych, wielkich czy małych, rycerzy czy chłopów. Liczy się tylko uczciwość i dzielność i według tego oceniamy zasługi. Z tego, co zrobiliście dotychczas, wynika, że dzielności wam nie brakuje, również wyczuwam prawość. Nie widzę więc przeszkód, abyście złożyli zaraz przysięgę. Jeśli...

Urwał nagle. Gamba, siedzący dotąd spokojnie, zerwał się z miejsca, przekroczył ławę i stanąwszy pośrodku izby, ujął się hardo pod boki.

– Nie pozwalam! – wykrzyknął. – O przyjęciu nowych postanawia cała załoga, a nie tylko dowódca. Takie jest nasze prawo! A ty kogo pytałeś o zgodę?

– Nie strzępiłbyś niepotrzebnie języka – Steffen osadził go chłodno. – Według naszych przykazań to grodziszcze jest okrętem, wiesz dobrze. W tej chwili okrętem w niebezpieczeństwie, odcięty od innych. A w takich wypadkach prawem najwyższym jest tylko woła dowódcy.

Gambą stracił swą zadzierzystość.

– Prawda – mruknął markotnie. – O tym nie pomyślałem...

– Więc pomyśl. Jeśli jednak zacząłeś już mówić, mów dalej. Czy tylko dlatego nie chciałeś zezwolić na złożenie przysięgi?

– Nie tylko... Do tych, którzy nie byli na Gotlandii, nie mam zastrzeżeń. Do innym mam. Mordowali naszych, byli w krzyżackiej służbie. Dla takich nie może być tutaj miejsca!

– Pan kazał im jechać, więc pojechali – Steffen machnął ręką. – Pana należy za to ukarać. Nie służyć.

Gamba objął go rozwścieczonym spojrzeniem. Wytrąciły go z równowagi te argumenty.

– Też prawda – przyznał jednak uczciwie. – Rycerz każe, sługa musi. Takie jest przecież prawo... Mam! – wyprostował się znowu w całej okazałości. – Przekonałeś mnie co do tamtych, niech pozostaną. Ale nawet nie próbuj dowodzić, że mogą tutaj pozostać baby, bo nic z tego nie wyjdzie. Na żadnym pokładzie, a zwłaszcza w tym grodziszczu, nie może się znajdować niewiasta. Takie jest nasze tutejsze, najświętsze prawo!

Wargin zacisnął usta. Gamba go nie przeraził, zmroziła za to śmiertelna cisha, jaka zapadła po tym oświadczeniu. Przed chwilą niektórzy z miejscowych już zaczęli podrwiwać z jego zaciętrzewienia. Teraz urwało się wszystko jak nożem uciął.

– Mądre to prawo – Gamba widząc, że odniósł wreszcie zwycięstwo, nabrał ogromnej mocy. – Baba na okręcie, wiadomo: śmierć dla całej załogi. Zwłaszcza ta młoda. Dziś ten będzie ją chciał, jutro tamten, aż wreszcie wszyscy wezmą się za łby i wybiją do nogi. Toteż krzyczę tu wielkim głosem: nie pozwałam na takie bezprawie!

Steffen objął go pełnym troski spojrzeniem.

– Prawo za tobą – rzekł cicho. – A wypuścić jej nie możemy. Nie można też nigdzie odesłać, bo nie dochodzą nasze okręty... Co radzisz?

– Ciąć!

– Wykonasz wyrok?...

– Daj tylko rozkaz! Ciąć?

Gamba sięgnął do miecza, lecz nie zdążył go jeszcze wydobyć, gdy wzburzony Wargin chwycił za topór i stanął przed nim.

– Nie radzę podnosić ręki – rzekł chłodno. – Czy ty Boga nie masz w sercu? Dziewczyna ledwie uszła z życiem, a teraz ty chcesz zabawiać się w kata? Przecież gdyby nie ona, nikogo z nas by tutaj nie było!

– Słyszycie? – Gamba rozejrzał się zwycięsko po izbie. – Dla niej tylko przybyli! A nie mówiłem? Może już jutro zacznie się o nią wojna, bo jeśli nawet jednemu w tej chwili na niej zależy, to zaraz się znajdzie drugi i trzeci. Nie wolno do tego dopuścić w Żrenicy Swantewita, którą nam oddano pod szczególną opiekę!

Rozogniony wzrok przesunął na poszarzałego Steffena.

– Ciąć?

Chciał się odsunąć, aby wydobyć miecz, lecz Wargin naparł na niego mocniej.

– Co cię opętało? – przemówił z wyrzutem. – Gdybyś nie ty, nikt by nie poruszył tej sprawy. O co idzie właściwie?

– Takie jest prawo, a ja tu jestem po to, aby go dopilnować. Precz z drogi, pacholku!

Wargin zaparł się mocniej.

– Jeśli chcesz dojść do niej, musisz przejść najpierw po moim trupie – rzekł zimno. – Wzywam Boga na świadka, że pragniesz popełnić zbrodnię.

Gamba, rozindyczony strasznie, popadł naraz w zakłopotanie.

– Boga wzywasz... – mruknął. – Hm, my nie uznajemy żadnej władzy nad sobą, lecz Boga trzeba się bać. To najważniejsze z naszych praw... A ty twierdzisz, że słuszość nie jest po mojej stronie? I wzywasz mnie na sąd boży?...

– Na sąd boży!

Gamba stał się cichy i uroczysty. Od takiego wyzwania nikt się nie mógł uchylić i nikt mu nie mógł przeszkodzić. Steffen rzucił niespokojne spojrzenie na Krystę. Wstała nieznacznie z ławy, odsunęła się pod ścianę, oparła obojętnie ręce na mieczu. Zdziwił się. Jakiś wielki spokój spływał z jej całej postaci, a chyba i jemu się także udzielił, zezwolił bowiem na walkę.

– Wyzwałeś mnie, więc mam prawo wyboru oręża – Gamba zaczął zastanawiać się głośno, gdy zrobiono dla nich miejsce pośrodku izby. – Najchętniej wybrałbym miecz, bom rycerz z dziada pradziada i nim władam najlepiej. Ale że ty, jako pachotek, nie możesz mieć o nim pojęcia, więc nie wypada. Byłbyś bez możliwości obrony i za to mógłby mnie Pan Bóg ukarać. A więc na topory lub...

– Na miecze – Wargin przerwał szorstko te rozważania. – Jeśli nawet jesteś ode mnie lepszy, Bóg ze mną. I on wskaże zwycięzcę.

Gamba stawał się coraz chmurniejszy. Nic już nie mówiąc, zdjął ze ściany drugi miecz, wyciągnął swój, podsunął Warginowi oba, pozwolił wybrać. Ale gdy tylko stanął w przepisowej postawie, odzyskał natychmiast pewność siebie i na twarzy pojawił się drwiący uśmiezek.

– Przeżegnaj się chociaż – rzekł raźnie. – Pokażę ci zaraz, pachołku, co znaczy rycerski miecz!

– Nie obrażaj go – wtrącił karcąco Steffen.

– Nie złożył jeszcze przysięgi, więc nie jest mi równy i mogę obrażać. I tak wyświadczyłem niemałą łaskę, stając do walki z byle pachołkiem. Dargasz Gamba przecież jestem!

Zadarł hardo głowę i wyglądał w tej chwili chyba tak samo groźnie, jak jego sławni słowiańscy przodkowie na ziemi Obodrytów, którzy z taką samą łatwością ścinałi głowy germańskich najeźdźców, jak i głowy książęce. Przybił potężnie nogą, zaświstał miecz. Ale i Wargin skoczył, ruchy stawały się coraz szybsze. Jak złote iskry odskakiwały od stali słoneczne blaski i wreszcie tak pomieszały się z nieustannym miganiem ciał, przenikliwym dźwięczeniem, dyszeniem piersi, głuchym dudnieniem ziemi, jakby to nie byli zbrojni mężowie prowadzący śmiertelny bój, lecz jeden stwór wijący się w jakiejś straszliwej męce i jękiem posępnym wypełniający całe grodziszczce.

Ludzie patrzyli. W oczach Wolinian początkowo widniał głęboki niepokój, w oczach gospodarzy coś w rodzaju żalości. Stopniowo jednak zanikały te trwożne uczucia, ich miejsce zajmowało coraz większe zdumienie. Pod tą nawałą ciosów Wargin powinien już dawno paść, a jednak bronił się ciągle. A i Gambę musiało to zastanowić, bo niespodziewanie odskoczył w tył i skrzyżował przed sobą miecz na znak, że pragnie rozmowy.

– Wręcz nie do wiary – rzekł dysząc ciężko. – Rzeczywiście boska ręka musi cię chronić, bo inaczej tego wytłumaczyć nie można. Walczysz jak rycerz, chociaż jesteś pachołkiem. Kto cię tego nauczył?

– Pan na Kołczewie. Aby nie wyjść przypadkiem z wprawy i zaskoczyć przeciwnika jakimś nowym pomysłem, wprawia się ciągle, ale do tego potrzebny jest przecież drugi. Więc ścinał się ze mną.

– Pasy drzeć z takiego! – Gamba tupnął z wściekłości. – Gdyby tak wszyscy uczyli pachołków, rycerze znikliby dawno z powierzchni ziemi. Muszę kiedyś do niego wstąpić!

Zasapał, strząsał z siebie powoli złość.

– No, tamto było tylko zabawą – machnął naraz niedbale ręką. – Dotychczas biliśmy się po rycersku, to znaczy jak cepem, z góry. Im to potrzebne, wiadomo: trzeba roztrzaskać zbroję. Ale że nas nie chronią nawet kolczugi,

zaczniemy się teraz bić po korsarsku. Stawaj!

Przysiadł, skoczył lekko, krótkimi cięciami próbował stosować zwód. Nic z tego nie wyszło. Znowu skrzyżował miecz.

– I w ten sposób nie mogę cię sięgnąć – westchnął. – Boska w tym ręka... Chyba nie powiesz, że i tego nauczyłeś cię pan na Kołczewie?

– Od was się nauczyłem – Wargin uśmiechnął się. – Patrzyłem bacznie na Gotlandii, jak wasi wymiatali krzyżackich rycerzy, i coś niecoś z tego zostało.

– Hm, mądry z ciebie chłop... No, jeszcze raz popróbuje!

Śmignął jak iskra, zwinął się w locie, przysiadł nagle i zniecka wywinął mieczem. Przeszył tylko powietrze.

– Gdybyś nie wyzwiał mnie na sąd boży, powiedziałbym, że masz diabła za skórą – warknął. – A tego kto cię nauczył?

– Rycerze francuscy. Ścisłej mówiąc, nauczyli mojego pana, a on z kolei mnie, bo przecież musiał się wprawić. Niezły to sposób.

– Ale nie na ciebie – Gamba rozejrzał się rozpaczliwie. – Już nie wiem, jak należy go rąbnąć... A może ty masz jakieś niezawodne cięcie? – wyprostował się naraz dumnie. – Jeśli Bóg jest jednak po twojej stronie, jestem gotów na śmierć. Uderzaj!

– Ano, spróbujmy...

Wargin czaił się długo, okrążał, raz i drugi odepchnął walący się na niego miecz, a gdy znów na niego popędził, zwinął się pod nim jak wąż, przechylił nieznacznie, wprowadził w błąd i nagłym pchnięciem dosięgnął szyi. Już się wydało, że wkroczyła do izby śmierć, wszyscy wstrzymali oddech. Ale Gamba odskoczył jak iskra i stałą wywinąwszy gwałtownie młyńca, powstrzymał atak.

– Wspaniały cios! – przemówił w zachwycie. – Na drugi raz jednak nie dam się tak podejść zniecka... – odetchnął ciężko. – Co za podstępny cios!... Nie nasz, to pewne, bo nasze znam wszystkie. I nie rycerski, te także znam. Skąd go więc wzięłeś?

– Od pewnego miłego mnicha pod Visby. Podpił sobie kiedyś nieźle u mojego pana w namiocie, a że wystarałem mu się dodatkowo o garniec dobrego polskiego miodu, tak był wdzięczny, że zaraz zabrał się do nauki. Abym umiał bronić wejścia, dopóki nie wysączą gąsiorka.

Gamba roześmiał się od ucha do ucha, hucznie przywodziła mu całą

izba. To mu przypomniało rzecz najważniejszą. Zmarszczył brwi, popatrzył bacznie na twarze i naraz popadł w zakłopotanie.

– Sam nie wiem, co robić dalej – wbił oczy w ziemię. – Jeśli do tej pory nikt z nas nie padł, to coś za tym się kryje. Można bić się dalej, prawda... Gdy się umęczymy, musi w końcu polać się krew, lecz wtedy może się okazać, że biliśmy się niepotrzebnie, bo nie mogąc się wprawdzie ruszyć, obaj pozostaniemy przy życiu. Czy więc przypadkiem nie jest w tym palec boży, wskazujący wyraźnie, że należy zaprzestać walki?...

– Na pewno palec boży – przytaknął Steffen gorąco. – Każdy z was wyczerpał wszystkie swoje sposoby i nic z tego nie wyszło, toteż bijąc się dalej mogliście obrazić Boga. Trzeba zakończyć.

– Ale co z dziewczyną?... Na okręcie nie może zostać!

– Nie wtrącaj się w boskie wyroki. Żadna niewiasta nie może przebywać, bo takie jest nasze prawo. Ale ta przed nami, ta Krysta, jest widocznie tutaj potrzebna i musi pozostać, bo sąd boży mówi o tym wyraźnie. Temu chyba nie spróbujesz zaprzeczyć?

Gamba przez dłuższy czas bił się z jakimiś myślami.

– Nie mogę – odrzekł. – Gdyby było inaczej, zginąłby dawno... Aha! – nabrał znowu prężności. – Krysta zostaje, bo Bóg tak rozsądził, żadnych jednak miłostek. Z nikim. Od tego warunku już nie odstąpię!

Wargin objął Krystę spłoszonym nagle spojrzeniem. Wydała mu się w tej chwili jakaś zupełnie inna. Patrzyła obojętnie na przeciwległą ścianę, jakby nie obchodziło ją nic. A i Steffen trochę był tym zaskoczony. Przyjrzał się jej uważnie, potem oparł głowę na rękach i zastanawiał się nad czymś długo.

– Słuszne to żądanie – odezwał się wreszcie. – Gdyby jednak ktoś chciał się kiedyś ożenić – coraz ostrożniej dobierał słowa – nie będzie przeszkód. Zdarzały się u nas takie wypadki, ale wtedy odsyłamy tych ludzi gdzieś daleko w bezpieczne strony. Na okręcie nie mogą wchodzić w rachubę żadne uboczne uczucia, bo wtedy o nieszczęście nietrudno. Co do tego Gamba ma słuszość.

Znowu zapatrzył się w Krystę. Na jego twarzy osiadała coraz głębsza zaduma.

– Zostaniesz więc z nami – zwrócił się teraz wprost do niej. – Zmęczy

cię pobyt w tej głuszy, pomożemy stąd się wydostać i ułatwimy ci życie gdzie indziej. Jestem przekonany, że jak my tobie, tak i ty nie wyrządzisz nam krzywdy. Poszukaj więc w głębi jakiegoś wygodnego kąta dla siebie i babki, a mężczyźni niech przysuną się do mnie.

Stała z boku, lecz nie odeszła. Przed Steffenem zrobiło się tłoczno.

– Święte to będą słowa, które usłyszycie za chwilę – przemówił w zupełnej ciszy – po ich wypowiedzeniu bowiem staniecie się członkami wielkiego Bractwa. Powtarzajcie je więc z należytą powagą, bo wasze nieszczęścia będą odtąd naszymi, jak naszymi będą odnoszone wspólnie zwycięstwa.

Wyprostował się uroczyście, oczy nabrały blasku.

– „Wobec Boga wszechmogącego – zaczęły padać powoli słowa – przysięgam, że zawsze dotrzymam wierności Bractwu Żywienia, że będę je wspierał ofiarnie czynem i krwią własną w walce przeciwko przemocy i wyzyskowi, że będę karał bezlitośnie tych, którzy zagarnęli siłą władzę i słabszych od siebie zamieniają w niewolników. W tym dziele sprawiedliwym nie powstrzyma mnie przed wykonaniem wyroku ani suknia duchowna, ani królewska korona, jako że wobec Boga wszyscy są sobie równi i jednakowo odpowiadają za grzechy.”

Krysta słuchała w coraz większym napięciu.

– „Przysięgam wobec Boga wszechmogącego – głos Steffena nabierał mocy – że zawsze będę stawał mężnie w obronie pokrzywdzonych, że łupy zdobyte na bogatych będę dzielił miłosiernie między ubogich, że ludziom nieszczęśliwym będę w miarę swych możliwości ułatwiał życie...”

Na spokojną, ale zmęczoną twarz Krysty zaczęły wypływać rumieńce.

– „Przysięgam wobec Boga wszechmogącego – coraz dobitniej padały słowa – że wszystkich członków Bractwa będę uważał odtąd za swoich braci, że będę wspierał ich w każdej potrzebie, że choćbym miał sam przy tym ucierpieć, żadnego z nich nigdy nie pozostawię na pastwę wroga. A gdyby mnie kiedyś znęciła pycha lub gdybym uczynił słabszemu krzywdę, gdybym zdradził Bractwo lub jego przykazania, niech zginę marnie, a imię moje niech będzie przeklęte na wieki!”

Skończyła się przysięga, a mimo to nikt się nie ruszał, jak gdyby z tych słów spłynął jakiś ogromny czar i sięgnąwszy w głąb duszy, oderwał zupełnie od świata zarówno tych świeżo przyjętych, jak i dawnych mieszkańców grodziszcza. Jedni zapatrzili się w przeszłość, ze swych dotychczasowych czynów sami przed sobą składali rachunek. Drudzy zadumali się nad przyszłością. Gdy wędrowali do tego zakątka, celem ich była tylko ucieczka. Gdy siedzieli niedawno przy stole, jeszcze nie przyszło im na myśl, że ta siedziba może być czymś więcej aniżeli kryjówką piratów – sławnych wprawdzie i męźnych, umięjących nawet koronowanym głowom stawiać swoje warunki, ale przecież tylko piratów łupiących statki i miasta. Niejeden początkowo bardzo niepewnie otwierał usta, drgnął trwożnie na imię Boga. Teraz ukazał się przed nim jakby inny zupełnie świat. Wyczuwał go dawniej, wzdychał do niego niejednokrotnie, na widok swawoli możliwych nieraz ogarniał go bunt, lecz wówczas mógł zaciskać jedynie pięści. Dziś zrywał narzucone mu pęta, ma nawet obowiązek podnieść rękę na tych, którzy dotychczas wydawali się niedostępni. I przysiągł...

– Przysięgliście – Steffen przerwał głucho milczenie. – Odtąd więc razem dzielimy trudy i witam was po raz wtóry. Już jako braci.

Wziął w ramiona najbliższego, serdecznie uściśnął Krużę, podszedł do innych, a za jego przykładem ruszyła reszta. Pogłębiało się z chwili na chwilę wzruszenie, lecz wkrótce przemówił beztrzesko Gamba, wsparł go natychmiast Kruża i jak przedtem powaga, tak obecnie radość zaczęła rozpierać serca.

– I ciebie warto by było zaprzysiąc! – rozweselony Gamba podszedł do Krysty. – Mielibyśmy rycerza, jakim nikt więcej nie mógłby się poszczycić. Ale cóż – westchnął z przesadą – niewiast nie przyjmujemy do swojego zakonu. Takie, niestety, jest prawo...

Kończył mniej hucznie niż zaczął, bo nie dostrzegł ani cienia uśmiechu, a jej oczy wpatrywały się w niego w takim skupieniu, że się poczuł nieswojo.

– Co tak wybałuszasz ślepiec? – rubasznym tonem starał się pokryć zakłopotanie. – Nie przejmuj się; nie jestem taki zły, na jakiego wyglądam. Krzyżąłem przedtem, bom musiał. Trzeba baczenie pilnować prawa. Ale że zostałeś tu zgodnie z wolą bożą, więc odtąd będę cię bronił. Przed każdym. Ja: Dargasz Gamba! Ujął się pod boki, hardo przechylił głowę.

Milczała nadal.

– Niemowa z ciebie czy co? – ubodło go to do żywego. – Ja do ciebie z sercem, a ty nie masz dla mnie dobrego słowa. Czyżbyś czuła jeszcze żal, że chciałem ci uciąć głowę?

– Nie.

Krysta poruszyła się wreszcie. Podeszła bliżej, jakby od niechcienia położyła rękę na jego mieczu.

– Twój własny?... – powoli wyciągała go z pochwy.

– Mój!

– Bardzo ładny. Chyba jednak nie rodowy?

– Rodowy ma mój starszy brat, który pozostał na ojcowiznie. Ten jest zdobyczny.

– Hartowny miecz. – Krysta przyglądała mu się ze znawstwem. – Przy twojej sile chyba nawet przyłbice może roztrzaskać?

– Wspaniały miecz! – Gamba zachwycił się jej pochwałami i rozmownością. – Trzeba mnie widzieć w bitwie! Głowy się sypią jak jabłka, pękają blachy. Przed nim nie ma zasłony!

– Chyba nie ma...

Ujęła miecz za oba końce, popatrzyła na niego pod światło i nagle przykleła, trzasnęła w kolano. Miecz rozpadł się z hukiem na dwoje.

– Nie dla przechwałki to zrobiłam – rzekła rzucając mu szczątki pod nogi. – Ale abyś wiedział, że w razie potrzeby sama się potrafię obronić. I że te moje ręce mogą się też kiedyś przydać. Choćby po to, aby obronić Gambę.

W głuchoj ciszy skierowała się do babki siedzącej w kącie, aby zabrać ją i poszukać dla siebie jakiegoś wygodnego miejsca w tym rumowisku, gdy niespodziewanie zadzwieczał dzwonek.

– Goniec od Świętouscia – Steffen odczytał sygnał. – Gamba i Kruza do wiosła.

W wejściu wkrótce ukazał się człowiek obcy. Mieszkańcy grodziszcza musieli znać go jednak dobrze, w nikim bowiem nie wzbudził zdziwienia.

– Od rana gromadzą się rycerze w Kołczewie – padł zwięzły meldunek.

– Poruszenie na wyspie wielkie. W Kodrąbiu zabito w nocy...

Goniec dostrzegł w tej chwili Krystę, a chyba poznał i innych. Na jego twarzy pojawiło się nagle zakłopotanie.

– Mów dalej – przynaglił go Steffen. – Co zdarzyło się w nocy, już wiemy. A co zamierzają zrobić rycerze?

– Jutro urządzają wielką obławę. Z udziałem chłopstwa.

– Ktoś im przybędzie na pomoc?

– O tym jeszcze nic nie wiem.

Steffen oderwał od niego wzrok.

– Należało się tego spodziewać – przemówił do wszystkich. – Wielka obława, więc może być groźnie. Trzeba zatem...

Nie zdążył dokończyć myśli. Znowu odezwał się dzwonek, lecz tym razem na innym miejscu.

– Okręt wojenny – rzekł niespokojnie. – Szykujcie broń!

III

W Kołczewie rzeczywiście panował ogromny ruch. Rycerz, zerwawszy się w nocy i nie znajdując żadnego z pachółków, wpadł w straszny gniew, a gdy zobaczył łunę nad Kodrąbiem, powiązał jedno z drugim i wtedy ogarnął go strach. Jego ludzie na pewno maczali w tym palce!... Ruszył natychmiast w drogę, dopadł do ognia, wraz z innymi rycerzami prowadził do rana śledztwo. A gdy podsumowano je wreszcie, aż go za tchnęło z wielkiego wzburzenia. Reetza i jego pachółków zniszczyli Krysta i Kruża. Ale jego ludzie przyłączyli się później do nich i widziano ich tu już w czasie pożaru, toteż tak samo są winni zbrodni...

Rycerz rwał więc włosy z rozpacz, klął ordynarnie, zalał się nawet łzami, bo biskup kamiński może i jego posądzić o spółkę, lecz niespodziewanie jeden z Kagenów coś mu szepnął do ucha i z miejsca ukoił jego wzburzenie. Nie pokazał wprawdzie tego po sobie i klął nadal, lecz tylko po to, aby wszyscy byli świadkami jego gniewu i niewinności. Pchnął zaraz gońców do Kamienia, Wolina i Przytoru, aby zbiegom zamknięto drogi, rycerzy zaś zaprosił do siebie i przy suto zastawionym stole rozpoczął walną naradę.

Gdy goście rozjechali się w końcu, było już późno. Niewiele myśląc, runął na łożo jak stał, umęczył się bowiem setnie, a zresztą trzeba było wstać wcześniej i za tymi obwiesiami wyruszyć w pogoń. Pomamrotał więc jeszcze trochę, bo i trunki uderzyły mu nieco do głowy, i zasnął kamiennym snem. Naraz wydało mu się, że ktoś wchodzi do izby. Zaciśnął powieki, otworzył: na kominię stało zapalone łuczywo. Znowu porwał go straszny gniew, jako że ktoś bez jego woli ośmielił się zakłócać mu nocny spoczynek, i już miał krzyknąć wielkim głosem na służbę, lecz zamiast tego skoczył nagle jak oparzony i porwał za miecz. W głębi izby, przy drzwiach, ujrzał rozweselonego Wargina.

– Nieźle sobie dzisiaj podchmieliliście – pacholek wcale się nie przeraził.
– Oczy wysadzone na wierzch, zmierzwiona czupryna...

– Milcz, ścierwo przekłete! Na kolana przede mną i błagaj o łaskę, abym nie użył natychmiast miecza!

Wargin stracił swą dobroduszość.

– Nie strzępcie języka – rzekł ostro. – Wy macie miecz, ja go mam także. Chyba widzicie? Przyszedłem nie po łaskę, ale aby wam dać dobrą radę.

– Rady chcesz mi dawać, nędzniku? – rycerz zapienił się. – Pacholekowie – ryknął na cały głos – do mnie!

Wargin uśmiechnął się. Rycerz w zaciętrzewieniu zapomniał, że przecież był dzisiaj właściwie sam na dworzyszczu, ale spostrzegł się zaraz, że palnął głupstwo, wzburzył się bardziej, uderzył. Wargin zasłonił się błyskawicznie, powstrzymał pęd, sam poszedł naprzód. Rozgrzewała go szybko walka, lecz baczył pilnie, aby przeciwnikowi nie zrobić krzywdy: Dawniej nadmierne ujawnianie własnych umiejętności mogło ściągnąć na niego burzę. Dzisiaj nie bał się tego, pamiętał jednak, że ma tu spełnić ważne zadanie. Steffen okazał mu wielką ufność zgadzając się na tę wyprawę. Nie należało zabijać, nie należało ranić. Męczył więc tylko, straszył, zagrażał często, ale zawsze w ostatniej chwili uginał rękę i powstrzymywał jedynie furię. Wreszcie doszedł do wniosku, że można skończyć. Raz i drugi zaskoczył z boku, znienacka uderzył głowicą w ramię, rąbnął natychmiast z góry. Miecz poleciał pod ścianę.

– Starczy na dziś – Wargin podniósł go z ziemi i stanął znów przy drzwiach. – Widzę na stole dzban. Pewnie pełny jak zwykle, zwilźcie więc

trochę gardło. Spracowaliście się przecież nieźle.

Przemawiał jak dawniej: wesoło, życzliwie, nawet dość poufale, bo w takich wypadkach rycerz nie przywiązywał do tego wagi. Teraz zresztą też przyjął to obojętnie. Przechylił posłusznie dzban, pociągnął mocno, rozprostował zmęczone kości.

– Od razu raźniej – orzekł zadowolony. – Ależ ty potrafisz się zwijać!... – z wielkim uznaniem pokręcił głową. – Kto cię tego nauczył?

– Wy, rycerzu.

– Prawda, ja... Głupi byłem kształcąc pachołka w rycerskiej sztuce i za to Pan Bóg mnie karze. Na co czekasz jeszcze? Przebij natychmiast, bo dość najadłem się wstydu przez ciebie. Obwieś przeklęty! Nie dość, że pomógł w straszliwej zbrodni, zbuntował innych, ukradł mi konie, ale jeszcze wyłuskał miecz i okrył hańbą przed całym światem. Obyś szczęśliwy!

Pan na Kołczewie usiadł na łożu i objął rękami skronie.

– Takie nieszczęście ściągnąć na moją głowę! – rozżalił się strasznie. – I za co to wszystko? Za dobre serce! Przygarnąłem od dziecka, nie żałowałem żarcia ani na przyodziewek, ćwiczyłem dobrze, zrobiłem z niego pachołka, że drugiego takiego ze świecą szukać. A ten tak się odwdzięczył!

– Nie tylko tak. Na Gotlandii dwa razy ocaliłem wam życie.

– Raz!

– Dwa razy. Nie pamiętacie tego wypadku na murach, gdy już wam szych przykładano do gardła?

Rycerz popatrzył na niego spode łba.

– Dobrą masz pamięć – mruknął. – Niech będzie dwa razy. Czy myślisz, hultaju, że to może wyrównać krzywdy?

– Powinno. Ale żeby wszelki żal usunąć z waszego serca, postanowiłem podwyższyć rachunek i po raz trzeci ocalić wam życie.

– Przebij natychmiast, Kainie! Lepsza mi śmierć niż łaska z ręki własnego pachołka!

– Nie o to idzie. Człek z was trochę popędliwy, ale w gruncie porządny. Nie miałbym serca...

– Serca byś nie miał, nędzniku... Ale trzy konie ukradłeś. Z siodłami!

– Tylko wypożyczyłem. Przyjdzie czas, otrzymacie z powrotem, a może jeszcze z nawiązką. Tymczasem jednak mam inną sprawę. Rano urządzacie obławę...

– Urządzamy! – rycerz odzyskał hardość. – Jak mi Bóg miły, zawieśniesz na szubienicy!

– Stracilibyście wtedy konie. Ksiądz albo nawet biskup położy na nich od razu rękę, jako że zdobycz po zbójcach, i trzeba najpierw odprawić modły, a potem wytoczyć proces. To drogo kosztuje. A i kata trzeba opłacić nieźle. Nie jestem więc pewien, czy warto się narażać na takie straty. A za głośna to sprawa, aby można ją było załatwić po cichu i bez udziału kościoła.

Wargin, obracając się stale pośród rycerstwa, nasłuchiwał się wielu utyskiwań, a i widział niejedno, toteż nie wątpił, że trafi w sedno. Mocne to były argumenty, na Pomorzu każdy je doskonale rozumiał. Pan na Kołczewie osowił więc i zwiesił bezradnie głowę.

– Żmiję człek wyhodował na własnej piersi – westchnął melancholijnie. – Żga mieczem, a teraz dobija słowem... Mów jasno, czego chcesz – rozłościł się znowu. – Uprzedzam z góry, że nie odwołam obławy!

– Nie szkodzi. Komu życie obrzydło, niech na nią idzie, ale wy nie ruszajcie się z domu. Śmierć się czai nad wami i przyszedłem tu właśnie po to, aby was przestrzec. Po życzliwości.

– Dałbym ci ja za te słowa, gdybym miał pod ręką pachołków... Jak to: mam się odsunąć, chociaż pierwszy zażądałem obławy i rozesałem dokoła wici? Biskup mnie przeklnie!

Wargin roześmiał się cicho.

– Nie przeklnie – odrzekł. – Dostaliście mieczem pod zębra w służbie Zakonu Krzyżackiego? Dostaliście. Dla biskupa to święta rana, a właśnie dziś mogła się znowu rozjątrzyć i nie jesteście zdolni do ruchu. Kagenowie zresztą nie byli na Gotlandii, a mimo to odmówili udziału w obławie. Gniew więc biskupa nie może być straszny.

– Hm, i o tym wiesz... – rycerz pokręcił głową. – Prawda: Kagenowie nie pójdą, ale to inna sprawa. Mają słuszny żal o ten rodowy miecz i o zagrabienie przez Reetza dworzyszczą.

– A także o dziewczynę, którą Reetz chciał zniewolić.

Pan na Kołczewie popatrzył na niego rozweselony.

– Pleciesz trzy po trzy – machnął niedbale ręką. – Dziewczyna należy do pana, jak cały majątek, a z majątkiem każdemu wolno robić, co się żywnie

podoba. Kagenowie mieliby się przejmować takim drobiazgiem!

– A jednak przejęli się. Mówili przecież o tym w tej izbie. Jeden z nich dostrzegł nawet w tym wszystkim wolę niebios twierdząc, że to Bóg pokarał tego nędznika rękami ulubionej przez starego rycerza dziewczyny!

Pan na Kołczewie zacisnął zęby.

– Za dużo wiesz – mruknął. – Przyszynaj się: ukrywałaś się w moim domu? I podsłuchiłaś nasze rozmowy?

– Co to ma za znaczenie? Najważniejsze, że Kagenowie nie wezmą udziału w obławie. A przecież i wy nie potrzebujecie żałować Reetza. On uczciwie nadstawił karku za Krzyżaków, ale i my robiliśmy to samo. A jak było z nagrodą? Jemu dano trzy razy więcej! Albo potem w Kamieniu. O was, jak opowiadaliście, biskup nawet nie wspomniał, jego wciąż wychwalał publicznie. Chociaż nie poniósł najmniejszej rany. Taka to sprawiedliwość? W czym był gorszy pan na Kołczewie od tego przybłądy grabiącego pomorskie dworzyszczacza?

Rycerza załżała krew. Mocne to były pytania, sięgające głęboko do serca. Sam je wysuwał nieraz w obecności Wargina, gdy żal poniósł go nadmiernie, a teraz znów mu je stawiono przed oczy.

– Ażeby z piekła nie wyjrzał! – zacisnął pięści z nagłego wzburzenia. – Niemiec, więc wszędzie wkradał się w łaski. A jaki stał się ważny, znalazłszy się na cudzym dworzyszczu! Bugdała nawet skatował. Starego człeka, który starożytnością rodu jest równy wolińskim rycerzom!

Wstał, przeszedł się z rozmachem po izbie, przystanął pośrodku.

– Nie pójde! – rzekł twardo. – Jeśli takie dziewczątko jak Krysta mogło dać radę łotrowi i jego pachotkom, musiał być w tym palec boży, a przeciwko boskim wyrokom działać nie będę. Twierdzisz, że mogła odnowić się rana?... – zastanowił się. – Prawda, mogła. Nie wstają dziś z łoża!

– Mądre postanowienie. Kury wkrótce zapieją, więc muszę odejść, lecz jeszcze jedno chcę powiedzieć wam na odchodnym. Jak rzekłem, człek z was dobry, chociaż trochę popędliwy. Niepotrzebnie więc wyrządzacie ludziom niekiedy krzywdy. Odtąd pilnujcie się bardziej. My na Wolinie byliśmy zawsze i jesteście nadal wolnymi ludźmi. Trzeba o tym pamiętać.

– Nie ma wolnych! – rycerz tupnął zaciekle nogą. – Są tylko poddani i rycerze. A ty nie mędrkuj za dużo, bo w końcu wyszczuję psami!

– Znają mnie dobrze – Wargin roześmiał się. – Moje słowa radzę wziąć jednak do serca. Gdyby doszły do mnie słuchy o jakiejś nowej krzywdzie, przybędę znowu i wtedy spalę dworzyszczce. Po co? Brakuje dziś rycerza Kagena, który był przykładem dla całej wyspy, przestrzegając święcie naszych starych zwyczajów. Dlaczego wy go nie macie zastąpić? Ród wasz przecież także jest starożytny.

– Ażeby cię... – rycerz urwał w pół zdania. – Hm, zawsze byłeś bardzo roztropany, a i w potrzebie stawałeś mężnie, więc muszę nad tym dobrze się zastanowić. Prawda, mój ród także jest starożytny...

Zapatrzył się w skupioną twarz swego byłego pachołka, z którym włóczył się wszędzie i z którego nieraz był dumny, a im dłużej mu się przyglądał, tym większe rodziło się w nim zamyślenie.

– W twojej radzie właściwie nie widzę nic złego – odezwał się wreszcie. – Kagena ktoś musi zastąpić, bo inaczej Wolin też przejmie w końcu obce zwyczaje i moglibyśmy wszyscy stracić swą niezależność. No, zobaczymy...

Zamyślił się, wbił oczy w ziemię.

– Zachodzę w głowę, jak mogłeś się tutaj dostać – dodał po chwili. – Przez ostrokół, rozumiem: nikt go dziś nie pilnuje. Ale do domu?... Wszystkie drzwi i okna były przecież zaparte, więc ktoś musiał otworzyć. A kto? – wzburzył się nagle. – No, znajdę ja winowajcę!

– Czy warto szukać? Gdy drzwi otwarte, nie potrzeba ich łamać, a przy tym wchodzi się do domu po przyjacielsku. Nie trwoży się waszej niewiasty, nie płaczą dzieci.

Rycerz popatrzył na niego bystro.

– A nie zrobiliście im jakiejś krzywdy? – rzekł niespokojnie. – Bo gdyby...

– Za kogo mnie macie? – Wargin obruszył się. – Pani czy dzieciom miałbym wyrządzić krzywdę? Siedzą przy niej teraz wasi dawni pachołkowie i na pewno gawędzą przyjaźnie. Na przyszłość więc radzę nie zamykać drzwi na noc, bo może nieraz jeszcze będę musiał tu zajrzeć.

– I niech każdy wchodzi do domu... – rycerz zwiesił żałośnie głowę. – Oj, ty obwiesiu, ależ mnie urządziłeś... Ani jednego pacholka!

– Zapłaciele ucziwie, ludzie się znajdują. Choćby z wiku w Wolinie. Ale im także przykażcie, aby drzwi pozostawiali na noc otwarte. I nie martwicie się, że jakiś łotrzyk tu zajrzy. Wtedy ja bym zaczął go szukać.

– Akurat będziesz wiedział kiedy i kto – rycerz popatrzył na niego niepewnie.

– Powiedziałem: nie martwicie się. Gdy będziemy żyli w przyjaźni, włos wam z głowy nie spadnie. A teraz zostańcie z Bogiem i przez pewien czas nie ruszajcie się z izby. Aby przypadkiem nie przydarzyło się jakieś nieszczęście.

Zamknął za sobą drzwi, wyszedł na zewnątrz, świsnął przeciągle. Na dziedziniec zaczęli się wysypywać ci, którzy pilnowali dotychczas rodziny rycerza i służby. Sprawdził, czy są wszyscy, a potem w zupełnej ciszy wycofał się z dworzyszczą, dopadł do pobliskiego jeziora i wkrótce zaszył się w las. Czekał tutaj na niego Gamba.

– Udało się? – zagadnął cicho. – Nie ruszy?

– Nie ruszy.

– No, no!... Mnie by nie przyszło nigdy do głowy, aby układać się z rycerzami o takie sprawy i dziwiłem się w duchu, że Steffen zezwolił na to. Ale jeśli się nie ruszy, warta była gra świeczki.

Weszli w gąszcz. Jak większość mieszkańców wyspy Wargin znał ten las jedynie ze skraju, toteż dziwił się coraz bardziej, w jaki sposób Gamba przypanujących wokół ciemnościach potrafił odnaleźć właściwą drogę w tej plątaninie krzewów i pni, ale on nie tracił ani na chwilę kierunku, a dochodzący od czasu do czasu do boku szum Bałtyku chyba służył mu za drogowskaz. Gdy jednak znaleźli się w końcu w grodziszczu, wszyscy byli śmiertelnie znużeni i ułożywszy się cicho na wolnych miejscach, natychmiast zasnęli twardo. Nie przebudził nikogo brzask. Steffen natomiast ocknął się, gdy tylko pierwsze jaśniejsze blaski zaczęły się sączyć poprzez otwory. Wstał cicho, ubrał się, popatrzył na śpiących, a potem przesunął się na palcach do sąsiedniej izdebki. Niewielka ona była, zawalona po strop zapasami żywności, ale że gdzie indziej było jeszcze mniej miejsca, pomieściły się tu chwilowo niewiasty. Był przeświadczony, że też jeszcze śpią, i chciał tylko rzucić okiem na tę ciasnotę.

Ku swemu jednak wielkiemu zdziwieniu zobaczył Krystę siedzącą na skrzyni i przeczesującą starannie włosy.

- Ranny ptak z ciebie – szepnął. – Czyżbyś w ogóle nie spała?
 - Spałam. Przyzwyczajona jednak jestem do rannego wstawania.
- Popatrzył na babkę skuloną w kącie na wiazce skór i westchnął.

– Duszno tu – rzekł. – Ludzi przybyło, a wysepka maleńka i miejsca brak. Gdy się nieco uspokoi, urządzimy się jakoś inaczej. A tymczasem, jeśli masz ochotę, można by wyrzeć na świat.

Ruszyła za nim. Minęli śpiących, bezszelestnie spuścili łódź, wydostali się na brzeg, umyli. Zaczęła znowu upinać włosy.

- Lubisz ładnie wyglądać – uśmiechnął się.
- Rycerz Kagen zaganiał mnie do tego od dziecka.
- Ciepło się o nim wyrażasz. Dobry musiał być z niego człowiek?
- Bardzo...

Zapatrzyła się w ciemną taflę jeziora. Za wysepką pokrywała ją jeszcze mgła. Tutaj już przejrzała jasno, jak gdyby Swantewit też budził się ze snu i uchylał powoli powiekę.

– Dziwne – Steffen zapatrzył się również. – Od pierwszej chwili zauważyłem, że wyrażasz się skąpo, lecz widzisz dużo. Przy tym wcale się nie uśmiechasz. Nie pasuje to ani do wieku, ani do twojej urody. Dawniej też taka byłaś?

– Chyba nie... Przy chorym wprawdzie nie było wiele możliwości do wesołej rozmowy, bo trzeba było doglądać często, ale gdy czuł się lepiej, sam mnie często do niej zachęcał żartem. Przybiły mnie jednak ostatnie dni. Straszne to wszystko było!...

- Nie myśl o tym. Przy nas jesteś bezpieczna.

– Muszę myśleć... Ciągłe mi się wydaje, że nie jestem na końcu, ale na początku jakiejś ogromnej drogi, której końca nie mogę dojrzeć. Tamci przecież nie rozgrzeszą mnie nigdy. Już się zresztą ruszyli, może przeze mnie ucierpieć całe grodziszcze... Wargin powiedział wam coś po powrocie?

– Nie zbudził mnie, a że i Gamba tego nie zrobił, musieli zatem dobrze załatwić sprawę. Pan na Kołczewie na pewno zostanie w domu.

- A inni?...

Steffen przez dłuższy czas nie odrywał oczu od wody.

– Zobaczymy – odezwał się wreszcie. – Może i wejdą w las.
– A przecież nasi śpią jeszcze spokojnie! Tutaj będziemy czekali na wroga?

– Nie przejmuj się – Steffen objął ją pełnym życzliwości spojrzeniem. – Przed nami jest wielka siła, strzegąca nas dobrze. Gdyby ona zawiodła, my uderzymy. Na to jednak jest czas. Miałabyś ochotę przejść się nad morze? – zmienił temat. – Zobaczymy, co słychać w strażnicy.

Poszli brzegiem jeziora. Natknęli się wkrótce na niewielki półwysep, na którym konie skubały trawę.

– Wciąż się biję z myślami – Steffen popatrzył na nie z troską. – Zatrzymać czy się ich pozbyć?... Dawniej obchodziło nas tylko morze. Dzisiaj jednak trzeba spoglądać również na ląd.

– Narobiliśmy wam kłopotów...

– Nie wy, Krzyżacy nam narobili. Gdyby nie zdobyli Gotlandii, byłibyśmy tutaj bezpieczni. Teraz rozzuchwaliły się miasta hanzeatyckie, szukają nas wszędzie. Od morza i lądu. Wasze więc przybycie zmieniło niewiele, a może nawet pomogło, bo w większej gromadzie obronić się przecież łatwiej. Możemy zresztą zacząć straszyć, aż tamtym w końcu obrzydnie pogoń. Dlatego tak mi się spodobał pomysł Wargina: nie czekać, aż wróg się pojawi, ale wcześniej wytrącić go z walki. Mądry chłopak i mądra zasada. Kto wie, czy w przyszłości nie trzeba jej będzie stosować częściej, toteż konie mogą się okazać bardzo potrzebne. Gdzie je jednak trzymać?... Tu niebezpiecznie, bo jakiś statek płynący w nocy może dosłyszeć rzenie. A wprowadzić głębiej w las – rozszarpia je wilki.

– Zbudować więc tam dla nich zagrodę.

– Zagrodę?... – Steffen popatrzył na nią bystro.

Bardzo odtąd był zamyślony i dopiero gdy się znaleźli w strażnicy, rozjaśnił twarz. Stał tu Sum, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, dawniej kapitan jednego z okrętów bojowych Stortebekera. Z powodu ciężkiej rany musiał na pewien czas opuścić pokład, a i dziś jeszcze pokastywał często, codziennie jednak przed świtem był tutaj na stróży. Jego zdaniem nikt go nie mógł zastąpić. O tej porze konieczne było wprawne oko umiejące łatwo rozróżnić najmniejszy drobiazg na tle wielkiej szarzyzny, żaden zaś szczur lądowy, a nawet wytrawny majtek do tego się nie nadawał. W tak trudnej chwili mógł dać sobie radę tylko doświadczony dowódca.

Krysta już wczoraj usłyszała tę mocną przemowę, a ledwie rzuciła okiem na Bałtyk, przyznała w duchu, że chyba rzeczywiście ma słuszość. Ciemności ustąpiły wprawdzie, światła jednak właściwie nie było. Jasne pasma bałwanów gonily zawzięcie za czarnymi wstęgami wody, ale tylko przy brzegu. Dalej natomiast łączyło się wszystko w jakąś niezmierną, sinawą pustkę, wchłaniającą w siebie i niebo, i morze.

– Okręt nadpływa – oznajmił Sum na ich widok. – od Uznaniu.

Wskazał ręką przed siebie. Wpatrzył się Steffen, wpatrzyła się Krysta. Nic nie dostrzegli.

– Oj ślepi, ślepi! – Sum z politowaniem pokiwał głową. – Że dziewczyna nie widzi, nie mogę się dziwić; świeżo przybyła z ładu. Ale tobie się dziwię, pływałeś dużo. No cóż, Pan nie każdego obdarza łaską. Nie szkodzi. Ja tu jestem na szczęście i strzegę bacznie. Daję głowę, że to ta sama strzałowska koga, która przepatruje od wczoraj brzegi. Wkrótce i wy ją ujrzycie.

Gawędził dalej, Krysta przysiadła obok. Małeńka była ta strażnica i tak starannie ukryta w gąszczu, że nawet z bliska trudno ją było dostrzec, a jedyne jej urządzenie stanowiła niewielka dźwignia. Rzuciła na nią okiem i ni stąd, ni zowąd przypomniały się jej wczorajsze dzwonki. Ktoś stąd właśnie przesyłał znaki, Steffen zarządził alarm. Była przekonana, że dojdzie do bitwy, ale okręt popłynął podobno dalej, przed wieczorem zawrócił, ukazał się także w nocy. Trwogę ogłaszano za każdym razem, lecz nikt nie wchodził, ani nie wychodził z grodziszcza. Wszystko odczytywano jedynie z dźwięków i z nich dowiadzano się także, że niebezpieczeństwo minęło...

Krysta odwróciła powoli głowę od dźwigni. Dużo było w tym grodziszczu tajemnic. Niektóre już dostrzegła, znacznie więcej dostrzeże pewnie w przyszłości. Chwilowo nie chciała się w nie zagłębiać, pochłonał ją bowiem Bałtyk. Rozjaśniało się szybko. Od wschodu napływał coraz to większy blask, odpychał szarzynę, powiększał pole widzenia, pomnażał bruzdy, osłabiał czerń i niespodziewanie zarysował wyraźnie widnokrąg, zalewając błękitem niebo. Zagwarzył radośnie las. Zaciekawiona, skierowała wzrok na pobliskie drzewo, gdzie rozległo się głośnie ptasie kwilenie, gdy naraz zmroził ją jakiś

zgrzyt. Spojrzała na Suma: naciskał właśnie drzewce przy dźwigni, osadzone na osi jak żuraw studzienny.

– A ty ciągle nie pytasz o nic – uśmiechnął się do niej Steffen. – Pytaj, nie mamy przed tobą tajemnic. Od tej dźwigni biegnie pod ziemią, a potem pod wodą drut do dzwonka w grodziszczu. Nie brak między nami dobrych majstrów, więc takie urządzenia mamy we wszystkich kryjówkach. Wygodne...

– Uważać! – zduszony głos Suma przerwał mu nagle wątek.

Wysokie było to urwisko, na którym się znajdowali, i chociaż gałęzie, jak się zdawało, zakrywały ich całkowicie, Steffen przykląkł i pociągnął za sobą Krystę. Rzuciła okiem poprzez niewielką lukę pośród listowia: okręt był tuż. Ogarnęło ją podniecenie. Sunął powoli na lekkim wietrze, ciężki i zbrojny w działa, liczna załoga stała na pokładzie w gotowości bojowej. Uważnie wpatrywano się w brzeg. Czegoś czy kogoś szukano, nie mogło być wątpliwości. Właśnie tutaj. W tym odcięтым od świata zakątku...

Krysta patrzyła w napięciu. Przesunął się przed nią dziób, zamigotało olinowanie, widać było dokładnie twarze. Ktoś tam uniósł do góry głowę, ktoś spojrzał bystro. Jakby w obawie, że może ją dostrzec, pochyliła się odruchowo, ale zaraz sprężyły się ręce i ciało znowu nabrało mocy. Znikała sprzed oczu rufa. Odetchnęła lekko, śledziła dalej. Za okrętem głęboka bruzda, równoległe do niej zielony brzeg. Tu był wysoki, nagim prawie zupełnie stokiem zapadał w morze. Tam obniżał się łagodnie, wyglądał, wytracał piaski, coraz dalej wysuwał drzewa, między sosnami pomieścił buki, rozłożył im szeroko korony, gęstwą krzewów i pnączy wypełnił przerwy, gałęzie pochylił nad wodą. Dokładnie naprzeciw grodziszcza. Bujnie tam wszystko rosło, aż niepokoiło dzikością. Ale ta właśnie dzikość tego ustronia upewniła najwidoczniej załogę, że tu nie ma czego szukać, poprawiono bowiem żagle i okręt nabrał większej szybkości.

– Spokój do południa – Sum odsapnął. – Prowadził oczywiście ten przekłety Lucht ze Strzałowa! – splunął ze złości. – Ongiś popijaliśmy razem w najrozmaitszych portach, a dziś hultaj dybie na moją głowę. A żeby go pioruny zatraszały!

– Pewnie nic nie wie, że jesteś tutaj – roześmiał się Steffen. – A może i wie i dlatego właśnie przepląnął spokojnie?

– Może tak być – Sum udobruchał się w jednej chwili. – Muszę przyznać uczciwie, że kompan z niego był zawsze dobry.

Pociągnął znowu za drzewce i odwołał alarm w grodziszczu, Steffen zaś ruszył z Krystą w drogę powrotną. Dzień zapowiadał się pięknie, na niebie nadal nie było najmniejszej chmurki. Chociaż słońce kryło się jeszcze za bo-rem, już zrobiło się ciepło.

– Nas chyba szukali? – odezwała się w zamyśleniu.

– Może was, może nas, a może jednych i drugich. Dowiemy się. Wkrótce powinny napłynąć jakieś nowiny.

Nie przewidział dobrze. Minął ranek, dawno minęło południe, a wieści wciąż brakowało. Dopiero przed zmrokiem, gdy wszyscy siedzieli już przy wieczerzy, pojawił się goniec od Świętouscia. Początkowo jego słowa rozbrzmiewały bardzo pogodnie. Nie wziął udziału w obławie rycerz koleczewski, nie było Kagenów, nie przybył pan na Uninie. Reszta weszła jednak w las, ale już bez zapału, a gdy niespodziewanie rozległy się przed nimi jakieś chichoty, jęki, posępne wycia i kilku pachotków zapadło się w bagnie, popłoch ogarnął i panów, i sługi.

– Teraz każdy z nich w domu – kończył. – Wcześniej odbyli jednak walną naradę w chynowskim dworzyszczu, ponieważ jakiś mnich zagroził im drogę w czasie ucieczki i tego zażądał. Przybył podobno w imieniu biskupa...

Goniec przerwał i rozejrzał się w zakłopotaniu po izbie.

– Niedobre są dalsze wieści – westchnął. – No cóż, mówić trzeba... Otóż ten mnich zapowiedział uroczyście, że biskup nie puści płazem śmierci von Reetza. Krysta zostanie w najbliższą niedzielę wyklęta z ambon, a kto by jej udzielił pomocy, ten także podlega klątwie.

– Nic strasznego – Gamba machnął ręką lekceważąco. – Nas wyklął kiedyś sam papież i za uchylene klątwy zażądał ogromnej sumy, a chociaż nic mu nie daliśmy i nawet w pięknym liście wykazaliśmy, jak niechrześcijańskie jest to jego żądanie, nikomu nie stała się krzywda. Widocznie Schippenbeilowi też jest potrzebna pilnie gotówka.

– Mów dalej – zwrócił się Steffen do gońca. – Co jeszcze?

– Biskup nakazał wszystkim rycerzom oraz rajcom w Wolinie, aby prowadzili tymczasem śledztwo na własną rękę. Jeśli w ciągu dziesięciu dni nie

da ono wyniku, odbędzie się nowa obława. Na nią mają się stawić wszyscy pod karą kościelnej klątwy. A biskup obejmie osobiście dowództwo.

– Bojowy chłop – roześmiał się Gamba. – Muszę się na niego przyczaić. To wszystko chyba jednak niegroźne – zastanowił się. – Chłopi nie będą na nas napierali zbyt, postraszymy ich zresztą starym sposobem. Pozostają pachołkowie miejscy, bo rycerskich nie ma znowu tak wielu. Ale Kamień i Wolin też ich nie ma za dużo. Powinniśmy dać radę!

– Chyba tak – zgodził się Steffen z wahaniem. – Masz jeszcze jakąś wiadomość?

– Mam – goniec przytaknął. – Biskup wezwał na pomoc księcia.

Gamba zmarszczył brwi, szczęki Steffena drgnęły nieznacznie. W izbie zapadła głęboka cisza.

IV

Żałobnie i głucho biły dzwony kościelne na całej wolińskiej wyspie, a równocześnie ze wszystkich ambon padały słowa potępienia na okrutną dziewczkę służebną z Kodrąbia, która niepomna na przykazania boskie i ludzkie ośmieliła się pozbawić życia szlachetnego rycerza, wiernego sługę czcigodnego Krzyżackiego Zakonu, wzór cnót chrześcijańskich, pogromcę piratów, obrońcę ładu. Oby jeszcze za życia doznała mąk piekielnych, a wraz z nią ci wszyscy, którzy jej udzielają pomocy!...

Lud słuchał w skupieniu, chylił pokornie głowy, żegnał się, klękał, płakał, podnosił i za duszę potępionej zanosił do Boga żarliwe modły, kiedy jednak wysypał się w końcu z kościołów, mniej się wydawał przejęty. Zbyt często zdarzały się w ostatnich czasach takie wypadki. O znacznie mniejsze sprawy wyklinano sługi dworskie i chłopów, rycerzy i mieszczan, wyklinano nawet książęce rody. Kto słaby, ginął często dla świata; kto jednak miał siłę, chodził swobodnie i mieczem albo pieniędzmi doprowadzał szybko do zdjecia klątwy. A Krysta miała chyba za sobą siłę. Uciekła przecież w sporej gromadzie, nie schwytano jej dotychczas, mimo wielkich usiłowań i wyznaczanych nagród nie znaleziono nawet żadnego śladu. Może się zatem wymknąć, a jeśli się wymknie, uniknie kary. Dopomóż jej Boże. Wcześniej czy później wróci

prawy pan na Kodrąbiu, coś tam zapłaci biskupowi, w razie potrzeby poruszy księcia. Musi wygrać, bo przy nim słuszość. Nie Krysta przecież, ale von Reetz chciał go pozbawić majątku, nadużył władzy, zabrał rodowy miecz, w okrutny sposób zaczął wprowadzać nowe porządki na nie swoim dworzyszczu. I jeśli już chce się mówić o zbrodni, to właśnie ten przybłąda popełnił największą zbrodnię i za to go właśnie pokarał Pan Bóg!...

Lud więc woliński, tak pokorny w świątyniach, szybko nabierał ducha i im bardziej się od nich oddalał, tym głośniejsze wypowiadał swe myśli i hardziej podnosił głowy. Z dziada pradziada nie cierpiał obcych, którzy pragnęli nad nim zagarnąć władzę. Z jednakową zawsze śmiałością szedł na Duńczyków, jak i na oddziały usiłujące narzucić mu chrześcijaństwo, z taką samą zaciekłością wrażał włócznie w ciało strojnego w mitrę biskupa, jak i w ciało Wikinga. Dziś uległ przemocy rycerstwa i księży. Nie szkodzi, zdarzały się i dawniej takie wypadki. Nadejdzie właściwa chwila, zwycięży znowu. Każdy kamień przypomina mu przecież jego wielką historię, każdy kopiec kryje szczątki śmiertelnych wrogów, każde większe wzgórze było ongiś obronnym grodem. A wśród lasów ukryte są nadal niezmiernie bliskie sercu relikwie: bóg Trigław spoczywający chwilowo w bezpiecznym miejscu pod Świętousciem, Żrenica Swantewita, do której nikt z wrogów nie ma dostępu, zaklęty zamek w Morzycy wciąż czuwający od południa nad spokojem wyspiarzy, rozsiane dokoła groby dawnych wielkich przywódców, nawołujące nieustannie do gotowości. Przyjdzie dzień, gdy wszystko ożyje, a ten dzień chyba właśnie nadchodzi. Obcych, dzierżących władzę, jest coraz więcej. Trzeba ich wreszcie wymieść. Wraz z nimi przecież pojawia się tutaj coraz więcej bezprawia...

Tak więc klątwa biskupia, zamiast zatrwożyć serca, zawróciła ludzkie myśli do wciąż żywej przeszłości, mocniej uwydatniła niesprawiedliwość i wreszcie powiała buntem. Do wielu krzywd dorzucono nową, potępiając niewinne dziewczątko za to, że się nie dało upodlić!... A ona, biedna, gdzieś tam kryje się w lesie, gdzieś może przymiera głodem. Dlaczego? Że roztrzaskała napastującego ją germańskiego rycerza?...

Wzburzenie targnęło mocniej, ogromna żałość chwyciła serca. Jak te niedawne, żałobne dźwięki dzwonów, tak ona teraz zaczęła się przewijać po

całej wyspie i wreszcie wraz z gońcem od Lubina pojawiła się także nad Gardnem. Krysta w pierwszej chwili wydała się zaskoczona. Słuchała uważnie wieści, w oczach było coraz więcej skupienia. Gdy zaś goniec odszedł, udała się nad morze i pogadawszy chwilę ze strażnikiem, usiadła obok. Coś rozważała sumiennie, z zapatrzonych nieruchomo w widnokrąg oczu wybiegało coraz częściej pełne troski spojrzenie. I chyba ta właśnie troska przerwała jej w nocy sen, wstała bowiem jeszcze przed świtem i wsiadła do łodzi. Na brzegu jeziora niespodziewanie spotkała się ze Steffenem.

– Żle się czujesz? – popatrzył na nią uważnie.

– Nie, martwię się tylko. Ta bitwa chyba nie będzie łatwa?

Steffen wbił oczy w ziemię.

– Jeśli księżę nadeśle posiłki – odrzekł powoli – może być nawet ciężko.

Przed tobą nie chcę tego ukrywać. Musisz być przygotowana na wszystko.

Swantewit uchylił nieznacznie powieki, w ciemnej toni odbiły się wyraźnie dwie pochylone nad nią postaci. Milczeli przez dłuższy czas.

– Nie wzięlibyście mi za złe – zagadnęła znienacka – gdybym zniknęła o zmroku?

– Myślisz, że uda ci się gdzieś znaleźć lepszą...

– Za kogo mnie macie? – przerwała mu ostro. – Kto porzuca przyjaciół w biedzie, ten łotr, a jeśli przy tym sam był przyczyną tej biedy, niegodzien, aby go święta ziemia nosiła. Tak mawiał zawsze stary rycerz w Kodrąbiu!

– Nie gniewaj się, nie miałem nic złego na myśli. Ucieszyłbym się nawet, gdybyś znalazła jakąś lepszą kryjówkę, bo może się zdarzyć, że stąd żywa noga nie ujdzie. Jeżeli jednak nie o to idzie, dlaczego chcesz zniknąć?

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Ze strażnicy i z boru wieści dochodzą do was szybko – zaczęła mówić z namysłem. – Domyślam się, że w różnych miejscach macie zaufanych ludzi, lecz chyba niewielu, a dziś warto by mieć ich dużo. W każdej wsi i w każdym dworzyszczu.

– Dobry pomysł. Dlatego chcesz udać się w drogę?

– Właśnie. Na pewno uda mi się pozyskać wielu życzliwych.

– Niebezpieczna wyprawa – Steffen nie odrywał oczu od wody. – Gdyby

cię pochwycono, lepiej od razu rzucić się do jeziora... Lżejszą byś miała śmierć.

- Rękę mam mocną.
- I na mocną rękę może znaleźć się rada...

– Trudno, iść trzeba. Rycerz Kagen opowiadał mi zresztą, że na naszej wyspie nigdy nie było zdrajców, zdarzało się za to często, że stawano w obronie ściganych i prześladowcom gmatwano szyki. Z tego, co słyszałam, ludzie są mi bardzo życzliwi. Spróbuję to wykorzystać.

Budziło się powoli grodziszcze. Słysząc już było cichy gwar, brzęk naczyń, niekiedy dobiegał tubalny śmiech Gamby. Robiło się coraz widniej.

– Wciąż się biję z myślami – Steffen uniósł głowę. – Pójdiesz, możesz zdziałać niemało; dzisiaj każda wieść jest dla nas na wagę złota. Ale gdybyś zginęła, do końca życia czyniłbym sobie wyrzuty.

- Nie zginę. Znam ludzi i ziemię.

Objął ją pełnym powagą, przesłoniętym smutkiem spojrzeniem.

– No cóż – westchnął – warto chyba spróbować... Opowiedz mi dokładnie o swoich zamiarach. Zastanowimy się wspólnie.

Musiała to być bardzo owocna narada, po jej bowiem zakończeniu oczy mu rozbłyły jak u młodzieńca, a i ruchy nabrały większej prężności. Na długo przed zapadnięciem mroku przewiózł na brzeg jakiegoś rycerza. Młodzik to był zupełny, ale smukły, postawny, przybrany dostatnio, stąpający śmiało i wysoko dzierżący głowę. Coś jednak zastanawiało w tej bardzo miłej dla oka postaci. Twarz była poważna nad wiek, dziwiła też odzież. Nic w niej nie błyszczało i nawet miecz, gdy tylko znalazł się pod drzewami, zniknął natychmiast w ogólnej szarości.

– No, bywaj – Steffen położył rękę na jego ramieniu. – Dzielnie wyglądasz i bacz pilnie, aby nie poleciała za tobą jakaś dziewczyna – uśmiechnął się. – Staraj się więc nie rzucać nadmiernie w oczy.

Patrzył, jak młodzian oddala się coraz bardziej.

– Krysto – ogarnął go nagle niepokój. – A nie pomylisz drogi?

– Dobrze znam las. Aby tylko nie próbował zaskoczyć mnie któryś ze zbójców. Powiadomiliście ich o mnie?

- Powiadomiłem...

Krysta znikła poza drzewami. Nasłuchiwał przez pewien czas: szelest deptanych nogami bukowych liści, początkowo dość głośny, ucichł niespodziewanie i nie odezwał się więcej. Pochylił głowę i z powrotem przedostał się do grodziszcza. Wydawało się na pozór, że jest spokojny jak zwykle, razem z innymi położył się spać. Koło północy wstał jednak cichaczem i znów się znalazł na brzegu. Popatrzył w górę: na ciemnym niebie lśniły prześlicznie gwiazdy. Jakby uśmiechnął się do nich, rzucił okiem na wodę. I tutaj je dojrzał, w wielkim skupieniu liczył przez chwilę blaski. Naraz targnął nim jakiś wewnętrzny niepokój. Poruszył się niepewnie, przystanął, założył ręce do tyłu, rozważał coś długo i wreszcie zaczął się powoli przechadzać.

Uptywał czas. Od morza dochodził szum cichy i monotony, wzmacniany przybojem zawsze w tych samych odstępach. Niespodziewanie jednak coś zamąciło tę tak dobrze mu znaną melodię i zaczęło się toczyć jak drobny kamyczek pędzący szybko wraz z wodą po młyńskim kole. Skrył się za pnem. Nieznaczny dotychczas szelest zamienił się właśnie w beztrouski krok i z leśnego mroku wyłoniła się Krysta.

– A więc szczęśliwie... – Steffen odetchnął głęboko. – Jakże ci poszło?

– Nadspodziewanie dobrze. Prawda: ludzie są wszędzie po mojej stronie! Rozmawiałam z niejednym.

W głosie Krysty czuło się podniecenie. Zdała sobie z tego widocznie sprawę, urwała bowiem nagle i gdy przemówiła znowu, słowa padały już cicho i beznamiętnie. Meldunek był zwięzły, ale niezmiernie ważny. Przynosiła wieści z głębi wyspy, znała nawet tajne rozmowy z dworzyszczą w Łęgach. I niewątpliwie musiała znaleźć wielu oddanych przyjaciół.

– Dobra robota – Steffen objął ją ciepłym spojrzeniem. – No cóż, mój rycerzu – uśmiechnął się – wracajmy do domu. Spracowałam się rzetelnie i trzeba odpocząć. Jutro może znów zechcesz udać się w drogę?...

Przewidział trafnie. Poszła tym razem w stronę Chynowa, a równocześnie z nią wyruszyli w innych kierunkach Wargin i Kruża i te wędrowniki powtarzały się odtąd codziennie. Rano zbierała wszystkie meldunki, notowała w pamięci nazwiska i miejscowości, porządkowała wieści, łączyła w całość. Obraz wyspy zarysowywał się przed nią coraz wyraźniej. Tutaj nad Gardnem, w Żrenicy

Swantewita, miało swoją siedzibę Bractwo Żywienia. Na skraju lasu znajdowały się gniazda zwykłych zbójców łupiących po drogach i nie mających nic z nim wspólnego, nie znających nawet jego kryjówek. W razie niebezpieczeństwa jednak nawiązywano natychmiast łączność, tamci podporządkowywali się rozkazom płynącym z grodziszczu. Pośrednikami byli rozrzucony po lesie smolarze. Wszyscy chyba należeli do Bractwa, posłuch bowiem wśród nich był wielki, a i zaufanie ze strony Steffena ogromne. Nic zresztą dziwnego. Oni przecież stanowili oczy i uszy tego tajemniczego osiedla i dzwon bijący na twogę w razie niespodziewanego ataku.

W ten porządek ustalony od dawna, wypróbowany wielokrotnie, oparty w równej mierze na ludzkich przesądach i uświęconych wiekami starych, słowiańskich tradycjach, jak i na przezorności, Krysta zaczęła wprowadzać obecnie poważne zmiany. Co działo się przedtem z dala od lasu, na ogół nie było uchwytnie. Teraz widziano coraz dokładniej wszystko: drogi przez wyspę, dworzyszczu, wędrownych kupców, przeprawy na Dziwnie i Świnie, księży i mnichów, wolińskich rajców, nawet biskupi dwór. Uczynność ludzka była zadziwiająca. Jak płatki śniegu na skrzydłach wiatru, tak mknęły zewsząd najrozmaitsze wieści i po zmroku zbiegały się w wyznaczonych miejscach pod lasem, skąd zabierali je ludzie znad Gardna. Budziły coraz większy niepokój. Rycerze wzięli mocno do serca biskupie rozkazy, gorączkowo przygotowywali się do oblawy, z gromadami chłopów urządzali nawet od czasu do czasu próby. A równocześnie odważniej niż kiedykolwiek zaczęli wprowadzać w życie nieznanne tu dawniej, swe własne prawo oparte na pięści. Reetz stał się naraz niezwykle głośny, we wszystkich dworzyszczach i na ambonach wynoszono pod niebiosa jego zasługi. Wzór był wygodny i doskonały. Bito więc w ludzkie plecy jak w bęben i w sposób bezwzględny zaczęto zaprowadzać nowe porządki.

Steffen kiwał głową melancholijnie. Widział w życiu niejedno, toteż te wieści nie sprawiały na nim szczególnego wrażenia, natomiast na wszystko, co mówiono o przygotowaniach do oblawy, bacznie nadstawiał ucha. Sam zresztą też nie próżnował. Od rana do nocy mieszkańcy grodziszczu szli na siebie z mieczami, tasakami, dzidami, sypały się gęsto strzały z łuków i kuszy, zmagaly się z sobą konne i piesze oddziały. Niekiedy przerywano te ćwiczenia, gdy

sygnał z wybrzeża powiadomił, że w pobliżu przepływa statek. Na krótko. Ledwie zniknęły żagle, szczęk oręża przerywał natychmiast panującą dokoła ciszę.

Krysta obserwowała uważnie. Zastanawiał ją przede wszystkim jakiś odmienny w tych zwarciach, nieznaną gdzie indziej porządek. Nieraz widziała uderzających na siebie rycerzy i rycerzy uczących swoich pachołków, o jednej bitwie czytała w księgach. Wydało się jej teraz to wszystko nadzwyczaj skromne. Tam wprawdzie występowali ludzie zakuci w żelazo, dźwięczały pancerze, pod uderzeniami młotów pękały przyłbice. Tutaj decydowała o wszystkim zręczność, nagłość ataku, celność wymierzonej dokładnie strzały, często zwykły nóż w jakiś przedziwny sposób strącał z przeciwnika broję i sięgał mu niespodziewanie do gardła.

Dostrzegła też coś innego. Steffen był duszą i mózgiem, bez jego woli nic się nie działo. Natomiast ramieniem zbrojnym, naczelnym wodzem był tutaj Gamba. On prowadził te ćwiczenia, wsadzał ludzi na konie, stroił w blachy, pilnował osobiście każdego. Gdy ujrzała go po raz pierwszy, nie wydał się jej zbyt mądry. Dziś zdumiewał ją pomysłowością zasadzek, szybkością działania, znajomością wojennego rzemiosła, umiejętnością błyskawicznego zmieniania planów. Przyglądała mu się coraz uważniej i wkrótce zrodziła się w niej niezwykła decyzja. Przedtem w wolnych chwilach szła niekiedy z Warginem na miecze, pomna na swą bezradność w kodrąbskim boju. Teraz postanowiła nauczyć się więcej. Gamba roześmiał się w pierwszej chwili, z rozbawienia poklepał ją rubasznie po plecach. Zamyślił się jednak zaraz, popatrzył na nią raz jeszcze, dał jej wreszcie tasak do ręki. Odtąd także i dla niej nie szczędził czasu.

Stanowcza chwila przybliżała się szybko. Któregoś ranka, gdy po posiłku ludzie zamierzali ruszyć znów na ćwiczenia, Gamba powstrzymał ich ruchem ręki.

– Dość tej zabawy – mruknął. – Dziś próznujemy. Wypocząć i wyspać się dobrze, bo jutro bitwa.

Mówiły o tym wyraźnie nocne meldunki. Chłopi zbrojni w siekiery i drągi trzymali się już w pogotowiu na całej wyspie, pan na Łęgach bił świnie i stroił pięknie całe dworzyszczce na przyjęcie dostojnych gości, drużyna biskupia miała przeprowadzić dzisiaj konie przez Dziwnę. Ożyły także kodrąbskie zgliszczka.

Pod kierownictwem jakiegoś mnicha budowano tam ołtarz polowy i należało przypuszczać, że właśnie stamtąd rozpocznie się cała obława.

Dłużył się dzień. Znad Bałtyku nadciągał coraz silniejszy wiatr, ale że nad jeziorem, jak zwykle, nie sięgał, a słońce przygrzewało mocno, ludzie wylegli na brzeg i ułożywszy się wygodnie, gromadzili siły na jutro. Krysta pozostawała nadal w grodziszczu. W początkach wydawało się jej bardzo małe i ciasne; dzisiaj wiedziała, że była w błędzie. Nie miało już ono dla niej tajemnic. Tam gdzie należało spodziewać się rumowiska, sądząc z zewnętrznego wyglądu, odkryła nowe pomieszczenia i schowki; zasłonięte pakami ściany miały ukryte przejścia, przypadkowy pozornie otwór niejednokrotnie stanowił okno. Wszystko to było przemyślane starannie, podmurowane, dobrze zabezpieczone od deszczu i śniegu, mocny słup podtrzymywał gdzieniegdzie stropy. Nigdzie wprawdzie nie było za dużo miejsca, wielkie bowiem zapasy żywności, zbroi, odzieży, oręża wypełniały każdy zakątek, jednakże ułożywszy to wszystko porządnie, wygospodarowała w końcu dla siebie niewielką izdebkę. Zdążyła już ją polubić, toteż i teraz nie śpieszyła się z wyjściem. Babki nie było. Coś warzyła w wielkim kotle w głównej izbie i nie zwracając uwagi na siedzącego obok Steffena, nuciła cicho od czasu do czasu jakieś zaklęcia.

– Sądzicie – zagadnął ją wreszcie – że ten oręż naprawdę przyda się w bitwie?...

– Na pewno się przyda.

– A wilki nie wyżrą wcześniej?

– Wilk nie pies. Nie żre, co nie jest przeznaczone dla niego.

Od pierwszego dnia cieszyła się w grodziszczu wielką powagą. Chorych obecnie nie było. Pozaleczała dawne rany, usunęła gorączki, a gdy i Gamba, pokwękujący niekiedy, orzekł w końcu, że ma cudowną rękę, jej sława ustaliła się ostatecznie.

– Odsuńcie się – odezwała się uroczyście. – Przystępuję do najważniejszego, niech więc dobre duchy mają swobodny dostęp...

Ogniu święty, który strzegłeś zawsze wiernie naszej słowiańskiej ziemi – powolnym ruchem uniosła ręce do góry – raz jeszcze okaż swą moc i tym skrawkom mięsa daj siłę miecza. Wejdz w nie i pal. Niech szejnie zło!...

Pochyliła głowę w nabożnym skupieniu, ręce złożyła jak do modlitwy. Steffen odszedł i już do wieczora bardzo był zamyślony. I on cenił wysoko tę

cichą niewiastę, bardzo biegłą w swoim rzemiośle, a chociaż ciągle nie chciało mu się wierzyć, że te jej obecne zabiegi mogą się na coś przydać, wiązał jednak z nimi duże nadzieje. Psy mogły stać się nieszczęściem, bo zarówno biskup jak i rycerze mieli ich zabrać dużo. Toteż gdyby udało się wytrącić je z bitwy...

Jak inni, zaraz po wieczerzy poszedł spać i zasnął mocno, lecz niespodziewanie, zbudził go ostry sygnał z nadbrzeżnej strażnicy.

– Oręż do ręki! – głośnym rozkazem porwał na nogi wszystkich. – Statek w pobliżu!

Zaszeleściła wdziewana pośpiesznie odzież, szczerknęła stal. W smugach nikłej poświaty uwijały się gorączkowo ludzkie postaci, lecz nagle zamarty w bezruchu. Znów odezwał się dzwonek, tym razem trzykrotnie.

– Najwyraźniej Bóg czuwa nad nami – głos Steffena zabrzmiał jakoś bardzo radośnie. – Statek handlowy przy brzegu! Jeśli oczekują na niego w Kamieniu albo w Wolinie, powinni się go nie doczekać. Zarządzam atak. Gamba: obejmuj dowództwo.

Gdy pojawiła się Krysta, w izbie już nie było nikogo, a tylko plusk wioseł świadczył, że ktoś tam jeszcze dopływa do brzegu.

– Też ubierasz się szybko – pochwalił Steffen. – Bitwa wprawdzie nie dla ciebie, warto się jednak przyzwyczaić i do takiego widoku. Chodźmy.

Morze huczało donośnie. Wzburzona całodziennym wichrem fala biła ciężko o brzeg, toteż Krysta, rzuciwszy na nią okiem ze strażnicy, zwątpiła w pierwszej chwili w możliwość bitwy. Grodziszczanie miało przecież pod ręką jedynie łodzie. Spodziewając się więc, że Steffen lada chwila odwoła rozkaz, dość obojętnie spoglądała na nadpływający z zachodu statek. W obawie widocznie przed wichrem szedł blisko brzegu dziwnie ociężały, niezdarny, ciągle przechylający się z boku na bok, jak gdyby jakiś mocarz zaczepiał go w złości i uderzeniami zniemacka nieustannie wytrącał go z równowagi. Gdy ją minął, spojrzała dalej: łodzi nie było widać. Doszła do wniosku, że Gamba sam uznał atak za niemożliwy i już miała zamiar zagadnąć o tę sprawę Steffena, gdy naraz z kotliny naprzeciw grodziszczanie wyprysły trzy ciemne punkciki. Pędziły jak po sznurze, błyskawicznie zamknęły statkowi drogę, przypadły do niego, na chwilę zniknęły w mroku. Dźwięk dzwonu alarmowego pomieszał się

nagle z uderzeniami bosaków, wrzask przenikliwy z tupotem nóg, rozkazy z klątwami, głuche uderzenia ze świstem wichru. Zwisły żagle, pod nimi uczyniło się kotłowisko. Szybko jednak zaczęło wracać wszystko do zwyczajnego wyglądu, a tylko przechylający się mocno pokład i dochodzące od czasu do czasu jęki świadczyły, że odbyła się tam przed chwilą zaciekle bitwa.

– Możemy wracać – Steffen ruszył spokojnie w stronę grodziszcza.

– A jeśli... – Krysta spojrzała na niego niepewnie. – Jeżeli nasi...

– Nasi nie mogli przegrać – machnął beztrzesko ręką. – Zbyt szybko spadli tamtym na kark, a zresztą w razie klęski ktoś by próbował ratować się wpław. Musielibyśmy coś zauważyć. Poszło tak gładko, że chyba nikt nawet nie został ranny.

– A statek?...

– Zatopią go po wyładowaniu towarów. Łup Gamba pozostawi tymczasem w borze, bo na przenoszenie nie ma dziś czasu, my więc śpieszmy do domu. Możemy tam być potrzebni. Jeśli wzięł jeńców, może ich zaraz odesłać.

A Gamba rzeczywiście wzięł jeńców, lecz zamiast ich odsyłać, zagnał do pracy przy wyładunku i dopiero gdy ją zakończono, zjawił się wraz z nimi w grodziszczu.

– Straszne gaduły – przedstawił ich rozbawiony. – Musiałem im kilka razy zatykać gęby, bo wrzeszczeli jak opętani. Że to kazałem im trochę podźwigać!

– Nie miałeś prawa! – jeden z jeńców przyskoczył do niego zaczepnie. – Krzyczysz przy wejściu na statek „Swantewit i Rana”, jak nasz Wotynicz, zwany Stortebekerem. Słucham twojego głosu, bo myślę, żeś swój. Zamiast ciebie przebijam strzałowskich pachółków. A ty co? Potraktowałeś mnie jak byle łachudrę, nie podziękowałeś nawet za pomoc. A ponadto worki jeszcze kazałeś nosić, rzeźniku!

– Nie drażnij mnie. Łagodny jestem z usposobienia, ale bić też potrafię. Wiesz o tym.

– Taki jesteś ważny, bo kazałeś odebrać mi broń. A potem ośmieliłeś się nawet trzasnąć w twarz człowieka nastawionego przyjaźni. Zapowiadam ci tu uroczyscie: między nami krew i żelazo! Zapłacisz mi kiedyś, łotrzyku!...

Młody to był człowiek, śmiały, zادیorny, a orli nos, czarne włosy i groźne spojrzenie bystrych, osadzonych głęboko oczu mówiły z daleka, że musiał pochodzić z Rany. Z takimi nie każdy lubił się wadzić, ale Gamba, chociaż początkowo nastawiony był dobroduszenie, poczuł się w końcu dotknięty obelżywymi słowami i sięgnął do noża.

– Znowu podnosisz rękę na bezbronnych, parszywy psie! – rozdzielił ich nagle drugi jeniec i on mu teraz skoczył do oczu. – Czy u was nie ma wcale sprawiedliwości? – wyzywającym wzrokiem powiódł po wszystkich twarzach. – Kto mu dał prawo odbierania oręża ludziom, którzy pomogli wam w bitwie? Kto...

– Milcz!

– Ty milcz, póki ja mówię! – jeniec tupnął zaciekle. – Alboś porządny pirat, albo łotrzyk bez czci i honoru. Chcesz obrażać, obrażaj, ale rzuć wtedy nóż. A jeśli nie chcesz rzucić, daj mi drugi do ręki. Takie jest twoje psie prawo!

Ten był krępy, zupełnie inny z wyglądu, ale nie mniej czupurny, a przy tym tak poczerwieniał z gniewu, jak gdyby za chwilę miała zalać go krew. Poczerwieniał także i Gamba.

– Chcesz się bić, możemy! – zgrzytnął zębami. – Słabyś przy mnie, więc dam ci nawet broń do wyboru. Co wolisz: nóż, topór, miecz?

– Patrzcie go: miecz!... Czy ty myślisz, rzeźniku, że z byle chłopem będę chodził na miecze? Ja, Borek z Ziemi Dymińskiej? Prawy rycerz z dziada pradiada?

– Jak mi Bóg miły, tak trzasnę w pysk. A w czym to Borkowie są lepsi od Gambów?

Jeniec ochłonął nagle i wpatrzył się w niego uważnie.

– Hm, tyś Gamba?... – mruknął. – Prawda: też niezła rycerska krew. A z których Gambów? Może z tych obodrzyckich?

– Właśnie!

– Krew niezła, ale już dzisiaj dziadowska – Borek westchnął. – Pobożni mnisi pięknie was obłupili z majątku.

– I wy zeszlście na dziady – stwierdził Gamba z przekąsem. – Mieliśmy nazbyt bogobojnych przodków, w tym całe nieszczęście... Mnie jednak, jak widzisz, Pan Bóg znów błogosławi – nabrał ducha. – Łup potrafię brać i co niegdyś wpadło w niemieckie ręce, wraca z powrotem do rodu Gambów.

Borek wpatrzył się w niego z niekłamanym szacunkiem.

– Dobrą obrałeś drogę – przyznał. – Korsarstwo to przecież także rycerskie zajęcie, a przy tym bogaci szybko. No cóż – zakłopotał się – trzeba jakoś z tym skończyć... Kazałeś nam nosić worki, ale że i ty nosiłeś, więc właściwie nie było obrazy. Później mi ubliżyłeś, boś nie wiedział, z kim masz do czynienia; ja ci oddałem z nawiązką. Zwykłe nieporozumienie, które można zapomnieć. Dopiero teraz wiemy, że jesteśmy sobie równi, i jeśli nie jesteś zawzięty, daj gęby. Bądź co bądź, rzetelnie pomogłem wam w bitwie.

– Prawda, pomogłeś.

Popatrzyli na siebie przeciągle, uścisnęli się po bratersku.

– W takim razie i my się pogódźmy – Gamba podszedł do Rana. – Słyszałeś: zwykłe nieporozumienie, bo nie znaliśmy się przedtem.

Jeniec odsunął się o dwa kroki.

– Niemożliwe – rzekł twardo. – Powiedziałem: krew i żelazo, a to u nas więcej niż najświętsza przysięga. Dasz mi broń, dobrze. Nie dasz, skoczę na ciebie i bez niej.

– Boranto Cieszymirowiczu – wtrącił się grzecznie Borek – zastanów się dobrze. Byłem ci wpierym przyjacielem niż Gambie, bo razem musieliśmy się poniżyć do szukania chleba na nędznym statku niemieckiego handlarza, toteż jeśli nie pogodzisz się z nim, będę musiał znowu stanąć po twojej stronie. Wiesz przecież: Borkowie nie porzucają przyjaciół nawet w najgorszej biedzie. Ale czy warto się dalej waśnić? Chłop nie jest zły, tylko że nic przedtem o nas nie wiedział.

– Powinien wiedzieć! Skoczyliśmy mu natychmiast na pomoc, a ja nawet kapitana wyrzuciłem za burtę. Prawo jest za mną!

– Prawda... On działał jednak w gorączce walki, to go trochę usprawiedliwia. Widziałeś, jak się śpieszyli. Gdy korsarz chwytą łup, nie zawsze ma czas na myślenie. A my hałasowaliśmy chyba trochę za dużo i mogliśmy ściągnąć na nich jakieś nieszczęście. Przecież głos rozchodzi się daleko po wodzie.

Boranta zastanowił się głęboko, gniewnie dotąd patrzące oczy zaczęły się powoli rozjaśniać.

– Zabiłeś mi klina – przemówił powoli. – Z tym głosem wprawdzie nie było groźnie, bo wicher zagłuszał wszystko, ale gorączka była istotnie wielka.

W naszym rańskim prawie jest przewidziany taki wypadek. Gdy ubliży się komuś w, czasie brania łupu na morzu albo... Wpatrzył się w Gambę w wielkim napięciu.

– Krzyknąłeś wpadając na pokład: „Swantewit i Rana” – zapytał. – Z czyjego zatem jesteś oddziału?

– Stortebekera.

Boranta aż świsnął z nagłego zachwytu.

– Toś mi brat! – wykrzyknął. – Wotynicz urodził się, jak wiadomo, na Ranie, a że jemu podlegasz, więc jakbyś też stamtąd pochodził. Zgodnie z naszym prawem obcemu nie mógłbym wybaczyć tych zniewag, tobie jednakże mogę. Aby jednak wybaczenie było pełne, musisz dać okup.

Gamba, który już rozłożył ramiona do braterskiego uścisku, zaklął ze złości.

– Nie dam! – wyprostował się hardo.

– Jak chcesz. Radzę po dobroci: daj nóż. Dla zawarcia przyjaźni zadowolę się byle drobiazgiem. Nie dasz, potwierdzę zemstę: żelazo i krew. Wybieraj!

Ran stał się znowu groźny i nieprzystępny. Zaniepokojona Krysta skierowała wzrok na Steffena. Lekki uśmiech nie schodził mu z ust i chociaż ta dziwna kłótnia przeciągała się nad miarę, nie przeszkadzał i wydawał się z niej nawet zadowolony, jakby to widowisko było mu bardzo na rękę.

– Daj – odezwał się wreszcie. – Przyjacielowi będziesz żałował?

– Ładny mi przyjaciel, który żąda okupu. I za co? Że mnie nazwał rzeźnikiem?

– A co to szkodzi? Przy sposobności ty zastosujesz do niego to samo rańskie prawo i wtedy odzyskasz nóż.

W izbie rozległ się gromki śmiech. Śmiał się również Boranta i tym razem on pierwszy wyciągnął ramiona, ale gdy wyszumieli się wszyscy, jasno i zwięźle wysunął najważniejszą dla siebie sprawę: co go czeka w grodziszczu? Steffen wyjaśnił i wyraził gotowość natychmiastowego przyjęcia przysięgi.

– Jak brzmi? – Boranta pochylił się czujnie. – Wygłoś ją najpierw, a ja posłucham. Nic nie robię na ślepo.

Steffen zaczął mówić. Kiwał przyzwalająco głową Ran, kiwał jego przyjaciel i wydawało się, że wszystko jest po ich myśli, gdy niespodziewanie

Borek przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki.

– Że w Bractwie wszyscy są sobie równi, ostatecznie mogę się z tym pogodzić – rzekł cierpko. – Korsarz to rycerz i jeśli nawet jeszcze nie ma herbu, może go zdobyć. Ale żeby się dzielić łupem z jakimiś dziadami, o tym nie może być mowy. Chcą mieć więcej, niech przyjdą do nas i także nadstawią karku.

– Wybacz, ale tym razem prawo nie jest po twojej stronie – wtrącił uprzejmie Boranta. – Jesteś rycerzem?

– Jestem! Bo co?

– W przykazaniach rycerskich jest powiedziane wyraźnie: będziesz pomagał słabszym!

– Ale nie pieniędzmi!

– O tym nic prawo nie mówi. Ani nasze rańskie, ani dymińskie.

Borek jakoś bardzo niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Hm – mruknął – dobrze znasz prawo... Rzeczywiście nic ono o tym nie mówi.

– A poza tym nie zapominaj, że właściwie już dawno złożyłeś przysięgę. Tam jeszcze, na pokładzie, gdy wycinałeś wraz z nimi załogę. Taka życzliwa pomoc to więcej nawet niż pieczęć rodowa na dokumencie. Grzech śmiertelny masz zatem za sobą. A odtąd musisz tylko zabiegać usilnie o jak największy łup, abyś miał czym zapłacić w starości za rozgrzeszenie.

Borek pomyślał i znów przyznał mu słuszność.

– Zgoda – rzekł do Steffena. – Możesz zacząć od początku, powtórzę wiernie. Aby jednak nie było między nami żadnych nieporozumień, chcę przedtem wyjaśnić, że jutro zamierzaliśmy wraz z całą załogą statku wziąć udział w obławie na jakichś złoczyńców, za co biskup kamieński miał nam dać wysokie nagrody. Być może chodziło o was.

Wpatrzył się w niego czujnie. Oczy Steffena nawet nie drgnęły.

– I jeszcze jedno – nabrał naraz wielkiej godności. – Abyście przypadkiem nie pomyśleli, że trafiliście na głupca, powiem wam również, że doskonale zdaję sobie sprawę, co stało się na Bałtyku. Stortebeker wprawdzie żyje i działa, ale daleko stąd, a tutaj pustka. Nie szkodzi. Ciężej nam będzie, w razie niebezpieczeństwa nie otrzymamy znikąd pomocy. Może i lepiej. Mniej rąk do

podziału, łup będzie większy. Jak więc widzisz, stawiam sprawę uczciwie, jak przystało na pasowanego rycerza. Borek przecież jestem. Z Ziemi Dymińskiej!

V

Ranek wstał mglisty, ale przyjemny i rześki. Wschodzące słońce podkreśliło mocniej czerń spalonego kodrąbskiego dworzyszczca, zaraz jednak zagrało weselszymi barwami ukazując na ołtarzu polowym, rozstawionym szeroko na dawnym dziedzińcu, całe bogactwo kwiatów, wstęg i zieleni. Wkrótce pojawił się przy nim jakiś mnich w asyście kilku zbrojnych pachotków, sprawdził raz jeszcze wszystko, to i owo poprawił. Na drogach widać już było ludzi. Napływali rycerze, chłopci, mieszczanie i tłum stawał się coraz większy, lecz nie czuło się w nim dobrego nastroju. Przygnębiały go zgłiszczca, na ich widok zapadało coraz głębsze milczenie. Dopiero gdy się pokazał biskup, twarze nieco ożyły. On wydawał się bardzo pogodny. Pogawędził łaskawie z otaczającymi go zewsząd panami, temu i owemu podsunął pierścień do ucałowania, narzucił komżę na Lśniącą złotem i brylantami przepyszną zbroję i przystąpił wreszcie do odprawienia uroczystej mszy za powodzenie obławy.

Słońce, wznosząc się powoli, nasycalo powietrze ciepłem i coraz piękniej srebrzyło żytnie łany, rozkładające się szeroko wokół ołtarza. Od czasu do czasu odzywały się sygnaturki. Pod ich dźwięk, jak te zboża pod tchnieniem wiatru, chyliły się kornie rycerskie i chłopskie plecy, i jak na polach pod silniejszym podmuchem wiatru rodził się czasem szum głuchy i przejmujący, tak i tu wypływała z ust ludzkich taka sama jednostajna melodia. Nagle ucichła, msza się skończyła. Biskup odwrócił się twarzą do tłumu.

– Bracia w Chrystusie – przemówił donośnie. – Hołd Bogu oddaliśmy, czas pomyśleć o sprawach ziemskich. Poddanemu nie wolno podnosić ręki na pana, toteż obowiązek duszpasterski kazał mi wezwać was na tę wyprawę. Wy, rycerze wolińscy, stawiliście się wszyscy. Ale gdzie jest książę Bogusław? Gdzie książę Barnim? Pytam: gdzie są ci ludzie, którzy się mienią władcami tej wyspy?

Wychowany w bezwzględnej szkole Zakonu Krzyżackiego, mówił po

niemiecku i nie przyszło mu nawet na myśl, aby użyć tłumacza. Rozumiała go świta, rozumieli mieszczanie, powinni go rozumieć oblatani po świecie rycerze. Nie znające obcego języka masy chłopskie nie miały dla niego znaczenia. Rycerz był za nie odpowiedzialny i on im powinien przekazać jego rozkazy.

– Książąt tutaj nie widzę! – do słów zaczęła zakradać się groźna nuta. – Wezwałem ich z mocy swego duchowego zwierzchnictwa, a jednak nie przyjechali i mnie obrażając, obrazili równocześnie prawa boskie i ludzkie. Mimo to ruszymy na bór, pochwycimy przestępców. Trzeba wykazać całemu Pomorzcu, że chociaż książęta zaniedbują swe obowiązki, my sami potrafimy utrzymać ład, toteż włóżcie w tę obławę wszystkie swe siły. Rozkazy otrzymaliście. Ruszajcie zatem z Bogiem, zajmujcie wyznaczone wam miejsca. I choćby padły krwawe ofiary, idźcie wciąż naprzód, dopóki nie schwytamy złoczyńców!

Najwyraźniej był zły. Pan na Łęgach, który usługiwał do mszy, w milczeniu potrzymał mu strzemię, a zaraz sam dosiadł konia i ruszył za nim. Znał go dość dobrze. Wraz z Reetzem brał udział w walkach na Gotlandii, po jego śmierci pierwszy przybył do Kamienia z żałobną wieścią, od początku najgłośniejszej domagał się pomsty. Biskup oceniał należycie jego gorliwość i właśnie w jego dworzyszczu postanowił urządzić dzisiaj swoją główną kwaterę.

– Ładnie mnie podejmujecie – rozchmurzył się, znalazłszy się przy suto zastawionym stole w pięknie przystrojonej izbie. – Zjemy coś niecoś i także ruszymy w bór. Do wieczora powinniśmy zakończyć to polowanie.

– Na pewno skończymy – pan na Łęgach potwierdził przymilnie. – Bór wprawdzie gęsty, lecz uderza nań z tysiąc chłopów, a takie pobożne dowództwo pomnaża siły.

Biskup odplącił mu łaskawym spojrzeniem. Był od początku najlepszej myśli. Pan na Kołczewie pilnował morza od wschodu; z przeciwnej strony, na wąskim przejściu prowadzącym na Uznam, stanęli murem ludzie z Przytoru i okolicy, Kagenowie zatkali luki pośród jezior warnowskich, od Lubina i Dargobądza ruszyli już dawno na północ tamtejsi chłopcy. Główne jednak siły ustawiły się na trakcie wolińskim i gdy tylko dotrą do nich ci od południa, zaczną razem zaciskać worek. Mysz się z niego nie wymknie!

Pan na Łęgach potwierdzał to co chwila gorąco, nie mniej gorąco przytakiwała mu cała świta, a że potrawy i trunki były też znakomite, biskup z chwili na chwilę nabierał ducha. Zresztą i meldunki, które zaczęły napływać, budziły radość. Rycerze poszli z wielkim zapałem, świetnie spisywali się pachotkowie, chłopci szli karnie. Aż wreszcie nadjechał goniec z wieścią, że oddziały od Zatoki Szczecińskiej już są na gościńcu i że wszyscy czekają tylko na rozkaz do ostatecznego ataku.

– Jedziemy – Schippenbeil zerwał się ochoczo od stołu. – Nie może nas zabraknąć przy pojmaniu złoczyńców!

Pchnął naprzód gońca, aby tamci ruszyli naprzód, popędził zaraz wesoło drogą, wraz ze świtą zaszył się w bór. Zewsząd słychać było walącą przed nimi ogromną ławą obławę. Trzaskały łamane nogami i kopytami gałęzie, padały donośnie hasła, grały rogi, psy ujadły zaciekle. Schippenbeil słuchał początkowo z rozpromienioną twarzą tych wszystkich odgłosów, lecz im bardziej zagłębiał się w gąszcz, tym się stawał chmurniejszy. Nie znał dotychczas tej wolińskiej puszczy. Pień tu leżał na pniu, w niewidoczne dla oka wądoły zaczęli walić się coraz częściej ludzie i konie, dokoła panował prawie zupełny mrok. A gęstwa tężniała. Jak uderzenia znienacka przyczajonego gdzieś obok wroga, twarde konary biły w kolczugi i rozdzierały pachotkom odzież.

– Wszędzie tak jest? – biskup spojrział na jadącego za nim pana na Łęgach.

– Wszędzie.

Zacisnął zęby. Przyszło mu na myśl, że łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana niż człowieka w tej leśnej głuszy i gdyby nie psy, straciłby chyba wszelką nadzieję. One jednak biegły wciąż naprzód, wciąż było słychać rogi nawołujące je do posłuchu. Pochylił się nisko nad grzywą, bo gałęzie biły w przyłbicę jak cepem, i jechali dalej. Ni stąd, ni zowąd zaczął go ogarniać podświadomy niepokój. Nieprzyjemne było to wszystko, drażniło tajemniczością, budziło mimowolny lęk mnóstwem przewijających się wszędzie cieni. A i na konie jakby padł strach. Szły coraz wolniej, ciągle strzygły uszami i niespodziewanie zaczęły się cofać i chrapać. Psy przed nimi zawiodły jakąś dziką melodię.

– Co to? – Schippenbeil znów się obejrzał.

– Wilki uciekają z legowisk.

- Dużo ich tutaj?...
- Tak dużo, że nocą nikt się nie odważy wejść w bór.

Uderzył konia ostrogami. Zwierzę skoczyło naprzód, lecz naraz chrapnęło przenikliwie i zaryło się w miejscu. Spojrzał na ziemię. Tuż przed nim leżało coś ciemnego, co na pierwszy rzut oka trudno było rozróżnić w zielonkawym półmroku.

- A to co?...

Podjechał pan na Łęgach. Popatrzył tam również i gwałtownie zeskoczył z siodła.

- Chryste Panie! – wykrzyknął. – Pies!...

Zaczęli cisnąć się inni, oglądać. Ogarnęło wszystkich zdumienie.

– Czary, nie czary?... – ktoś rozejrzał się trwożnie. – Pies jeszcze ciepły, a przecież nieżywy. Chociaż nikt go niczym nie dotknął!

Biskup zsiadł także.

– Rzeczywiście niezrozumiałe – przyznał. – Że należał do któregoś z naszych, nie może być wątpliwości. Skocz no któryś naprzód – zwrócił się do pacholców – i spytaj, co się tam stało. A my też nie marnujmy tu czasu.

Nie ujechali daleko. Natknęli się znów na zdechłego psa, a gdy go oglądali, pojawił się wysłany po wieści pacholek.

– Ludzie są przerażeni, ekscelencjo – zawiadamiał. – Psy biegły przed nimi zwyczajnie i nagle padły, jakby piorun w nie trząśł. Niczego więcej nie wiedzą. Gadają za to o jakichś duchach.

- Co to ma znaczyć? – biskup popatrzył badawczo na pana na Łęgach.

– Ludzie jak to ludzie: często plotą trzy po trzy. Podobno jakieś złe duchy i więdźmy strzegą tego boru od wieków... Nie wspominałem o tym dotychczas, bo rycerzowi nie wypada powtarzać byle bredni.

- Słusznie – potwierdził biskup. – Jedziemy dalej!

Nie zdążył dosiąść konia. Przed nimi rozległ się niespodziewanie jakiś przeciągły, posępny krzyk i przemieniwszy się zaraz w potępieńcze, wydobywające się jakby spod ziemi wycie, przemknął nad borem i śmiertelną grozą pobilił twarze.

– Niesamowite... – ktoś westchnął ciężko.

– Brednie! – biskup tupnął z wściekłości nogą. – Taki przykład dajecie chłopstwu? Ja przy was jestem i walczymy o boską sprawę. Dosiadać koni!

Ruszyli, lecz zaginał zupełnie poprzedni zapał. Konie wciąż chrapały i coraz częściej stawały dęba, martwych psów przybywało, wokół zapadała stopniowo cisza. Biskup zasłuchał się. Szczekania, które przedtem roznosiło się szeroko, teraz prawie nie było słyhać, tylko z rzadka odzywały się rogi, głosy ludzkie umilkły zupełnie. Zmroziło go to, ściągał nieznacznie wodze. A gdy wkrótce ujrzał przed sobą niewielką polankę i dużo światła, odetchnął tak głośno, że chyba wszyscy musieli usłyszeć.

– Pozwól, ekscelencjo, że powiem, co myślę – zajechał mu drogę jeden z rycerzy ze świty. – Moim zdaniem wróg jest silniejszy niż nam się zdawało i już rozpoczął bój. Dziwny jakiś bój, sam bowiem ciągle jest niewidzialny. Psy wybił, zostali przed nim jedynie ludzie. Odtąd więc w nich będzie uderzał i tak samo z ukrycia. My się możemy narażać, bo jeśli ktoś nawet zginie, będzie to chwalebna śmierć dla rycerza walczącego pod takim dowództwem. Jednakże waszej ekscelencji iść dalej nie wolno.

– Głupstwa gadasz! Ogłosiłem zbrojną wyprawę i nie ustąpię, dopóki nie będę miał w rękach złoczyńców!

Schippenbeil wyprężył się dumnie. Przypadli do niego inni, zaczęli okazywać nie mniejszą troskę.

– Dziwny to bór – i pan na Łęgach przyłączył się wreszcie do chóru. – Nie śmiałbym straszyć, bo ekscelencja zna najlepiej boskie wyroki, lecz ostrzec muszę. Niejeden śmiałek zginął w tej głuszy i niekiedy w tak dziwny sposób, że rozum ludzki tego wyr tłumaczyć nie może. Ostrożność jest więc na pewno konieczna. Na powrót do mojego dworzyszczka nawet nie próbuję namawiać, bo wiem z góry, że wasza ekscelencja nie zgodzi się na to. Ale co szkodzi pozostać na tej polanie? Gdy osaczymy złoczyńców, przyślemy natychmiast gońca.

Rozumna to była rada i przyklasnęła jej cała świta. Biskup ociągał się, zrzędził, wreszcie jednak ustąpił. Zmęczyła go ta gęstwina, uciskała zbroja, osłabił zaduch, bolało obite gałęziami ciało. Polanka zaś nęciła jasnym blaskiem i świeżym powietrzem.

– No cóż... – odezwał się uroczyście. – Jeżeli wszyscy jesteście tego samego zdania, przeciwstawić mi się nie wolno. Ruszajcie z Bogiem. I pamiętajcie: dać mi natychmiast znać, gdy wypatrzycie złoczyńców.

Zatrzymał przy sobie tylko trzech pachołków dla bezpieczeństwa. Wielu rycerzy wydawało się zawiedzionych. Ta wędrownka każdemu dała się już dobrze we znaki i sądzili, że zatrzymując biskupa, sami także zostaną.

– Na co czekacie? – krzyknął gniewnie, bo domyślił się, o co im chodzi. – Tam potrzebny jest każdy człowiek i śpieszcie się, aby ktoś nie wydostał się przez strzeżony przez nas odcinek. Wysuńcie się nawet naprzód, chłopstwu dodajcie ducha. W moim imieniu!

Pan na Łęgach ruszył się pierwszy, ale bez konia, a i przyłbicę pozostawił na łąku.

– Co to, pieszo? – Schippenbeil zdziwił się na ten widok.

– Pieszko, ekscelencjo. Koń w tym przepastnym borze jest tylko zawadą.

Biskup objął go wściekłym spojrzeniem. Potraktował to jako wyrzut, bo sam przecież powinien był o tym pomyśleć wcześniej, a pan na Łęgach, widząc w jego oczach nagłą niefaskę, zniknął natychmiast w krzakach. Za nim ruszyli inni. Także bez koni i przyłbic.

– Rozłóżcie derkę – biskup zwrócił się do pachołków.

Wciąż ponosił go gniew. Cisnął przyłbicę o ziemię, zrzucił blachy, odpałał miecz, ściągnął nawet kolczugę. Niebezpieczeństwa się nie bał. Ściągał przecież tylko kilku czy kilkunastu pachołków, a jeśli ktoś tam nawet im pomógł, obława coraz bardziej spychała ich do Bałtyku. Rzucił raz jeszcze okiem na swoich ludzi: trzymali się w gotowości. Uspokojony zupełnie, wyciągnął się w cieniu i zapadł w drzemkę. Obudził go jakiś szelest, jakby przemknęła gdzieś koło ucha jaszczurka. Otworzył leniwie oczy i spojrzał przed siebie: konie chrupały trawę, pachołków jednak nie dostrzegł. Oburzyło go to do głębi, był bowiem pewien, że także pozwolili sobie na wypoczynek, i przysiadł nagle. Chciał krzyknąć, ale nie zdążył. Czyjaś mocarna ręka schwyciła go z nienacka za gardło. Zakrzuszył się, sprężył. Druga ręka dzieliła go pięścią i stracił przytomność.

VI

Borek przebudził się wcześniej. Spojrzał dokoła: Boranta spał jeszcze, lecz poza nim nie było w izbie nikogo. Przeniósł oczy na stół: resztki jedzenia i nie umyte naczynia świadczyły wyraźnie, że ci, którzy spożywali posiłek, z jakiegoś powodu nie mieli czasu uprzątnąć. Zastanowiło go to i zbudziwszy przyjaciela, zaczął ubierać się szybko.

– Jest tam kto? – krzyknął donośnie.

Jakby zza ściany wyszła Krysta w swym zwykłym, rycerskim stroju.

– Macie przecież co jeść – rzekła sądząc, że o to mu chodzi.

– Wiem – Borek machnął ręką ze złością. – Gdzie inni?

– Szykują się właśnie do bitwy.

– Co takiego?... Pojawił się statek? I oni chcą uderzyć beze mnie?...

– Nie idzie o statek – Krysta objęła go zamyślnym spojrzeniem. – Zjedzcie najpierw. Steffen opowie wam resztę.

Gdy skończyli posiłek, przepawiła się z nimi na brzeg i weszła w las. Na małej polance, na której często urządzano ćwiczenia, znajdowali się wszyscy mieszkańcy grodziszczu, uzbrojeni po zęby, a stojący naprzeciw Gamba dawał im jakieś tajemnicze wskazówki.

– Co to ma znaczyć? – Borek przyskoczył gwałtownie do stojącego z boku Steffena. – Zabieracie się do roboty, a nam każecie próżnować?

– Należał się wam wypoczynek. Do tej roboty zresztą chyba nie bardzo się nadajecie.

Omówił krótko ostatnie wypadki i ruszającą dziś na nich obławę! Jeszcze nie skończył, gdy Gamba dał znak do odmarszu i w chwilę później zostali sami.

– Postanowiliśmy was zatrzymać w grodziszczu – Steffen odwrócił oczy od rozsypujących się po lesie oddziałków. – Tu też ktoś jest potrzebny na wszelki wypadek.

Borek chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego wbił oczy w ziemię i westchnął.

– A więc takie to Bractwo... – przemówił jakoś bardzo żałośnie. – Nie ufają nam od początku.

– Nieprawda. Idzie na nas olbrzymia chmara, trzeba więc działać chytrością. A wy nie znacie boru.

– Boru nie znam? Ja, rycerz z Ziemi Dymińskiej? Mimo że właśnie od boru pochodzi moje przezwisko? Czy mam uznać to za zniewagę?

– Bór borowi nierówny. Ten woliński ma swoje wielkie tajemnice i trzeba czasu, aby je pojąć. A sam chyba rozumiesz, że jeśli dzisiaj ktoś z naszych choćby ukaże wrogowi głowę, zginiemy wszyscy.

– Jak mi Bóg miły, tak się obrażę! – Borek rozognił się strasznie. – Mnie takie rzeczy tłumaczyć! Słyszysz, Boronto? Złożyliśmy uroczystą przysięgę, a ci odsuwają nas od pierwszej bitwy jak psy parszywe, niegodne dotknąć pańskiego stołu. Sami nadstawiają karku, nam nie pozwolą! Za jakie grzechy? Niech mnie Bóg skarzę, jeśli to nie jest obelga, i puścić jej płazem nie mogę, bom prawy Borek. Zgodzisz się czy nie zgodzisz, idę na wroga!

Sięgnął do boku, jak gdyby zamierzał mieczem torować drogę. Zgrzytnął zębami z wściekłości, bo go nie znalazł.

– Dawaj nam broń! – ryknął. – Nie znasz jeszcze, jak widzę, Borków ani Borantów. Jeśli któryś z nich ślubuje komuś wierność, zawsze z nim razem przelewa krew!

Steffena zaskoczyła chyba ta furia. Wbił oczy w ziemię, jakby chciał ukryć wewnętrzny niepokój.

– Pozwólcie im iść – wtrąciła się Krysta. – Zabiorę ich z sobą i poprowadzę właściwymi drogami. Nic się złego nie stanie.

– Kiedy i ty nie powinnaś opuszczać grodziszcza...

– Kto wie? Może właśnie będzie lepiej, jeśli wyjdę do czoła? Wiecie tak samo dobrze jak ja, że tam liczy się każdy człowiek. Przydam się ja, przydadzą się oni. Szkoda by było zresztą, aby tacy rycerze gnuśnieli na tyłach. Według mnie każdy z nich może iść na dziesięciu.

W głosie Krysty zadźwięczało szczerze uznanie. Borek wyprostował się dumnie, miłe to były dla niego słowa. Za to Boranta wpatrywał się w nią tak baczenie, jakby dostrzegł coś niezwykłego, na co jego przyjaciel nie zwrócił wcale uwagi.

– Hm... – Steffen wahał się jeszcze. – Najbezpieczniejsza będziesz wtedy, gdy sama będziesz się umiała obronić, powinnaś więc poznać wszystko... Do kąd chciałabyś, ich zabrać?

– Pod Łęgi.

– Niech Bóg cię broni! – przestraszył się. – Wpadniesz przecież lwu w paszczę!

– Albo ością stanę mu w gardle. Nie martwcie się, będę ostrożna. Więc pozwalacie?

Przez dłuższy czas spoglądał na nią w milczeniu.

– Idź – odezwał się cicho. – Co do tej pory robiłaś, robiłaś mądrze, toteż sądzę, że nie popełnisz i teraz błędu. I wy idźcie – zwrócił się z kolei do tamtych. – Ona obejmuje nad wami dowództwo.

– Wykluczone! – zaperzył się Borek. – Baba ma nad nami dowodzić? I do tego taka smarkata? Zapowiadam...

– Milcz! – Steffen doszedł do wniosku, że trzeba wreszcie skończyć te nieustanne przetargi. – Złożyłeś przysięgę, słuchaj rozkazu, a jeśli nie usłuchasz, zginiesz. I to bardzo szybko!

Boranta pociągnął Borka za rękę i coś mu szepnął do ucha, Krysta zaś, uważając rozmowę za zakończoną, skinęła na nich głową i zabrała do grodziszcza, aby wyszukali dla siebie oręż. Borek już nie marudził. Niezmiernie zadowolony, że ma znowu broń w ręku, wskoczył do łodzi, pierwszy wybiegł na brzeg, pomachał wesoło ręką Steffenowi na pożegnanie i wpadł w gąszcz. Nie miała z nim odtąd żadnych kłopotów i musiała przyznać w duchu, że nie przechwalił się zbyt. Umiał poruszać się w borze, a jeszcze lepiej to robił Boranta. Przemykał bezszelestnie jak duch i w jakiś cudowny sposób odkrywając niewidzialne dla oka wykroty, biegł za nią tak równo, że prawie wcale nie było słychać jego stąpania.

Kierowali się wprost na południe. Było jeszcze wcześniej, w borze panowała zupełna cisza. A gdy znaleźli się wreszcie na jego skraju i ujrzeni przed sobą dachy łęgowskiego dworzyszcza, biskup dopiero dosiadał konia na kodrąbskich zgliszczach.

– Bądźcie czujni – przestrzegła. – Naprzeciw główna kwatery. Wodzów w niej jeszcze nie ma, ale powinni pojawić się wkrótce.

Ujrawszy w dali kłęby kurzawy, podsunęła się bliżej i zapadła w kępie tarniny między zbożami, gdy zaś Schippenbeil po posiłku wjechał w las, ruszyła za nim ukradkiem. Czowała się zupełnie bezpieczna. Obława sunęła przed nią, tyłów nikt nie strzegł. Nie potrzebowała się też śpieszyć nadmiernie.

Nieprzyjaciel aż nadto dokładnie wskazywał drogę głośnym trzaskiem gałęzi, człapaniem koni, pełnymi podniecenia okrzykami na widok martwych psów, niekiedy klątwą i jękiem. Słyszała dokładnie wszystko, nawet ostatnią rozmowę na polance, na której biskup pozostał. A gdy jego świta odeszła w bór, podsunęła się bliżej i rozejrzała się bacznie.

– Lepiej się składa, niż przypuszczałam – szepnęła. – Niech się tamci odsuną, a wtedy zamiast wykruszać ich po kolei, sięgniemy od razu do głowy. Powinna im wtedy odejść ochota do walki.

– Jak to rozgłosisz? – mruknął Borek niechętnie. – Nie zanieziesz przecież wieści do czoła.

– Nie twoja sprawa. Siedź cicho.

Szorstko zabrzmiały słowa i Borek o mało się nie obraził, ale zaraz skupił uwagę na układającym się na ziemi biskupie. Przyszło mu na myśl, że to bardzo ułatwia sprawę, a gdy z min i gestów pachołków domyślił się, że zasnął naprawdę, nabrał takiego ducha, że chciał natychmiast rozpocząć atak.

– Nie ruszaj się – Krysta przytrzymała mu rękę.

– Nie pleć głupstw. Czas już najwyższy!

– Nie twoja sprawa.

Nasłuchiwała w napięciu. Wszelkie trzaski zaginęły zupełnie, gdzieś z głębi dochodził jednak od czasu do czasu głuchy, przetaczający się jak burza ponad drzewami, niepokojący grozą, jakiś posępny krzyk. Słysząc go było coraz słabiej i wreszcie przepadł w przypadkowym szeleście liści. Rozejrzała się czujnie: ten szelest obudził w niej mimowolny niepokój, ale że nie powtórzył się więcej, znów przesunęła wzrok na polankę. Wartownicy nad czymś się naradzali i chyba doszli do przekonania, że im także należy się wypoczynek, jeden z nich bowiem zaszył się w cień, przysiadł pod drzewem i z wyraźnym zadowoleniem wyciągnął przed siebie nogi.

– Możemy zaczynać – szepnęła. – Sami dacie radę pachołkom?

– Najpierw trzeba obezwładnić biskupa – wtrącił Borek porywczo. – Krzyżak, więc na pewno nieraz bywał w najrozmaitszych opałach i na pewno jest czujny. Zerwie się na pierwszy krzyk, a miecz ma pod ręką. Ja go biorę na siebie. Wy...

– Milcz, ja tu wydaję rozkazy – w głosie Krysty zabrzmiało zniecierpliwienie. – Pytam tylko, czy sami dacie radę pachołkom? Bez krzyku i szczęku oręża!

Borek spłoszował.

– Rozumiesz, bracie? – Boranta uśmiechnął się do niego przyjaźnie. – Trzeba ich tak uprzątnąć, aby nawet trawa nie drgnęła pod ich nogami. Zatem z zasadzki, rozważnie. Ja to potrafię, a tobie przecież też nie brakuje zręczności. Zgoda – objął Krystę ciepłym spojrzeniem. – Ja biorę na siebie tego drzemiącego pod drzewem, a gdy z nim się uporam, skoczmy na pozostałych. Ty pilnuj biskupa.

Pociągnął za sobą Borka i w chwilę później zniknęli w gąszczu. A i Krysta zaczęła przemykać chyłkiem. Okrążyła polankę, znalazła się za plecami śpiącego, przylgnęła do ziemi. Miała czas. Dwaj wartownicy, wędrujący dotąd równo odmierzonym krokiem w przeciwnych kierunkach, zetknęli się właśnie z sobą pośrodku i wdali się w pogawędkę. Mieli wszystko na widoku, nie należało więc za wcześnie wywoływać alarmu. Powoli przesunęła wzrok na trzeciego i naraz przeszył ją dreszcz. Jego głowa zwisała bezwładnie, coś się z nim stało na pewno. Ale gąszcz dookoła był tak samo nieruchomy, jak przedtem...

– Krysto, posłuchaj.

Drgnęła znów silnie. Tuż za nią rozległ się szept łagodny i ciepły i z taką siłą sięgający do wspomnień, że zamiast wzbudzić trwogę, poruszył radośnie serce. Przemknął jej nagle przed oczyma ciemny kodrąbski wieczór, złoty łańcuch Niekraka, załśnił cudnie wisiorek. Wydało się jej, że spłynął na nią niespodziewanie jakiś przepiękny sen. Westchnęła bezwiednie i niespokojnie przetarła oczy.

– Słyszysz mnie, Krysto?...

Jak w odurzeniu odwróciła powoli głowę. Przed nią rozciągała się gęsta, utkana z gałęzi i liści zasłona. Była jednak przekonana święcie, że widzi za nią niewyraźną, jakby przyczajoną do skoku, młodzieńczą postać.

– Słyszę. Kim jesteś?

– Nie poznajesz mnie po głosie?... Twoim Rycerzem z Lasu. Wstęę mam przy sobie, wierności dochowuję. A ty masz mój wisiorek?

Piersi Krysty zaczęły unosić się coraz szybciej. Pogodny to był głos, trochę poważny, trochę swawolny, tak samo miły jak ongiś w kodrąbskim borze.

– Mam... Jesteś z nami czy przeciw nam?

– Zawsze z tobą, Krysto, pamiętaj. Czyżbyś zapomniała, że obiecałem cię zrobić królową?

Raczej wyczuła, niż usłyszała cichy, beztroski śmiech.

– Po coś tu przyszedł?...

– Aby zanieść przed tron najpokorniejszą prośbę. Życie kamińskiego biskupa, wiernego sługi Zakonu Krzyżackiego, masz w swoich rękach. Nie zabijaj go jednak.

– Powinien zginąć. Od jego śmierci zależy w tej chwili nasze zwycięstwo.

– Rozumiem doskonale, a mimo to podtrzymuję swą prośbę. Spełnij ją choćby przez wzgląd na moje zasługi.

– Zasługi?...

– Właśnie. Gdyby książe wziął udział w oblężeniu, byłoby wam znacznie ciężiej. Nieprawda?

– Prawda.

– Ale nie przybyli. Oni wysłuchali mej prośby i to chyba pierwsza moja zasługa. Poza tym jednak Schippenbeil zwrócił się do rycerzy uznamskich. Książe na Wołoszycy przeciwstawił się stanowczo ich udziałowi, jako że Wolin nie należy do niego i nie chce wchodzić zbrojnie na ziemie swych braci. I w tym jest moja zasługa.

Przez dłuższy czas trwało głucho milczenie.

– Oddałeś nam istotnie wielkie usługi – w głosie Krysty czuło się wyraźne wzruszenie. – A dlaczego tak zależy ci na biskupie?

– Bo jeśli on dzisiaj zginie, jutro upomną się o niego Krzyżacy. Tylko czyhają na taką sposobną chwilę. Natychmiast wkroczą tu zbrojnie, sami zaczęną szukać winnych. A to wróg niebezpieczny: gdzie raz wejdzie, zaprze się mocno i nie ustąpi. Ty może się zdołasz wymknąć, mogą się wymknąć i twoi ludzie. Zginie jednak Pomorze. A na tym chyba ci nie zależy?

Krysta, jakby w zakłopotaniu ogromnym, objęła rękami głowę i ścisnęła ją coraz mocniej.

– Dlaczego milczysz? – padło niespokojne pytanie.

– Ukazałeś mi wielkie sprawy, rycerzu... Muszę nad nimi pomyśleć.

Spojrzała na pacholców. Przestali właśnie gawędzić i znowu miarowym krokiem zaczęli przemierzać polanę, oddalając się tym razem od siebie.

– Uchodź jak najszybciej! – odezwała się gorączkowo. – Uciekaj z boru i z wyspy, bo zginiesz. Nie z naszej ręki. Mój czas bowiem nadchodzi.

– Rozumiem... Ale nie zabijesz biskupa?

– Nie!

– Jak trudno znaleźć czas na tej wyspie na spokojną rozmowę – za zasłoną z listowia dało się słyszeć ciche westchnienie. – A chciałoby się nieraz pogadać... Wyniesiesz się teraz z Wolina?

– Nie.

– Gdzie cię szukać w razie nagłej potrzeby? W życiu może być przecież różnie...

Zamyśliła się. Nie przyszło jej dotąd do głowy, że ktoś może jej szukać nie tylko dla zemsty.

– Powiedźcie wtedy komukolwiek na wyspie, że chcecie się ze mną zobaczyć – odrzekła. – Szybko dotrze do mnie taka wiadomość. Ale teraz, na Boga, uchodźcie jak najprędzej! Wolin wkrótce zamieni się w piekło. Mogą i was schwytać jako złoczyńcę!...

Rzuciła pożegnalne spojrzenie na miejsce, gdzie się powinien znajdować, i bezszelestnie ruszyła naprzód. Jeden z pachółków zawracał właśnie na krańcu polany, spokojnie wysunął przed siebie nogę. Ale oto jakaś sylwetka wypryska z lasu, skacze na niego, obala. Krótki, urwany zgrzyt. Drugi odwraca się, unosi do góry włócznię, otwiera usta. Zamiast okrzyku zdążył jednak wycisnąć z piersi jedynie jęk. Jak upiór z mroku, spłynął na niego Boranta, otoczył ramieniem i cisnął zaraz martwym ciałem jak workiem.

A i Krysta już się uporała z biskupem. Nadbiegł Borek i przeżegnał się z nadmiernego przejęcia.

– Chryste Panie! Ty pięścią tak potrafisz zamroczyć?... Gdybym nie widział na własne oczy...

– Nie marudź. Na łąkach wiszą sznury. Przynieś!

Pobiegnął, jakby wyrosły mu skrzydła, i chociaż dziwił się niejednemu, w mgnieniu oka wypełniał odtąd wszelkie rozkazy. Założyli jeńcowi knebel, związali mu ręce, przeciągnęli linę pod pachami, zawiesili go wysoko na drzewie. Schippenbeil dopiero teraz otworzył oczy.

– Zapamiętaj dobrze, co powiem – Krysta popatrzyła na niego bez gniewu. – Od dnia dzisiejszego nie masz prawa wstępu na wolińską wyspę, bo

ona nie cierpi obcych. Dzisiaj pozostawiam cię przy życiu. Jeśli jednak naruszyłbyś kiedyś ten rozkaz, zabiję.

Oderwała od niego wzrok, przesunęła na Borka.

– Tyś rycerz?

– Jakże! Z Ziemi Dymińskiej!

– Nakładaj więc jego zbroję. Powinna pasować, bo na moje oko jesteście jednego wzrostu.

Boranta pomógł, Borek przybrał się błyskawicznie. Skinęła na nich, podeszła do koni, wzięła jednego za trzęźlę i wydając krótkie rozkazy, ruszyła naprzód. Pognali za nią resztę. Uwijając się gorączkowo, przepędzili przez bór i z całym tabunem szczęśliwie wydostali się na gościniec.

– A teraz na siodła!

Rozkazy stawały się coraz krótsze, coraz więcej czuło się w nich stanowczości. Wypoczęte rumaki poszły jak wicher po pustej zupełnie drodze. Migają drzewa, skończył się las, rozbłysły pola, ukazało się przybrane wspaniale na dzisiejszą uroczystość dworzyszczce. Stanęła przed otwartą na oścież bramą.

– Boranta: dopilnuj koni. Borek za mną.

Wpadli do kuchni, chwycili gorejące polana, rozrzucili po całym domu. Pan na Łęgach, pachołkowie, chłopci znajdowali się w borze. Niewiasty wszczęły przeraźliwy lament, zagnała więc je do wypędzania żywego dobytku w pola, a ledwie się z tym uporały, zapłonęły ze wszystkich końców słomiane strzechy.

– Możemy ruszać – Krysta dosiadła konia. – Tamtym daliśmy wielki znak i wkrótce powinni go dostrzec. Powiedzcie panu na Łęgach – krzyknęła do kobiet – aby nie wpuszczał nigdy w swoje progi krzyżackich pachołków. Jeśli nawet noszą biskupią mitrę!

Wysunęła się znowu na czoło. Nie szukała już schronienia w lesie, pędziła prosto jak strzełił w stronę Kodrąbia. Na widok zgliszcz westchnęła ciężko i wydawało się przez chwilę, że targa nią jakaś bezmierna żałość, usiłująca wypłynąć ze łzami spod poruszających się szybko powiek. Zaraz jednak stężyły usta, w gniewnym odruchu dotknęła miecza. Spojrzała za siebie: Łęgi płonęły jak olbrzymia pochodnia, ogień było widać chyba na całej wyspie. Ściągnęła wodze, skręciła na północ. Gdzieś tam z boku, głęboko w puszczy, rozegrały się nagle rogi i głosem nierównym i przenikliwym zaczęły roznosić dokoła trwogę.

– Co robisz? – wykrzyknął Borek. – Pędzimy wprost na obławę!

– Nie przejmuj się – rzuciła przez ramię. – Nasi tam szerzą popłoch, bo domyślili się, że chwila jest odpowiednia.

Skręciła raz jeszcze i boczną drożyną popędziła na Duńską Górę. Rozbłyśły w dali jeziora warnowskie, szeroko przed nimi rozłożył się bór. Zdawało się, że nie ma do niego dostępu, bo gdzie rzuciło się okiem, tam stali zbrojni.

– Borek do mnie!

Pognał wierzchowca, przyskoczył.

– Pojedziesz teraz na czele – mówiła szybko. – Gdy ujrzysz ludzi, krzycz ile tchu w piersi, że biskup ginie, że trzeba go ratować, że ktoś podpala dworzyszca. Krzycz zresztą, co chcesz, aby tylko serca porazić strachem. Gdyby ktoś próbował cię zatrzymać, bij i pędź naprzód, dopóki nie utkniesz w gąszczu.

– Rozumiem!

Mocno wziął do serca ten rozkaz i na widok ludzi tak się rozhuczał, jakby cała wyspa miała wylecieć za chwilę w powietrze. Chłopi poruszyli się trwożnie, a Kagenowie, którzy tutaj trzymali straż, rąbnęli konie ostrogami i zamiast się przyłączyć do tego dziwnego oddziałku złożonego z kilkunastu koni i trzech tylko ludzi, pognali w przeciwną stronę, aby ratować siebie i swoje dworzyszca.

– Ratujcie biskupa! – zawył Borek przerażająco. – Śmierć wisi nad nim!...

Jakby mu do wtóru, zagrały w różnych miejscach myśliwskie i wojenne rogi, z lasu zaczęły wypadać gromady chłopstwa. Pędziły na oślep w panicznej trwodze, ze strasznym krzykiem, z jękiem tak przejmującym, jakby już ktoś tam podrzynał gardła. Za nimi pozostały podobno liczne ofiary, rycerze przepadali w mroku, wilki rozrywały pachołków, na wszystkich runęły nagle z nieba jakieś nadludzkie moce. I one to pochwyciły w końcu nawet samego biskupa!...

Borek wciąż jechał naprzód. Zniknęli ludzie, dróżka zamieniła się w ścieżkę, przepadła ścieżka. Bór stawał się coraz gęstszy i wreszcie tak stwardniał, że trzeba było zatrzymać konie.

– Napracowałem się tak rzetelnie, że muszę wreszcie odpocząć – rzekł raźnie. – A przy sposobności popatrzeć na naszą zdobycz. Ciekaw jestem, czy udało się doprowadzić wszystkie wierzchowce.

Zsunął się z siodła, zawiesił przyłbicę na łęku i przepychał się długo przez gąszcz, dopóki nie dotarł do czuwającego na końcu Boranty. Były wszystkie. Ucieszony niezmiernie, zabrał go z sobą i znalazł się znowu przy Kryście.

– Ależ z ciebie dziewczyna!... – pokręcił głową. – Tak nas poprowadzić! A ja, głupi, chciałem dawać ci dobre rady, jako że niewiasta, jak wiadomo powszechnie, do boju niezdatna. Widocznie ty jesteś inna...

Zadumał się i przez pewien czas potrzącał nogą wysoką trawę.

– Tak, musisz być inna – doszedł do wniosku. – Jednego tylko jeszcze nie mogę zrozumieć – popatrzył na nią uważnie. – Dlaczego nie pozwoliłaś zabić biskupa? Czyżbyś się zlekła mitry? Niepotrzebnie. Według naszych, dyminskich praw, kto przypasuje miecz do boku, ten przestaje być księdzem. Dlatego od czasu do czasu puszczamy z ogniem nawet klasztory i ścinamy duchowne głowy. Trochę to pomaga, ale nie bardzo. Gdy człowieka złoży boleść, przychodzi jakiś nowy klecha, łąsi się, przypomina o piekle, obiecuje modlitwy za duszę i podsuwa do podpisania cyrograf. Człowiek boi się tego, co będzie po śmierci, więc podpisuje. Ale wtedy przepada zazwyczaj dla rodu cały majątek.

Krysta słuchała w milczeniu. Dźwięczny, młodzieńczy głos zakradł się znowu do uszu i wydało się jej, że widzi poprzez listowie pochyloną czujnie, dziwnie miłą sylwetkę.

– Też się zmęczyłaś – Borek popatrzył na nią uważnie i westchnął. – Prawda, i ty pracowałaś rzetelnie. A przecież jesteś tylko niewiastą...

Jakby w popłochu odsunął od niej wzrok i przez pewien czas wpatrywał się w gąszcz.

– Ale z tą zbroją – rozpromienił się nagle – miałaś wspaniały pomysł! Biskup pęknie chyba ze złości, bo warta majątek, a na mnie leży jak ulał. No i przydała się. Kto na nią rzucił okiem, brał każde moje słowo za świętość. Gdyby mieć taką na własność!...

Okręcił się dokoła, zachrzęścił blachami, zasapał z gorąca i wielkiego wzruszenia.

– Przyznasz, że piękna? – rzekł w rozmarzeniu. – Ale też musisz przyznać, że umiem w niej chodzić! Inny dawno by zrzucił, bo upał straszny, mnie jednak to nie przeszkadza. Rycerz ze mnie ale byle jaki, wiadomo. I chyba

właśnie dlatego tak ona do mnie pasuje.

– Prawda: pasuje...

Krysta wpatrywała się w niego w coraz większym skupieniu.

– Wyglądasz w niej jak odrodzony – dodała po chwili. – A że tak ci się podoba, zabierz więc ją sobie na własność.

Borek z wielkiego przejęcia cofnął się o dwa kroki.

– Co ty wygadujesz? – wykrzyknął. – Łup należy do wszystkich, składałem na to przysięgę. A żaden jeszcze Borek nie złamał dotąd przysięgi!

– I nie złamiesz. Ja nie składałam przysięgi, więc co zdobędę, może należeć do mnie. A przecież nie zaprzeczycie, że tę zbroję własnoręcznie zdobyłam.

– Nie zaprzeczmy! – potwierdził gorąco Boranta. – Ty zdobyłaś i jeśli nie jesteś członkiem Bractwa, według prawa należy ona do ciebie.

– Prawda – przyznał Borek nieśmiało. – Będzie to zgodnie z prawem...

– Odtąd więc jest twoją własnością.

– Nie mogę przyjąć... Wielki to majątek, można kupić za niego niejedną wioskę. Czuję się jak złodziej, który ograbił niewinne dziewczątko z wiana... Nie mogę...

Na twarzy Borka niepewność pomieszała się z nadzieją, gorące pragnienie z wyrzutami sumienia, wielka radość z głębokim wzruszeniem. Krysta podeszła do konia.

– Powiedziałam: do ciebie należy – zamknęła krótko rozmowę. – I nie mówmy o tym już więcej.

Zadrgały mu szczęki, powieki zaczęły poruszać się coraz szybciej.

– Chryste Panie, taki majątek! – zaniósł się naraz szlochem z nadmiaru szczęścia. – Dziewczyno, nie domyślasz się nawet, jakie ma to dla mnie znaczenie... Borkowie przestaną czuć się nareszcie dziadami! Ja cię chyba ozłocę!...

Runął na kolana, rękami objął jej nogi.

– Królowo moja – szeptał wstrząśnięty, a twarz Krysty spłonęła nagle szkarłatem. – W ogień odtąd za tobą skoczę!... Odrodziłaś nędzarza. Strasznie go nędzarza. Z Ziemi Dymińskiej!...

DZIWNA – RZEKA DZIWNA

I

Upłynął rok. Od polsko-pomorskiej granicy w okolicach Drahimia oderwał się samotrzeć młody rycerz i popędził gościńcem w stronę Szczecinka. Za sobą pozostawiał kraj, który otrząsał się ostatecznie z długotrwałych dzielnicowych podziałów, bratobójczych walk między książętami, bezbronności wobec sąsiadów i nadmiernej chciwości możnych i teraz, owiany duchem jedności, zaczynał w unii z Litwą tworzyć potężne państwo. Przed nim natomiast rozciągała się jedna z tych dawnych dzielnic, która wprawdzie składała od czasu do czasu królowi hołdy i poczuwała się do łączności, nadal jednak utrzymywała swą niezależność. Nie wychodziło jej to na dobre, słabość była jej wielkim nieszczęściem. Od zachodu i południa łupili ją nieustannie chciwi łupu Brandenburczycy i łamiąc najświętsze umowy, podstępem lub mieczem przesuwali stopniowo granice. Od wschodu naciskali Krzyżacy. Mając skarb pełny, mniej atakowali obecnie siłą, za to coraz częściej pieniędzmi i podplacając, kogo potrzeba, wytrącali z walki najoporniejszych i rozsiewali szeroko niezgodę. Udawało im się to świetnie zwłaszcza z tej strony Odry. Rycerze zakonni i goście poruszali się tak swobodnie po Pomorzu słupskim i stargardzkim, jak po swej ojczystej ziemi, a w razie jakichkolwiek trudności żądali natychmiast uroczyстых przeprosin, okupów, nowych traktatów i grożąc wciąż pięścią albo doprowadzali do ustępstw, albo przyzywali na pomoc zbrojne oddziały i w zemstę puszczały z dymem całe osiedla.

A książęta jakby nie widzieli swojej słabości. Zamiast się jednoczyć, dzielili nieustannie maleńki kraik na jeszcze mniejsze dzielnice. Świętobór I

rządził wspólnie z bratem ziemią szczecińską. Wacław VIII panował na Wołogoszczy, Uznamie i Ranie. Bogusław VIII, najstarszy z rodu, dzierżył władzę nad ziemią słupską, Wolinem i Stargardem do spółki z bratem Barnimem, a między nich, jak cierń ciągle drążący ranę i groźna zapowiedź klęski, wbiło się jeszcze kamieńskie biskupstwo. Z narastających z wieku na wiek nadań książęcych, pobożnych darów, wykupów zdołało nagromadzić olbrzymi majątek i niespodziewanie złączyło go w całość, tworząc państewko w państwie. Na swych ziemiach nie uznawało niczyjej władzy, w ciężkich chwilach odwoływało się do papieży, rzucało klątwy. W ostatnim dziesięcioleciu polepszyły się nieco stosunki, biskupem bowiem był przez pewien czas książę Bogusław, kiedy jednak wkrótce po jego ustąpieniu pojawił się Schippenbeil, z Kamienia powiało zdradą. Zakon Krzyżacki już dawno wbił się ostrym klinem w Pomorze, zajmując ziemię świdwińską. Obecnie mógł ruszyć dalej na północ, droga była otwarta. Ta ziemia łączyła się bezpośrednio z szeroko rozrzuconą nad Bałtykiem fundacją biskupią i wyglądało na to, że Schippenbeil pokusi się teraz o zjednoczenie. Czuł się przecież panem udziałnym w swoim państewku, mógł sprzedać wszystko. I kto by ośmielił się wówczas przeciwstawić Krzyżakom?...

Młodzian o tym właśnie rozmyślał i naraz popędził konia, jakby się zląkł, że ktoś przetnie mu drogę. Polska granica już była daleko, krzyżacka po bokach. Przed nim ciągnęła się jednak wąskim pasem ziemia książęca, dziwnie spokojna w tym kącie, nie nawiedzana przez nikogo, prawie bezлюдna, porośnięta gęsto lasami, strojna w jeziora i uroczyska. W porannym słońcu wyglądała pięknie, lecz w jego oczach nie budziła chyba ufności. Wciąż rozglądał się czujnie i dopiero gdy się znalazł w zajeździe w Szczecinku, odetchnął z ulgą.

– Poczekajcie tu na mnie – rzekł do pacholków, gdy się nieco posilił. – Wkrótce powrócę.

Wyszedł na miasto. Było ono wprawdzie warowne, niezwykle ważne ze względu na położenie, ale niewielkie, toteż zadziwiał duży ruch na ulicach. Na młodym rycerzu nie sprawiał on jednak wrażenia. Znał dobrze to miasto i wiedział, że tędy właśnie przebiega jeden z tych ważnych szlaków krzyżackich, wiodących z krajów zachodnich przez Szczecin i Świdwin aż do Malborka,

toteż nie zwracał uwagi ani na piękne zbroje, bogatą odzież, marsowe miny i szedł prosto w stronę kościoła. Gdy miał już wyjść z uliczki na plac, niespodziewanie natknął się na jakąś rozweseloną gromadę. Odsunął się pod mur, chcąc ją jakoś wyminąć. Ktoś zagroził mu przejście.

– Dokąd tak śpieszno, rycerzyku? – padło po niemiecku zaczepne, nie pozabawione kpiny pytanie. – Tędy nie wolno!

Młodzian przyjrzał mu się uważnie. Stał przed nim niewątpliwie jeden z tych licznych młodych ludzi, którzy z przeludnionych państw niemieckich wędrowali do Krzyżaków, aby pod ich dowództwem brać nie tylko łup na „pogańskich” Litwinach, ale i rządzić. Butni to byli zazwyczaj ludzie, bezwzględni, lubiący okazać pychę, podkreślający głośno swoją niemczyznę. Szli przecież na podbój świata, obce ludy mieli poddawać niemieckiej woli, na ich ziemiach ojczystych rozbudowywać niemieckie państwo. Wiedzieli przy tym, że Zakon takich szczególnie ceni i przeznacza dla nich najwyższe nawet godności.

Młodzian odsunął się nieco.

– Wybaczcie – odrzekł płynnie w tym samym języku – lecz w tej chwili nie mam czasu na pogawędkę.

Chciał go wyminąć. Niemiec cofnął się i uczynił ze swego ciała nieprzerpętą przeszkodę.

– Halt! – warknął. – Pytałem: dokąd? Odpowiadać!

Młody rycerz wpatrzył się w niego w jakimś wielkim skupieniu.

– Muszę dokładnie zapamiętać waszą twarz – przemówił powoli. – Stąd bowiem wyruszę chyba zaraz wprost do Malborka, do wielkiego mistrza. Aby mu opowiedzieć o pewnym ochotniku, który zachowuje się niewłaściwie na obcej ziemi.

Wśród głuchoj ciszy, jaka zapadła dokoła, wyszedł na plac i nie oglądając się wcale za siebie, skierował się do kościoła. Na drzwiach dostrzegł z daleka jakąś dużą kartę, a gdy zaczął ją czytać, ogarnęło go najwyraźniej zdziwienie. Biskup kamieński, Mikołaj Bock von Schippenbeil, ogłaszał publicznie, że za nieposłuszeństwo wobec Matki-Kościół obłożył klątwą kościelną niejakiego rycerza Fleminga z Golczewa i kto by mu udzielił jakiegokolwiek pomocy, zostanie także wyklęty.

Młodzian potarł w zamyśleniu policzek. Coś go zastanowiło w tym

obwieszczeniu, a chyba także wzbudziło niepokój. Powoli wszedł do kościoła. Posiedział tam przez pewien czas, a gdy znalazł się znowu na zewnątrz, rozejrzał się bacznie po placu i pobliskich uliczkach. Ludzi wciąż kręciło się mnóstwo, tego jednak, który próbował go napastować, nie dostrzegł nigdzie. Niepewnym krokiem, jakby nie wiedząc, co z sobą zrobić, podszedł do siedzącego na stopniach ślepca.

– Pomódlcie się, dziadku – przemówił po polsku, wyciągając bez pośpiechu sakiewkę – na intencję Jadwigi.

– Częste to imię w tych stronach... Skąd ona pochodzi?

– Z daleka. Aż zza węgierskiej granicy.

Żebrak jakby się ocknął.

– Wróciłeś więc szczęśliwie, rycerzu? – szepnął z przejęciem. – Najwyższy czas!

– Stało się coś złego?

– Co się stało, o tym lepiej opowiedzą ci inni. Od siebie dodam, że albo tu, albo gdzieś w okolicy szykuje się dziś jakieś tótrostwo. Chyba jednak w okolicy. Tu przecież stoi w zamku księżęca załoga.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Dostrzeżono w gospodzie Pod Gruszą kilku podejrzanych pachotków krzyżackich. Przed trzema dniami przybyli od Malborka i zamiast jechać dalej, siedzą tu i myszkują. Niedawno otrzymałem wiadomość, że wkrótce odjadą. Nie na wschód jednak ani nie na zachód, ale na północ!

– Oczywiście jest z nimi jakiś rycerz?

– Jest.

Młodzian rzucił mu wreszcie drobną monetę i poszedł dalej. Od niechcienia zajrzał do jednej gospody i drugiej, znalazł się wreszcie Pod Gruszą. Jak wszędzie, tak i tutaj tłok był wielki, nikt więc na niego nie zwrócił uwagi, jemu natomiast od razu wpadła w oczy grupa pachotków, siedząca cicho z boku i trzymająca się w pogotowiu. Dostrzegł też kogo innego. Rycerz, który poprzednio zastąpił mu drogę, stał w ich pobliżu i coś omawiał z przypadkowym, jak się zdawało rozmówcą.

Młodzian wycofał się nieznacznie. Zmieszał się z tłumem i klucząc zręcznie, dotarł do swoich ludzi.

– Siodłajcie konie – szepnął. – Szybko!

Wymknął się z miasta tak samo nieznacznie, jak przedtem z gospody, zato-
czył niewielki łuk i znalazł się na gościńcu. Jechał na Bobolice, tą właśnie
drogą, którą mieli się udać pachołkowie krzyżaccy. Zdawało się, że ucieka
przed nimi, oglądał się bowiem często i stale przynaglał konia. Szczecinek
zaginał dawno, ukazało się z boku jezioro. Wyminął je, przystanął nagle i
przez dłuższy czas nasłuchiwał uważnie.

– Jeśli na nas się czają – mruknął niepewnie – już powinni nas gonić.
Chyba że się nie spostrzegli.

– A może chcą nas dopaść dopiero na ziemiach biskupich? – wtrącił roz-
ważnie jeden z pachołków. – Nie przypuszczają, że coś o nich wiemy. A tam
dla nich bezpieczniej.

– Może tak być...

Młody rycerz rozmyślał. Wielki, wschodni klin kamieńskiego państewka,
sięgający prawie krzyżackiej granicy, był niedaleko i rzeczywiście mógł
wzbudzić niepokój. Wysłannicy Malborka mogli łatwo tam znaleźć pomoc,
mogli być zresztą z kimś w zмовie. Miejsce do napadu i zasadzek było bar-
dzo wygodne. Bez trudności przy tym można było stamtąd uprowadzić jeńca,
a w razie niepowodzenia schronić się bezpiecznie pod skrzydłami Zakonu...

– No cóż, jedźmy dalej – postanowił. – Za nami cisza. Co przed nami, po-
każe przyszłość.

Przestał się śpieszyć. Minęli jakąś wieś, po lewej stronie rozbłysło większe
jezioro. Zrównał się z nim i niespodziewanie skręcił na prawo w las.

– Czuj duch – przestrzegł pachołków. – Nie powinniśmy lekkomyślnie
nadstawiać głowy, a czuję coś niedobrego w powietrzu. Niech konie odetchną
na wszelki wypadek.

Wyciągnął się na ziemi, aby także odpocząć. Wydawało się, że przestało go
wszystko obchodzić, lecz naraz bacznie nadstawił ucha. Od północy nadbiegło
skrzypienie wozów, na południu także odezwały się jakieś niejasne dźwięki.
Słuchał w napięciu. Nie ulegało wątpliwości: ktoś stamtąd nadjeżdżał szybko.
Stłumiony początkowo dałą, zgmatwany stuk przemieniał się coraz wyraźniej
w tętent rozpędzonych wierzchowców.

– Trzymajcie konie przy pyskach – rzekł cicho.

Podkraść się chyłkiem do drogi i wyjrzał. Przybliżała się jakaś dziwna
gromada. Jadący na czele rycerz, mimo wielkiego upału, miał nałożoną

przyłbicę, trzymali się za nim w pogotowiu dwaj zbrojni, na jednym z wozów siedział z naciągniętą kuszą pachołek. Na wszystkich twarzach czuło się głęboki niepokój. Gęsty las i zupełne bezludzie uzasadniały całkowicie tę czujność, tym bardziej że było czego bronić. Wyładowane mocno wozy zawierały chyba niemały majątek. A przy tym wśród tobołów siedziała młoda jeszcze niewiasta z drobnymi dziećmi.

Młodzian zmarszczył brwi. Ten widok nasunął mu widocznie jakieś niedobre myśli, poruszył się bowiem, jakby zamierzał wybiec naprzeciw, coś go jednak wstrzymało. Przesunęło się przed nim wszystko, zniknęło z oczu. Dopiero wtedy dosiadł konia, skinął na swoich ludzi i ruszył w ślad za tamtymi. Nie śpieszył się zbyt, lecz nagle pognął ostro wierzchowca. Tętent od Szczecinka grzmiał teraz donośnie, skrzywienie wozów za to ustało. A w chwili później rozległy się w dali groźne okrzyki, szcęk oręża i rozpaczliwe lamenty dzieci.

– Szykuj się! – rzucił za siebie rozkaz.

Pędził jak strzała. Drzewa, zasłaniające mu dotąd widok, odsunęły się w lewo i dostrzegł nareszcie wszystko. Na gościńcu rozgorzała już bitwa. Zaciśnął zęby, w pełni zrozumiał prawdę. Przedtem sądził, że to na niego krzyżackie sługi gdzieś gotują zasadzkę. Teraz wiedział, że mieli inne zadanie: pojmać lub zniszczyć tę garstkę, chroniącą wozy. Wartościowa to była zdobycz, na pozór niezmiernie łatwa. Sama nie mogła się długo bronić. Nikt jej przy tym nie mógł udzielić pomocy, nikt nie mógł stanąć nawet w obronie dzieci. Wszystko bowiem, co znajdowało się na tych wozach, należało do wyklętego przez kamieńskiego biskupa rycerza Fleminga...

Młodzian wyciągnął miecz. Dostrzegł naprzeciw trzech Krzyżaków uderzających na broniącego dzieci pachołka, dostrzegł przejęte grozą niewieście oczy. I jego już dostrzeżono. Ukryty pod wozem kusznik mierzył wprost w jego pierś.

– Kraków! – rycerz rzucił donośnie hasło.

Znieruchomieli na chwilę wszyscy, niewiasta w nabożnym geście złożyła ręce. A Fleming, bijący się dotąd z zakapturzonym napastnikiem i ustępujący wciąż przed nim, zapał się naraz mocno.

– Kraków! – odkrzyknął potężnie. – Bywaj tu, bracie!...

Młodzian ze swymi runął na wóz, zmiotł jednego z pachołków od

pierwszego zamachu, drugiego nadział na sztych, zanim tamten zdążył odwrócić konia. Szedł jak wichura, wywracał pędem. I dopiero gdy się znalazł obok Fleminga, osadził swego wierzchowca.

– Mnie go pozostaw! – krzyknął. – A ty zajmij się resztą. Żywa noga niech stąd nie ujdzie!

Poszły na siebie miecze, rozhuczały się głucho tarcze. Rycerz krzyżacki, ufny w swą siłę i mocną zbroję, natarł gwałtownie, pragnąc w pierwszym uderzeniu rozstrzygnąć walkę. Słaby wydawał się ten jego przeciwnik, miał na sobie tylko kolczugę. Trzasnął w niego raz, trzasnął drugi, znowu odwinął oręż. Zdumiał się nagle, nie mógł go wcale dosięgnąć. Zakręcił koniem, uderzał z coraz większą wściekłością. Wciąż bezskutecznie. Tamten był szybki jak błyskawica i męcząc go ciągle, coraz częściej zaczynał mu sięgać do gardła...

Krzyżak rozejrzał się rozpaczliwie. Pot lał się strumieniem po zakutym w żelazo ciele, na pomoc liczyć nie można: Fleming tam dorzyna ostatnich pachotków... Nie ma zwycięstwa! I nie ma nawet możliwości ucieczki przed tym lekko zbrojnym i kąśliwym młodzikiem...

– Poddaję się! – krzyknął panicznie.

– Unieś przyłbicę – przeciwnik powstrzymał miecz.

Krzyżak znieruchomiał. Oczy wyglądające zza żelaznych otworów zaczęły drgać niespokojnie.

– Podnieś przyłbicę!

Leniwie poruszyły się ręce, zgrzytnęła stal. Ukazała się ta sama twarz, która nie tak dawno próbowała wydawać niemieckie rozkazy w wąskiej uliczce przed placem kościelnym w Szczecinku. Zamiast jednak poprzedniej buty i brutalności, rysowała się teraz na niej tylko śmiertelna bladeść.

– Nie będę potrzebował jechać do wielkiego mistrza na skargę – młodzian przemówił chłodno. – Przeżegnaj się, bo koniec blisko.

– Dam duży okup! W razie potrzeby wesprze mnie cały ród. Na...

– Bij się.

– Miejże litość, bracie rycerzu!

– Dla zbójców krzyżackich nie ma na tej ziemi litości!

Opadła przyłbica, zaszczekały ponownie miecze. Krótka to była już

walka, a gdy się skończyła, młodzian rozejrzał się tak uważnie po boju, jakby liczył leżące na ziemi ciała.

– Więcej ich nadjechało, niż przypuszczałem – rzekł w zamyśleniu. – Wszyscy polegli?

– Jeden uciekł w las. Gonia go moi ludzie.

– Muszą dogonić! – poderwał się nagle w siodło. – Za mną!

Pociągnął za sobą swych ludzi, popędził w bór i uspokoił się dopiero wówczas, gdy wszystkie krzyżackie ciała zatonęły w pobliskim jeziorze.

– Potrzebna aż taka ostrożność? – zdziwił się Fleming, gdy przy wozach spotkali się znowu wszyscy.

Zdziwił się zaraz bardziej, padło bowiem na niego niespodziewanie spojrzenie tak pełne głębokiej zadumy, jakby te oczy naprzeciw należały nie do młodzieńca, ale do siwowłosego starca, mającego za sobą wiele ciężkich doświadczeń.

– Dam wam dobrą radę na dalszą drogę – i w słowach czuło się wielkie skupienie. – Krzyżacka zemsta nie schodzi bynajmniej do grobu wraz z ciałem krzyżackiego rycerza albo pachołka, ale błąka się nadal po świecie jak groźny upiór, szukający ciągle ofiary. Zacierajcie więc zawsze za sobą ślady bardzo starannie, aby nie mogła odnaleźć tropu. To byłoby gorsze od klątwy.

Fleming aż się cofnął z nagłego wzburzenia.

– Wiesz, kim jestem?... – wyjąkał.

– Oczywiście. Uchodźcie do Polski?

– Tak. Ubezpieczę tylko rodzinę i zaraz wracam. Zachodzę w głowę, dla czegoś pomógł... Grzech śmiertelny przecież na tobie!

– Oczyszczę się z niego – młodzian machnął ręką. – Gdybyśmy chcieli policzyć te wszystkie kościelne klątwy i tych, którzy pomagają wyklętym, poza biskupem nie byłoby na Pomorzu niewinnych. Kto się tym dzisiaj przejmuje? Chyba nie ci, którzy prowadzili was dotąd szczęśliwie aż pod Szczecinek?

– Prawda, na brak życzliwości nie mogę narzekać – Fleming też wypogodniał. – Trzeba się było przenosić jednak ciągle z miejsca na miejsce. Schippenbeil ma wszędzie szpiegów i tak w końcu nacisnął, że nie było już wyjścia. Dziś w nocy o mało nie doszło do bitwy z jego sługami. Nie chciałem więc dłużej narażać przyjaciół.

- Dlaczego tak na was zawzięty? Chciał odebrać Golczewo?
- Właśnie...

Fleming wziął niegdyś ten gród od biskupstwa w zastaw za wysoką pożyczkę, a że nie zwrócono mu jej w terminie, zgodnie z prawem stał się on jego własnością. Schippenbeil, osiadłszy w Kamieniu, przypomniał sobie tę sprawę i zażądał zwrotu. Rycerza zalała krew. Mówiono już powszechnie, że gród ma być sprzedany Krzyżakom, chciano zresztą zastosować bezprawie. A nacisk rósł. Posypały się groźby, przygotowywano nawet zbrojne drużyny. Sam nie mógłby się przed nimi obronić, rada więc w radę odsprzedał wszystko księciu Bogusławowi. A wtedy wściekł się z kolei biskup i rzucił na niego kościelną klątwę.

Młodzian, słuchając tej opowieści, równocześnie baczył pilnie na kręcących się wokół ludzi. Uprzątałi starannie pobojowisko. Kiedy zatarli wreszcie najmniejsze ślady, dał znak do odjazdu.

– Miałem zamiar pozostawić was samych – rzekł wysuwając się z Flemingiem na czoło. – Teraz jednak zrozumiałem nareszcie, dlaczego na was napadli. Jeśli Krzyżacy chcieli wykupić Golczewo, wykołowaliście nie tylko biskupa, ale i ich, i tego wam nie mogą wybaczyć, aby w przyszłości kto inny nie poszedł za waszym przykładem. Oni więc wzięli was teraz na oko, a ich zwiad jest znacznie mądrzejszy aniżeli kamieński. Już mogliście się o tym przekonać: bardzo dokładnie wyliczyli czas waszego przejazdu. Dziś się nie udało, uderzą jutro. Toteż na wszelki wypadek odprowadzę was do Wącza, gdzie jest mocna polska stacja.

– Nie wiem, jak ci dziękować... Człowiek ciągle pod strachem, bo wierznych sług pozostało niewiele, a nowych wynająć nie można. Ogłoszenia biskupie są wszędzie.

– W Szczecinku również. Nie szkodzi, przemkniemy jakoś. A co słyhać koło Golczewa?

– Niedobrze – Fleming frasobliwie pokręcił głową. – Co robi Schippenbeil, na pewno wiesz dobrze. Najgorsze jednak, że burzy się wszędzie czeladź miejska i chłopstwo. Ktoś rozsiewa wśród nich jakieś cudaczne wieści: o bliższym końcu świata, o ogniu niebieskim. A przede wszystkim o karze, jaka ma spaść z nieba za grzechy duchownych nadużywających uciech ziemskich, żyjących często z rozboju, tonących w grzechu i przez to niezdolnych do wskazania ludowi właściwej drogi do raj.

– Trochę w tym wszystkim słuszności,
– Nawet bardzo dużo! – Fleming rozplómił się nagle. – Kto dziś żyje tak wystawnie, jak mnisi i księża? Nie byłoby więc nic złego w tych chamskich buntach, bo nadmiar grzechów w kościele warto by jakoś przykrócić, gdyby nie to, że bijąc tamtych, mogą i nam sięgnąć do gardła. O tym także gadają: że to w Danii pod królową Małgorzatą są lepsze prawa, że tam chłopu nie wolno uderzyć, że nawet w Polsce pod królową Jadwigą chłopci mają więcej wolności. Rozumiesz, co im chodzi po głowie? Oto już jutro mogą zapłonać dworzyszczą jak w Ziemi Dymińskiej lub w Meklemburgii. A na Wolinie już się zaczęło.

– Na Wolinie?... A tam co nowego?

Fleming jakoś bardzo niejasno pokręcił głową.

– Człek był ostatnio zajęty swoimi sprawami, więc nie słuchał uważnie – przemówił powoli. – Mówi się ciągle o jakiejś dziwnej dziewczynie... Przed rokiem zabiła von Reetza. O tym chyba słyszałeś?

– Słyszałem.

– Że go zatłukła, nic złego. Nie potrzeba nam tutaj przybłądów, wyrzucających z ziemi stare pomorskie rody. Ale później spaliła podobno Łęgi.

– Gdy przebywał tam Schippenbeil...

Fleming spojrział na niego bystro i naraz stuknął pięścią w przyłbicę.

– Ależ mi rozjaśniłeś w głowie! – wykrzyknął. – Prawda, to także przybłąda. Po co wprowadzano go tam pod dach? Chociaż... – zamyślił się znowu. – Nie wszystko jednak wydaje mi się tak proste. Nikt się właściwie nie skarży, a mimo to mówi się coraz głośniejsze, że na Wolinie panują jakieś inne porządki. Podobno nie wolno tam rycerzowi czy księdzu uderzyć chłopu, nie wolno nakładać na niego nowych ciężarów, nie... Ech, takie tam bzdury! Chociaż znów mówią, że ktoś tego pilnuje i jeśli rycerz wykonuje swe prawa nazbyt gorliwie, w nocy zwała się na niego jakaś hałastra, bierze okup, niekiedy nawet obija kijem i grozi śmiercią lub spaleniem dworzyszczą. A plebanie podobno tak przycisnęli, że proboszczowie, zamiast ciągnąć do siebie, rozdają majątki ubogim, a jeden nawet otworzył szkółkę. Wprost nie chce się wierzyć uszom!

Spojrzał bacznie na młodego człowieka, jakby spodziewał się z jego ust potwierdzenia lub zaprzeczenia. Nic nie usłyszał.

– Trochę prawdy musi w tym jednak być – mówił po chwili dalej. – Jeśli zagadniesz o te sprawy któregoś z Wolinian, milknie natychmiast. Zrozumiałe: przykro się przyznać, że chłop ci zarzucił powróż na szyję i ciągnie. Żeby tam dowodziła jakaś niewiasta, w to oczywiście nie wierzę, ale ktoś na pewno dowodzi i musi być mocny. Nie szkodzi. Na mocnego zawsze się znajdzie mocniejszy. Słyszałem po drodze, że już się zbierają rycerze z całego księstwa i wkrótce uderzą na tych drapichrustów. Trzeba im wreszcie przetrzepać skórę. Gdy chłop hardziej, pan zawsze traci. Wiadomo.

– Biskup zarządził wyprawę?...

– O tym nic nie słyszałem. Wiem za to, że zawarł się na nich pan na Marzęcinie, a to tęgi wojownik i on właśnie obejmie dowództwo. Niejedna zbrojka szyja zawiśnie wkrótce na szubienicy. Lada dzień uderzy na wyspę.

Młody rycerz szarpnął koniem, jakby go ogarnęło nagłe wzburzenie.

– Co się stało? – przestraszył się Fleming.

– Musimy się śpieszyć. Przypomniałem sobie, że właściwie powinienem być w tej chwili gdzie indziej. Sprawa niezmiernie ważna.

– Chyba nas nie porzucisz?...

Młodzian znowu przynaglił konia.

– Nie – rzekł w roztargnieniu. – Jak powiedziałem, odprowadzę was aż do Wałcza, abyście mieli wreszcie spokojną głowę. To też sprawa niezmiernie ważna...

II

W dwa dni później młody rycerz pędził tym samym gościńcem i zapadając na noc po lasach, zjadając byle co w karczmach przydrożnych, robiąc jak najkrótsze postoje, aby tylko konie mogły odetchnąć, znalazł się w końcu w Słupsku. Do tej pory czuło się w nim ogromny pośpiech i gdy rozglądał się po drodze, mogło się здаwać, że modli się w duchu, aby nie spotkała go jakaś

nowa przygoda, mogąca powstrzymać podróż. Teraz nareszcie odzyskał spokój. Beztrąsko, jak gdyby wracał z przyjemnej przejażdżki, wjechał przez Bramę Młyńską do miasta, powąłęsał się po uliczkach, zajrzał na rynek. Dopiero gdy znalazł się w zamku książęcym, skupił się znowu. Straż go nie znała. Ledwie jednak znalazł się na pokojach, od razu natknął się na przyjaciół, a z serdecznych powitań nietrudno było się domyślić, że nie był tu dawno i że swym niespodziewanym przybyciem sprawia dużo radości. Pławił się więc w niej przez pewien czas, bo i on znajdował w tych spotkaniach żywą przyjemność, lecz wkrótce trzeba było przerwać rozmowy. Wieść o jego przybyciu rozbiegła się szybko i już dotarła do księcia.

– Miał gości – powiadał go wesoło jeden z dworzan – ale już ich wyrzucił i czeka na ciebie. Stęsknił się za tobą nie mniej od nas, a najbardziej chyba stęskniła się księżna. Jest pewna, że jej przywozisz jakiś piękny gościnniec!

Młodzian uśmiechnął się i wszedł do komnaty. Wybiegł mu naprzeciw młody, co najwyżej trzydziestoletni mężczyzna, rozpromieniony chyba tak samo, jak i dworzanie, i chociaż to był książę Barnim, współwładca Pomorza, wziął go w objęcia i uściskał jak brata. Był to pan pełen życia, bezpośredni w obejściu, umiejący przywiązywać do siebie ludzi, kochający się w rycerskich igrzyskach i z taką samą gotowością idący do boju. A sposobności mu do tego nie brakowało. Inni władcy Pomorza użerali się z Brandenburgią, swawolą możnych, krnąbrnymi miastami, z panującym w kraju nieładem. On miał na głowie ponadto państwko biskupie i bardziej groźną niż wszystko razem, zaskakującą ciągle niespodziankami, krzyżacką granicę.

– Dużo jesteś ode mnie młodszy, a przecież czułem się bez ciebie jak bez ręki – Barnim, wyszumiawszy się w powitaniach, posadził gościa przy sobie i popadł nagle w zadumę. – Zabrakło mi tych twoich dobrych oczu, które potrafią wszystko wypatrzeć, a tu, jak na złość zwalają się coraz to nowe kłopoty. Choćby ostatnio z Flemingiem. Biskup go...

– Fleming bezpieczny. Obecnie znajduje się w Wałczu z całą rodziną.

Książę popatrzył na niego bystro.

– Już zdążył wywęszyć! – rozweselił się. – Tak, tak, przed tobą nic nie

zdoła się ukryć, wiem dobrze. Jesteś pewien, że przebył szczęśliwie granicę?

– Sam go przez nią przeprowadziłem.

– Wobec tego ten kłopot z głowy, a szczegółami zajmiemy się później. Dawaj tymczasem listy. Przywiozłeś chyba niejedną?

Młodzian podał mu sporą paczkę. Barnim rozrywał po kolei pieczęci, czytał z coraz większym zaciekawieniem, ściągał brwi i gdy wreszcie skończył, wpadł w zamyślenie. Z daleka pochodziły te pisma, mówiły o ludziach i ziemiach mało tu znanych. A mimo to musiały zawierać sprawy bardzo mu bliskie, nie mógł się bowiem oprzeć wzruszeniu.

– O wielkich rzeczach mi piszą – odezwał się cicho. – Tak wielkich, że zastanawiam się, czy nie postąpiłeś lekkomyślnie, odprowadzając Fleminga. Gdyby te pisma dostały się w obce ręce, mogłoby wynikać nieszczęście. Domyślałeś się chyba, jak wielkie zawarte są w nich tajemnice?

– Domyślałem, ale Fleming potrzebował obrony. Krzyżacy na niego napadli.

Młody rycerz opowiedział krótko o wypadkach w okolicy Szczecinka.

– To cię tłumaczy – przyznał Barnim. – Flemingowie, stary woliński ród. Z moimi pradziadami chodzili ongiś do Ziemi Świętej i zawsze byli nam wierni, toteż i im trzeba pomóc w nieszczęściu. Dobrze zrobiłeś. Zresztą – roześmiał się – szczęście ci sprzyja, bo i tamtego przeprowadziłeś, i Krzyżaków potłukłeś, i listy dowiozłeś. Nie ma więc o co wymyślać. Co innego, gdybyś nie dowiózł. Wtedy bym kłął!

Poklepał go po ramieniu i wstał.

– Chodźmy do księżnej – rzekł biorąc paczuszkę, której do tej pory nie rozpieczętował. – Sam jej wręcz, aby miała więcej uciechy.

Przeszli do sąsiedniej komnaty. Z grona otaczających ją dworek wyszła im naprzeciw młodzianka niewiasta, tak podniecona, jakby na ich widok serce jej chciało wyskoczyć z piersi.

– Witam cię serdecznie, rycerzu miły – starała się bezskutecznie nadać głosowi poważne brzmienie. – Co przywozisz...

– Usuń dworki – szepnął jej Barnim do ucha.

Opanowała się, lekko skinęła ręką. W komnacie zrobiło się pusto.

– A teraz możesz się czuć jak u siebie w domu – roześmiał się. – Powitaj go ciepło, bo na to na pewno zasłużył, a potem krzycz z radości lub płacz. Jak ci wygodniej.

Księżna Jadwiga skorzystała skwapliwie z tej rady. Córka księcia litewskiego Tontwiłła i bliska krewna króla Jagiełły, dopiero od roku była żoną Barnima, toteż ciągle jeszcze przebywała myślami w rodzinnym domu, a ten młody rycerz właśnie przybywał z Litwy. Z jej ojcem stykał się stale, widywał się z matką, rozmawiał z rodzeństwem i znajomymi, przywoził od nich pozdrowienia i listy. Napływały więc falą miłe sercu wspomnienia i śmiech rzeczywiście przeplatał się często ze łzami, a on widząc, jak łaknie wieści, rozwoził się obszernie nad każdym drobiazgiem i tak zatoneśli w końcu w rozmowie, że zapomnieli zupełnie o księciu.

– Zamęczysz go, gadatliwa niewiasto – wtrącił się wreszcie rozweselony. – Nie widzisz, że ledwie dyszy? Pędził co koń wyskoczy, bronił po drodze słabszych, a i przy twoim ojcu napracował się na pewno rzetelnie. Jak tam wypadło? Książę był z ciebie zadowolony?

– Chyba tak... Nic o tym nie pisze?

– Pisz, pisz. Tak dużo, że aż się zląkłem, czy nie chce mnie tylko pogłodzić po sercu, jako że zapowiedziałem z góry, że wypożyczam mu nie byle jakiego figlarza. Naprawdę nałuskałeś mu tylu krzyżackich szpiegów?

– Sporo ich było.

– Więc tym bardziej musisz dobrze wypocząć. Nie wypuszczę cię teraz prędko.

Młodzian skłonił się wprawdzie w podzięcie za troskę, lecz widać było, że to zapewnienie nie sprawiło mu szczególnej radości.

– Boję się, że już jutro będę musiał odjechać – rzekł w zamyśleniu. – Podobno pan na Marzęcinie szykuje jakąś wyprawę?

Barnim popatrzył na niego bystro.

– Szykuje – potwierdził. – Na Wolin. Śledzę pilnie tę sprawę,

– Nie uderzył jednak dotychczas?...

– Nie.

– Wobec tego mogę pozostać do jutra, ale nie dłużej. Taki zjazd zbrojny pod okiem kamieńskiego biskupa może kryć niespodzianki. Wasza książęca mość nie weźmie mi więc chyba za złe, że szybko się wyniosę ze Słupska. Na pewno warto tam zajrzeć.

Barnim objął go przeciągłym spojrzeniem.

– Warto – przyznał. – Rozumiem to, a jednak puszczam cię niechętnie, bo również rozumiem dobrze, co znaczy taka wędrówka z Litwy do Słupska. Naprawdę powinieneś odpocząć.

– Odpocznę po obejrzeniu Kamienia. Może zresztą nie zabawię tam długo. Z wielkiej burzy nie zawsze jest wielki deszcz.

– Prawda – Barnim dobrodusznie poklepał go po ramieniu. – Jedź więc i wracaj jak najprędzej. Szczerze mówiąc, czuję się pewniej, gdy jesteś w pobliżu.

Młodzian wyszedł. Otoczyli go znowu znajomi dworzanie, ale nie poświęcił im dużo czasu i na długo jeszcze przed zapadnięciem zmroku położył się spać, rano zaś, rozmówiwszy się tylko z księciem, zniknął z zamku tak nieznacznie, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Ledwie jednak wydostał się za mury miejskie, przestał zachowywać ostrożność i popędził śmiało koszalińskim gościńcem. Kraj był już w pełni lata. Gdzie rzucił okiem, tam pochylały się łąny zbóż, raźnie krzatali się ludzie przy sianokosach, schludne zagrody tonęły w słońcu, nierzadko można było usłyszeć skoczną piosenkę. Stawał się coraz weselszy, coraz częściej przesuwaly mu się przed oczyma obrazy widziane w Polsce. Bardzo były do tych podobne. Co prawda, tam istniała potęga królów i pod ich berłem mógł wewnątrz kraju rozkwitać spokój. Tu rządził książę. Trudniej mu było, siła jego była niewielka. Ale i wokół niego, gdzie tylko mógł sięgnąć zbrojnym ramieniem, panowało wszechwładnie prawo i w jego cieniu wyrastał szybko dobrobyt.

Radował się więc młody rycerz z tego miłego widoku i jechał beztrudnie, ale w pobliżu Koszalina nabrał nagle czujności. Wjeżdżał w państwewko biskupie. Przed kilkunastu laty była to właściwie jedna wielka pustynia, z której burzliwe wichry zepchnęły ludzi do lasów, miast i zamków warownych. Później, gdy panem na kamieńskiej katedrze został książę Bogusław, życie zaczęło się powoli odradzać, lecz i dziś jeszcze czuło się dookoła skutki szalejącego dawniej bezprawia. Ugorów było mnóstwo, po wsiach – na miejscu niedawnych zgliszcz – wznosiły się, liche lepianki, nieliczni mieszkańcy kryli się po kątach na widok jeźdźców. Wszędzie czaił się strach, nadal bowiem bił się tu każdy z każdym i właściwie nie było władzy. Gdy książę chciał się wtrącić i zaprowadzić porządek, biskup przeciwstawił się temu stanowczo, jako że

było to jego „państwo”. Wymierzano więc nadal sprawiedliwość na własną rękę. Rycerz szedł na rycerza, mnich na mnicha, ksiądz na księdza, a wszyscy zgodnie niszczyli plony, puszczali z dymem osiedla i mordowali ludność, aby przeciwnika pozbawić roboczej siły. Zdarzały się też odruchy rozpacz. Umęczone chłopstwo, nie widzące przed sobą żadnej nadziei, porywało nagle za siekiery i drągi i bijąc kogo popadło, paliło dworzyszczka, kościoły, klasztory, jak to robiono od dawna w Meklemburgii, Brandenburgii i na Ziemi Dymińskiej.

Młody rycerz stawał się coraz czujniejszy. Gdy pozostawił za sobą Koszalin, pchnął naprzód pachołków i odtąd płoszył się często na tętent koni, omijał niektóre osiedla, niekiedy zapadał w chaszczce nadrzeczne i przemykał bocznymi drózkami. Wrogiem mógł tutaj być każdy: chłop ginący z głodu, rycerz pozbawiony majątku i sięgający zbrojną ręką po łup na gościńcu, mnich otoczony gromadą czeladzi i domagający się gwałtem okupu za przejazd przez „jego” dobra, wreszcie zwykły opryszek. A chyba były także inne przyczyny tej ostrożności. Znalazłszy się bowiem za Kołobrzegiem, znowu na ziemiach książęcych, krył się nadal i tylko znienacka dopadał do ludzi. Przeprowadzał niejednokrotnie bardzo dziwne rozmowy: to ze smolarzem ukrytym głęboko w borze, to z przypadkowo napotkanym żebrakiem, to w karczmie na zupełnym odludziu, to z dziadem siedzącym na progu kościoła. Dopiero gdy się ukazały mury miejskie Kamienia, popędził wreszcie gościńcem i wjechał śmiało do miasta, zatrzymał się przed zajazdem w pobliżu katedry. Dokoła kupił się wielki tłum szlachty i mieszczan podniecony czymś mocno, rozgadany, rzucający co chwila gniewne lub dla odmiany pełne zdumienia okrzyki. Wmieszał się w niego i przysłuchiwał uważnie. Nastrój był niecodzienny, lecz nie wydawał się nim zaskoczony. Jakby od niechcienia zagadnął o to i owo najbliższych sąsiadów, potem rozweselił żartem i niespodziewanie dwóch z nich wziął po przyjacielsku pod ramię.

– Ochłódźmy się – rzekł wprowadzając ich do gospody. – Chyba upał zamącił mi myśli, bo w tych gadkach ani rusz nie mogę doszukać się prawdy. Że zabito pana na Marzęcinie i wielu zebranych u niego rycerzy, mogło się zdarzyć. Że grodziszczce, chociaż umocnione silnie, poszło z dymem, rozumiem także. Ale dlaczego miałoby akurat maczać w tym palce jacyś złoczyńcy z wolińskiej wyspy?– Przecież do takiej roboty potrzebna ogromna siła, trzeba

by ją było przy tym przeprowić przez Dziwnę. A to droga niełatwa, bo wszędzie czuwają strażę. Nawet rycerska głowa nie dałaby temu rady.

– A jednak oni – padła stanowcza odpowiedź. – Biskup sprawdzał osobiście, a wierz mi: on potrafi prowadzić śledztwo. Ci sami łotrzykowie, którzy rok temu rozpędzili wielką obławę w wolińskim borze, a ekscelencję o mało nie pozbawili życia. Podobno jest wśród nich jakaś Krysta.

– Krysta?... Dziewczyna?

Usiedli przy stole, gospodarz podsunął kufle. Przepijając do siebie od czasu do czasu, młody rycerz zadawał równocześnie pytania i uzupełniał szybko swe wiadomości. Pan na Marzęcinie rzeczywiście przygotowywał od dawna zbrojną wyprawę. Żądny sławy i łaski biskupa, za którego pośrednictwem chciał sprzedać jak najdrożej Zakonowi Krzyżackiemu własny majątek, zbroił ludzi, ściągał przyjaciół, poruszył nawet sąsiednie księstwa. Ochotników nie brakło. Cichy bunt chłopski, który od wielu miesięcy trzymał szlachtę wolińską i tamtejsze duchowieństwo jak na uwięzi, sięgnął już daleko za Dziwnę i lada chwila mógł grozić wielkim wybuchem. Należało go poskromić w zarodku, zniszczyć źródło zarazy. Przygotowania do uderzenia były posunięte daleko i wyznaczono nawet dokładną datę, gdy niespodziewanie spadło nieszczęście. Przedwczoraj w nocy, gdy akurat odbywała się walna narada przywódców, wkradła się do grodziszcza jakaś wielka gromada zbrojnych, spaliła je i wszystkich, którzy się w nim znajdowali, wybiła doszczętnie.

– Niesamowite – młodzian westchnął. – I mówicie, że przepadła bez śladu?...

– Co w tym dziwnego? Wokół olbrzymie bagna i uroczyska. A i bór niedaleko.

– Rozumiem... Ale jak się mogła dostać do środka? Straży nie było?

– Były, i to właśnie najbardziej zastanawia, bo napastnicy pojawili się nagle w środku, chociaż nie odezwał się żaden sygnał. Ktoś musiał zdradzić, ktoś może wcześniej usunął strażę. A może właśnie strażnicy byli z tamtymi w zмовie?...

Młodzian znów popił i w wielkim zdumieniu pokręcił głową.

– Przedziwna historia – doszedł do wniosku. – Tak dziwna, że aż

wierzyć się nie chce. Musiał się ktoś jednak ocalić, jeśli macie takie dokładne wieści?

– Dwóch ciężko rannych pachołków opowiedziało coś niecoś. Dzisiaj już i oni nie żyją.

– A z tamtych ktoś padł?

– Nie wiadomo. Może zabrali swoich. Na placu nie znaleziono nikogo.

– Niesamowite...

Zadumali się wszyscy. Młodzian spojrzął na izbę: inni chyba też ulegli tym samym nastrojom, rozmów bowiem prawie wcale nie było słyhać, za to wszędzie widziało się zwieszono ponuro głowy.

– Niewesoło tutaj – mruknął niechętnie. – Wiecie co? – poruszył się naraz żywo. – Mam ochotę spojrzeć własnymi oczyma na pole bitwy! To zbrodnia, jakiej świat jeszcze nie widział, a przecież na każdego z nas może spaść takie nieszczęście. Byliście tam może?

– Nie.

– Jedźmy więc razem, aby się nie nudziło. A nuż człowiek nauczy się czegoś nowego albo nawet wpadnie na jakiś ślad!

– Hm, pomysł niezły... Ślad wprawdzie niepotrzebny, bo biskup go ma, ale popatrzeć na pewno warto.

Młodzian ruszył do wyjścia.

– O jakim śladzie wspomniałeś? – zagadnął od niechcienia. – Twierdziłeś przecież, że wszystko zniknęło w błotach.

– Są inne sposoby – padła tym razem nadspodziewanie ostrożna odpowiedź. – Na bagnach nie będą siedzieli wiecznie, wiadomo...

Młody rycerz rzucił nieznacznie okiem na swego rozmówcę i już o nic więcej nie pytał. Przepchnął się przez ciżbę do koni, a gdy się znaleźli za miastem, znów się rozgadał, zmienił jednakże zupełnie temat. Niewiele starsi byli ci jego przygodni towarzysze podróży, skłonni do wesołości, toteż nie szczędził im teraz żartów i zabawnych historii, a że i oni nie pozostawali mu dłużni, coraz weselej i huczniej pędzili wprost na południe.

Gdy znaleźli się na marzęcińskich zgliszcach, słońce stało wysoko. Obeszli je wkoło, przeżegnali się uroczyście, westchnęli. Dopiero tutaj, na miejscu, można było zrozumieć w pełni ogrom zniszczenia. Grodziszcze było położone na wzgórzu, podmurowane kamiennymi głazami, z potężnych

kłoców był zbudowany ostrokół. Zamiast niego sterczały jednak obecnie nisko nad ziemią opalone kikuty, wyglądające tak samo żałobnie, jak szczątki budynków.

– Chyba lepiej, że właściciel nie żyje – młodzian melancholijnie pokiwał głową. – Trułyby się tym widokiem do końca życia, bo przecież nigdy by nie zdołał odbudować takiego grodziszcza. Pokolenia je umacniały.

– Na pewno. Miałeś też słuszość twierdząc, że można się tu czegoś nauczyć: gdy ktoś chce napaść na ciebie, uderzaj wcześniej. Łotrzykowie znają widocznie dobrze tę wojenną zasadę, a przy tym trafili od razu w serce. Dziś każdy dwa razy najpierw pomyśli, zanim wypowie im wojnę.

– Ale biskup, jak wspomnieliście, ma na nich sposób?...

Młody rycerz spoglądał w zamyśleniu na północ. Szeroko rozkładały się tam bagniska, usiane gęsto drobną krzewiną i olszynowymi gajami i ciągnące się po horyzont wzdłuż rzeczki Grzybnicy.

– A ma! – padła mocna odpowiedź. – I dziś w nocy przyciśnie ich przy przeprawie na Dziwnie.

– Sądzicie, że wychylą się z błot?... Skąd taka pewnośc? A nawet jeśli spróbują z nich wyjść, mogą przecież pójść w bory na wschód. Po co się przedzierać przez rzekę?

Jego towarzysze parsknęli śmiechem.

– Wilka zawsze ciągnie do nory – jeden z nich przemówił wesoło. – Wiesz, sprawa wygląda tak – chociaż nie było nikogo w pobliżu, ściszył naraz głos prawie do szeptu. – Kilkakrotnie już próbowali się dostać do Dziwny, ale brzeg tak zdążono obstawić, że mysz się przez niego nie przemknie. Gdyby pilnowano go dłużej, może by rzeczywiście ruszyli w końcu na wschód. Nie o to jednakże idzie. Trzeba ich schwytać i ściąć. Dzisiejszej więc nocy w tym szczelnym dotychczas murze nad rzeką utworzy się wolne miejsce. Niech idą!

– Chyba to za prosty sposób na ludzi, którzy potrafili tak zaskoczyć pana na Marzęcinie – młody rycerz powątpiewająco pokręcił głową. – Domyślą się łatwo podstęp.

Jego towarzyszy znów ogarnęła wesołość.

– Nie domyślą! – padła pewna siebie odpowiedź. – Dawno by wpadli w nasze ręce, lecz najwidoczniej ostrzega ich chłopstwo. A dziś jeden z tych wiernych im chłopów poprowadzi ich w otwarte szeroko przejście, wsadzi

cichaczem do łodzi i między Łuskowem a Korzęcinem wypuści na drugi brzeg. A tam już będą na nich czekali pachotkowie z Kamienia!

Młodzian aż klasnął w ręce z nagłego zachwytu.

– Chytry plan, godzien biskupiej głowy! – wykrzyknął. – Tego chłopca należałoby chyba ozłocić. Jest oczywiście na usługach jego ekscelencji?

– Chyba nie... Biskup nie zajmuje się przecież osobiście takimi drobnymi sprawami. Ale że to musi być chytry szpieg, jeśli zdołał zyskać zaufanie łotrzyków, to pewne. Byle kogo nie wysyła się przecież na taką robotę.

Młodzian objął ich przeciągłym spojrzeniem.

– Że też do was doszły te wiadomości – zadziwił się. – Musicie być dobrze widziani na dworze biskupim!

– Służymy mu zawsze wiernie. Chociaż tym razem starano się i przed nami ukryć niejedno, ale jak to bywa: im mniej okazuje się komuś ufności, tym człowiek staje się dociekliwszy. Zaczęliśmy węszyć i wywęszyliśmy. Przyjaciół ma się przecież niemało!

Roześmiali się, roześmiał się także młodzian.

– No, trzeba wracać – rzekł rozbawiony. – Ciekawe, czy się to uda...

– Musi się udać!

Gawędząc dalej, zeszli ze wzgórza, dosiedli koni i ruszyli w drogę powrotną. Nie ujechali już razem daleko. Młody rycerz skręcił do Golczewa twierdząc, że musi tam być jeszcze przed zmrokiem, pożegnał więc ich wylewnie, ledwie jednak znikli mu z oczu, zatrzymał swego wierzchowca. Przestał się śpieszyć. Dwaj wiernie mu zawsze towarzyszący pachotkowie spojrzeli na niego trochę zdziwieni, lecz że przyzwyczaił ich w czasie licznych podróży do niespodzianek, usiedli obok na trawie i czekali cierpliwie na dalsze rozkazy. Im, także się nie śpieszyło. Dzień był piękny, z pól, lasów i łąk napływały balsamiczne zapachy i płucom dodawały świeżości, nęciła soczysta trawa. Ułożyli się więc w końcu na niej wygodnie i widząc, że nie są potrzebni, zapadli w drzemkę.

– Czas w drogę – zbudził ich rycerz, spoglądając na słońce.

Mknął teraz szybko, lecz w przeciwnym kierunku. W Wolinie urządził tylko króciutki popas; wydostawszy się z murów, skręcił wkrótce na prawo, minął Unin, wpadł do Kodrąbia. Znów przestał się śpieszyć, za to rozglądał

się bacznie. Wieś nie zmieniła się wcale od czasu, gdy Schippenbeil odprawiał tu nabożeństwo. Zgliszcza natomiast przestały istnieć i na ich miejscu podcią-gano właśnie pod dach nowe dworzyszcze.

Zajechał tam i obejrzał starannie roboty.

– Ładny dom – pochwalił. – Dla kogo stawiacie?

Kilku ludzi, zajętych dotychczas tarcie drzewa, przerwało pracę.

– Dla pana na Łęgach – padła obojętna odpowiedź.

– O!... – zdziwił się. – Czyżby wrócił młody Kagen i sprzedał majątek?

– Młody nie wrócił, dzisiaj więc rządzi wielbny biskup z Kamienia. On oddał go panu na Łęgach w dzierżawę, a za zbudowanie domu zwolni go na pięć lat z kościelnej daniny.

Odpowiedzi dawano wprawdzie uprzejmie, lecz zwięźle i nie czuło się w nich chęci do przedłużania rozmowy. Ruszył więc wkrótce dalej. Na skraju wsi ujrzał młodą niewiastę, zajęłą przed chatą karmieniem dzieci.

– Gorąco – westchnął zsuwając się przed nią z siodła. – Podaj mi wody lub mleka.

Przysiadł w cieniu. Weszła bez słowa do domu i po chwili przyniosła mu kubek wody.

– Mleka zabrakło – rzekła. – Dzieci wypity.

– Nie szkodzi. Dawno tutaj nie byłem – rozglądał się z zaciekawieniem po okolicy. – A co z waszą Krystą? – zagadnął zniemacka. – Nie schwyтали jej jeszcze?

– Nic o tym nie słyszałam.

I ona nie zdradzała chęci do rozmowy, chociaż nie wyglądała na zastraszo-ną. Przyjrzał się jej uważnie i zamiast wypytywać ją dalej, zajął się dziećmi, nad podziw szybko zyskał ich zaufanie, żartem i wesołością rozbawił wkrótce i matkę. Zanim się spostrzegła, gawędziła z nim tak swobodnie, jak z sobie równym.

– Zachowujesz się zupełnie jak Krysta – roześmiał się. – Ona też się nie boi nikogo.

Splonęła nagle rumieńcem, przycichła.

– Ale dziś chyba wpadnie wreszcie w ręce kamieńskich pachotków – przemawiał dalej beztrzesko, jakby wcale nie dostrzegł jej pomieszania. – Jeśli nawet nie ona, to na pewno jej ludzie. Słyszałem po drodze...

Coraz monotonna i obojętnie opowiadał o szpiegu przyczajonym na ludzi uchodzących spod Marzęcina, o zreźnie zastawionej pułapce, o miejscu, w którym nastąpi atak. Niewiasta wbiła oczy w ziemię i znieruchomiła, jakby z tego wszystkiego nie chciała uronić słowa. Dzieci, znużone tą przydługą rozmową starszych, szarpnęły ją raz i drugi za suknię, lecz odegnała je szorstko.

– Na mnie czas – powoli podniósł się z miejsca. – Ależ ci nagadałem ploteczek! – udał znowu wesołość. – Co cię może obchodzić jakaś tam Krysta? Tu się wprawdzie urodziła, zabiła wam jednak von Reetza i za to należy się kara. Mnie jej trochę, co prawda, żal. Nie musiała być taka zła, jeśli rycerz Kagen tak bardzo ją lubił. A to był wielki rycerz. Znałem go dobrze.

Podszedł do, konia i nogę włożył w strzemień.

– Biedna dziewczyna... – zamyślił się nagle. – No cóż, zginąć musi, bo kto ją ostrzeże? Ja, choćbym nawet chciał i nie bał się klątwy biskupiej, przecież do niej nie trafię...

Wskoczył na siodło, lekko poruszył wodze. Niewiasta wpatrywała się w niego jak urzeczona.

– Nie przejmuj się – machnął niedbale ręką. – Ja jej nie ostrzeżę, lecz może się znajdzie jakaś inna poczciwa dusza. Mam nadzieję, że i tym razem Krysta nie wpadnie w matnię.

Wyjechał na drogę i skierował konia w stronę warnowskich jezior.

– Panie! – krzyknęła za nim. – Jak was wołają? Obejrzał się i uśmiechnął. Wydała mu się bardzo wzburzona.

– A to ci do czego potrzebne?

– Taki miły pan trafia się rzadko – opanowała się szybko. – Warto więc go zapamiętać. A zresztą – pod jego swawolnym trochę spojrzeniem stawała się też coraz weselsza – powinnam przecież powiedzieć Kryście, kto jej okazał taką życzliwość. A nuż kiedyś tu zajrzy?

– Prawda, może się to zdarzyć – dobrodusznie pokiwał głową. – Opowiedz jej wtedy, że widziałaś Rycerza z Lasu.

– Rycerza z Lasu?... Żartujesz, panie.

– Powtórz wiernie. Od tego może zależeć jej życie.

Nacisnął konia ostrogami, popędził kłusem. Pogodna dotychczas twarz zmierzchnęła nagle i coraz bardziej pokrywała się troską.

III

Nadchodził wieczór. Nad Gardnem panował zupełny spokój i tylko przechadzający się powoli na brzegu Steffen świadczył swą obecnością, że w tej głuszy znajdują się jednak ludzie. Natomiast o kilkaset kroków od jeziora, gdzie przed kilku miesiącami pobudowano ładne dworzyszcze i obszerną zagrodę dla koni, wciąż było słychać szybkie dźwięki bijącej o siebie stali. To Krysta szła z Gambą na ostre. Biorąc stale udział w ćwiczeniach, walcząc w lekkim okryciu i w ciężkiej zbroi, prując z angielskich łuków i z kuszy, przejmując od każdego z mieszkańców grodziszczu coś ciekawego, nabrała w ciągu tego roku wielkiej biegłości w wojennym rzemiośle i teraz Obodrzyt musiał się dobrze uwijać, aby uchronić głowę. Widać było zresztą, że bardzo mu się podoba ta groźna dla oka zabawa. Zasapał niekiedy z zadowolenia, pognął sam siebie różnym okrzykiem, przytupnął hucznie, wybuchnął śmiechem. Zazwyczaj trwało to krótko. Miecz już pędził na niego i trzeba było zatrzymać go szybko.

– Starczy na dziś – opuścił nareszcie oręż. – Człek się chyba starzeje albo ty masz za ładne oczy, bo gdy nimi strzelisz, tracę od razu siły. Całe szczęście, że jesteś po naszej stronie. Gdyby mi przyszło stanąć przeciwko tobie w prawdziwym boju, nie jestem dziś pewien, czy Steffen nie musiałby ogłosić po mnie żałoby.

Usiadł na ławie przed domem i gawędził dalej. Dawno minęły te czasy, kiedy patrzył na nią lekceważąco, a chyba nawet trochę ze złością, jako że jej obecność zamąciła ustalony tu z dawien dawna, czysto męski porządek. Dziś nie wyobrażał sobie bez niej grodziszczu. Umiała w nim gospodarzyć, w razie potrzeby stawiała dzielnie w jego obronie, w jakiś niezwykle sposób potrafiła wydobyć z każdego zakątka wyspy najskrytsze wieści. A przy tym jak czarodziejka z baśni rozsiewała wokół przedziwny urok, który zniewalał najtwardsze dusze. Boranta wodził za nią wzrokiem jak urzeczony, Borek gotów był skoczyć w ogień, Sum kręcił się niespokojnie, gdy jej nie było w pobliżu, Wargin i Kruża ze swymi ludźmi szli za nią bez chwili namysłu, nowi ochotnicy z okolicznych wsi, których ostatnio ściągnięto sporo, wpatrywali się w nią w nabożnym skupieniu. Nawet Steffen, ten mądry Steffen, którego wielki Stortebeker postawił na czele grodziszczu, naradzał się z nią coraz częściej

i darzył ogromną ufnością. Prawda: ona też się radziła, nie lekceważyła nigdy cudzego zdania, z wielkim wyczuciem potrafiła odkryć w każdym jakieś wartości. Choć nie wyróżniała nikogo, wpływ miała ogromny i jedno jej słowo potrafiło uciszyć największą wrzawę. Trochę kłopotu sprawiali jej niekiedy ci, których pochwycono na morzu. Burzliwi to byli zazwyczaj ludzie, widok dziewczęcych oczu podniecał ich łatwo. Jej chłodne spojrzenie jednak i ciche, ale stanowcze słowa działały jak zimna woda na rozpalone umysły, reszty dokonywał przykład innych i otaczający ją nimb nietykalności. Pod ich wpływem czupurny początkowo korsarz zamieniał się wkrótce w łagodnego baranka.

Gamba zerknął na nią nieznacznie. Siedziała obok, wpatrując się w ludzi obrabiających bale na wznoszony dokoła zagrody ostrokół.

– Czas do domu – rzekł spojrzawszy na niebo. – Lada chwila powinny napłynąć wieści.

Drgnęła, bo właśnie o tym samym myślała. W wyprawach na dworzyszczu rzadko brała udział, prowadził je Wargin. Zazwyczaj powracał szybko. Obecnie jednak ruszył po raz pierwszy za Dziwnę i po raz pierwszy schwycono go w potrzask. Już wczoraj dowiedziała się o zwycięstwie, słyszała o drużynach strzegących rzeki, znała dokładnie ich ruchy, posłała nawet na bagna nad Grzybnicą ostrzegawcze wieści. Właściwie nie powinna się martwić, uchodzący bowiem oddział otoczony był wielką życzliwością okolicznej ludności i w razie niebezpieczeństwa uskoczy w lasy. Mimo to zakradał się nieustannie do serca niepokój. Coś tam zepsuło się w przemyślanym dokładnie planie. Służba miała unieszkodliwić wartowników, przez ostrokół przerzucić liny. Choć tak właśnie zrobiono, doszło w końcu do bitwy krótkiej wprawdzie, ale zażartej. Mogły być straty, może nawet są liczni ranni. O tym wieści dotychczas nic nie mówiły. I nie mówiły także, czy to nie oni właśnie są przyczyną tej zwłoki i wszczętego nad Dziwną alarmu...

Krysta wstała. Idąc powoli za Gambą, nadal nie odrywała myśli od Marzęcina, Grzybnicy i Dziwny, lecz niespodziewanie zamącił je Steffen. Nadchodził z takim pośpiechem i tak wydawał się podniecony, jakby już się waliło na nich jakieś nieszczęście.

– Jest dwóch gońców – rzekł, stając przy nich. – Mówią tak różne rzeczy, że nic nie mogę z nich wymiarkować. Jeden twierdzi, że od rana i po tej

stronie Dziwny nieustannie kręcili się zbrojni, lecz niedawno zdjęto nad rzeką wszystkie czaty, zostawiając je tylko koło Wolina. Drugi natomiast przyniósł ostrzeżenie: nastawiono pułapkę i nasi wpadną w nią w nocy!

Gdy znaleźli się w grodziszczu, gońcy powtórzyli raz jeszcze wszystko.

– Czy wszyscy zbrojni, którzy znajdowali się po tej stronie, odeszli za Dziwnę? – Kry sta wpatrzyła się bacznie w jednego z nich.

– Trudno ich było policzyć, bo kręcili się ciągle, łączyli, znów rozchodzili. Grupkami i pojedynczo. A koło Korzęcina był taki tłok, że najmędrzy by się w tym nie połapał. Chyba jednak wszyscy... Sprawdzają wielu ludzi: z tej strony nie ma nikogo z obcych.

Krysta przesunęła wzrok na drugiego.

– Skąd masz wiadomość o przygotowywanej zasadzce?

– Z Kodrąbia. Od młodej Bugdałowej spod boru.

– A jej kto o tym powiedział?

– Rycerz z Lasu.

Twarz Krysty poszarzała, jakby zaczęła odpływać z niej krew. Gamba sądząc, że targnęła nią trwoga, machnął niedbale ręką.

– Nie przejmuj się – rzekł. – Ktoś z nas zakpił albo sam może szykuje zdradę. Rycerz z Lasu! – roześmiał się. – Ładne wymyślił sobie przezwisko.

Krysta pochyliła głowę. Z największym trudem opanowywała wzruszenie, które spadło na nią znienacka i teraz obrazami przeszłości targało duszę. Od roku o tym dziwnym człowieku nie miała najmniejszej wieści. Z znów się pojawił... Jak zwykle w chwili niezmiernie trudnej...

– Spróbuj powtórzyć jak najwierniej, co przekazała ci Bugdałowa – przemogła się wreszcie, – Każde słowo się liczy.

Odeszła wkrótce do swojej izdebki. Gdy wróciła, gońców nie było.

– Odjeżdżam – odezwała się do Steffena.

– Dokąd?...

– Pod Łuskowo, gdzie zastawiono pułapkę. Na ostrzeżenie naszych za późno. Pozostaje więc tylko pomóc im w bitwie.

– Oszalałaś? – przypadł do niej gwałtownie Gamba. – Nie widzisz, że ktoś nastawia na ciebie pułapkę?

– Nie nastawia – odrzekła cicho. – Jeśli ostrzeżę Rycerz z Lasu, każde jego słowo na wagę złota.

Gamba zaniemówił. A i Steffen ważył coś długo w myślach.

– Znasz tego człowieka? – odezwał się wreszcie.

– Znam.

– I rzeczywiście można mu ufać?

– Ja mu ufam.

– W takim razie powinnaś pójść tamtym na pomoc. Gamba, podziel ludzi. Połowę zabierze Krysta, a ty idź z nią albo pozostań. Jak ci wygodniej.

Stali mieszkańcy i ludzie ze statków przeważnie nie brali udziału w wyprawach lądowych, trzeba było bowiem strzec także grodziszcz. Od południa bronił go bór i dużo czasu było potrzeba, aby do niego dotrzeć. Od morza jednak było właściwie bezbronne i gdyby ktoś odgadł tajemnicę tego zakątka, mógł śmiało na nie uderzyć, toteż Kryście nawet nie przyszło do głowy, aby uszczuplać skromną załogę. Steffen więc postąpił bardzo odważnie, odczuła to mocno. A i Gamba jej nie opuścił. Przejęta do głębi tymi oznakami przyjaźni, szła raźnie poprzez tonący w mroku, odwieczny bór, pociągając za sobą konia, a im bliżej była zbójeckich pieczar koło warnowskich jezior, tym lżej się jej robiło na sercu. Tam przygotowywano zasadzkę. Tu na tę zasadzkę szykowano już inną, a chociaż wróg będzie miał na pewno przewagę liczebną, nie wytrzyma uderzenia z dwóch stron i w końcu sam wpadnie w matnię. A gdyby...

Rozjaśniało się przed nią. Zanikał potężny bór, z boku mignęła jeziorna tafla. Wyminęła ją, dosiadła konia i nie śpiesząc się zbytnio, aby odgłosem kopyt nie wzbudzić czyjejs uwagi, przekradła się wygonami do chynowskiej drogi.

– Ukryjcie się gdzieś w pobliżu – rzekła do Gamby. – Ja pójdę dalej, aby wypatrzeć wroga.

Przyjął to jako rozkaz. W ciągu tego roku przekonał się wielokrotnie, że nie tylko w sile, ale i w podchodach rzadko kto jej może dorównać, był więc spokojny i zajął się zaraz swoimi sprawami. Wynałazł wykrot osłonięty dobrze tarniną, schował tam ludzi i konie, usiadł i zapatrzył się w gwiazdy. Przesuwały się powoli po niebie, niespodziewanie wyjrzał sierp księżycowy. Zdziwił się, bo mu się wydało, że widzi na nim pośrodku garb, i tak się zamyślił, że nawet nie dostrzegł pochylającego się nad nim cienia.

– Rzeczywiście zdrada – usłyszał szept.

Zerwał się z miejsca jak oparzony.

– Chryste Panie... – wyjąkał. – Skradasz się zupełnie jak kot. Aż ciarki mnie przeszły... Więc mówisz, że zdrada?

– Prawie trzydziestu ludzi siedzi ukrytych w kępie nad brzegiem rzeki. Podejść dość trudno, bo po drodze czyste pole, a potem bagna, toteż musimy zaraz wyruszyć, aby czasu nam nie zabrakło. Przywiązać konie – zwróciła się półgłosem do wszystkich – i czuj duch. Nic nie może zachręścić.

Poprowadziła ich najpierw śmiało wśród nierówności, potem chyłkiem, a gdy kępa była już blisko, zaczęła się czołgać. Pachołkowie kamieńscy nieprędko chyba spodziewali się walki, zachowywali się bowiem dość głośno. Korzystając z tego, rozmieściła starannie ludzi na suchych miejscach, ubezpieczyła dobrze dwóch przybyłych z nimi łuczników i w końcu sama przysiadła. Nieprzyjaciół miała prawie pod ręką. Za nimi widniała jasna smuga rzeki, za nią rysował się czarną linią brzeg przeciwny. Przyłgnęła tam wzrokiem, starając się coś z niego wyczytać, zmęczyły ją jednak szybko migające nieustannie przed oczyma cienie i blaski. A i pachołkowie mieli pewnie dość tego przydługiego czekania, cichły bowiem rozmowy, ustały przechadzki, ten i ów układał się na ziemi i zasypiał, i wreszcie pozostały na nogach jedynie strażę.

Przesuwał się powoli sierp księżycowy, coraz jaśniej świeciły gwiazdy. Dokoła panowała zupełna cisza. Jak szept z zaświatów zakradał się do uszu szum leniwie toczącej się rzeki, zagadał niekiedy raźniej, od czasu do czasu jakby przytaknął sam sobie pluskiem. Zdawało się, że snuje jakąś przedziwną opowieść o tych odległych wiekach, kiedy płynęły tędy rzymskie galery i łodzie Wikingów, gdy duńskie okręty uderzały zaciekle na nie mniej groźne okręty słowiańskiej Winety, gdy przeciw wrogim zastępom występowały tutaj mnogie roje Pomorzan. Naraz do tej bohaterskiej opowieści zakradły się jakieś odmienne dźwięki, Krysta spojrzała czujniej. Brzeg przeciwny był ciemny jak przedtem. Przed nim natomiast na jasnej tafli wody rysowały się teraz wyraźnie trzy ruchome punkciki.

– Achtung! – przytłumiony niemiecki rozkaz poderwał na nogi kamieńskich ludzi.

Krysta patrzyła. Czarne punkty na rzece nabrały kształtów, zamieniły się

w łodzie, coraz lepiej było widać ludzkie postaci. Przyklęła ostrożnie, wyciągnęła miecz z pochwy. Tam wzrastał plusk, szybko i równo poruszały się wiośła. Uniosła się powoli na palcach, bacznie śledziła wrogów: odsunęli się od brzegu, jakby chcieli tamtym ustąpić miejsca, zginęli w krzakach. Spojrzała znowu na rzekę. Łodzie dobiły właśnie i bezszelestnie zaczęli z nich wyskakiwać ludzie z grodziszczka.

Krystą targnął niespodziewanie niepokój. Łodzie już się oddaliły od brzegu, już niknie plusk, ludzie ruszają. Poznaje na przedzie Krużę. Jak spod ziemi wyrastają za nim dwie pochylone postaci. Coś dźwigają, z pewnością nosze. Ktoś chyba jest ciężko ranny...

Serce Krysty uderzyło naraz nierówno. Nie mogło być wątpliwości: Kruża stał tam obecnie na czele! I nigdzie nie było widać Wargina...

– Halt!

Twardy, niemiecki rozkaz zdusił jej myśli.

– Jesteście otoczeni – ten sam niemiecki głos przemawiał coraz dobitniej.

– Obrona nie przyda się na nic. Odrzućcie oręż!

Krysta świsnęła przeciągle. Jakby jej w odpowiedzi, bzyknęły z boku strzały, dwaj pachołkowie runęli martwi. Skoczyła naprzód i tnąc przed sobą zaciekle, wbiła się od pierwszego rozpędu w sam środek wroga. Zmieszał się w pierwszej chwili, przeraził, cofnął gwałtownie i odbił od Gamby prącego z przeciwnej strony, uskoczył znowu i nadział na włócznie Kruży i jego ludzi. Trup sypał się gęsto, lecz nagle coś się zmieniło. Ktoś tam przywrócił porządek, powstrzymał napór i niespodziewanie zamknął Krystę jak w matni. Zawinęła mieczem, zyskała niewielką przestrzeń. Ktoś jej wyskoczył naprzeciw. Skoczyła także i naraz noga ugrzęzła w wyrwie. Przeszył ją zimny dreszcz. Nogi nie mogła wydobyć, szarpnęła silnie. Zdrętwiało ciało, płonęła twarz. Noga tkwi wciąż w korzeniach, jakby ktoś ją przywiązał sznurem! A wokół coraz pośpiejniej i bliżej błyskają włócznie...

– Kraków! – wesoły, młodzieńczy okrzyk rozległ się tuż koło niej.

Krysta szarpnęła raz jeszcze. Ten nieoczekiwany okrzyk bojowy dodał jej sił, poczuła się wreszcie wolna. Lekkim uderzeniem odepchnęła pędzącą broń, poszła natychmiast sztychem, znowu ruszyła naprzód.

– Kraków! – głos obok rozbrzmiał weselej.

Cięła raz jeszcze, spojrziała w bok. Dostrzegła dobrze jej znaną sylwetkę Rycerza z Lasu, a za nim dwóch jego pachołków.

– Kraków! – zawiodła tak radośnie, jakby zapomniała zupełnie, że toczy się tu przecież śmiertelny bój.

Poszli odtąd ramię w ramię i jak okręt wojenny śmiało prując fale, tak oni teraz przecięli wroga na pół, połączyli się z Gambą, zawrócili, stanęli naprzeciw Kruży i wtedy wspólnie wymietli resztki.

Krysta odetchnęła głęboko. Spływało z twarzy dotychczasowe napięcie, gromadziła przez chwilę myśli. Powoli podeszła do noszy.

– Kogo dźwigacie? – spytała cicho.

– Wargina.

– Ranny?...

– Nie żyje.

Zamarła w milczeniu. Jakoś bardzo nieśmiało przysunął się do niej Borek.

– Nie użalaj się nad nim – rzekł ciepło. – Piękną miał śmierć, godną wielkiego rycerza. W Marzęcinie pierwszy wpadł do domu, trzech ludzi z mieczami z miejsca położył trupem. I byłby wyszedł szczęśliwie, gdyby nie głupi chłop. Ze strachu ukrył się pod stołem i wraził mu włócznią zniecka.

– Więc dlatego nie zdążyliście powrócić tej samej nocy...

– Nie wolno było się śpieszyć. Takiego przecież rycerza, nawet martwego, nie można pozostawić wrogom na pastwę.

– A inni?... Nikt więcej nie zginął?

– Nikt, a i teraz obeszło się, na szczęście, bez ofiar. Trochę jest rannych. Ale że każdy może się ruszać, dojdą do siebie szybko.

Krysta rzuciła okiem na brzeg przeciwległy. Łodzie widocznie dobiły do niego już dawno, gdyż nie było widać ich nigdzie.

– Wrzucie do wody poległych – wzruszony przedtem głos nabrał znowu zwykłego spokoju. – Ślady nam niepotrzebne. Niech się zastanawiają w Kamieniu, kto zginął, a kto im uciekł. Dziwna na pewno zachowa to w tajemnicy.

Gdy inni wykonywali tę pogrzebną robotę, podeszła do kryjącej się w cieniu postaci.

– Nie podziękowałam ci jeszcze, rycerzu – odezwała się cicho. – Oddałeś mi wielką usługę. Skąd się tu wziąłeś, nawet nie pytam; chyba mi nie

odpowiesz. Ale dlaczego okazujesz nam taką życzliwość, o to chyba spytać mi wolno?

– Dałem ci przecież kiedyś wisiołek. To wielki znak. Kto ma go w ręku, ten zawsze może liczyć na moją pomoc.

Wpatrzyła się w ziemię i przez pewien czas biła się z jakimiś myślami.

– A zawołanie? – odezwała się znowu. – Chyba nie rodowe. Że Kraków jest polską stolicą, wiem. Ale dlaczego użyłeś go w boju?

– Też ważny znak. Poznaje się po nim tego, kto trzyma z Polską. Stare to zresztą zawołanie, na Pomorzu wschodnim rozlega się ono od lat. Zwłaszcza przeciwko Krzyżakom. A że tu mieliście przed sobą też wraże krzyżackie słu-gi, użyłem go, abyście wiedzieli, że należę do innego obozu i że zjawia się przed wami przyjaciel.

– Dużo mi powiedziałaś... Zawrócisz tymczasem z nami?

– Jeśli pozwolisz.

Zza Dziwny zaczęły dobiegać przytłumione odległością okrzyki. Rzuciła tam okiem i dostrzegła na brzegu ruchliwe cienie. Spodziewano się stąd widocznie jakiegoś znaku zwycięstwa, w głosach czuło się wyraźnie niepokój. Doszła do wniosku, że i po tej stronie może się wreszcie ktoś ruszyć, kazała więc szykować się do drogi i wysunąwszy się zaraz na czoło, przeprowadziła oddział przez bagna i wygony do miejsca, gdzie były ukryte konie.

– Między Jezioro Kolczewskie a Duńską Górę – padły związane rozkazy. – Rannych na siodła.

Kruza prowadził. Krysta została w tyle i jak przedtem w boju, tak i teraz szła znowu ramię w ramię z młodym rycerzem.

– Domyślasz się, kto was zdradził? – zagadnął.

– Jeszcze nie. Dowiem się jednak.

– I co z nim zrobisz?

Spojrzała mu w twarz. Dawniej odgadywała tylko jej wygląd, ponieważ albo nie była widoczna, albo rozpływała się w mroku. A i obecnie rysowała się słabo w migotliwym świetle księżycowej poświaty, lecz może właśnie dlatego wydała się jej tak skupiona i pełna powagi, jak twarz Steffena w chwilach szczególnie trudnych.

– No cóż... – westchnęła. – Zdrajcy nie mogą chodzić po świecie. Ten zniknie także.

Przecinali drogę łączącą Kołczewo z Wolinem. Kruża przyśpieszył, więc i ona ruszyła szybciej. Przez dłuższy czas szli w milczeniu, omijając bokiem kodrańskie bagniska.

– Wiesz, że pan na Łęgach odbudowuje dworzyszczę? – odezwał się, gdy znowu zwolniono kroku.

– Wiem. Niech podciągnie pod dach.

– A potem spalisz?...

– Biskup nie ma prawa rozdawać cudzych majątków. Dzisiaj wystawią dom, a jutro sprzeda całe dworzyszczę i nikt go już nie odbierze, bo w najgorszym razie rzuci na kogoś kłatwę. A Kodrań musi należeć do rodu Kagenów!

Wzburzyła się. Spojrzał na nią nieznacznie.

– Chyba masz słusność – przyświadczył. – Spal więc. Młody Kagen nie będzie miał o to żalu.

Zmarszczyła czoło. Coś zastanowiło ją w tych słowach wypowiedzianych spokojnie i z taką pewnością siebie, jakby tylko ogłaszał wyrok, który już dawno zapadł gdzie indziej.

– Znasz go?... – odezwała się cicho.

– Prawie cały rok spędziłem na Litwie i tam spotykałem go często. Pamięta cię dobrze. Jeśli chcesz czuwać nadal nad Kodrańbkiem, pozostawia ci wolną rękę.

– A kiedy powróci?...

– Nie wiadomo. Złożył uroczyste śluby w Krakowie, że wstąpi na Wolin dopiero wówczas, gdy Zakon Krzyżowy zostanie strzaskany. Wraz z nim ślubowało wielu innych młodych rycerzy.

Drużyna skrzyła w lewo. Łany zbóż wysunęły się w stronę bagnisk, obeszli więc je i znów skierowali się na ciemne pasmo boru, już doskonale widoczne.

– Ten szpieg ciągle mi chodzi po głowie – rzekł w zamyśleniu. – Jeśli raz zgodził się na zdradę, będzie zdradzał dalej i wysledzić go trzeba, to pewne. Ale czy należy zabijać?...

– Na takiego nie może być innej kary.

– Słusznie. Powiesz jednak tego, na jego miejscu znajdzie się inny, którego nie znasz, i znów wpadniesz w matnię. A jeśli nie powiesz, łatwo pójść jego tropem i można wtedy zejść nawet bardzo daleko. Ten nad Dziwną pewnie jest tylko płotką, ktoś mu wydaje rozkazy. Popatrzysz dobrze i kto wie, czy

nie odkryjesz całego łańcucha, a w razie potrzeby zamiast jednego szpiega można by wyciąć od razu kilkudziesięciu. Razem z ich przywódcami.

Ostrożnie padały słowa, coraz więcej w nich było skupienia.

Krysta przystanęła raptownie.

– Sądzisz – wpatrzyła się w niego bacznie – że ten człowiek nie był tylko wynajętym chwilowo łotrzykiem, który się złakomił na biskupie pieniądze?

– Na pewno nie. Sprawdziałem to i owo po drodze. Gdyby pójść jego śladem, lecz z pewnością, najprawdopodobniej doszłoby się w końcu aż do Malborka.

Zwiesiła głowę i ruszyła za oddalającą się szybko drużyną.

– Mów dalej – rzekła po chwili. – Wiesz chyba więcej ode mnie, jeśli wysuwasz takie domysły.

Przemawiał odtąd coraz płynniej, coraz więcej wkładał w słowa zapału. Las się przybliżał powoli. Z lewej strony zaczerniały dworzyszczka Kagenów w Pustkowie i Duńskiej Górze, z prawej rozbiły jezioro.

– Jak widzisz, sprawa warta zachodu – kończył. – Krzyżacy wiedzą wszystko, nawet co się dzieje na dworach książąt. Widzę dobrze ich robotę, niekiedy zetnę jakiegoś szpiega. Do głowy jednak nie mogę dotrzeć. A szkoda, bo przez to marnieje niejedno piękne życie i niejedna poważna sprawa. Jeżeli więc masz ochotę, spróbuj. Może tobie lepiej dopisze szczęście.

– A gdyby... Gdybym dowiedziała się czegoś, jak ci przekazać?

– Wezwij mnie. Choćby przez dziada o jednym oku, siedzącego przed Kościołem Świętego Michała w Wolinie. Albo jeszcze prościej: przez zbójcę Łukasza z pieczary w warnowskim borze.

– Tam także masz znajomości?...

– Ano, mam – roześmiał się cicho. – Dla porządku dodam na wszelki wypadek, że o tobie i twoich ludziach Łukasz nigdy nie wspomniał słowem. Bardzo porządny zbójca. Pieniądze ciuła, ale nikogo nie zdradza.

Ziemia obniżyła się, nabrała wilgoci, zagroziła im drogę bujna krzewina. Krysta zarządziła postój.

– Tu musimy się rozstać – rzekła zwracając się do młodego rycerza. – Raz jeszcze dziękuję za pomoc. Postaram się kiedyś jakoś odplacić.

– Odpłacisz najlepiej, jeśli zachowasz życie – rzekł ciepło. – Nie narażaj się zatem zbytnio. I nigdy sama nie pchaj się między wroga, bo ciasnota w bitwie i niepewna ziemia pod stopami mogą się okazać groźniejsze niż nieprzyjaciel.

– Teraz rozumiem to dobrze...

Jakby w poczuciu winy, zwiesiła głowę. Dostrzegł natychmiast jej pomieszanie.

– Nie przejmuj się – przemówił wesoło. – Człowiek uczy się ciągle i nie wspominałbym wcale o tym, gdyby mi nie zależało na twoim życiu. Muszę dbać o nie. Obiecałem przecież zrobić z ciebie królową!

– Pamiętasz?...

– Jakże mógłbym zapomnieć! Szarfa zresztą mi przypomina. Mam ją przy sobie zawsze!

Sięgnął do kieszeni, swawolnym trochę ruchem rozwinął przed nią pasową wstęgę. Spojrzał na nią i nagle skupił się w sobie, na jej twarzy bowiem nie dostrzegł wcale radości. Jakby, w popłochu przesunął wzrok dalej: zmęczeni ludzie siedzieli w milczeniu. Pośród nich leżały na ziemi nosze z ciałem zakrytym szczelnie skrwawioną derką.

– Głupstwa plotę – odezwał się cicho. – Zachciało mi się żartów, gdy obok pogrzeb... Zdaje się, że bardzo lubiłaś tego Wargina?

– Znałam go od lat. Dzielny był przy tym i mądry. I to on pierwszy pomyślał o mnie w chwili nieszczęścia... Takiego niełatwo zapomnieć.

Przemknął w górze wiatr, zaskrzypiały gałęzie, rozszeleściły się liście. Księżyc zanikał. Jak stada ptactwa uchodzącego na południe, gromadami zaczęły napływać znad Bałtyku ciemne obłoki.

– Ranek – rzekł spoglądając na niebo. – Wy musicie ukryć się w borze, a i na mnie już czas. Obyśmy spotkali się kiedyś w weselszej chwili.

Wziął ją za rękę, uściśnął i znieruchomiał. Wydało mu się nagle, że z widniejących naprzeciw oczu przenika do jego ciała jakieś przedziwne ciepło i napęnia je coraz większą błogością.

– Bywaj – dodał porywczo, jakby zląkł się tego spojrzenia. – Przede mną daleka droga.

– A dziś gdzie złożysz głowę?... Nie spałeś przecież przez całą noc.

– Zobaczę. Może wśród zbójców... Dla takiego wędrowca garstka siana wystarczy.

Ruszył przed siebie szybko. Smukła sylwetka mignęła raz i drugi pośród krzewiny, pobladła i niespodziewanie rozplynęła się w mroku. Krysta odwróciła się powoli. Jak przez mgłę ujrzała wpatrzonych w nią bacznie ludzi.

– W drogę – rzekła chropawo. – Od jutra czeka nas nowa robota.

TESTAMENT ZZA GROBU

I

I znowu przeminął rok, a gdy nad Bałtykiem przetoczyły się sztormy jesienne i buki strząsnęły z siebie powiędłe liście, oko Swantewita stężało nagle i pokrywszy się bielmem, sprawiało wrażenie wielkiej niemocy. Żrenica jednak wciąż żyła, rozglądała się nawet dziś baczniej niż kiedykolwiek. Kończył się przecież ten burzliwy, przepelniony bezprawiem i okrucieństwem, czternasty wiek, w którym krzyż chrześcijański służył grabieży i mordom z taką samą bezwzględnością jak miecz; w którym papieże szli na papieży, królowie na królów, księżęta na księżąt i wszyscy w imieniu Boga; w którym co święte stało się tylko przywilejem ubogich i pokrzywdzonych, a podłość przybrana w bogate szaty i wsparta na sile miała uchodzić za świętość. Ale oto już świtał w mrokach wieczności nowy, piętnasty wiek. Tamten aż nadto był znany, toteż wy ciągnięto z niego ponury wniosek: zbliża się koniec świata, za grzechy możliwych ucierpią wszyscy. Ten natomiast budził cichą nadzieję: a może jeszcze nie wszystko stracone?... A może Bóg w swej nieskończonej mądrości spojrzy łaskawszym okiem na ten padół rozpaczy, przepędzi hulające dotąd bezkarnie szatańskie sługi i wypali tylko co podłe, a uciemiężonym nareszcie nagrodzi mękę?...

Wielkie to były pytania. Ważył je chyba w myślach także Swantewit, kiedy bowiem rok 1400 uroczystym biciem dzwonów obwieścił swoje przybycie, oko obficie pokryło się bielą i tak nabrzmiało, jakby staczające się łyzy zastęły nagle pod lodowatym podmuchem północnych wichrów. Pod koniec stycznia jednak przejrzało znowu, w lutym pokryło się blaskiem, w połowie zaś marca nabrało jakiejś ogromnej mocy, jak gdyby pośród powszechnego

zamętu ujrzało nareszcie światło. Zdawało się, że wzywa do gotowości, domaga się hartu, za wszelką cenę pragnie podtrzymać wiarę w przyszłość i krzepiąc wciąż ducha, zapowiada równocześnie wielkie zwycięstwo.

Krysta, jak zwykle, śledziła je bacznie. Pod wpływem tego śmiałego spojrzenia okrzepła również i z coraz większą pasją oddawała się pracy. Miała jej dzisiaj po uszy. Szpieg, który o mało nie doprowadził do kłębki nad Dziwną, okazał się rzeczywiście początkiem wielkiego łańcucha. Posuwając się mozolnie, odkrywała stale nowe ogniwa, lecz aby dokonać takiego dzieła, musiała z konieczności tworzyć swoją własną, zwiadowczą sieć i obecnie pokryła nią prawie całą pomorską ziemię. Pociągnęła za nią niekiedy, kogoś tam postraszyła w razie niebezpieczeństwa, od czasu do czasu wrzuciła do środka muchę, aby pająk krzyżacki ukazał wyraźniej swe legowisko. Jak w zwierciadle, widziała dokładnie wszystko: Wolin i biskupie państewko, Wołogoszcz i Uznam, ziemię słupską i starogardzką, bogate miasta i nędzę słowiańskich wików, zebranych mnichów domagających się wielkim głosem kary boskiej na panów duchownych i świeckich za ich swawolę i nadużycia, samorodnych apostołów opowiadających zasłuchanym tłumom o powszechnej równości. Widziała rycerzy zakonnych i ich pacholków poczynających sobie coraz butniej, wypadających często z nienacka spod Bytowa czy z ziemi świdwińskiej i z byle powodu palących wsie przygraniczne. Od niedawna widziała również dobrze Konrada Bonowa, archidiakona z Trzebuszy. Posępna to była postać, najgroźniejsza chyba ze wszystkich. Z krzyżem na piersi i mieczem u boku przebiegał przez kraj jak płomień niszczący i wśród nieustannych hulanek, zachrypłych śpiewów, pijackich orgii puszczał z dymem osiedla za niezapłacenie na czas kościelnych danin, gwałcił niewiasty, wieszał i ścinał próbujących mu stawić opór. Wielkich łotrów nie brakowało na tej nieszczęsnej ziemi, on cieszył się jednak największą sławą. I to on właśnie należał tutaj do najbardziej zaufanych ludzi Zakonu Krzyżackiego i kamieńskiego biskupa...

Jak z rogu obfitości spływały codziennie meldunki. Gromadziła je skrzętnie, Boranta zaś zapisywał w wielkiej księdze co najważniejsze. Przeglądała ją często i dawno doszła do wniosku, że Wolin, jak ongiś, jest dzisiaj znowu cichą przystanią pośród wzburzonej fali. Rycerze rządzą łagodnie, księża

coraz sumienniej pełnili swe posłannictwo, Schippenbeil, otrzymawszy dobrą naukę, nie wtrącał się tu do niczego. A i po drugiej stronie Dziwny rzadko obecnie zdarzał się jakiś groźniejszy wypadek. Marzęcińskie zgłiszczu straszły nadal i już narastała na nich legenda.

Niezwykła to była księga. Jak do spichrzów, zsypywano do niej rzeczy małe i wielkie i jak w spichrzach ziarno opowiada znawcom o ziemi, na której wyrosło, tak te wieści, sięgające często korzeniami daleko poza pomorskie granice, mówiły o sprawach niekiedy bardzo odległych, a przecież niezmiernie ważnych. Wczytywała się w nie uważnie, coraz wyraźniej zarysowywał się jej przed oczyma przedziwny obraz. Oto w tym całym skłóconym świecie były tylko dwa państwa, do których nie docierały wewnętrzne waśnie. Na północy Zakon Krzyżowy: wspaniałe porządki, wielkie bogactwa, największa dziś chyba potęga zbrojna rozglądająca się czujnie jak wilk, gdzie i na kogo uderzyć. Naprzeciw Polska, żer smakowity. Wilk próbuje ją ugryźć, lecz ona trzyma się czujnie. Zagroziła mu nawet drogę do Litwy, upomina się coraz głośniejsze o zagrabione jej ziemie, w jej cieniu kryje się w miarę bezpiecznie, jak dotąd, Pomorze. Nadspodziewanie twarda to przeszkoda na drodze do nowych podbojów...

Dopiero w świetle tych wieści, dobiegających niekiedy z bardzo daleka, Krysta zrozumiała w pełni słowa Rycerza z Lasu i jego hasło bojowe. Kto chciał wyłamać wilkowi kły, musiał iść z Polską, bo tylko ona miała w tej chwili odwagę trzymać go na uwięzi. Czy zdoła jednak utrzymać długo? I czy da sobie radę, gdy zwierz skoczy jej w końcu do gardła?...

Zastanawiała się nad tym często. Obaw nie brakowało i nieraz zaciskała zęby, czytając jakiś nowy meldunek, lecz im więcej ich było, tym szerzej rozpinęła się i stała do Rycerza z Lasu coraz ciekawsze wieści. Nad wrogiem miała wielką przewagę. Jego sieć zwiadowcza była także bardzo rozległa, czuła to doskonale, kto jednak z nim współpracował, otrzymywał za to wynagrodzenie. Ona nie płaciła nikomu i chyba właśnie dlatego zyskiwała bez trudu ofiarnych i oddanych przyjaciół. Byli wśród nich mieszczenie i chłopci, pachołkowie i służba, piśmienni i niepiśmienni, a ich liczba stała się w końcu tak duża, że na jesieni trzeba było nieco inaczej ułożyć pracę. Do najwrażliwszych miejsc przenieśli się wypróbowani ludzie z grodziszczu. Przesyłki zajmowały dotychczas niemało czasu.

Odtąd oni, patrząc na wszystko z bliska, przesiewali wieści, wybierali co najważniejsze i we właściwej chwili odsyłali nad Gardno.

Steffen przyglądał się z zaciekawieniem tej niezwykłej robocie. Rad był jej szczerze, od Stortebekera bowiem nadal nie napływały żadne rozkazy i nie bardzo wiedział, co robić, a przy tym miał do Krzyżaków liczne urazy jako członek Bractwa i jako Duńczyk. Mimo ostrych upomnień, nawet nie myśleli o zwrocie Gotlandii jego krajowi. Pomagał więc coraz gorliwiej, całym swym doświadczeniem ulepszał stale sposoby działania, włączył w olbrzymie koło swoich dawnych zwiadowców. Wprowadził również obowiązkową naukę. Przed wypadkami w Kodrąbiu nie było nad Gardnem ludzi nie umiejących czytać i pisać; ci, którzy przybyli później, nie wszyscy znali tę sztukę. Teraz musieli się jej uczyć na równi ze sztuką wojenną, aby można ich było postawić na każdej placówce.

Tak więc grodziszczce zmieniało stopniowo swój dotychczasowy charakter i chociaż trzeba było wypaść niekiedy zbrojnie na morze albo za Dziwnę, więc było w nim dzisiaj spokoju. Za to meldunki z dalszych okolic psuły często pogodny nastrój, niektóre bowiem bywały tak straszne, że nawet najtwardsi ściskali zęby. Zdarzały się jednak i takie, które budziły zdziwienie już samym wyglądem. Któregoś popołudnia, pod koniec kwietnia, jeden z nich dostał się w ręce Krysty i chociaż przeczytała go kilkakrotnie, patrzyła na niego nadal, jakby coś jeszcze chciała w nim dojrzeć.

– Co więc zamieścić? – zagadnął ją wreszcie Boranta. – O tych Schwerinach chyba nie warto. Zapisaliśmy już w zeszłym roku.

– Wpisz jednak – Krysta jakby się ocknęła z zadumy. – „Opat Henryk z Podgławy – dyktowała powoli – odebrał Schwerinom dwunasty majątek na podstawie sfałszowanych, jak dawniej, dokumentów. Wypowiedzieli mu znowu wojnę i szykują do bitwy pachółków i czeladź”. Może się przydać do czegoś taka wiadomość. A co sądzisz o tym, który nadesłał nam ten meldunek z Uznamu?...

Boranta wziął do ręki pergamin. Był to właściwie kawałek cielej skóry, oczyszczonej z grubsza nożem i wygnieciony, i wcale nie pasował do pięknego pisma, świadczącego o wprawnej ręce.

– Chyba jakiś klecha – odrzekł. – Dostał dobrą szkołę, lecz coś w końcu widocznie przeskrobał i zeszedł na dziady. Człowiek jednak zaufany. Sprawdzaliśmy go przecież sumiennie.

– Warto sprawdzić raz jeszcze, bo a nuż za tym pięknym pismem kryje się jakieś łotrstwo. Podgława niedaleko. Wyślemy tam Krużę, aby przyjrzał się z bliska. A w księdze dopisz jeszcze: „Wkrótce ma przybyć Bonow, aby pomóc opatowi w wyrzucaniu Schwerinów z majątku.” Trzeba powiadomić o tym również Rycerza z Lasu.

Boranta pisał, ona zaś popadła znowu w zadumę. Przez chwilę przemysłał jej przed oczyma archidiakon z Trzebuszy, wygłaszający kazanie na kodrąbskim dworzyszczu, zaraz jednak zastąpiła go miła młodzieńcza postać. Nie widziała go od czasu bitwy nad Dziwną, lecz ciągle czuła jego obecność. Odpowiadał często na meldunki, stawiał pytania, sam nieraz nadsyłał ciekawe wieści. Niekiedy nadchodziły one z bliska i wydawało się, że wystarczyłoby tylko wyskoczyć z lasu, aby go spotkać. Kiedy indziej długo biegła odpowiedź, jak gdyby znajdował się na innym krańcu Pomorza lub nawet gdzieś za granicą. Teraz też go chyba nie było w tych okolicach. Trzeci tydzień upływa od ostatniej notatki...

– Skończyłem – Boranta zamknął starannie księgę. – Nie ma nic ponadto, pójde więc do dworzyszczu. Trzeba pomóc w robocie.

– Dobrze. Przyślij do mnie Krużę.

Gdy nadszedł, omówiła z nim szczegółowo jego podróż na Uznam, po wierzery zaś przeszła do swojej izdebki. Jak zwykle o tej porze, zaczęła przy świetle świecy czytać jakiś stary rękopis. Dużo tu było takich ksiąg oprawnych w skórę, zdobionych bogato, nasadzanych często drogimi kamieniami i złotem. Steffen gromadził je skrzętnie od lat. Sam lubił do nich zaglądać, innym także umiłały długie zimowe wieczory, stanowiły przy tym nie lada majątek. Dawniej ich nie sprzedawał, nie było potrzeby. Dziś myślał już o tym, wydatki bowiem wciąż rosły, lecz się jeszcze nie śpieszył. Zapasów chwilowo nie brakowało. Dopóki Stortebeker tutaj zaglądał, znikwały one zazwyczaj szybko, gdyż utrzymywało się wtedy olbrzymią flotę. Teraz też trzeba było wyżywić sporą gromadę, lecz w porównaniu z tamtym okresem potrzebowała ona niewiele. Sama zresztą umiała się troszczyć o siebie i po każdej wyprawie uzupełniała zapasy.

Krysta uniosła głowę znad księgi. Odezwał się dzwonek, nadchodził go-niec. Wysła mu naprzeciw, przejęła meldunki i wróciwszy na swoje miejsce zaczęła je uważnie przeglądać.

– Jest coś ciekawego? – do izdebki wszedł Steffen.

– Tymczasem zwyczajne sprawy... O, jest! – poruszyła się naraz żywo. – Od Rycerza z Lasu. „Czuj duch – czytała szybko. – Bonow kieruje się do Kamienia. Pilnujcie go bacznie.”

– A więc ten z Uznamu miał słuszość – Steffen w zamyśleniu pokiwał głową. – Jakiś bystry człowiek, warto go poznać bliżej... Ale i twój rycerz – uśmiechnął się – też umie spoglądać w dal, jeśli już wie o podróży archidiakona.

Niejednokrotnie tak zbiegały się wieści. Rozgadali się na ten temat, bo pociągał on ich oboje, lecz wkrótce przeszkodził im znowu dzwonek. Odezwął się tym razem trzykrotnie, z nadmorskiej strażnicy. Dawniej Steffen wszcząłby natychmiast alarm, gdyż statek handlowy, jak wynikało z sygnału, był blisko brzegu. Teraz się zastanawiał. Nie mając żadnej łączności ze swym dowódcą, bardzo rzadko wypadał na morze, aby nie zwracać na siebie uwagi wroga i w tym najczulszym miejscu, od Bałtyku, mieć spokój. Zamierzał więc machnąć już ręką, gdy naraz rozległ się czwarty dzwonek.

– Statek handlowy, ale krzyżacki! – zerwał się z miejsca. – Trzeba być w pogotowiu.

– Trzeba atakować – poprawiła go cicho Krysta.

– Boję się. Krzyżacki statek ma zawsze bitniejszą załogę, a Gamba leży akurat chory.

– Ja poprowadzę.

Steffen wpatrzył się w nią w zamyśleniu. Po śmierci Wargina ona prowadziła wszelkie wyprawy w głąb łądu, lecz dowodzenie w walce na morzu było przecież odmienne. Pamiętał przy tym: był to statek krzyżacki... Załoga dobrze uzbrojona i karna. Mógł też stanowić zwykłą pułapkę. Doszły niedawno słuchy, że właśnie w ten sposób zniszczono kryjówkę piracką na Ranie...

– Lepiej się nie narażać – odrzekł niepewnie. – Jeden fałszywy krok i wszyscy zginiemy.

– Wiem o tym. Wypuścić jednak nie można. Przecież to statek krzyżacki!

Nie zdarzyło się dotychczas, aby tak bardzo podniosła głos. Przestał się wahać. Znał doskonale jej pełną zawsze skupienia rozagę, a teraz przemówiła do niego jeszcze ta jej nieoczekiwana zaciętość. Wzburzył się więc także, zakrzętnął żywo i wkrótce liczna gromada popędziła do łodzi. Gdy zniknęła mu z oczu, jakby się zląkł nagle, puścił się biegiem, dysząc ciężko – znalazł

się na strażnicy. Statek właśnie przepływał przed nim: zanurzony głęboko, przeładowany, niezbyt przez to zwrotny, ale piękny w linii, zbrojny w dwa działa, wielki i tak zbudowany, że w każdej chwili można go było przemienić w groźny okręt wojenny.

– Nie warto go chyba zaczepiać – mruknął strażnik niechętnie. – Silną ma na pewno załogę.

Steffen zacisnął zęby. Był teraz tego samego zdania i modlił się w duchu, aby Krysta wstrzymała atak, ale ona, jakby na przekór i jemu, i tej krzyżackiej potędze, wyskoczyła nagle z ukrycia, wpadła na wodę, pomknęła naprzód. Strażnik westchnął ciężko. Steffen coraz szerzej otwierał oczy. Nie było odwrotu, czołna pędziły pośród pochmurnej nocy jak czarne strzały spuszczone z łuku. Na statku już wszczęto alarm. Wraz z wysypującą się z luków na pokład rozspaną załogą znaleźli się jednak równocześnie ludzie z grodziszczca.

– Ależ szybkość!... – zadziwił się strażnik. – Nasi ich zgniotą, zanim zdążą otrząsnąć się ze snu...

I rzeczywiście tak było. Wydało się, że wichura przemknęła nad statkiem, błyskawicznie stłumiła jęki, zamiotła strasznie. A w chwilę później opadła na dół krzyżacka flaga, obwieszczając z daleka, kto tam odniósł zwycięstwo.

– Niesamowite – Steffen zaczął trzeć ręką czoło. – Wprost oczom nie chce się wierzyć... Niby ci sami ludzie, a przecież inni. Przy Gambie nie było nigdy tak ogromnej szybkości!

Strażnik roześmiał się cicho.

– Gamba nie Krysta – odrzekł. – Niewiasta w boju, choćby tylko patrzyła, zawsze przemawia mocniej i potrafi w jakiś przedziwny sposób podwajać w człowieku siły. Chłopcy biją się przecież i o nią. Pod ich opieką nie może spótkać jej krzywd!

Roześmiał się znowu, uśmiechnął się także Steffen.

– Prawda, i o nią się biją – przyznał. – Dzięki Bogu za takiego dowódcę. No cóż, zejść chyba na brzeg... Łodzie ściągają statek.

Gdy do nich dotarł, już zaczęto wyładowywać towary. Łup był olbrzymi. Statek wracał z Anglii i obok wielkich zapasów oręża i zbroi wiozł mnóstwo drogich tkanin dla rycerzy i gości zakonnych.

– Nareszcie zrozumiałem, dlaczego tak cię wychwalają po każdej

wyprawie – Steffen podszedł do Krysty. – Pięknie poprowadziłaś atak. Widzę, że są jeńcy – spojrział na czterech ludzi stojących z boku. – Co za jedni?

– Ten mnich podaje się za Szweda. Ten drugi, to Otton Jageteufel, burmistrz Szczecina. Miał wysiąść w Kamieniu i dlatego statek płynął tak blisko brzegu.

– Gruba ryba, będziemy z nią mieli kłopot. Nie lepiej było zostawić go na pokładzie?

– Mnich zasłonił go własną piersią. Twierdzi, że to porządny człowiek.

– Zobaczymy... A ci dwaj krzyżacy majtkowie?

– Kaszubi. Dobrowolnie złożyli broń.

– Dobrze. Przesłuchamy ich później.

Steffen spojrział na morze. Statek podprowadzono blisko, łodzie krążyły bez przerwy. Z chwili na chwilę rosły pod drzewami stopy zdobyczy.

– Pojemny statek i ładny – westchnął. – Aż przykro, że trzeba go będzie zatopić.

Krysta znów przerwała robotę.

– Wiecie, co mi przyszło do głowy? – odezwała się cicho. – Zamiast topić, należy na nim natychmiast wypłynąć w morze. Zanim Krzyżacy się spostrzegą, będzie już na Morzu Północnym, a tam odmienić go łatwo. Co zaś najważniejsze, dotrze do Stortebekera. On nie może tu przybyć, więc my się zgłosimy do niego.

Steffen wpatrywał się w nią w wielkim zdumieniu.

– Ty masz pomysły!... – przemówił nareszcie. – Na krzyżackim statku na Morze Północne! Istne szaleństwo – przeciwstawił się naraz ostro. – Schwycą go w pierwszym porcie.

– A po co ma gdzieś dobijać? Stortebeker jest w dalszym ciągu we Fryzji, mnich to potwierdza. Sum więc popłynie do niego, już z nim omówiłam. Pod krzyżacką banderą, aby było bezpieczniej. A gdyby ktoś go zaczepił, ma przecież działa. Dwa są na wierzchu, a kilka w środku. I prochu nie brak!

Steffen znieruchomiał. Dostrzegł w słowach nie tylko dużo rozważań, ale i ten sam mocny ton, który tak go urzekł poprzednio. Cały ten pomysł zaczął mu się naraz bardzo podobać.

– Nie brak ci przebiegłości – uśmiechnął się. – Więc i Suma już zdołałaś omotać? Nudzi się widocznie staremu, jeśli chce się wybrać w taką wyprawę,

ale on wie, co robi. Na morzu zna się na pewno lepiej ode mnie. Naprawdę się zgodził?

– Naprawdę.

Przywołał go do siebie i odtąd radzili w trójkę. Czas naglił, Sum także. A gdy wreszcie uzyskał zgodę, zabrał się do pracy z takim zapałem, że na długo jeszcze przed świtem statek rozwinął żagle.

– Oby się udało... – Steffen westchnął, ostatecznie straciwszy go z oczu. – Prawda: mając statek, przestaniemy się czuć tutaj jak w klatce. Mimo wszystko jednak pomysł szaleńczy, przystojny raczej młodości. Żaden z tych ludzi, którzy odpłynęli, może przecież nie wrócić.

– Ale jeśli wróca, będzie to dla nas ogromna ulga.

Popatrzył na nią badawczo.

– Dałbym głowę, że coś jeszcze ukrywasz – rzekł ciepło. – Stortebeker jest ważny dla nas, ale tobie chyba nie są potrzebne jego rozkazy?

Nie odpowiedziała od razu. Ludzie kręcili się nieustannie przed nimi, przeczucali ostatnie ładunki, płachtami i wodą zacierali na brzegu ślady.

– Może by się przydały, nie wiem – oderwała oczy od tego widoku. – W tej chwili mam jednak co innego na myśli. Dużo wam zawdzięczam, toteż pragnęłabym szczerze, abyście razem ze swymi ludźmi dożyli spokojnych dni. Tu jesteście w ciągłym niebezpieczeństwie. Liczę więc na to, że Stortebeker znajdzie wam gdzieś dobre schronienie.

Wbiła oczy w ziemię i zastanawiała się nad czymś przez pewien czas.

– Ale mam i inne wyrachowania – dodała cicho. – Statek został zdobyty przez grodziszczę i Stortebeker chyba go nie zabierze. Przyda się więc jemu, ale przyda i nam. Robota na lądzie bardzo się ostatnio rozrosła i może przyjdzie robić dalsze wyprawy. Pojedynczy człowiek wszędzie się przemknie, z większą gromadą będą coraz większe kłopoty. Zwłaszcza przy przeprawach przez Dziwnę, A na takim statku można by się przedostać niepostrzeżenie nawet do najodleglejszych zakątków...

Przemawiała coraz wolniej, jak gdyby patrzyła na ogromny trud ludzi

i koni, przemykających nocami przez pola, bory i bagna i przepływających się przez rzeki w ciągłej obawie, że ktoś na nich nagle wypadnie.

– Stortebeker, jak sądzę, też to zrozumie – zakończyła po chwili. – Dziś boję się wypadać nazbyt daleko, aby mi nie zamknięto odwrotu. Ale mając statek pod ręką, zacniemy uderzać mocniej.

– Omówiłaś tę sprawę z Sumem?

– Omówiłam.

Brzeg był znowu zupełnie czysty. Steffen rzucił na niego okiem i widząc, że ludzie z pakami na plecach ruszają w drogę, też skierował się do grodziszcz. Powlekli się za nimi mnich i burmistrz szczeciński. Wydawało się, że nikt na nich nie zwraca uwagi, toteż rozglądali się dokoła z zaciekawieniem, szli jednak równo i wreszcie razem z innymi znaleźli się w domu.

– Przytulnie tutaj – mnich się uśmiechnął. – Jakies bardzo stare grodziszcz, a chociaż na pozór ruiny, widać wszędzie fachową robotę. Należycie chyba do Bractwa?

– Do Bractwa – Steffen potwierdził.

– Od razu tak pomyślałem. Bijecie się jak szaleńcy i w boju lepiej schodzić wam z drogi. Poza tym jednak łatwiej u was o dobre słowo aniżeli gdzie indziej. Pozwólcie więc, że zadam z miejsca najważniejsze pytanie. Co ze mną zrobicie, nieważne. Stary jestem i już niewiele mi się należy od świata. Natomiast zależałoby mi, abyście nie wyrządzili krzywdy burmistrzowi Szczecina.

– Wasz krewny?... Czy może przyjaciel?

– Nazwijmy go przyjacielem. Spotkałem go w Anglii, mówiłem o tym. Ja tam szukałem prawdy i środków zaradczych, mogących ukrócić swawolę możliwych. Wiecie chyba, że tam myślą o tym poważnie. On załatwiał swoje sprawy handlowe i też był chciwy prawdy. To mnie właśnie do niego zbliżyło.

– Nie obchodzą nas puste słowa, słyszeliśmy ich dużo z ambon. Czyńmy chcemy zobaczyć. Mówcie o tym, co zrobił dobrego.

– Wspiera stale nędzarzy...

– Wszyscy bogacze to robią. Aby mieć spokój w mieście i udanym miłosierdziem pokrywać brudy. Co jeszcze?

– W zeszłym roku utworzył w Szczecinie pierwszą świecką fundację, mającą na celu umożliwienie biednej młodzieży pobieranie nauki. Tej miejskowej,

pomorskiej młodzieży. Z wików i ze wsi. To chyba ważne?

– Ważne...

Krysta, siedząc z boku, bacznie przyglądała się gościom. Ascetyczna twarz mnicha budziła mimowolny szacunek śladami licznych umartwień i pełnym głębi, wypływającym jakby z zaświatów spojrzeniem. Ale i twarz burmistrza przykuwała do siebie wzrok. Młody to był jeszcze człowiek, znamionował go niewątpliwie mocny charakter. A jasno i śmiało patrzące oczy, chociaż w tej chwili zamglone smutkiem, zdradzały prawość i dodawały tej twarzy niezmiernie miłego blasku.

– Wypuszczając mnie, nic nie stracie – poruszył się właśnie. – Zażądacie na coś słowa albo przysięgi, dotrzymam wiernie. Na statku znajdowały się także moje towary. Niechaj zostaną u was jako okup, a jeśli będzie potrzeba więcej...

– Nie jesteśmy korsarzami – przerwał mu szorstko Steffen. – Odbieramy moznym, co zagrabili, i zwracamy ubogim, ale nie handlujemy ludźmi. Komu nie damy wiary, ten ginie, komu zaufamy, ten idzie wolny. Bez żadnego okupu!

Wzburzył się. Krysta patrzyła na niego zdziwiona, bo nigdy jeszcze nie była świadkiem takiego zjawiska.

– Pozwolicie mi zabrać głos? – odezwała się cicho.

Steffen uspokoił się w jednej chwili.

– Mów – odezwał się ciepło. – Ty dziś dowodziłaś, do ciebie więc także należy wyrok.

– Co was skłoniło – zwróciła się do burmistrza – do założenia tej szczyńskiego fundacji?

– Nie spodziewałem się takiego pytania... – zamyślił się. – Co mnie skłoniło? Chyba to, że widziałem dokoła krzywdę. Ja jestem na tej ziemi obcy, obcy są prawie wszyscy rajcy i większość mieszczan. Korzystamy więc właściwie tylko z gościny. Mimo to uczą się jedynie nasze dzieci, te zaś miejscowe ciągle zostają w tyle. Ich ojcowie nie mają pieniędzy, wszystkie interesy są w naszych rękach. Postanowiłem więc chociaż częściowo naprawić zło.

– A gdybym dostała wam od czasu do czasu jakieś dziecko z Wolina? Moglibyście zapewnić mu dobrą opiekę?

– Przysięgnę na to. Zajmę się jak własnym, w razie potrzeby pokryję nawet wydatki. Choćbyście dostali mi dziesięcioro!

Mocne to były słowa. Krysta wpatrywała się w niego przez chwilę w wielkim napięciu.

– Jesteście Niemcem?...

– Niemcem.

– Ja bym puściła tego człowieka – przeniosła wzrok na Steffena. – Nie boi się prawdy i jego przysiędze na pewno można zaufać.

– A ja chętnie zostanę wśród was jako zakładnik – wtrącił beztrudno zakonnik. – Ufam mu także i w jego ręce składam swe życie.

Szybko się zakończyły obrady. Steffen odebrał od burmistrza uroczystą przysięgę, że nie zdradzi nigdy grodziszcza ani tego, co widział na morzu, i podniósł się z miejsca.

– Kładźmy się więc spać – rzekł bijąc się wciąż z jakimiś myślami. – Jeden z naszych ludzi przeprawi was jutro na Uznam, a stamtąd przez Wołogoszcz powrócicie do domu. Statek zatrzymał się, jak twierdzicie, w Strzałowie. Mogliście więc i tam wysiąść.

– Mogłem.

– Mówcie więc tak wszystkim. A rzeczy ze statku odesłamy wam wprost do Szczecina.

Jageteufel popatrzył na niego trochę niepewnie, jakby coś nie chciało mu się pomieścić w głowie, lecz nie powiedział. Podeszedł do Krysty.

– Czy to wy, pani, jesteście tą dziewczyną z Kodrąbia, która zabiła von Reetza? – zapytał wpatrując się w nią w wielkim skupieniu.

– Ja nią jestem.

– Dziwne... W moim otoczeniu mówi się o was jako o jędzy pijącej krew ludzką i tańczącej na stosach trupów. A tu widzę piękną niewiastę, martwiącą się o dzieci biedoty i szukającą dla nich przyszłości. Macie dużo tych dzieci pod swoją opieką?

– Bardzo dużo.

– W trudnej chwili zwróćcie się do mnie o radę. W Szczecinie nie ma zbyt wiele miejsca, może się jednak znajdzie gdzie indziej. Świat jest przecież szeroki...

II

Nazajutrz po południu Kruża zabrał burmistrza, poprowadził przez lasy i równo ze zmierzchem stanął koło Przytoru. Ta osada, leżąca u przeprawy przez Świnę, wraz z pobliskim Karsiborem była pośrednikiem między grodziszczem a okolicznymi miastami, miał więc tu wielu przyjaciół i mógł choćby natychmiast wyłonić się z gąszczu. Nie śpieszył się zbytnio. Niedaleko znajdowało się Werder, jedyna na wyspie osada niemiecka, spokojna wprawdzie i nie wtrącająca się do niczego, lepiej było jednak zachować ostrożność. Nie lubił zresztą niepotrzebnie ujawniać twarzy. Wyczekał więc w ukryciu, dopóki mieszkańcy nie ułożyli się do snu, potem wywołał cichaczem jednego z rybaków, wsiał do łodzi i ciągnąc za sobą konie, przepawił się spokojnie na Uznam.

Zrobiło się zimno. Od północy dął ostry wiatr i przenikał do kości, kiedy jednak minęli karsiborskie łąki i torfowiska, osłonił ich dobrze las. Przemknęli przez niego raźnie, pozostawili z boku Chełmską Górę, wypadli pod Wir. Na lubomickich uroczyskach znów dopadła ich wichura i trzymała odtąd mocno, dopóki nie wjechali do mielęcińskiego boru.

– Trafie albo nie trafie – mruknął Kruża, zatrzymawszy się na rozstaju. – Nie byłem tu nigdy i wiem tylko, że gdzieś w pobliżu powinna się znajdować smolarnia. Spróbuję ją znaleźć.

I znalazł. Gospodarz, uprzedzony wcześniejszą wieścią, czekał na nich i trzymał ogień na palenisku. Rozgrzali się więc szybko, podjedli. Burmistrz zaczął spoglądać sennie na rozłożoną słomę.

– Możecie się kłaść – zachęcił Kruża. – Rano gospodarz wskaże wam drogę do Jelęcina. Zamiast tłuc się do Wołogoszczy, przepawicie się gdzieś tutaj przez Pianę i przed wieczorem będziecie w domu. Konia dostaliście dobrego. Żegnajcie zatem i nie wspominajcie nas źle.

Jeszcze tej nocy odwiedził kilku ludzi w okolicy, nad ranem zaś wynalazł wygodne miejsce na skraju niewielkiego lasu koło Lubomie i postanowił nareszcie odpocząć. Przed sobą miał rozległy widok na tę przedziwną wyspę, która składała się nie tylko z ziemi, ale i z wody, i tak była powyginana, tak pocięta jeziorami i zatokami, że na pierwszy rzut oka przypominała raczej jakąś krainę z baśni, czarodziejską ręką rozsypaną beztróska na morskich

falach, aniżeli schronienie dla ludzi, tworzących tutaj od wieków własną historię. Rozglądał się po niej uważnie i w narastającym brzasku odkrywał po kolei miejscowości, o których słyszał dawniej lub dowiedział się w nocy. Oto Miełęczin, gród warowny słynnego rycerza ze złotym łańcuchem, Niekraka. Dalej Nieprzemienin, na północy Podgława. Potężny klasztor premonstrantów, trzęsący od dawna całą wyspą, do którego należały dzisiaj prawie wszystkie dworzyszczka. A tam...

Przesuwał powoli wzrok z miejsca na miejsce i wreszcie doszedł do wniosku, że tutaj nie zginie. Popatrzył bliżej. U jego stóp znajdowała się zapadlina porośla żytnią, świeżutką runią. Niewielka ona jeszcze była i nie mogła dać dużego pożytku, lecz że i trawa w lesie zaczynała puszczać dopiero pędy, przywiązał na niej konia, aby dla zabicia nudów mógł sobie pochrupać, sam zaś ukrył się między drzewami. Raz jeszcze rozejrzał się czujnie: powinno być bezpiecznie; żadna droga tutaj nie dochodziła, dokoła puste zupełnie pola. Rozłożył więc derkę, położył się na niej i zasnął. Wydało mu się, że dopiero co przymknął oczy, gdy niespodziewanie ktoś go szarpnął za ramię. Przysiadł nagle i spojrzął: koń stał spokojnie na udeptanej teraz i oczyszczonej starannie z zieleni ziemi. Przesunął nieznacznie wzrok: obok swych nóg zobaczył i cudze. Przymrużył gwałtownie oczy, popatrzył w lewo: siedział przy nim rycerz o twarzy jak księżyc w pełni i tak rozradowany w tej chwili, jak gdyby uznamski czarodziej, który utworzył tę dziwną wyspę, obdarzył go jakimś wspaniałym skarbem.

– Hm... – chrząknął niepewnie. – Mam towarzystwo.

– A masz! – padły w odpowiedzi uprzejme słowa. – Dobrze towarzystwo, zapamiętaj to sobie. Chciałem cię spotkać i spotkałem nareszcie. Inni od tygodnia zastawiają na ciebie pułapki, szukają po całej wyspie, marnują siły. A ja poszedłem po rozum do głowy i odwiedzam tylko to miejsce. Dwa razy dziennie. „Zuch z niego – myślę sobie – lecz spać musi. A gdzie? Przecież nie u tego przekłętego Niekraka, bo wtedy dojrzeć go łatwo i gdy opuści gród, wpadłby nam w ręce. A w tym lasku spokój ma zapewniony, toteż wcześniej czy później tu go muszę przydybać.” Tak sobie ułożyłem i jak widzisz, ułożyłem dobrze, bo cierpliwości mi nie brak. A teraz mam cię w garści i otrzymam za tę wytrwałność piękną nagrodę od naszego opata.

Nieznajomy radośnie pokiwał głową. Kruża popatrzył na niego bystro i naraz splótł palce w wielkim skupieniu.

– Toś ty mądry – przemówił z uznaniem. – Tak wszystko przemyśleć!... Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy.

– Ba! Wantimir przecież jestem, syn Dzierzka, i nie każdy może się ze mną porównać. Nasz ród słynie od wieków z wielkiej mądrości.

– Widać od razu. Zastanawiam się jednak, czy dzisiaj nie palnąłeś głupstwa, co może się zdarzyć najmądrzejszemu. Chyba chciałeś schwytać jakiegoś rycerza, a nie pachółka?

Wantimir z wielkiego rozbawienia aż się schwyił za boki.

– Mnie chcesz wywieść w pole? Nawet nie próbuj. Opat uprzedzał nas o twej przebiegłości i widzę, że miał świętą rację. Rycerza bym nie poznał! Chociaż przebrałeś się w strój pacholczy, na miłe widać, kim jesteś.

– Toś ty naprawdę mądry!... – Kruża wpatrywał się w niego z coraz większym zaciekawieniem. – A jeśli już tyle mi powiedziałeś, powiedz mi jeszcze jedno. Dlaczego dybiesz na moje życie?

Wantimir nabrał naraz wielkiej godności.

– Nie ja, a opat! – zastrzegł z naciskiem. – Mnie obchodzi tylko nagroda. On natomiast, jak to nasi podgławszy opaci, musi mieć zawsze do kogoś żal. Dziś ma właśnie do ciebie. Pewnie o to, że odwiedzasz zbyt często rycerza Niekraka.

– Taki to straszny rycerz?

– Z piekła rodem! Chyba nie wiesz, co on zrobił w młodości, jeśli tak się przyjaźnisz. Ledwie przybył tu z Łużyc, przebił podziemny przekop aż do podgławskiego klasztoru, porwał najpiękniejszą z mniszek i z nią się ożenił. Taki to łotr! Przybyli jej bracia z wielką drużyną, chcieli pomścić zniewagę. Pobił ich na głowę, a gdy wezwali na pomoc innych, on wezwał księcia (z tego też był hultaj niezgorszy!) i takie sprawił im lanie, że odtąd miał święty spokój. Za karę jednak musi dziś dźwigać łańcuch. Dobrze mu tak. Piekielnik przeklęty!

Wantimir zgrzytnął zębami. A i Kruża nastroszył się gniewnie.

– Więc mówisz – zagadnął ciekawie – że ładna była ta mniszka?

Wantimir stracił zupełnie grozę.

– Ja jej oczywiście nie znałem za młodu – rzekł w rozmarzeniu – ale ojciec mi opowiadał, że śliczna jak malowanie!... A i dziś trzyma się jeszcze dobrze. Przyglądam się nieraz w kościele...

– Widzę – Kruża roześmiał się – że sam byś zrobił chętnie taki podkop, gdyby znalazła się jakaś do niej podobna.

Wantimir przeżegnał się przestraszony.

– W imię Ojca i Syna!... Co ty pleciesz, nędzniku? Miałbym się porwać na klasztor? Ja, wierny sługa wielbego przeora?...

Przeżegnał się raz jeszcze i twarz znowu rozbłysła pogodnie.

– Nie grozi mi taki grzech – roześmiał się także. – Za mądry jestem, aby się żenić. Po co ma mi ktoś ciosać kołki na głowie? Tobie też nie radzę się śpieszyć z ożenkiem. Człek młody...

Pochylił się nad nim, coś zaczął naszeptować do ucha, stawał się coraz wesejszy. Naraz zmarszczył brwi i jak w otumanieniu wpatrzył się w stojącego naprzeciw konia.

– Tego ci nie daruję! – rozżłościł się. – Co ma opat do ciebie, jego sprawa, ja jednak i ze swej strony zażądam sądu. Zmarnować mi tyle żyta! Coś ty za rycerz, że w czasach pokoju nie masz litości dla tej młodziutkiej runi? Sam tutaj siałem, aby wyrosła pięknie. Wiatry tu nie dochodzą. A ty...

Rozzalił się strasznie, przetarł rękawem oczy.

– Przestałbyś jęczeć – Kruża ofuknął go szorstko. – Twoje to żyto? Opat, a opat nie zbiednieje. Znow zabrał Schwerinom majątek!

– Jego sprawa, nie moja. A to żytko...

Kruża popatrzył na niego z góry.

– Użalasz się nad kawałkiem pola, jakbyś był święty, a o koniu nie myślisz – rzekł ostro. – Czy on nie jest dla ciebie stworzeniem bożym? Miałem go zagłodzić? Szkoda ci garstki runi dla tak pięknego rumaka?

– Prawda – Wantimir westchnął. – Piękny wierzchowiec...

– A i o człowieku nie myślisz! – Kruża natarł na niego gwałtowniej. – Też boże stworzenie, a ty co robisz? Budzisz mnie, chociaż widzisz, że jestem zdrożony i jeszcze nie ma nawet południa. A nie przyszło ci do głowy, że mogłem cię pchnąć tasakiem za taką obelgę?

Wantimir, stropiony dotychczas, nabrał znowu rozanielonego wyglądu.

– Zapominasz, że jestem mądry – rzekł rozciągając beztrzesko ramiona. – Zanim podszedłem, ustawiłem za tobą przezornie trzech zbrojnych pachołków. Stoją tam ciągle i nie myśl o jakiegokolwiek obronie. Tupnijcie no, chłopcy. Niech wie, że nie gadam na darmo.

Kruża wysłuchał uważnie szurgotu liści i stuku.

– O wszystkim pomyślałeś – przemówił z tak wielkim uznaniem jak na początku. – Mądrości rzeczywiście ci nie brakuje. A ci ludzie – mrugnął wesoło – też nie są żonaci?

– Nie przyjąłbym innych do służby! Młode chłopaki, a przy tym bracia stryjeczni. Dałbym ja hultajom, gdyby któryś z nich pomyślał choć o ożenku!

Wantimir uniósł do góry pięść, jakby chciał tamtym przypomnieć żelazne prawo, roześmiał się jednak zaraz, a Kruża mu zawtórował ochoczo, przechylił się nieco, z rozbawienia uderzył go raz i drugi po plecach i nagle niedostrzeżalnym prawie ruchem wyciągnął tasak.

– Mów odtąd mało, słuchaj zaś bacznie – rzekł przyciskając mu ostrze do boku. – Jeśli któryś spróbuje mnie dotknąć, przebiję cię wcześniej. Każ im podejść do konia.

Wantimir rozglądał się rozpaczliwie.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – Kruża nacisnął mocniej. – Sztuczek nie próbuj, bo ja nie chcę się dostać w ręce opata i dlatego nie będę miał dla ciebie litości. Powinieneś to zrozumieć. Mądry przecież jesteś.

– Prawda, jestem...

Wantimir krzyknął. Dwóch pachołków podeszło do konia.

– Powiniennem cię jednak przebić – Kruża wpatrzył się w niego ze złością. – Trzech ich tam było, liczyłem. Odeślij go także i niech za karę popasie mojego konia na ozimynie, ale tak, aby nikt go nie dostrzegł. A reszta niechaj odrzuci oręż.

Wantimir westchnął ciężko, lecz dokładnie wykonał wszystko. Kruża odsunął tasak.

– Mądry jesteś – potwierdził raz jeszcze. – Siłą mnie przewyższasz, boś zbudowany potężnie, a i gospodarz z ciebie na pewno lepszy, w wojennej jednak zaprawie ja jestem górą i to wyczułeś od razu. Z mądrym człowiekiem potrafię dogadać się szybko. Domyślam się, że zarządzasz jakimś klasztornym

dworzyszczem. Dużo masz koni pod wierzch?

– Jednego.

– Phi! – Kruża pogardliwie wywinął wargi. – A nie byłoby ci przyjemniej zarządzać piękną stadniną, złożoną co najmniej z pięćdziesięciu takich rumaków jak mój?

Wantimir wpatrzył się w niego jak urzeczoną.

– Chryste Panie!... – wyszeptał. – Pięćdziesiąt koni! Gdzie taka stadnina? Chyba na książęcym dworze?...

– Na lepszym aniżeli książęcy. A jeśli będziesz dbał o nie, może być nawet setka!

– Takich jak twój?...

– Najlepszych, jakie są na Pomorzu! Trzeba martwić się tylko dla nich o paszę, a wiem, że ty nie wyrządzisz im krzywdy. Spodobałeś mi się od pierwszego wejrzenia, więc radzę z serca: pluń na wszystko i zabieraj się ze mną.

– Co powie opat...

– Przeklnie cię chyba. Nie będziesz tego słyszał, martwić się więc nie ma o co. A gdyby doszło do naszych uszu, że przeklina cię nazbyt głośno, wrócimy tutaj i zetnie mu się głowę za te obelgi.

– I nie wódź nas na pokuszenie... – Wantimir przeżegnał się szybko. – Co ty wygadujesz? Ściąć opata?... Jedna Krysta mogłaby sobie na to pozwolić!

– Jaka Krysta?

– Ta z Wolina. Ona może, bo przy niej siła. Ale ja...

– Jedźmy zatem do Krysty!

Wantimir skoczył na równe nogi.

– Trafilibyś do niej? – wyszeptał. – Boże wszechmogący, w głowie się kręci... A nie szykujesz przypadkiem zdrady?

– Sam przecież powiedziałeś, że znać we mnie rycerza na miłę. Daję ci zatem rycerskie słowo, że wszystko prawda.

– Wierzę ci... Wielka to sprawa! Gdyby można było ściąć kiedyś tego przekłętego opata!...

– Dał ci się chyba nieźle we znaki?

– Jak jeszcze! Mojemu dziadowi klasztor zagrabił majątek, jak obecnie Schwerinom. Opat Henryk nim dzisiaj rządzi, a mnie każe harować na nim dzień i noc; za byle drobiazg grozi mi wypędzeniem. Wciąż po niemiecku.

Nie chcę go rozumieć, jestem na swojej ziemi! On wtedy głośniejszy, zagraża klątwą. Obcy przybędą, przeklęty piekielnik!... Może więc z Krystą znajdziemy wreszcie na niego radę. Rzeczywiście mógłbyś mnie do niej zaprowadzić? Dla niej będę tyrał nawet bez żadnej zapłaty. Tylko zaprowadź. I powiedz za mną życzliwe słowo!...

Wantimir aż drżał z nadmiernego przejęcia. Zapiękle to musiały być rany i rozjątrzyły się teraz pod wpływem niespodziewanej nadziei, jakby dotknięto ich rozpalonym żelazem. Kruża rozumiał go chyba dobrze, bo na jego twarzy ukazało się szczere współczucie.

– Nie marnujmy więc czasu – rzekł. – Odjeżdżamy dziś w nocy. A co z pacholkami?

– Zabiorę ich z sobą.

– Nie zdradzą?

– Dałbym ja im! Bądź spokojny, posłuch w naszym rodzie zawsze był wielki. Przydadzą się na pewno. Znają się dobrze na koniach i roli, a w razie potrzeby i do bitki są chętni. To może także się przydać.

– Słusznie. A teraz powiedz mi...

Usiedli znowu i wdali się w pogawędkę. Kruża wypytywał. Odpowiedzi padały nad podziw składnie, toteż zebrał szybko dużo ciekawych wieści i wreszcie zaczął omawiać szczegółowo sprawę ich wspólnej ucieczki z wyspy.

– A teraz do roboty – zakończył. – Co robić, wiecie. Ja tymczasem odpocznę porządnie, aby w nocy nie brakło mi sił.

Tamci odeszli, on się położył. Tym razem nikt mu nie przeszkodził i dopiero przed zmierzchem, gdy rozbudził się całkowicie, ktoś zaklaskał w pobliżu.

– Podejdź!

Nadchodził człowiek w poplamionym mąką habicie mnisim i przesuując powoli paciorki różańca albo udawał, albo rzeczywiście się modlił. Kaptur miał głęboko zsunięty na czoło. Kruża, obserwujący go czujnie, musiał jednak odkryć w ledwie widocznej twarzy coś niezwykłego, zerwał się bowiem z miejsca i z radosnym okrzykiem wyskoczył naprzeciw.

– Erlandsen!

Padli sobie w objęcia ci dwaj ludzie, którzy ongiś w trudnej chwili spotkali się na Gotlandii, a teraz, nic o sobie nie wiedząc, tak niespodziewanie spotkali

się znowu. Jeden – dawny pacholek von Reetza, który znalazł tam klucz do grodziszcza. Drugi – potomek duńskiej rodziny rycerskiej osiadłej z dawien dawna na Ranie, członek Bractwa Żywienia, któremu tamten ocalił życie...

– Nigdy nie zapomnę ci tego – mnich się wzruszył do łez. – Jak widzisz, dzięki tobie wciąż żyję. Z Kołobrzegu zabrał mnie opat cystersów bukow-
skich, zdołał wyleczyć, poduczył trochę duchownego rzemiosła i zarzucił mi
nawet na plecy habit. Przypadłem mu jakoś do serca. Gdy wyzdrowiałem,
zaczęło mi się nudzić w klasztorze, a że tu akurat zabrakło młynarza umieją-
cego dobrze czytać i pisać, wyprawił mnie w świat. A ty podlegasz Kryście?

– Jej właśnie...

I Kruża się wzruszył. Przybył tu, aby przyjrzeć się z bliska nieznanemu
człowiekowi, który pod przybranym przezwiskiem nadsyłał tak świetne mel-
dunki, że aż w końcu wzbudziły nieufność. Gromadził o nim wieści w nocy,
dowiedział się sporo od Wantimira. Ponieważ wszyscy wyrażali się o nim
bardzo pochlebnie, kazał go do siebie przywołać i miał go teraz naprzeciw.
Zaufanego człowieka Bractwa, który był pewien, że znał Gardna wszyscy się
dawno wynieśli i tylko dlatego tam dotychczas nie zajrzał. Nie chciał jednak
marnować czasu, współdziałał z Krystą. I nie przyszło mu wcale do głowy, że
przebywa ona w grodziszczu...

– Dziwnie się plecie na tym bożym świecie – roześmiał się. – Gdy czło-
wiek raz dotknie jakiejś niezwyklej sprawy, później szuka jej wszędzie. Dłate-
go właśnie włączyłem się do tej roboty, wyczułem bowiem, że w niej jest coś
bardzo bliskiego Bractwu. A ta Krysta?... Jaka ona jest?

– Zobaczysz ją. Zabierzesz się chyba ze mną?

Erlandsen jakoś niepewnie pokręcił głową.

– Chyba tylko na wyraźny rozkaz Steffena lub Krysty – rzekł po namyśle.
– Opat ceni mnie wysoko, gdyż rzeczywiście znam się dobrze na zbożu, mące
i krupach, i oddaje mi w zarząd coraz więcej młynów. Wygodne to miejsce.
Mogę zaglądać wszędzie i słyszę wszystko, a przez klasztor podgławski prze-
wija się dużo tajemnic. Wiadomo mi, na przykład, że dziś jeszcze pojawi się
Bonow.

– Dziś?... Dopiero jutro miał tędy przejeżdżać.

– Ale idąc do ciebie spotkałem gońca i nawet z nim rozmawiałem.

Przyjeżdża na noc, jutro bowiem chce być w Kamieniu. Umie jeździć szybko, każda zaś jego podróż może dla kogoś być groźna. A ja rano będę już wiedział, do czego zmierza.

– Wyślesz więc wieści zwyczajną drogą, gdyż ja muszę popędzić przed nim. Chociaż...

Kruza zastanowił się nad czymś i naraz twarz mu rozbłysła swawolnie. Pochylił się, coś przez długi czas naszeptował Erlandsenowi do ucha. Gdy się rozstawali, byli tak rozbawieni, jakby się znajdowali wśród przyjaciół w grodziszczu, a nie pod bokiem podgławskiego opata.

Nadeszła noc. Od Bałtyku wiał znów mroźny wiatr i Kruza przypominał sobie coraz częściej, że nie jadł nic ciepłego przez cały dzień, toteż wzdychał od czasu do czasu, lecz niespodziewanie niebo się nad nim ulitowało. Z ciemności wyplął nagle jeden z dobrze mu już znanych pachółków z garnkiem gorącej strawy i workiem owsa. Pochwalił się w duchu: trafnie ocenił Wantimira, doskonały był z niego gospodarz. A gdy wkrótce i on pojawił się przed nim, zapewnił go uroczyście, że z taką dbałością o ludzi i konie będzie serdecznie przyjęty przez Krystę.

– Powinna się na mnie poznać – Wantimir przyświadczył skromnie. – Mądry jestem, wiadomo. Więc jak, ruszamy? Pachółkowie czekają w pobliżu.

Kruza spojrzał na niego ze zgrozą.

– Jak to: chcesz iść pieszo? – wykrzyknął. – Ty, pasowany rycerz uznamski? A gdzie koń?

– Koń należy do opata...

– Do ciebie należy! Mówiłeś przecież, że wychował się na twej ojcowiznie. Bierz zatem konia i siodło i coś jeszcze na drogę. Nie możemy być głodni.

– Mięso, jakie było w zapasie, przysłałem tobie.

– Zabij zatem świniaka.

– Do opata należy...

– Do ciebie należy, bo klasztor wyzuł cię z majątku, jak obecnie to robi ze Schwerinami. Wracaj do dworzyszczu, zapędź ludzi do pracy, wybij świnię, kury i krowy i czego nie zdołasz zabrać, rozdaj natychmiast innym. Jak prawy dziedzic tej ziemi. Niech wspominają cię długo!

– Hm... A jeśli ktoś nadjedzie z klasztoru?

– Zetnij mu głowę. Niech i opat o tobie pamięta! Muszę ci aż tyle tłumaczyć? Wantimir przecież jesteś, syn Dzierżka. I człowiek mądry!

Mocna to była przemowa. Wantimir położył rękę na głowni i wyprostował się hardo.

– Rozumiem – rzekł krótko. – Tutaj zaczekasz na mnie?

– Zajadę po ciebie.

Wantimir odszedł, Kruza zaś zaczął znowu podkarmiać konia. Robiło się coraz chłodniej. Obserwował w zamyśleniu przetaczające się po niebie ciemne obłoki, gwiazdy przebłyskujące od czasu do czasu, ledwie rysujące się w mroku ludzkie osiedla, a gdy owies się skończył, doszedł do wniosku, że i on powinien już ruszyć w drogę. Zajechał śmiało pod dworzyszczce, okrzyknął się głośno, otwarto mu bramę. Ujrzał przy niej gromadę ludzi z workami przy nogach, jakby tylko czekających na wypuszczenie; z głębi domostwa dochodził smakowity zapach smażonego mięsiwa. Popatrzył dalej: pod szopą, przy wiązkach siana, stało pięć koni pod siodłem.

– Do kogo należą?...

– Do sług klasztornych i pachotków archidiakona. Już przybył. Opat przysłał więc ich po mięso, jako że ma do mnie najbliżej.

– Co z nimi?

– Pokazałem im, że dworzyszczce należy do mnie – Wantimir wyprostował się dumnie. – Leżą pod stajnią.

– Pouczyłeś ludzi, jak się mają zachować?

– Tak.

– Wobec tego podpalaj dworzyszczce.

Kruza obserwował spokojnie, jak zajmowały się strzechy, i dopiero gdy wszystko buchnęło jasnym płomieniem, kazał otworzyć bramę. Ludzie wysypali się przez nią i znikali szybko w ciemnościach. Kto miał z nim jechać, dosiadał konia.

– Wantimir prowadzi – krzyknął. – Do morza!

Popędzili na przełaj, ominęli bokiem jakieś osiedle, wypadli na leśną drogę. Pożar obudził już okolicę. Biły dzwony klasztorne w Podgławie, gdzie niedaleko rozległ się tętent koni.

– Łatwo wpadną na nasz trop – Wantimir niespokojnie odwrócił głowę. – Wiadomo z góry, że tylko tędy możemy uciekać.

– Zaraz ich zatrzymamy. Przed nami chyba Zielenin. Także klasztorne dworzyszczce?

– Klasztorne.

– Znają cię tam?

– Bardzo dobrze.

– Prowadź więc prosto i załadaj otwarcia bramy!

Dostali się bez trudności do środka, a wkrótce nowe ognisko strzeliło w niebo. Szumiał dokoła wiatr, płomień był coraz większy. Przejrzał się w leżącym obok jeziorze Smolno, zalał je krwawym blaskiem i rozszerzając go ciągle, dotarł w końcu aż do leżącej na drugim brzegu Podgławy. Dzwony rozdygotały się z trwogi, potężnym hukiem wzywały rozpaczliwie pomocy. W zabudowaniach klasztornych rozbłyśły światła. Ci, którzy ścigali uciekających, zamiast gonić dalej, poszli wprost na nie w przekonaniu, że tam teraz odbywa się napad, i znaleźli się na miejscu, ostatecznie stracili głowy.

A Wantimir wciąż pędził naprzód. Dotarł do morza, skrzył na prawo, pojechał po twardym brzegu. Lodowaty wichur przenikał do kości, sypnął zniecka śnieg. Krótkimi, zmierzwionymi silnie zwałami kładła się fala na piasku i ubijając go coraz mocniej, równocześnie zacierała starannie ślady. Bałtyk huczał przeciągle jak w uniesieniu bojowym, nieustannie przyśpieszał rytm. Burzył wody i wzburzał serca, pomnażał w nich hart. Pod jego tchnieniem napełniały się jakąś tajemną mocą i wciąż im przybywało twardości.

– Świna w pobliżu! – oznajmił Wantimir.

Kruża wyskoczył naprzód. Mignęły z boku uspione chaty rybackie, pojawił się las. Wpadł do niego, dotarł do rzeki, poszedł od razu w wodę. Wygodna tu była przeprawa, wysepka znajdowała się za wysepką. Przeskakując z jednej na drugą, znalazł się wreszcie na drugim brzegu, ale i teraz nie pozwolił odpocząć. Zdawało się, że ogarnęła go jakaś gorączka. Dopiero nad ranem, gdy wolińskim gościńcem dojechali do bocznej drogi prowadzącej w stronę warnowskich jezior, wbił się głęboko w bór i zarządził postój.

– Tutaj możemy nawet rozpalić niewielki ogień, bezpiecznie – rzekł cicho. – Wyciągajcie strawę.

– Najpierw konie! – Wantimir przeciwstawił się ostro. – Nie po to je

ciągnę, aby mi padły, zanim pokażę Kryście. Do roboty, chłopaki!

Zrzucili siodła,, natarli porządnie parujące wierzchowce, rozgrzali, podsunęli im worki z owsem, poklepali po karkach. Kruża, obserwujący bacznie te wszystkie zabiegi, powinszował sobie raz jeszcze świetnego nabytku i rozpałił w tym czasie ognisko. Gdy jednak w końcu zabrali się do jedzenia, jakby coś nagle stanęło mu w gardle.

– Dopiero teraz czuję ziąb – mruknął. – Szczęki nawet przemarzły. Dałbym jeden palec za kubek gorącej wody.

– Phi! – Wantimir wzruszył ramionami lekceważąco. – Mało cenisz swe palce. Ja na taką chorobę mam zawsze coś odpowiedniego pod ręką.

Sięgnął do juków, wyciągnął pękaty gąsiorek.

– Uznamski, stuletni miód – dodał pobożnie. – Opat łąsy na niego, kryłem więc do tej pory starannie, bo moja własność i wielka pamiątka. Mój dziadek go jeszcze sporządzał!

Nalał do kubków i nabrał wielkiej godności.

– Za nasze zwycięstwo – wznosił toast. – Górą Pomorze!

Wypili zgodnie, więc nalał znowu.

– Za zdrowie Krysty, naszego wielkiego przywódcy!

Powiało ciepłem, zelżały skostniałe od zimna ciała.

– Za twoje zdrowie, rycerzu miły! – Wantimir rozochocił się teraz na dobre. – Bez ciebie nie przyszłoby mi nigdy do głowy, że tak wesoło można sobie pohulać pod bokiem opata. Za długo mnie ćwiczyl w pokorze. Gdybyś nie ty, musiałbym znów dzisiaj od rana słuchać niemieckich wymyślań.

Kruża wzruszył się tym dowodem uznania, rozpromieniły się przyjaźnie twarze pacholków. Wantimir szukał gorączkowo nowego toastu.

– Mam! – wynalazł nareszcie. – Zdrowie Schwerinów! Wprawdzie Niemcy i właściwie nic mnie nie powinni obchodzić, ale że klasztor dokonał pobożnego oszustwa i na podstawie fałszywych dokumentów zagrabił im dobra jak mojemu dziadkowi, niech żyją! Jednaka nas łączy dola.

Kruża spełnił i ten toast, lecz na nim poprzestał.

– Starczy na dziś – rzekł – bo czeka mnie wkrótce inna robota. A teraz śpijmy. Gdybym zniknął, zanim się przebudzicie, nie zdziwcie się i czekajcie

cierpliwie. Wcześniej czy później powrócę.

- A my co mamy robić w tym czasie?
- Siedzieć spokojnie i nie ruszać się z miejsca.
- A gdyby ktoś się pokazał w pobliżu?...
- Związać lub ciąć.
- W porządku – Wantimir machnął ręką. – Wiem już, co robić.

Słońce stało wysoko, gdy Kruza wymknął się nieznacznie i przyczał przy gościńcu, lecz mimo to musiał wykazać wielką cierpliwość. Spodziewał się tu ujrzeć archidiakona z Trzebuszy i rzeczywiście dostrzegł go w końcu, lecz dopiero koło południa. Nie znać było po nim tej żywiołowej siły, jaką okazywał ongiś na kodrąbskim dworzyszczu. Wyglądał marnie. Dała mu się widocznie we znaki ta noc spędzona w podgławskim klasztorze i płomienie bijące naprzeciw, wzniecone jakby celowo na jego przyjęcie. Mimo że otaczała go, jak zwykle, liczna drużyna, jechał wolno, rozglądał się płochliwie dokoła i najwyraźniej bał się zasadzki. Znał przecież dobrze ten bór. I kto wie, czy nie rozmyślał w tej chwili o dziwnym losie walecznego rycerza von Reetza, o biskupie kamieńskim zawieszonym na gałęzi w czasie wielkiej oblawy i Kryście...

Kruza odsunął od niego wzrok. Zobaczył mnicha, który w czasie pamiętnych dni służył mu za tłumacza, za nim dwóch innych. To go zastanowiło, zbyt liczna wydała mu się ta duchowna asysta. Pomknął za nimi nieznacznie i wkrótce ogarnęło go jeszcze większe zdziwienie. Zamiast jechać prosto, Bonow skręcił na Łęgi!

- Zepsuł mi dzień – mruknął niechętnie. – Jakie lichy go gna?...

Nie przypuszczał, że ta sprawa zajmie mu tyle czasu, i teraz żałował, że nie udał się prosto nad Gardno. Bonowa przecież śledzą na pewno niejedne oczy. Ale że już tyle zrobił, poszedł dalej, lecz wkrótce rozżościł się bardziej. Archidiakon zabrał łęgowskiego rycerza, pojechał z nim do Kodrąbia. Nie spuszczać go z oczu, popędził za nim nieznacznie i gdy wreszcie wychylił się naprzeciw nowo zbudowanego dworzyszczu, jakby zamienił się nagle w słup soli. Bonow właśnie z niego wyjeżdżał, za nim był znany mu dobrze mnich. Ale dwóch innych teraz zabrakło...

– A jednak dobrze zrobiłeś – pochwalił sam siebie. – Jeśli oni tutaj zostali, sprawa może być pilna. Trzeba zanieść szybko wiadomość nad Gardno.

Zawrócił i idąc teraz najkrótszą drogą, wkrótce połączył się z przyjaciółmi. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło, pożywiali się właśnie. Ale gdy spojrział w bok, ogarnął go podświadomy niepokój. Trzech związanych ludzi leżało w krzakach.

– Co za jedni?...

– Jacyś łotrykowie – odrzekł Wantimir nie przerywając jedzenia. – Chcieli nas podejść, lecz że my zrobiliśmy to lepiej, więc leżą. Rzuć na nich okiem. Jestem w obcym borze i nie znam tu wszystkich, toteż ich nie przebiłem, chociaż rzucili się na nas z nożami.

Kruża pochylił się i naraz wybuchnął śmiechem.

– Ty, Łukaszu, dałeś się złapać? – wykrzyknął. – Chyba się dziś nie wyśpałeś. Miałeś szczęście, że trafiłeś na mądrego rycerza, który wołał się ze mną naradzić, zamiast od razu cię zgładzić.

– Nasi ludzie?... – Wantimir popatrzył na niego niepewnie.

– Nie nasi, ale żyjemy w przyjaźni. Rozwiążcie.

Wantimir zajął się nimi odtąd troskliwie, roztarł im ręce i nogi, potem nakarmił uczciwie i wreszcie wyciągnął gąsiorek.

– Niewiele zostało – westchnął. – Starczy jednak na przeprosiny. Rękę mam ciężką, wiadomo, lecz z tego trzeba się tylko cieszyć. A nuż kiedyś stanie w waszej obronie!

Rozstali się w najlepszej zgodzie. Zbójcy bezszelestnie zniknęli w lesie, a i reszta zaczęła przygotowywać się do podróży. Kruża, dociągając popręgi, rzucił okiem na Wantimira i naraz zmarszczył brwi. Zdziwiły go jego nadmiernie ostrożne ruchy przy nakładaniu juków na konia.

– Co tam tak kryjesz? – zagadnął.

– Miód.

– Chyba gąsiór po miodzie. Przecież nic nie zostało.

– Za kogo mnie masz? – Wantimir poruszył się obrażony. – Dawałbym taki trunek byle przybłędzie, nie mając zapasu? Pozostał starszy. Po moim pradziadku!

Wantimir poprawił raz jeszcze juki i podszedł do luzaka. Podniósł z ziemi dwa ciężkie wory i zarzucił na grzbiet.

– A tam co?

– Świniak.

Kruża aż się przeżegnał z nagłego zdumienia.

– No wiesz... – mruknął. – Taszczyć świniaka taki szmat drogi, mając przy tym wroga na karku!... A ja byłem przekonany święcie, że wiesz jakis cenny dobytek.

– I świniak jest cenny! – Wantimir znów się obruszył. – Nie przejmuj się. Rycerz ze mnie pasowany i na grzeczności się znam. Do wielkich ludzi nie jedzie się nigdy z pustymi rękoma. Dobrze o tym pamiętam.

Rozpogodził się i popatrzył gospodarskim okiem na wszystko.

– Nieźle – stwierdził zadowolony. – Jak na Uznamczyka ze starożytnego rodu, wiozę niemało. Miód, który można by śmiało postawić na królewskim stole, jest, świniaki aż dwa i każdy ma swoją wagę, kilka koni pod siodłem liczy się także. A może jest ich za mało? – zaniepokoił się nagle. – Sam jednak widziałeś: opat, jak na nieszczęście, nie przysłał więcej pachółków, a byle szkap przecież nie będę ciągnął. Chyba poświadczysz przed Krystą?

– Poświadczę wiernie.

Kruża ujął konia przy pysku i zaczął prowadzić w las.

– Aha! – przypomniał coś sobie. – Przy naszym poznaniu wspomniałeś o jakimś rycerzu, którego szukają wszyscy. Nie mówiono ci, jak powinien wyglądać?

– A jakże!

Wantimir tak dokładnie podał różne szczegóły, że naraz jak żywa stanęła przed oczyma Kruży postać Rycerza z Lasu.

– Śpieszmy się – wpadł w popłoch. – Obyśmy nie wysłali za późno wieści, bo chłop może wpaść w matnię!...

Pociągnął konia między wykroty, za nim pobiegli inni. Wantimir, nie pozostając bynajmniej w tyle, wciąż się bił z jakimiś męczącymi myślami.

– Czyżbyś naprawdę – zagadnął półgębkiem – nie był tym, za kogo cię wzięłem?

– Nie.

– A kim?...

– Sam się domyślisz szybko. Mądry przecież jesteś.

– Prawda...

III

Bonow jakby się zapadł pod ziemią. Że znalazł się za Dziwną, wjechał do Kamienia i skrył się w pałacu biskupim, to było pewne. Wiedziano również, że się stamtąd nie ruszył. Liczne oczy śledziły czujnie budynek, katedrę, bramy miejskie i drogi, a chociaż nie potrafiły nigdzie go dojrzeć, z napływających codziennie wiadomości zaczęła znowu wyłaniać się ta znana powszechnie prawda, że gdzie się ten człowiek pojawi, tam w każdej chwili może nastąpić wybuch. Nie mogło ulegać wątpliwości: działo się coś niezwykłego. Gońcy kręcili się nieustannie, od morza i lądu przybywały jakieś przedstawicielstwa, konni posłańcy pędzili coraz częściej w stronę Świdwina. Aż wreszcie stało się coś, co wzbudziło powszechny niepokój. Na czele zbrojnej drużyny wkroczyli do miasta trzej rycerze zakonni z czarnymi krzyżami na płaszczach i powitani uroczystie przez Schippenbeila, zniknęli w jego pałacu tak samo tajemniczo, jak przedtem Bonow.

Boranta wciąż notował starannie. Do książki zaglądał coraz częściej Steffen, pochylał się nad nią niekiedy Gamba, jak urzeczona wpatrywała się Krysta. Znała właściwie na pamięć te wszystkie zapiski, a jednak nie mogła się wyzbyć wrażenia, że coś jeszcze wymyka się spod jej oczu, że każde z tych słów może przecież oznaczać więcej. Wzmocniła nasłuch, przez zaufanych starała się zajrzeć do wnętrza pałacu. Ci rycerze zakonni nie schodzili jej z myśli. Dotychczas znała ich ze słyszenia i wytworzyła sobie obraz dość z pewnością dokładny, lecz jakby zamglony dałą i przez to mniej straszny, tym bardziej że ten najbliższy z nich – biskup von Schippenbeil – okazał się bezradny jak dziecko w długotrwałej, zaciętej walce. On jednak, chociaż lubił chodzić w zbroi, zawieszał na piersi krzyż szczerozłoty. A teraz pojawili się przy nim ci inni, z czarnymi krzyżami, tworzący tę właściwą, miazdzącą siłę, nie uznającą żadnych innych praw poza własnymi. Po co tutaj przybyli? Czyżby miały się sprawdzać obawy Rycerza z Lasu? Czyżby miało paść za chwilę Pomorze?...

Krysta coraz dłużej wpatrywała się w księgę. Po raz pierwszy zaczęły ogarniać ją wątpliwości. Do tej pory myślała przede wszystkim o bezpieczeństwie, z poczucia narastającej siły narodziły się dłuższe wyprawy, z ciekawości i chęci przysłużenia się dobrej sprawie rozrzucała coraz dalej zwiadowców,

z własnej i cudzej krzywdy wyłaniała się wola zaprowadzenia dokoła sprawiedliwości. Teraz zdała sobie nagle sprawę, że zaplątała się w jakiejś ogromnej sieci i że im bardziej się w niej szarpie, tym większe wałą się na nią ciężary. Czy więc nie należy się cofnąć? Dziś jeszcze widać z niej wyjście, ale co będzie jutro? Czy nie lepiej przeczekać spokojnie tę wielką, doskonale już dzisiaj widoczną, nadciągającą zewsząd burzę, która tak może pogmatwać sieć, że zginie w niej nie tylko ona, ale i całe grodziszczcze?...

Męczące to były myśli. Któregoś dnia, gdy była w nich znów zatopiona, przybliżył się do niej Bjornson, szwedzki mnich, którego zdjęto z krzyżackiego statku razem z burmistrzem Szczecina.

– Widzę, że masz jakieś kłopoty – przemówił po polsku. – Stało się coś?... A może po prostu ci ciężko?

Zadomowił się tu już nieźle. Czas spędzał przeważnie nad księgami, których przywiózł sporo, a że i tym miejscowym poświęcał dużo uwagi, nie zawadzał nikomu. Steffen chętnie wdawał się z nim w pogawędki; niekiedy nawet, zwłaszcza gdy ludzie akurat zebrali się więcej, zadawał mu głośniejsze pytania i jakby od niechcienia jego odpowiedzi zamieniał w wykład. Szwed zapalał się zazwyczaj w takich wypadkach, pod wpływem ogólnego zasłuchania szybko nabierał mocy. Miał o czym mówić. Był wszędzie i widział wszystko. I chociaż urodził się na północy, rozmawiał płynnie w wielu innych językach.

Krysta uniosła głowę znad księgi. Ona też z nim lubiła gawędzić.

– Ciężko – przyznała. – Im dłużej się na coś patrzy, dostrzega się więcej, ale i wzrok bardziej się męczy.

– A ty spoglądasz teraz za grodziszczcze i Wolin... A chyba nawet poza Pomorze?

Nie zdziwiła jej ta domyślność. Na pooranej zmarszczkami twarzy wryły swe piętno zarówno asceza, jak i doświadczenie życiowe, i spostrzegła już dawno, że ten człowiek w jakiś cudowny sposób potrafi czytać nie tylko w jej myślach.

– Na pewno poza Pomorze – potwierdził po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Wydaje mi się, że nareszcie ujrzałaś w pełni potęgę krzyżacką i przy niej poczułaś się mała. Tak, ona może wzbudzić zadumę... Nie przejmuj się jednak. W ciebie ona tymczasem nie uderzy, zajęta jest bowiem znacznie

ważniejszymi sprawami. Jeśli więc możesz ją szarpać, szarp.

– Tak sędzicie?...

– Trzeba ją szarpać! – w oczach Bjornsona ukazały się nagle płomienne błyski. – Dla dobra kościoła i ludzi. Dla kościoła, bo ten zakon przemienił krzyż w narzędzie zbrodni i dając innym zły przykład, do własnych dodaje wciąż nowe zbrodnie. Dla ludzi, bo dzieli je na ofiary i wilki. Jeśli więc z tego wilczego stada uszczkniesz choćby jednego, wielu niewinnym ocalisz życie. Taki twój obowiązek!

Zacisnął zęby, spojrzął spokojniej.

– Uniosłem się – dodał w zakłopotaniu. – Namawiam cię do wojny, a zapominam, że jesteś właściwie bardzo biedną dziewczyną... Zamiast pruć kądziel, oczyszczasz miecz; zamiast potaćzyć, prowadzisz zbrojny korowód. A przecież nie masz chyba jeszcze dwudziestu lat. Wiek do kochania, a nie do walki. Zachodzę więc nieraz w głowę, jak to się dzieje, że w takim tłoku żaden mężczyzna nie ma do ciebie dostępu. Jesteś tutaj jak na ołtarzu. To dobrze, w tym właśnie tkwi twoja siła. Ale dla ciebie chyba to smutne?...

Zwiesiła głowę. Wpatrywał się w nią w coraz większym napięciu.

– A może myślisz o kimś, kogo tu nie ma?... – rzekł jakby do siebie. – Tak, to możliwe. A że nie możesz się z nim połączyć, męczysz się również... A kim jest...

– Dość – przerwała mu szorstko. – Nie o tym mieliśmy mówić, lecz o Krzyżakach. Czy sędzicie, że ci w Kamieniu mogą być groźni?

Pokręcił powoli głową, jakby się czemuś dziwił.

– Umiesz walczyć, umiesz podglądać i potrafisz także osadzać ludzi – odezwał się w zamyśleniu. – Rzadkie zalety jak na niewiastę. Jedną tylko taką widziałem: Małgorzatę, królową duńską. Dzisiaj się postarzała i chyba nawet zaczyna popełniać błędy, ale w młodości była bardzo do ciebie podobna... O czym mieliśmy mówić? – zastanowił się. – Aha, o tych Krzyżakach. Twierdzę, że są groźni. Według moich wyliczeń zjazd w Kamieniu oznacza, że Malbork w jakiś podstępny sposób uderzy lada chwila w Pomorze...

A już najbliższe dni wykazały, że ten człowiek umiał przewidywać nadzwyczaj trafnie. W niedzielę dzwony kościelne rozhuczały się tak posepnie, jakby obwieszczały zbliżający się koniec świata. Były w Kamieniu i Koszalinie, w Strzałowie i Wołogoszczy, Szczecinie i na Uznamie, w Kołobrzegu i Stargardzie, były we wszystkich kościołach, jakie podlegały pomorskiej diecezji. Rycerz Fleming odsprzedał Golczewo księciu Bogusławowi. Biskup teraz zażądał zwrotu, chcąc przekazać gród Krzyżakom, a że książe nie chciał go wydać, rzucił z kolei na niego klątwę i ogłaszał donośnie swą wolę z ambon przy wtórce żałobnych modlitw, w dymie kadzideł, wśród głuchych jęków i płaczu tłumów, przejętych śmiertelną trwożą.

W tydzień zaś później gruchnęła nowa wiadomość: Schippenbeil sprzedał Krzyżakom Bobolice, sprzedał Karlino, sprzedał Koszalin. Silne grody, mogące trzymać jak na uwięzi całe wschodnie Pomorze. Nie krył już dzisiaj swoich zamiarów, zaraz ogłosił więcej: oto oddaje się pod opiekę Zakonu z całym biskupstwem. A jeden z rządzących równocześnie i walczących właśnie między sobą o władzę papieży, którego uznał za głowę kościoła, zatwierdził już uroczyście to potężne zwierzchnictwo...

– Jak na oddanego sługę Zakonu, nieźle sobie poczyna – Bjornson melancholijnie pokiwał głową, gdy i ta wiadomość nadbiegła nad Gardno. – Bogusław to przecież nie tylko pan na swej dziedzinie, ale też senior książąt i zwierzchnik całego Pomorza. Bijąc w niego, bije we wszystkich i obala najwyższą władzę. Jak na biskupa, i to biskupa pomorskiego, niewątpliwie popełnił zbrodnię. Wniosek stąd prosty: kto dzisiaj z nim walczy, powinien osiągnąć niebo.

– Święte słowa! – Gamba przytaknęła żywo. – Jeśli jeden papież go poparł, w takim razie ten drugi musi nas błogosławić, bo bijąc Schippenbeila, stajemy po jego stronie. Dla ludzi – spojrzął na Krystę – może mieć to duże znaczenie i warto chyba rozgłosić. Nareszcie masz godne siebie towarzystwo! – rozweselił się. – Być wyklętym na równi z jakimś chłopem, mieszczaninem czy nawet rycerzem, zaszczyt niewielki, bo każdemu to może się zdarzyć. Ale iść już w parze z księciem i do tego z seniorem książąt, coś znaczy. Musimy i nad nim roztoczyć obecnie opiekę. Słabszy od nas, a trzymać z nim warto. Bądź co bądź, prawy władca Pomorza!

Krysta na pozór nie zwróciła na te słowa uwagi, jednakże w następnych dniach zaczęło się wydawać, że pamięta je dobrze. Nie spuszczać z oka Kamienia, równocześnie jak po sznurze sięgnęła po wieści do książęcej siedziby w Stargardzie, sięgnęła też do Golczewa, jak nicią pajęczą omotała niespodziewanie ziemię świdwińską. Wreszcie zaczęła szukać Rycerza z Lasu. Z Uznamu, gdzie go widziano ostatnio, nie odezwał się. Skierowała się w drugą stronę, za Dziwnę. Odpowiedzi nadeszły bardzo niejasne. Powtórzyła wezwanie, przesłała je inną drogą. Tym razem odpowiedziało jej głuche milczenie.

– Niedobrze – mruknął Boranta, wpisując do księgi odpowiednią notatkę. – Według tego, co o nim wiemy, powinien być blisko. Mogło się wprawdzie zdarzyć, że musiał odjechać nagle, lecz wtedy powinien pozostawić jakąś wiadomość. Robił przecież tak zawsze.

– Prawda...

– Najbardziej jednak zastanawia mnie to milczenie – Boranta mówił dalej z coraz większym namysłem. – Nasz człowiek na końcu łańcucha musi się odezwać, taki ma obowiązek. A ten ani słowa. Czyżby łańcuch się przerwał?...

Zachodni wiatr nanosił bez przerwy chmury i coraz szczelniej zasłaniał niebo. Krysta, obserwująca je do tej pory z wielką uwagą, odwróciła powoli głowę.

– Tak właśnie się stało – odezwała się w zamyśleniu. – Poczekajmy jeszcze na wieczorowe meldunki. Jeśli nic się nie zmieni, trzeba będzie natychmiast wyruszyć w drogę. Takie brakujące ogniwo może wywołać nieszczęście.

Pchnęła zaraz gońca nad Dziwnę do zaufanych rybaków, aby na wszelki wypadek zabezpieczyć sobie przeprawę, potem poszła nad morze i już do końca dnia kryła się w samotności. Czuło się w niej jakieś wielkie napięcie, coraz niespokojniej patrzyła na niebo. Gdy zaś zapadł wieczór i łącznik od Świętoustcia zawiadomił jedynie, że nazajutrz Bonow opuszcza Kamień, jakby zdrętwiała nagle, lecz tym razem szybko otrząsnęła się z zamyślenia. Padły krótkie rozkazy, dzwonne sygnały przeniosły je do dworzyszczu. A wkrótce silna drużyna stanęła w gotowości bojowej nad brzegami jeziora.

– Bądź ostrożna – Bjornson szepnął Kryście do ucha. – Nie daj się ponieść przypadkiem uczuciu, bo w trudnej chwili jest ono zawsze niedobrym doradcą.

Nie był pewien, czy właściwie go zrozumiała, musiał się bowiem zaraz odsunąć. Z naręczem worków pchał się do niej Wantimir.

– Chyba i ja się z wami zabiorę – przemówił gniewnie. – Wciąż wbijam wam w głowy, że owsa brak, a nikt się nie martwi. Za tydzień nie będzie czym karmić koni. Bierzcie więc worki i niech każdy przywiezie pełny!

Była to ostatnio poważna bolączka. Owies na Wolinie obrodził słabo w ubiegłym roku i dostać go było coraz trudniej, a stadnina znowu poważnie wzrosła. Próbowano robić zakupy za Dziwną i na Uznamie i sprowadzać przez znajomych rybaków. Niewiele to pomagało. Tam go także zabrakło.

Krysta, jakby w zakłopotaniu, opuściła głowę.

– Sprawa niezmiernie ważna – odezwała się miękko. – Dziś jednak nic ci obiecać nie mogę. Ta wyprawa będzie daleka i niebezpieczna.

– Hm, niebezpieczna, powiadasz?...

– Właśnie. Ani jutro, ani chyba nawet pojutrze nie wrócę. Zastanów się przez ten czas i może sam coś wymyślisz.

– Jak tu wymyślić, gdy konie chcą żreć codziennie, a owsa brak... Przyśedłem na przednówku, w tym sęk. Na przyszły rok będzie inaczej.

– Ale i na ten coś wymyśl – Kruża wtrącił się do rozmowy. – Sprawa trudna, wiadomo, lecz tobie nie brakuje rozumu. Pokręcisz głową i na pewno coś z tego wyjdzie.

Wantimir, zasępiiony dotychczas, wyprostował się dumnie.

– Zgoda, pomyślę – odrzekł. – Jeśli ja mam się jednak zająć tą sprawą, musicie mi dać pełną swobodę.

– Otrzymasz ją – zgodziła się Krysta. – Pamiętaj tylko, że na Wolinie nic nie wolno zabierać siłą.

– To już dobrze rozumiem. Bądź spokojna, mnie wystarczą dwa słowa. W grodziszczu pozostaje jeszcze niemało ludzi. Daj mi z dziesięciu, aby miał kto dźwigać worki.

Nie chcąc marnować więcej czasu, machnęła ręką.

– Przydziel mu – rzekła do Gamby.

Zaszyła się w las. Jak duchy przesunęli się nieznacznie przez gęsty bór

i wydostawszy się na otwartą przestrzeń w pobliżu Kołczewa, pomknęli galopem, dopóki nie zamknęła im drogi Dziwna. Przy brzegu czekało już kilka łodzi. Wsiedli do nich, pociągnęli za sobą konie. Podróż odbywała się szybko. Koło północy byli znów dobrze ukryci, tym razem wśród bagien i lasów Niemicy, niedaleko Golczewa. Gdzieś w pobliżu powinna się znajdować samotna chata wiejskiego pasterza, będąca pierwszym celem wyprawy. Coś mogło się zepsuć gdzie indziej, mogło pęknąć nawet niejedno ogniwo. Ten pasterz jednak powinien znać wszelkie szczegóły, był to bowiem człowiek niezwykle bystry i w jego rękach skupiało się wiele tajemnic.

Ciemności panowały prawie zupełne. Ludzie poruszali się ostrożnie, podkarmili konie i zaczęli układać się do snu, a jedynie Boranta z Krużą, odcchnąwszy nieco, udali się w dalszą wędrowkę. Mieli rozejrzeć się w okolicy, dotrzeć do chaty pasterza i sprawdzić, co się tam dzieje. Mogło tu nie być niebezpieczeństwa, lecz mogło ono czaić się wszędzie. Następnym więc krokiem należało przemyśleć dokładnie.

Krysta drzemała. Niewielki skrawek nieba, widniejący w górze, odcinał się słabo od panującego dokoła mroku, spoglądała więc na niego często, aby odpuścić sen. Kosztowało ją to coraz więcej wysiłku. Wszystkich zmęczył ten szybki pochód, nie pozostawiła więc na straży nikogo i przejęła czuwanie na siebie, a teraz musiała o tym pamiętać. Słuch był ciągle napięty, z wielkiej ciszy wyluskiwał najmniejsze szmery. Oto koń przestąpił z nogi na nogę, oto inny odsapnął lekko, gdzieś blisko spadła na ziemię garstka zeschniętych liści. A oto ledwie uchwytny szelest, jakby lis stąpnął na kępkę mchu zapominając w swej przeczności, że pod nią może się znajdować susz zeszłoroczny, który jeszcze nie zdążył zbutwieć. Przekreśliła się powoli, uniosła w górę. Ujrzała naprzeciw wyłaniającą się z ciemności sylwetkę.

– Boranta?...

– Ja.

Przysunął się do niej, składał szeptem meldunek. Trafili do chaty, lecz nie weszli do środka. Pies ujadął zaciekle, powinien obudzić czujność. Odpowiedzieli mu, jak było umówione, głosem wilka zawiedzionego w swoich rachubach. Mimo to nikt nie wyszedł na zewnątrz.

– Może nie ma nikogo w domu?
– Niemożliwe, rodzina liczna. Słyszałem zresztą najwyraźniej szmer, jakby ktoś tam się zakradał do okna, a i Kruża usłyszał. Albo więc gospodarz chce nam dać znać, że kryje się w pobliżu zasadzka, albo na jego miejscu znajduje się ktoś inny, kto nie rozumie naszego hasła. Kruża pozostał na straży.

– A co w okolicy?
– Na pozór zupełny spokój. Może to być tylko złudzenie, ciemności wielkie. Trzeba się poruszać bardzo ostrożnie, bo można łatwo utracić głowę. Czuję coś niedobrego w powietrzu.

– Obudź kogoś, aby czuwał, i kładź się spać. Ja pochodzę trochę po lesie. W razie nagłej potrzeby obejmiesz za mnie dowództwo.

– Bądź ostrożna. Powiedziałem: czuję coś niedobrego.
– Pamiętam.

Ruszyła ostrożnie naprzód. Niespodziewanie znów wyrosła przed nią postać ludzka. Spojrzała baczniej: Borek.

– A ty dokąd?..
– Za tobą. Musisz przecież mieć jakąś straż.
– Odpocznij lepiej. Pomoc mi niepotrzebna.
– Zabij, ale nie usłucham twego rozkazu! – rozłożył szeroko ręce. – Rycerz może iść sam między nieprzyjaciół. Królowa nie!

Od potyczki nad Dziwną, w której przez brak osłony o mało nie utraciła życia, nieraz stawiał sprawę w ten sposób i był w takich chwilach bardzo stanowczy. Nie mogła mieć o to żalu. Wiedziała zresztą, że chociaż w boju poniesie go czasem zapał i przerwie obowiązującą ciszę głośnym okrzykiem, w lesie nie naruszy jej nigdy, a przy tym potrafi się skradać jak kot. Nie rzekłszy więc już słowa, ruszyła dalej i rada była nawet w duchu z towarzystwa. Ten wielki mrok i jej zaczął teraz wydawać się niebezpieczny. Posuwała się coraz ostrożniej. Las wkrótce zrzedł. Przyśpieszyła kroku, lecz nie straciła nic na czujności. Coraz częściej pojawiały się przed nią niewielkie łączki, ugory, drzewa znikły w końcu zupełnie. Podsunęła się jeszcze trochę według wskazań Boranty, dostrzegła chatę. A w pobliskiej kępie krzewiny ukrywał się Kruża.

– Co nowego?

– Wiem tylko, że ludzie są w środku. Dopóki szczekał pies, byli ostrożni. Potem słyszałem kilkakrotnie szurgot i jakieś głosy. Ktoś się ukrywa, to pewnie.

– Zostań więc jeszcze. Ja popatrzę na okolicę.

Wróciła do lasu i zataczając powoli koło, zaczęła obchodzić z daleka chatę. Naraz stanęła. Gdzieś z boku rozległ się stuk delikatny i znowu zapadła cisza.

– Koń chyba przestąpił...

– Koń – cicho potwierdził Borek.

Posuwając się krok za krokiem, mijali pnie i wreszcie ujrzeli odmienne cienie. Podsunęli się bliżej. Jakiś człowiek stał z włócznią w ręku na straży, a obok gromada koni. Spojrzeli niżej: pięciu ludzi spało spokojnie na ziemi.

– Koni dziesięć, a ludzi tu sześciu – Borek przyłożył usta do ucha Krysty.

– Czterech zatem najprawdopodobniej przebywa w chacie, a że nie odezwali się na nasz znak, wrogowie. Uderzamy?

– Poczekaj...

Coś ją zastanowiło. Niektóre z leżących postaci wydały się jej jakieś odmienne, jakby skurczone z bólu. Podkrađła się bliżej, nieco uniosła głowę. Trzech ludzi leżało na wznak, dwóch innych na boku. Przyjrzała się im dokładnie i naraz ścisnęła usta: ci dwaj mieli ręce związane.

– Są jeńcy – szepnęła, gdy Borek znów znalazł się przy niej. – Wyciągnij miecz i miej na oku tych trzech, a ja zdejmę tamtego na stróży.

W chwilę później zapadł się jakby pod ziemię, a zaraz obezwładniono i resztę, i to tak cicho, że nie zdążyli nawet wydobyć z siebie jednego słowa. Dopiero gdy ich wiązano, przebudzili się jeńcy.

– Wszelki duch!... – jeden z nich odetchnął przeciągle. – Czyżby przyjaciel?...

Krysta przecięła mu więzy.

– Nie mów tak głośno – odrzekła szeptem. – Przyjaciel. A tyś kto?

Wstał powoli, wyprostował się, nad podziw długo rozcierał ściernięte ręce.

– Nie chcesz mówić? – zastanowiła się. – No cóż, nie mów. Żeś rycerz, widzę. A ten drugi?

– Mój pacholek...

W głosie nieznanego czuć było wyraźne drżenie. Nie przywiązała do

tego wagi. Przeszedł tu chyba niemało, dała mu więc chwilowo spokój, lecz uwolniwszy z więzów drugiego jeńca, znów do niego podeszła.

– A teraz mów jasno – rzekła. – To tylko, co mi możesz powiedzieć. Skąd się tu wziąłeś i kim są ci, którzy na ciebie napadli?

Odpowiedziało jej głucho milczenie.

– Gadajże wreszcie! – zniecierpliwiła się. – Nie mam czasu na tak długie rozmowy.

Rycerz odsunął się nieco i przeżegnał szybko.

– Boże miłosierny – rozszeptał się trwożnie – ocal mą duszę!... Czary najwyraźniejsze... Niewiasta z mieczem!...

– Co w tym dziwnego?

– Niesamowite. Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by wydobywała rycerzy z niewoli...

– Więc teraz ją widzisz – Krysta przerwała mu cierpko. – Miałeś przedtem związane ręce? Miałeś. A teraz przecież są wolne.

Wyciągnął je przed siebie, popatrzył i chyba dodały mu ducha, odetchnął bowiem z ogromną ulgą.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – przyznał. – A jednak niesamowite... Ha – zdecydował się – dałaś mi wolność, ufać ci muszę! Choćbyś była nawet niezmiernym stworem... Fleming jestem!

– Ten, którego wyklął biskup kamiński?...

– Ten sam!

Zrozumiała nareszcie jego obawy. Człowiek wyklęty mógł spodziewać się w takiej chwili jakiejś czarnej zasadzki. Pochyliła się nad nim, jakby ją ogarnęła ciekawość i chciała przyjrzeć się lepiej tej twarzy ledwie widocznej w mroku, lecz odsunął się nagle. Z jej szyi coś spłynęło, zakofysało się przed nim lekko, rozbłysło złotem. Gorączkowym ruchem pochwycił maleńki przedmiot, potrzymał go chwilę i przyłożył do oczu.

– Chryste Panie! – wykrzyknął głosem zduszonym. – Że też się od razu nie domyśliłem... Tyś Krysta!

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wisiołek o tym zaświadcza! Wielki to znak... Ma go tylko jedna niewiasta!

– Kto ci to opowiadał?...

– Rycerz z Lasu!

Krysta wyjęła mu go z ręki i jakoś bardzo długo wkładała na swoje miejsce.

– Wiesz już wszystko – odezwała się wreszcie. – Mów więc też teraz wszystko. Tymczasem tylko co najważniejsze, bo przed nami świt.

Fleming odtąd nic nie ukrywał. Jechał właśnie na spotkanie z Rycerzem z Lasu, o miejscu jednak miał się dowiedzieć dopiero na cmentarzu w Świeszewie od tamtejszego grabarza. Wskazano mu tam chatę mieszkającego stąd niedaleko pasterza. Zajechał pod nią śmiało, wszedł do środka, spojrzął przed siebie. Czymś go trzaśnięto z boku, stracił przytomność. Gdy się ocknął, leżał właśnie w tym miejscu, a obok jego pacholek. Z rozmów, jakie prowadzili później między sobą strażnicy, dowiedział się sporo. Co do niego, nie ukrywali, że zaprowadzą go do Malborka i że tam zawiśnie z pewnością na szubienicy. Grabarz był z nimi podobno w zмовie. On to wynalazł tego pasterza, odkrył jakąś jego tajną robotę, wskazywał na jakiś łańcuch. Za jego radą urządzono w chacie pułapkę. Chciano wyłapywać wieści i gońców, lecz chyba nikt się nie zjawił. Sądząc z ich podniecenia i złości, coś ich najwyraźniej zawiodło.

– Zawiodło – przyznała. – Pasterz po prostu nie zdradził hasła.

– Ale to on mnie przecież zaprosił do środka!

– Nic cię przy tym nie zastanowiło?

– Hm... – Fleming przestąpił niepewnie z nogi na nogę. – Niby zapraszał, a jednak był czymś mocno przejęty, prawda... Niby się uśmiechał, lecz najwyraźniej bił z oczu strach. Jak to trzeba na wszystko uważać! Wtedy myślałem, że moja osoba sprawiła na nim takie wrażenie, a on tylko ostrzegał. Człowiek stary, a głupi...

Krysta spojrzała na niebo. Wciąż było ciemne, od wschodu jednak przesączała się już nieznacznie jasność.

– Skocz po naszych ludzi – rzekła do Borka. – Niech się podsuną pod chatę. Najbystrzejsze oko o tej porze ogarnia senność – wspomniała bezwiednie Suma pływającego w tej chwili gdzieś na Bałtyku albo na Morzu Północnym na krzyżackim okręcie – bo wkrótce brzask. Trzeba zatem uderzyć.

Obejrzała z bliska konie i siodła, sprawdziła kieszenie jeńców i więzy i znów wdała się w pogawędkę z Flemingiem.

– Co o nich sądzicie? Na czyjej mogą być służbie?

– Wiadomo: krzyżackiej! – poruszył się wściekle. – Nie ukrywali wcale tego przede mną. A ich przywódca, znajdujący się w chacie, to podobno nawet ktoś ważny.

– Nie ma ich więcej w pobliżu?

– Chyba nie. Czasu było dużo na pogawędkę. Leżałem tutaj od wczoraj i coś bym na pewno usłyszał.

– Sprawdźmy na wszelki wypadek.

Zostawiła go z jeńcami, sama zaś poszła w stronę domostwa i odtąd wypadki potoczyły się błyskawicznie. Drzwi nie były zaparte. Wpadli w nie znie-nacka, zwalili wartownika, zmiotli dwóch innych, którzy skoczyli na nich, resztę przygnietli do ziemi, zanim zdążyli otworzyć oczy. A i śledztwo nie trwało długo. Jeńcy przyznali zgodnie: grabarz świeszewski był od dawna na usługach krzyżackich i wywęszywszy ostatnio w jakiś sposób, którędy przepływają wieści nad Gardno, powiadomił o tym natychmiast swego zwierzchnika. Ten postanowił sprawdzić, czy pochwycił właściwy trop, i przybył tutaj ze swymi ludźmi. Na szczęście jednak nie zdążył dokończyć dzieła.

– Jak sądzisz? – Krysta skierowała na Borantę zamyślane spojrzenie. – Trzeba będzie zamknąć tę drogę?

– Chyba nie. Dowódcę mamy w ręku, a że to Krzyżak, więc na pewno przed sprawdzeniem nie wysłał w górę meldunku. Pozostaje więc tylko grabarz. Jeśli jego zniszczymy, powinniśmy zaginać ślady.

– Słusznie...

Krysta znieruchomiała. W świetle narastającego poranka widać było wyraźnie jej twarz skupioną, pełną w tej chwili zadumy, rozważającą coś bardzo sumiennie. Zapatrzyli się na nią wszyscy: ludzie z grodziszcza i jeńcy, Fleming, jego pacholek i cała ta pasterska rodzina, obserwująca ją od początku w jakimś ogromnym napięciu, jak gdyby na jej oczach miał się przedziwny cud.

– Boranto, mów – padły naraz słowa ciche i pełne powagi, które pogłębiły jeszcze panującą dokoła ciszę. – O co oskarżasz tych ludzi?

Rzucił na nią bacznie okiem, na chwilę zacisnął usta. Zdarzyło się po raz

pierwszy, że w czasie wyprawy bojowej zadała mu takie pytanie.

– Jest kilka zarzutów – skupił się tak samo jak ona. – Pierwszy, że napadli na ten dom i usiłowali wydobyć nie swoje tajemnice pod groźbą śmierci. Drugi, że pochycili pomorskiego rycerza Fleminga na jego ojczystej ziemi i zamierzali go wydać obcemu państwu. Ci więc z nich, którzy mienią się mieszkańcami Pomorza, popełnili zdradę sprzymierzając się z wrogiem i oddając mu brudne usługi dla celów zysku. Ci, którzy mieszkają w państwie zakonnym, popełnili zbrodnię wkraczając na Pomorze, aby dokonać gwałtu.

– Jaką karę przewidują za to nasze słowiańskie prawa?

– Śmierć.

– A krzyżackie?

– Także śmierć, ale poprzedzoną okrutną męką.

– Powtórz to wszystko po niemiecku. Niech zrozumieją dobrze i ci, którzy nie znają naszego języka.

Boranta powtórzył płynnie.

– Kto ma coś do powiedzenia na ich obronę? – zwróciła się teraz do wszystkich.

Nikt nie przemówił.

– Zatwierdzam karę – odezwała się chłodno. – My nie lubimy patrzeć na ludzką mękę, zastosujemy zatem słowiańskie prawo. Rycerzu Flemingu: ty byłbyś poszkodowany najbardziej, gdyby w końcu zawleczono cię do Malbor-ka. Czy więc zechcesz objąć dowództwo nad wykonaniem wyroku?

– Obejmuję!

– Wyprowadźcie ich zatem w las.

Powoli, ale coraz obficie napływało poprzez otwarte drzwi i błony okienek poranne światło. Tam, na zewnątrz, oddalały się kroki i wreszcie ucichło zupełnie. Tutaj wszyscy stali wciąż nieruchomo.

– Trudne ci daliśmy zadanie – Krysta spojrzała na gospodarza. – Jak widzisz, łatwo możesz utracić życie. Jeśli po tym, co się stało, chcesz dla nas pracować dalej, pracuj. Jeśli nie chcesz, nie będę miała do ciebie żalu.

Pasterz wyprostował zgarbione plecy. Zamglone dotychczas oczy nabrały naraz jasnego blasku.

– Nie jestem nawet chłopem, bo już mego ojca wyzuto z ziemi – odezwał się cicho. – Słowo jednak mam tylko jedno i rzekłem je dawno: z wami. Bez względu na to, co stanie się ze mną.

– A twoje dzieci?...

– Będą żyły lub zginą. Zresztą...

Dalsze słowa nie chciały wydobyć się z gardła. Jakby w popłochu oderwała od niego wzrok i przesunęła na skupioną w kącie rodzinę. Wśród licznych drobniaków dostrzegła kilkunastoletniego wyrostka.

– A z nim co zamierzasz zrobić w przyszłości?...

– Co mogę zamierzać? – w głosie pasterza przebiła rozpacz. – To samo, co z sobą. Będzie obijał się po dworzyszczach albo zaginie gdzieś w wiku!

Podeszła do chłopca, pogładziła jasną czuprynę.

– A mnie byś go powierzył? – zagadnęła znienacka. – Damy mu fach. A może i szkołę ukończy?...

Gospodarz znieruchomiał. Jak pod wpływem gwałtownej burzy, na jego twarzy zdumienie zderzyło się nagle z lękiem, radość z niewiarą, rozpacz z nadzieją i wreszcie skotłowało się wszystko w jakimś promiennym szczęściu, przepełniającym do głębi ciało i duszę.

– Królowo nasza, pani anielska! – runął jej do nóg i pocałunkami zaczął okrywać stopy. – Ty jedna tylko dzisiaj potrafisz zaglądać do serc. Bierz i rozkazuj! Nam rozkazuj, nędzarzom... Jesteś przecież naszą ostatnią ucieczką. I krzyknij głośniej, niech cię usłyszy całe Pomorze. Na śmierć i życie pójdziemy za tobą!...

Zaniósł się krzykiem, z płaczem i jękiem przypadła do niej cała rodzina. Krysta spoglądała jak odurzona. Nieznacznie, jakby nie bardzo pewna, czy jej wypada to czynić, pogładziła najbliższą główkę, lecz zaraz nabrała śmiałości. Szybko teraz sunęły dłonie, przechylały się pieszczotliwie, czuło się w nich coraz więcej tkiwości. Rozrywający, serdeczny szloch wznosił się w izbie z chwili na chwilę. A wraz z nim twardniały coraz bardziej otaczające ich wokół twarze ludzi znad Gardna.

IV

Ludzie chodzili na palcach. Słońce chyliło się ku zachodowi, Krysta jednak wciąż spała. Położyła się najpóźniej ze wszystkich, nikt więc nie chciał zamącać jej zasłużonych chwil wypoczynku, tym bardziej że łączność działała znów sprawnie i można było wysłać wieści wprost do grodziszcza.

Ktoś nadchodził. Kruża, odpoczywający także, lecz równocześnie dający na wszystko bacność, uniósł się lekko na łokciu. Zza kępy krzaków wyłonił się właśnie pasterz.

– Nadeszła wiadomość z hasłem „Kraków” – oznajmił cicho. – Przybiegłem zaraz, bo pewnie pilna.

– Jak brzmi?

– „Czekam u Łukasza. Rycerz wydobyty z niewoli niech zostanie na miejscu”.

– Rzeczywiście pilna. Muszę obudzić Krystę.

Ale ona już się ocknęła. Ta pierwsza wieść od nieuchwytnego dotychczas człowieka sprawiła jej chyba dużo radości. Poruszyła się żywo, oczy rozbłyły nadzwyczaj jasno. Stłumiła zaraz w sobie ten odruch i znów zatonąła w zwykłym skupieniu.

– Co z grabarzem? – spytała Krużę.

– Mamy go.

Przesunęła powoli wzrok po ludziach, koniach, otaczających ich drzewach i kępach krzewiny i wreszcie spojrzała w górę.

– Wciąż chmurno, to dobrze... Jak sądzisz? – zwróciła się do pasterza. – Można by pojechać przed zmrokiem?

– Ludzie czuwają wszędzie. Jak po sznurze poprowadzą was leśnymi drogami aż na bagniska Grzybnicy. Nawet w jasny dzień nikt by was nie zobaczył.

Ruszyli wkrótce. Pasterz miał słuszność: mknęli bezpiecznie pełnym od ludziami, poza przewodnikami nie było nigdzie żywego ducha. Przeprowa przez moczary zajęła im więcej czasu, jednakże przed północą przeprowa się bez kłopotów przez Dziwnę. Łączność wszędzie działała sprawnie. Zaufani ludzie stali na swoich miejscach, czuwali rybacy, czekały łodzie. A gdy się tylko wydostali na brzeg, dało się słyszeć znajome hasło i z ukrycia wyskoczył Gamba.

– Tak się za wami stęskniłem – przemówił raźnie – że postanowiłem wyjechać na powitanie!

– Doszła do ciebie wiadomość? – ucieszyła się Krysta.

– Z radości właśnie dosiadłem natychmiast konia. Czarodziejka z ciebie nie lada. Ledwie znikniesz nam z oczu, Steffen zwiesza głowę i zaszywa się w kącie, Bjornson, zamiast w księgę, spogląda w wodę, a i reszta chodzi jak struta. Paskudne czary!

Objął ją ramieniem, przytulił, pomógł zarzucić na konia siodło. A gdy już byli w drodze, wciąż jechał obok i wypytując o szczegóły wyprawy, raz po raz przerywał jej żartem i śmiechem. Rzeczywiście ponosiła go radość, a że za nią kryła się niewątpliwie serdeczna troska, Krysta słuchała go z coraz większym wzruszeniem.

– A co w grodziszczu? – zagadnęła, gdy się trochę uciszył.

Zasapał naraz ciężko, niespokojnie targał przez chwilę wodze.

– Wantimir zniknął bez wieści – warknął.

– Chryste Panie! – przeraziła się nie na żarty. – I ty dopiero teraz o tym mi mówisz?

– Nie chciałem psuć dobrego nastroju. Ledwie zniknęłaś w borze, ten do mnie, abym natychmiast wyznaczył mu ludzi. Kazałaś, więc wyznaczyłem. Sądziłem, że zaczeka do twego powrotu, ale ten już ich zagania, już zbroi, już ustawia naprzeciw grodziszcza. Próbuje dowiedzieć się czegoś, wtrąca się Steffen. Usiłujemy go odwieść od tej nie przemyślanej wyprawy. Ale on na mnie z pyskiem: „Nie twoja sprawa. Mam jedną tylko panią i ona mną rządzi. Sama nie może się postarać o owies, ja się zatem postaram, bo od tego tu jestem. A wy przestańcie nareszcie gadać. I nie próbujcie przypadkiem stanąć mi w drodze. Jak mi Bóg miły, tak będę rąbał, jeśli ktoś mi przeszkodzi w wykonaniu rozkazu!”

– A co na to Steffen? – w głosie Krysty zadźwięczał niepokój.

– Machnął ręką, a i mnie kazał zrobić to samo. Wantimir, nie spojrzawszy już nawet na nas, zabrał wszystkie konie, na luzaki załadował worki i wkrótce zaginął w borze. Że poszedł na Uznam, to pewne; mieliśmy już wieści. Ale tam przepadł jak kamień w wodę.

– A Erlandsen też nie wie o niczym?

– Nie. Zawiadomił tylko, że poprzedniej nocy spłonęło klasztorne

grodziszcze, należące do niedawna do rodu Schwerinów. Tego jednak nie mógł zrobić Wantimir, bo po co? On pojechał przecież po owies!

– Rzeczywiście dziwne...

Konie poszły szybciej, trafiwszy wreszcie na dobrą drogę. Naprzeciw zamajaczyła ciemna ściana warnowskich borów. Ledwie w nie wjechali, dało się słyszeć dobrze znane im zawołanie i z cienia wysunął się Rycerz z Lasu.

Krysta zatrzymała pochód. Gdy ruszała na tę wyprawę, gnała ją nie tylko troska o zerwane ogniwo, ale i cichy lęk, że ten człowiek mógł wpaść w sidła i już zginął albo zginie za chwilę. Kiedy naprawiła łączność i otrzymała nareszcie upragnioną wiadomość, odetchnęła z ulgą, lecz wciąż ją nurtował podświadomy niepokój. Teraz strząsnęła go z siebie, serce zabiło raźniej. Niespodziewanie jednak przeszył je jakiś nieznośny ból i zamiast powitać dobrym słowem, mocniej ścisnęła usta.

On za to nie ukrywał przepełniających go uczuć. Podszedł radośnie, przemówił ciepło, nadszpedzowanie długo trzymał jej rękę. Zmieszało ją to, jakby w zakłopotaniu spuściła głowę. A w chwilę później zsunęła się z siodła.

– Odpocznijcie – rzekła do ludzi. – Muszę omówić niejedno...

Odeszli na bok. Przez pewien czas uzgadniali między sobą co do nich doszło, a co nie doszło, potem opowiedziała mu zwięźle o przyczynach zerwania łączności, o jej naprawieniu, o zniszczeniu krzyżackich szpiegów, o rycerzu Flemingu. Początkowo sam to i owo dorzucał od siebie, stawiał pytania. Teraz nie mówił nic, wpatrywał się w nią za to w takim napięciu, jak gdyby za wszelką cenę chciał dojrzeć wyraźnie tę piękną, dziewczęcą twarz, która dziś bardziej niż kiedykolwiek tonęła w mroku.

– Dziwne... – odezwał się naraz cicho. – Gdy łączność zerwana, niebezpieczeństwo może wyskoczyć zewsząd. Toteż zastanawiam się, dlaczego nie wysłałaś naprzód tylko jednego lub dwóch ludzi...

– A zanim bym nadbiegła, ciebie mogliby dowieźć już do Malborka! Wyczułam...

Gorączkowe słowa nagle zamarły. Wbiła oczy w ziemię, a i on zrobił to samo, jakby na oboje spłynęło onieśmienie, uniemożliwiające im dalszą rozmowę.

– Dobrze zrobiłam – przerwała nareszcie ciszę. – Ciebie tam, na szczęście,

nie było, byli jednakże inni. A chyba i ci słudzy krzyżaccy się liczą.

- Na pewno... A co z grabarzem?
- Jest z nami.
- Jak to: ciągnęliście go z sobą przez Dziwnę?
- Twój człowiek. Sam będziesz wiedział najlepiej, jaki wydać na niego wyrok.

Znowu zapadło milczenie. Powoli, z namysłem wodził ręką po czole, jak gdyby układał z trudem jakieś dręczące myśli.

– No cóż – głos jego nabrał niespodziewanie twardości – nie czas na własne sprawy i roztkliwianie. Gdyby nie było dziś takich ludzi, jak my, jutro zginęłoby pewnie Pomorze. Powiem ci nawet więcej: możesz mnie teraz nie ujrzeć przez rok, bo będę stale w rozjazdach. Książę Bogusław wyklęty, Barnim musi objąć dowództwo. Niełatwe to będzie, gdyż wrogów pełno. Toteż trzeba natychmiast pozyskać możliwych przyjaciół, a równocześnie i wewnątrz powiększyć siły. Ciężka to będzie robota.

– Rozumiem... A tu kto cię zastąpi?

– Wysyłaj meldunki jak zawsze. Dłużej będą nieraz szły do mnie, lecz w końcu dojdą. A zresztą Fleming będzie na miejscu.

– Więc po to go sprowadziłeś... Da sobie radę?

– Zobaczymy. Rozważny on jest, obrotności mu nie brakuje, a że wpadł na początku, więc tym bardziej będzie ostrożny. Przyznam się jednak szczerze: na twoją pomoc liczę najwięcej.

– Przydaję się na coś?...

– Skarbem jesteś prawdziwym, Krysto! – w głosie rycerza zabrzmiało głębokie uznanie. – Ja cię podziwiam, podziwia Barnim, podziwia nawet Jagiełło!

– Czyżby i do niego dochodziły moje meldunki?...

Zmarszczył brwi, jakby nakazywał sam sobie czujność, lecz zaraz rozluźnił mięśnie.

– I do niego – rzekł ciepło. – Pamiętaj przy tym: gdybyś nie miała innego wyjścia, uciekaj do Polski. Tam przyjmą cię całym sercem. Zna cię nie tylko Jagiełło. Taką...

Słowa padały coraz łagodniej, coraz więcej w nich było uczucia. Spozstrzegł się w tym widocznie, bo znów zmarszczył brwi i raz jeszcze ujął się w karby.

– Czas leci – zmienił temat. – Wczesnym rankiem muszę przemknąć

przez Wolin, a i ty przecież jesteś zmęczona. Aha, jeszcze jedno: strzeżcie się baczenie. Na Bałtyku ktoś zniszczył ostatnio kilka statków krzyżackich. Zakon więc i miasta gromadzą flotę i wkrótce wyruszą na morze w poszukiwaniu pirackich kryjówek.

– Czyżby i w tym Bonow maczał palce?...

– Być może, ale chyba nie tylko on. Zajęty jest zresztą w tej chwili Kodrąbkiem.

Krysta poruszyła się niespokojnie.

– Nic o tym nie słyszałam – rzekła niepewnie. – Wczoraj rano przecież opuścił Kamień.

– Miał opuścić. Zostaje jednak do jutra, aby ściągnąć z Kodrąbia jakieś kościelne daniny. Pan na Łęgach wściekł się, bo przez pięć lat miał być zwolniony od wszelkich opłat, i pojechał do biskupa ze skargą. Nic nie pomogło. Archidiakon wykazał mu jak na dłoni, że co wyliczyli pozostawieni przez niego w dworzyszczu mnisi, musi zapłacić, a jutro dopilnuje osobiście wywożenia zboża ze spichrzów.

Ledwie rysująca się w mroku dziewczęca sylwetka jakby zamieniła się nagle w kamienną bryłę, przypominającą człowieka jedynie kształtem.

– Nie wywiezie – słowa także powiały kamiennym chłodem. – Nie paliłam dotychczas dworzyszcz, bo zawsze lepiej, gdy ziemia rodzi, a przy tym pan na Łęgach zachowywał się przyzwoicie. Jeśli jednak i on ma nic z tego nie mieć, zamkniemy sprawę.

Stopy gniewnie uderzyły w wilgotną ziemię. Podeszła do ludzi, wydała kilka poleceń. W chwilę później znów wszyscy byli na siodłach.

– Zabierzcie grabarza – odezwała się do rycerza. – I żegnajcie, bo nam pilno. Obyśmy spotkali się w lepszych czasach...

Zamiast pozostać, pojechał obok.

– Nie wzięłabyś mi za złe – rzekł, bijąc się z jakimiś myślami – gdybym popatrzył na waszą robotę z bliska? Chyba nie tajemnica?

– Nie. A co z grabarzem?

– Oddam swoim pachołkom. Zaprowadzą go do Łukasza.

– Dobrze.

Pomknęli zaraz pobliską dróżką, wpadli w las, wyskoczyli koło rozpadającej się chaty, w której ongiś mieszkała babka. Rycerz dziwił się coraz bardziej. Ci ludzie nie zachowywali tu żadnej ostrożności, otwarcie i śmiało zapędzili się prawie pod samo dworzyszcze. A jeszcze większe go ogarnęło zdziwienie, gdy wydzielony oddziałek dopadł do bramy, okrzyknął się tylko i natychmiast otwarto mu ją na roścież.

– Wręcz nie do wiary – przysunął się znowu do Krysty. – Kto tam jest w środku?

– Pachółkowie pana na Łęgach. Oni wiedzą dobrze, kto przyjaciel, kto wróg.

– A co z mnichami?...

– Zobaczymy. Jeśli kogoś zdążyli skrzywdzić, poniosą śmierć. Jeśli nie, przywiąże się ich do słupa, jak przywiązano ongiś w obecności archidiakona zarządcę Bugdała, i uczciwie wymierzy chłostę, aby na przyszłość odechciało im się prowadzenia takich rachunków.

Wymierzono im tylko chłostę i puszczono wolno. Ledwie odeszli, wypłynęła z mroku okoliczna ludność i sprawnie zaczęła oczyszczać spichrze.

– Śpieszcie się – Krysta zwróciła się do jednego z miejscowych pachółków. – Gdy tamci staną w Uninie, z pewnością uderzą w dzwon i wtedy podpalcie wszystko. Ja muszę jechać dalej. Mam jeszcze inną robotę.

Ogarnęła ją jakaś gorączka. Objechała dziedziniec, rzuciła dokoła okiem, zagarnęła swych ludzi, popędziła najprostszą drogą. Nikt nie sarkał, lecz dziwili się wszyscy, jechała bowiem na zachód i to z takim pośpiechem, jakby zapomniała zupełnie o istnieniu grodziszcza.

– Dokąd prowadzisz? – dopadł ją Gamba.

– Do Przytoru!

– A tam po co?

– Wantimira trzeba odszukać.

– Konie zamęczysz!

– Nie szkodzi, odpocznę. A czuję, że jesteśmy mu bardzo potrzebni.

– Niech powieszają psubrata! – Gamba zgrzytnął ze złości. – Przez jego głupotę mam dzisiaj nie spać? Niedoczekanie. Zawracam!

– Zawracaj.

Nie obejrzała się nawet. Jak czarne ściany wzbijał się w górę po obu stronach potężny bór, jaśniejszą nieco smugą kładła się przed nią ścieżka. Coś, jak oczy wilka, mignęło przed nimi niekiedy, coś zazgrzytało, od czasu do czasu przemknął bezszelestnie jakiś niejasny kształt. Ufna we własną siłę i w strach, jaki w tej okolicy nocami ogarniał obcych, nie zwracała na nic uwagi i zatrzymała się dopiero wówczas, gdy ukazała się inna droga, prowadząca nad jeziorami warnowskimi w kierunku Kołczewa i Świętouscia.

– Do Łukasza masz stąd blisko – rzekła do towarzyszącego jej ciągle rycerza. – Skręcisz chyba?

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, pojedę dalej. Chciałbym mieć o czym opowiadać w Krakowie.

Patrzyła w górę. Rozjaśniało się nad borem i gdyby nie dziwnie skaczący blask, można by sądzić, że to świt zakrada się dzisiaj przed czasem.

– Kodrąb się pali – westchnęła. – Chyba ja teraz będę musiała się zająć jego zarządkiem... Ziemia przecież nie powinna leżeć odłogiem.

– Mądra myśl. Młody Kagen bardzo by się z tego ucieszył.

– Zobaczysz się z nim?...

– Na pewno. Więc jak: wolno mi jechać dalej?

– Jedź.

Znów mknęli kłusem i dopiero wjechawszy na Półwysep Przytorski zwolnili znacznie. Droga była pełna wybojów, często błotnista, konie mogły łatwo połać nogi. Krysta wlokła się więc coraz wolniej i wreszcie uskoczyła nieznacznie w las, a za nią cała drużyna. W dali było słycać jakieś człapanie. Nasłuchiwała uważnie, coraz więcej doliczała się koni. Wreszcie zaczęły przesuwac się przed nią cienie i im dłużej je liczyła, tym większe ją ogarniało zdumienie. W zupełnej ciszy ciągnęła drogą jakąś olbrzymia karawana z ciężkimi worami na końskich grzbietach. Towar musiał być cenny, ludzi do obrony prawie jednak nie było. A mimo to miała odwagę przedzierać się po nocy przez ten groźny, woliński bór...

– Jacyś obcy – przy głowie Krysty rozległ się naraz szept Gamby. – Gdyby nie to, myślałbym, że Wantimir. Ale na pewno nie on. Naszych poznałbym przecież w największym mroku.

– Nie zawróciłeś do domu? – zdziwiła się.

– At – machnął ręką – człek wściekł się trochę na tego hultaja, lecz jeśli przecucie ci mówi, że trzeba go szukać, więc trzeba. Nie zostawimy go przecież na łasce jakichś łotrzyków.

Przesuwały się konie, zaczerniła między nimi niekiedy postać ludzka, pokazała się wreszcie jedna na siodle, zamykająca ten wielki pochód.

– A jednak on! – Gamba zasyczał ze złości. – Ależ nicpoń urządził nam widowisko!... Że w tych workach jest owies, nie może być wątpliwości. Za to ci ludzie zastanawiają mnie coraz bardziej. Nie przytorskcy, też bym poznał kóregoś. Gdzie więc ich zebrał?...

– Powie nam chyba.

Wyjechali na drogę. Wantimir na pierwszy szelest wyciągnął miecz i schował go zaraz. Poznał bez trudu swoich.

– Przybywacie w sam czas – rzekł raźnie. – Gonimy resztkami sił, bo owsa w bród. A tak sobie myślałem przez całą drogę – w głosie zadźwięczała serdeczna nuta – że jeśli Krysta powróci wcześniej, wyczuje natychmiast, jak jest nam ciężko, i wyskoczy naprzeciw. No i jest... Ile macie koni?

– Wszystkie, które zabraliśmy za Dziwnę. A ponadto sześć wolnych.

– O, powiększyła się nam stadnina! – zatarł ręce z uciechy. – Świetnie, będzie teraz czym karmić. Niejedno przemyślałem w tej wędrownicy i odtąd będziemy układali inaczej sprawy. Ty staraj się tylko o konie, a ja zajmę się paszą. Na to szkoda twej głowy. Odpoczęłaś już trochę?

– Jedziemy prosto zza Dziwny.

Dotknął ręką jej twarzy, jakby chciał palcami zastąpić oczy.

– Bardzo jesteś zmęczona – rzekł zatroskany. – A i twoi ludzie z pewnością także. Dawajcie więc tylko konie, bo musimy wracać po nowe worki.

– Jak to: masz ich więcej?...

Wyprostował się sztywno, jakby poczuł się obrażony.

– Wybierałbym się w znajome strony po byle drobiazg? – burknął. – Już po raz trzeci odbywamy tę drogę i zwalamy tymczasem wszystko pod Kawczą Górą. A teraz pójdziemy po raz czwarty i mając taką pomoc, zakończymy wreszcie robotę.

– Wręcz nie do wiary – Gamba aż się schwycił za głowę z wielkiego zdumienia. – Jak tyś to wszystko przytaskał z Uznaniu? Pozwolili ci odejść swobodnie z takim ciężarem?...

– Ma się głowę na karku, to wszystko. Zajechałem w nocy pod dawne dworzyszczce Schwerinów, w którym było niemało owsa i wielu moich przyjaciół, pogadałem z nimi od serca, a reszta poszła dość gładko. Do świtu wywoziliśmy wory w najbliższy las, w dzień zaś przysunęliśmy je do Przytoru. Na Uznamie zna się każdą ścieżkę, więc nie było większych kłopotów. Opatowi chyba nawet nie przyszło do głowy, aby nas ścigać.

– Spaliliście dworzyszczce?...

– Nad ranem puściliśmy z dymem. Opat znów się wścieknie, za to Schwerinowie dadzą chyba na mszę za moją duszę. Zrozumiałe, ładna robota. Teraz dawajcie jednak konie, bo przed świtem powinno znaleźć się wszystko pod Kawczą Górą.

Przestał odpowiadać na pytania, jakby ich w ogóle nie słyszał, zakrzętał się za to żywo koło koni i wkrótce z kilkoma ludźmi, którzy się zgłosili na ochotnika, ruszył w drogę powrotną. Krysta z resztą poszła za karawaną. Prowadzący ją ludzie dobili do miejsca, gdzie złożono poprzednie ładunki, zrzucili juki i nie rzekłszy ani jednego słowa, puścili się w pogoń za swym dowódcą.

– Niesamowite... – Gamba wciąż kręcił głową. – Wydawało mi się, że do trzech nie umie zliczyć i pokpiwałem trochę z niego w duchu, a ten wywinął takiego młyńca... Jak on się przeprawił przez Świnę?

– Dowiemy się – uspokoiła go Krysta.

Ludzie kładli się na zwałach owsa, a że i Gamba po chwili namysłu zrobił to samo, odsunęła się na bok i przysiadła koło rycerza. Wydał się jej nieskory do rozmowy, nie odzywała się więc także i była nawet rada temu milczeniu. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że i myśлом potrzebny jest wypoczynek. Oparła się o worki, leniwie przymknęła oczy. Ni stąd, ni zowąd zaczęło się jej wydawać, że nadbiega do niej jakiś przemiły szum, że słyszy w nim dzwony grające cudnie gdzieś na Bałtyku i powierzające co chwila falom niezmiernie cichą wprawdzie, ale żwawą melodię. Robiło się jej coraz przyjemniej. Jak jasne światła wyłaniały się z mroku jedna za drugą niebiańskie zjawy. Oto tańczące kapłanki, pewnie w arkońskiej świątyni... A oto biały koń Swantewita,

ognisty rumak. Jak co noc, pędzi poprzez słowiańskie ziemie, wciąż wiernie pełni służbę bez względu na śniegi i wichry. Już opuścił Ranę, wpadł do Obodrzytów, mknął przez Pomorze, zajrzał do Polski, zawrócił do Słupska. Ależ mocarny!... Zwalił się w Dziwnę, tnie jak mieczem spienione wody. Już wydostaje się na brzeg. Już pędzi przez Wolin...

– Śpisz, Krysto?...

Zacisnęła mocno powieki, rozwarła. Obok, za wzgórzem, szumiało łagodnie morze i znów się jej wydało, że słyszy dzwony, ale teraz bardzo odległe.

– Zdrzemnęłam się – odrzekła. – Bałtyk tak człowieka usypia.

– Chyba nie tylko on. Wczoraj też przecież prawie nie spałaś. Żelazne masz zdrowie.

– I tobie, na szczęście, nic nie brakuje. Nie lepiej było jednak zajechać do Łukasza? Ja prześpię się w dzień. A ciebie czeka z pewnością daleka droga.

– Daleka. Nie szkodzi, wytrzymam. A tu przyjemnie jest popatrzeć na tę waszą nieustanną krzątanicę, na siłę i śmiałość, na posłuch. Zawsze tak cię szanują?

– Zawsze.

Coraz miłsza stawała się ta prowadzona półszepceniem rozmowa o sprawach, na które nigdy przedtem nie mieli czasu. Zatonęli w niej i niespodziewanie Krysta wspomniała o chłopcu, którego zamierza wziąć pod opiekę.

– Więc i tym się zajmujesz? – zdumiał się.

– Trzeba zajmować się wszystkim, co boli. Nie może być tak, aby tylko Niemcy mogli się uczyć na naszych ziemiach, bo w końcu nas wszystkich zamienią w sługi. Bieda w tym, że szkół brak. Kilkoro dzieci umieściłam w Szczecinie. Ale co z resztą?...

Ujął ją nagle za rękę.

– W tym ci pomogę – rzekł żywo. – Mamy przecież w zapasie Polskę. Omówię tę sprawę, gdy się tam znajdę. A tego chłopca zabiorę od razu.

– Ale gdzie go umieścisz? – w głosie Krysty czuło się troskę. – Jak mówiłam, dziecko to jeszcze i potrzebuje życzliwej opieki. Muszę mu ją dać, taki mój obowiązek. Toteż...

- Bądź spokojna, będzie mu dobrze jak w raju. Bystry chłopak?
- Wygląda bystro. Przemko mu na imię...

Zagadali się znowu. Po drugiej stronie wzgórza fale wciąż biegly równo i zawsze w tych samych odstępach zmywały brzeg, tutaj natomiast panowała zupełna cisza. Ludzie spali. Naraz zerwali się z miejsc, poruszyła się Krysta. Od strony Przytoru dobiegło powolne człapanie i wkrótce zaczęły wyłaniać się z mroku objuczone workami konie.

– Koniec na dziś – dał się słyszeć pełen zadowolenia głos Wantimira. – Co na koniach, zabieramy do domu; co na ziemi, zabierze się później. Moi pachołkowie pozostają na straży. A reszta w drogę!

Niegłośno wprawdzie, lecz nadszpiewanie władczo zabrzmiały słowa.

Rycerz wpatrzył się w Krystę.

– Odpędzają nas od siebie – westchnął markotnie. – No cóż, obowiązek... I wasz, i mój. Żegnaj więc i nie dziw się, choćbym nie pokazał się nawet przez rok. A chłopca, jak rzekłem, zabiorę.

Spoglądała za nim w milczeniu. Zaginął w mroku, zaszeleściły nieznacznie liście, coraz słabiej było słycać stąpanie konia. Odwróciła się wreszcie i naraz zaczęła biec z wielkim pośpiechem, jakby zlekła się samotności. Wantimir, prowadząc pochód, odbił się już dość daleko. Mijając gorączkowo człapiące powoli zwierzęta i ludzi, dojrzała go w końcu, zrównała się i odetchnąwszy głęboko, odmierzała już odtąd spokojnie kroki.

– Zmordowałeś się chyba nieźle? – zagadnęła zyczliwie.

– Ba! Nie znasz mnie jeszcze: jak mam czas, potrafię się wylegiwać, ale jak się zabiorę do roboty, to iskry lecą. Tam, na Uznamie, nie było zresztą czasu na wypoczynek. A i przy przeprawie przez Świnę trzeba się było dobrze uwijać z takim ładunkiem.

– Właśnie zastanawiałam się nad tym... Przewiozłeś oczywiście na łodziach?

– Owies przecież, nie można było inaczej. Na szczęście Amundsen zabrał się ze mną. Staruch wprawdzie, i gdy Gamba go przyłączył, sądziłem w pierwszej chwili, że chce ze mnie zakpić, lecz że zwady nie lubię, zacisnąłem jedynie zęby. I dobrze zrobiłem. Nad Świną znają go wszyscy!

Krysta nie była tym zaskoczona. Amundsen od lat pilnował sprzedaży łupu i nieraz dawał dobry zarobek ludziom z Przytoru i Karsiboru.

– A ci obcy, którzy wam pomagają, kim są?

– Zarządca spalonego dworzyszczka i jego ludzie. Bardzo porządni. A że i obrotności im nie brakuje, będziemy mieli pociechę.

Wpadli w wykroty i przez pewien czas posuwali się noga za nogą.

– Muszę ci się do czegoś przyznać... – przemówił nieśmiało, gdy droga stała się nieco równiejsza.

– Mów.

Zakaszał, zasapał, raz i drugi odetchnął głęboko.

– Z dworzyszczka zabraliśmy wszystkie konie – odezwał się wreszcie. – Wśród nich jednego pod wierzch i ten idzie z nami. A reszta do orki. Dźwigać potrafią, więc przydały się w drodze, ale w grodziszczu byłyby niepotrzebne. Podarowałem więc rybakom, bo się napracowali rzetelnie i coś im się za to należy. Niech mają!

– Niech mają.

Pochylił się nagle w jej stronę, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nie masz mi tego za złe?... – wyjąkał.

– Tak przemyślałeś wszystko, że można tylko pochwalić. Dobrym przyjacielom należy się dobra nagroda. Pomówię ze Steffenem, aby im coś jeszcze dorzucił.

Rażnie uderzył nogą w ziemię, coraz żwawiej posuwał się naprzód.

– Bardzo mi się u was podoba – rzekł w rozmarzeniu. – Prawda: mądry jestem i zyskaliście niemało, ściągając mnie tutaj do służby. Ale muszę też przyznać uczciwie, że trafiłem na mądrych. To bardzo ważne. Gdyby opat podgławski miał choć szczyptę waszego rozumu, nauczyłyby się naszego języka, a przynajmniej nie miał żalu, że ja nie znam się na niemieckim. Mam prawo go nie znać, jestem na swojej ziemi! A on, chociaż jest tylko przybłądą, chce mi narzucać swe własne prawa. Za karę więc będę mu odtąd stale podbiebrał owies, łuskał ludzi, wybijał świnie i puszczał z dymem dworzyszczka, aż życie mu zbrzydnie. Ktoś musi wprowadzić go na właściwą drogę, a że Bóg

mnie najwyraźniej do tego wyznaczył, więc nie popuszczę. Chyba że się nauczy mówić wreszcie po ludzku...

Zamyślił się i przez pewien czas szli obok siebie w milczeniu.

– A ten rycerz kto zacz? – zagadnął znienacka. – Nie należy chyba do naszego grodziszczu?

– Nie. To ten właśnie, którego opat kazał wam chwycić. Bardzo dzielny człowiek, pracujący ofiarnie dla wielkiej sprawy... Gdyby kiedyś potrzebował pomocy...

– Przestań, mnie wystarczą dwa słowa – przerwał czując w jej głosie niepasującą zupełnie do niej nieśmiałość. – Jeśli mówisz o kimś tak ciepło, musi być dużo wart. Zawsze więc może liczyć na mnie i na mój miecz.

V

Życie w grodziszczu popłynęło znów pracowicie jak zawsze. Swantewit zmarszczył niekiedy brew, posłał zbrojną drużynę za Świnę albo za Dziwnę. Robił to jednak obecnie rzadko, jak gdyby tylko chciał sprawdzić gotowość bojową i hart tych śmiałych ludzi, którzy służąc mu wiernie, wydali wojnę złu i bezprawiu. Czuwał, ale nie naglił, nie było to obecnie potrzebne. Na Wolinie panował zupełny spokój. W jego cieniu krył się bezpiecznie Uznam, a księżę na Wołogoszczy, rad szczerze z klęsk niesforne podgławskiego opata, zaciebrał cichaczem ręce. Gorzej było na wschodzie. Bogusław nie narzekał na brak koligacji. Jego bratanek był królem Szwecji, Norwegii i Danii, cesarz niemiecki był jego szwagrem, szwagrem był także księżę Austrii. Odwołał się więc do nich i do papieża i rządził nadal na Stargardzie, biskupia kłątwa jednak dawała mu się mocno we znaki. Służby prawie nie było, rycerstwo nie potrzebowało go słuchać. Wsparł go, na szczęście, Barnim. Na wszelki wypadek oddzielił swoją część księstwa od reszty, odwiedził natychmiast Kraków. A gdy stamtąd powrócił, uderzył gwałtownie na siejące nieład w czasie jego nieobecności luźne kupy krzyżackie, rozbłysnął nawet mieczem w pobliżu biskupich zamków. Był dziś silniejszy niż kiedykolwiek. Przedtem był tylko lennikiem Polski; teraz na swojej ziemi pełnił służbę wojskową w imieniu

polskiego króla i w jego imieniu bronił pomorskich praw i pomorskiej granicy.

Tak więc silny dotychczas nacisk krzyżacki natrafił niespodziewanie na mocny odpór i zelżał nagle. Malbork nie chciał tymczasem otwartej wojny, sytuacja nie była wygodna. Książę Witold czaił się ciągle na Litwie, tutaj był śmiały Barnim, na południu zbroił wojska Jagiełło, Dania domagała się coraz głośniejszego zwrotu Gotlandii. A i wewnątrz własnego państwa dostrzegł nareszcie wrzenie. Sarkali mieszczenie tracąc olbrzymie zyski z powodu stałych utarczek z Polską i przerywania szlaków kupieckich; buntowało się chłopstwo obciążane niemiłosiernie szarwarkami i daninami na cele wojny, szlachta zaczynała się łączyć w tajemne związki. Najwięcej jednak do myślenia dawała ludność Pomorza. Wydawało się przedtem, że ma już dosyć słabości książąt; że aby ich dobić, wystarczy biskupia kłątwa. I kłątwa padła. Skutek co najmniej był dziwny: kto wichrzył, przycichł; kto sięgał do miecza, bardziej pracowicie uprawiał obecnie rolę. A przy tym wszędzie, w miastach i na wsi, czuło się jakiś burzliwy, podziemny nurt i coraz donośniej padały hasła antykrzyżackie. Szły jak zaraza. Poruszyły ziemię świdwińską, przemknęły pod Bytów, sięgnęły do Gdańska. I lada chwila mogły się przetoczyć za Wisłę...

Zakon zaprzestał marszu. Na sile znał się świetnie, doskonale potrafił używać miecza. Duszami nie umiał rządzić. Zaskoczony tym wszystkim, obstawiał tylko szczelnie granice i starał się powstrzymać za wszelką cenę niebezpieczne dla niego wieści. Schippenbeil, liczący na jego szybki pochód, poczuł się niespodziewanie samotny. Unikali go obecnie rycerze, nie zaglądali nawet mieszczenie bardzo chętnie przedtem zanoszący przed niego skargi. Palił przy tym jak ogniem Kodrąb. Chciał go przyłączyć do swoich włości, lecz już na początku o mało nie stracił życia. Przeklęta dziewczka stanęła mu nagle w drodze. Przeciwstawił jej pana na Łęgach i doprowadził do odbudowy dworzyszczca. Spaliła znowu! I to w chwili, gdy stanął za nim Zakon Krzyżowy, gdy giął kolana najczupurniejszym, gdy zmroził wszystkich kłątwą na księcia. Ona jedna ośmieliła się stawić mu wtedy opór. Mało tego: rzuciła groźne wyzwanie. Pałac archidiakonowi przed nosem kościelne daniny, napelniła znów buntem spokorniałe już dusze i ten diabelski przykład znaczy dziś więcej aniżeli najdosłowniejsze, biskupie słowa...

A Kodrąb rzeczywiście zaczynał rozbłyskać jak gwiazda przewodnia pośród wielkiego mroku. Przedtem spoglądali na niego czujnie jedynie chłopci, teraz patrzyli także rycerze. Spod Szczecina, zza Wołoszczy, zza Dziwny ściągają do niego często zaciekawione gromady jak do miejsca pielgrzymek, a wraz z nimi szeroko roznoszą się wieści: chociaż nie ma dworzyszcz, ktoś tam jednak rządzi i zbiera plony. Biskupowi nie daje nic. Płaci za to uczciwie daniny księciu Bogusławowi, chociaż ten właśnie księżę jest przez biskupa wyklęty....

Niezwykły to był przykład, swoją śmiałością podniecał serca i burzył myśli. Wantimir, do którego uszu dochodziło niejedno, ustalił słusznie, że w tym ludzkim gadaniu odgrywa niemałą rolę i nabrał jeszcze większej godności. On przecież dzisiaj zarządzał majątkiem. Początkowo wymykał się z lasu ukradkiem, aby tylko omówić z ludźmi co najważniejsze. Wkrótce zaprzestał tych ostrożności. Posłuch miał wszędzie wielki, czuwało nad jego bezpieczeństwem niemało oczu, toteż w czasie żniw tak już gospodarzył, jakby naprawdę należała do niego ta cała dziedzina. Stawał się coraz weselszy, z przejezdnymi często wdawał się w pogawędki. A gdy nadeszła zima, zacierał ręce: co się należało księciu, odesłał, hojnie nagroził kodrąbskich ludzi. A mimo to owsa i siana miał pod dostatkiem.

Przesunęła się wiosna, znowu nadeszło lato. Ten drugi rok nowego stulecia zapowiadał się nawet piękniej aniżeli poprzedni. Wantimir bardzo starannie uprawiał rolę, osobiście wybrał do siewu najlepsze ziarno. Gdy więc doszło do zbiorów, kłosa były ciężkie jak nigdy. Ale on jeszcze nie był zadowolony. Stając nad nimi, zastanawiał się nieraz długo, co należy zrobić, aby powiększyć nie tylko plony, ale i własną sławę. Niech biskupowi staną ością w gardle te wspaniałe, kodrąbskie snopy. I niech widzą te różne rycerskie włóczęgi, co można wydobyć z pomorskiej ziemi!

Któregoś dnia, gdy tak zatopiony był w medytacjach, na skraju lasu rozległ się gwizd ostrzegawczy. Nadjeżdżał pan na Łęgach, ale że towarzyszyło mu tylko dwóch pachotków, Wantimir machnął ręką i myślał dalej. Większy przyjeżdżali tu ludzie, aby na niego popatrzeć. Dopiero gdy gość przesłonił mu światło, uniósł głowę znad snopków.

– Witam sąsiada – przemówił przyjaźnie. – Dziwiłem się nieraz, że nie

zaglądasz, bo przecież mamy do siebie blisko. A dziś co cię przyniosło? Masz może jakieś kłopoty?

Nie spotkał się z równą grzecznością. Pan na Łęgach był nastawiony bojowo.

– Nie czas na pogawędki – warknął. – Przyjechałem po swoje!

– Jakie swoje?...

– Po połowę zboża. Nie upominałem się w zeszłym roku, bo byłeś na do-robku, ale teraz wszystko obrodziło pięknie i coś mi się z tego należy. Na pięć lat zawarłem z biskupem umowę. Nie ścierpię nadal tak wielkiej straty!

– Nie ścierp, przy tobie słuszość. Wal więc do biskupa i zażądaj zapłaty, bo to on cię namówił na dzierżawę, nie mając do tego żadnego prawa.

Pan na Łęgach zgrzytnął zębami, aby mocniej wyrazić wściekłość i uno-sząca się nad nim grozę.

– Jak mi Bóg miły, zarąbię! – wybuchnął i sięgnął do miecza. – Kpisz ze mnie, krwiopijco? Słyszałeś kiedyś, aby jakiś biskup zwrócił coś dobrowolnie?

– Że opat nie zwraca, wiem dobrze – Wantimir nie stracił ani na chwilę spokoju. – Jeśli więc z biskupem, jak twierdzisz, jest tak samo, przegrałeś sprawę, bo i ode mnie nic nie dostaniesz. Wszystko już rozdzielone. A do mie-cza nie sięgaj. Mógłbym się rozgniewać i nieszczęście gotowe.

– Zarąbię! – miecz świsnął w górze.

– Nie ufaj sobie nadmiernie. Ja tylko na oko wyglądam tak łagodnie, bo w gruncie rzeźnik ze mnie nie byle jaki. Powiem ci nawet z góry, co zrobię. Za- nim zdążysz opuścić miecz, zniknę ci nagle z oczu i nadzieję na swój jak na rożen.

– Mam do pomocy pachołków!

– Nie szkodzi. Spróbują mnie dotknąć, dziś jeszcze razem z tobą zawisną na drzewie. Zamiast więc gadać po próżnicy, powiedz lepiej, co cię tak męczy. Chleba zabraknie ci na przednówku?

Pan na Łęgach pokręcił głową, jakby się czemuś dziwił, raz jeszcze zgrzyt- nął i schował miecz.

– Na żyto, chwalić Boga, nie mogę narzekać – rzekł smętnie. – Ale z kru- pami i owsem kiepsko. Ziemia nie bardzo się do tego nadaje.

– Może orałeś za płytko?

– Próbowałem i głębiej...

Rozgadali się na ten temat, a im dłużej trwała rozmowa, tym więcej w niej było gospodarskiej troski i fachowości i w końcu tak się do niej zapalili, że usiedli zgodnie pod mendlem. Posprzeczali się niekiedy o jakieś rolnicze sztuczki, każdy starał się uzasadnić sumiennie, że przy nim słuszność. Wygrywał zazwyczaj Wantimir, bo w najgorszym razie wskazywał na własne snopy i swój wielki dorobek.

– Przyjrzyj się dobrze! Nadal chcesz twierdzić, że mój sposób jest gorszy?

Pan na Łęgach kiwał głową coraz markotniej, lecz wreszcie stracił cierpliwość.

– Nie przyszedłem tu na naukę! – poruszył się hardo. – Dajesz połowę czy nie? Umowa...

– Przestań marudzić! – Wantimir ofuknął go ostro. – Wiedziałeś od początku, że biskup nie ma do Kodrąbia żadnego prawa, bo nie jego, a jednak poniosła cię chciwość. Prawda: wrzuciłeś w ziemię ziarno, z którego zebrałem plon. Na dobry ład coś z tego powinno do ciebie należeć...

– A widzisz!

– Właśnie, że nic nie widzę. Podpisując taką umowę, popełniłeś oszustwo, a więc ciężki grzech, i biskup powinien cię za to ukarać. Nie zrobił tego, sam bowiem popełnił jeszcze cięższy grzech. Postanowiliśmy więc zastąpić go w jego obowiązkach duchownych i nie dać ci nic, abyś odbył jaką taką pokutę. I żebyś wiedział ńa przyszłość, że nie należy słuchać biskupa.

Pan na Łęgach objął rękami skronie.

– Ależ wy się znęcalie nade mną! – zajęczał. – Najpierw spaliliście dwo-rzyszcze...

– Boś na to zasłużył.

– Może i zasłużyłem, niech będzie. Ale teraz to ziarno... Czym ja będę karmił konie? Chyba przyjdzie je sprzedać...

Wantimir poruszył się przestraszony.

– Uchowaj cię Boże! – wykrzyknął. – Sprzedaj wszystko, nawet miecz, bo w razie potrzeby zastąpisz go pałką. Ale nigdy konie. Nie zaorzesz rękami pola!

– Dobrze ci gadać... A ja, nieszczęsny...

Rycerz zapłakał rzewnie. Serce Wantimira skruszało do reszty.

- Hm – mruknął – ile masz tych koni?...
- Sześć!
- Niewielki majątek. Na długo starczy ci paszy?
- Może do marca. A może i w lutym zabraknie...

Wantimir bił się długo z jakimiś kłopotliwymi myślami.

– Cóż, trzeba ci jakoś dopomóc – westchnął. – Zgoda, dodam ci owsa. Abyś tylko nie sprzedał koni!

Pan na Łęgach skoczył na równe nogi.

– Życie mi ratujesz, sąsiedzie – rzekł ucieszony. – Mogę dziś jeszcze za-jeźdzać po snopy?

Wantimir wstał również i popatrzył na niego przeciągle.

– Nadal nie potrafisz dobrze ułożyć myśli – mruknął. – Nie rozumiesz, że trzeba się zabrać wreszcie do uczciwej roboty, a nie szukać łatwego zysku w fałszywych umowach? Powiedziałem: te zboża już rozdzielone, a zresztą po co ci one? Aby biskup zażądał ich jutro za nie spłacone daniny? Dla ciebie weźmiemy skądinąd, wiem już nawet skąd. Lecz musisz sam sobie przywieźć.

– Wszędzie pojedę! Ze słomą?

– Kto by sobie zawracał nią głowę? – Wantimir machnął ręką lekceważąco. – Poczekamy, aż tam omłócą. Musisz się jednak przygotować na ciężką robotę. Trzeba się będzie przeprawiać przez Świnę i do tego po nocy.

Pan na Łęgach wpatrywał się w niego z coraz większym przejęciem. Coś zaczęło mu świtać w głowie.

– Od podgławskiego opata?... – szepnął domyślnie.

– Z zagrabionego majątku Schwerinów – Wantimir poprawił go z wielką godnością. – Opat też musi płacić za grzechy. Nie będziesz żałował rąk, zarobisz uczciwie i konie nie zdechną. To najważniejsze!

– Prawda... A nie można by tam znaleźć czegoś lepszego od owsa?

– Co ci jeszcze potrzebne?

– Choćby porządna zbroja!

– Byłeś przecież na Gotlandii. Nie dali ci?

Pan na Łęgach poczerwieniał z wściekłości, jakby to niewinne pytanie przypomniało mu jakąś zapiekłą ranę.

– Stare żelastwo mi dali, nie zbroję! – wybuchnął. – Pchnęli na najcięższą robotę, nawet wykrwawiłem nieźle. A gdy się upomniałem o łup, rzucili

ochłap. Wszystko przez to, że się nie potrafiłem wyklócić. Kto płynnie szwargotał po niemiecku, ten miał się dobrze. A że ja mało co rozumiem, wystrychnęli na dudka!

Wantimir tarł ręką podbródek z coraz większym rozmachem.

– Paskudnie cię wystrychnęli – rzekł gniewnie. – Dobrze, zapamiętam tę sprawę. Coś mi już nawet świta w głowie, lecz chyba to będzie trudna robota...

– Nie szkodzi! Gdy człowiek chce zdobyć na wojnie łup, musi umieć nadstawiać karku. Ja to potrafię. A przy tym możesz na mnie polegać zawsze, to także niezmiernie ważne. Więc mówisz...

Usiedli znowu pod mendlem w największej zgodzie i zagadali się do wieczora, a gdy Wantimir znalazł się w końcu w grodziszczu, był tak ożywiony, że wszyscy zwrócili na to uwagę. Od słowa do słowa, powtórzył wiernie całą rozmowę. Ludzie uśmiali się, Gamba na swój sposób pochwalił pobożny zamiar, rozweselił się nawet Steffen. Pokładli się później niż zwykle, lecz jeszcze nie zdążyli dobrze przymknąć oczu, gdy odezwał się sygnał od morza. Strażnik obwieszczał statek handlowy w pobliżu brzegu i Steffen miał już zamiar przekręcić się na drugi bok, bo ostatnio zaprzestał zupełnie wypraw na łodziach, gdy nagle skoczył jak oparzony. Dzwonek rozhulał się przeraźliwie, jakby ktoś zamierzał zaatakować za chwilę grodziszczce. Zerwali się wszyscy, rozdzwięczała się zakładana pośpiesznie broń. Naraz zamarli w bezruchu. Dzwonek odmienił ton i padł znak jeden po drugim. Tym razem bardzo spokojnie, rozważnie. A po krótkiej przerwie odezwał się znowu podwójnie.

– Boże wszechmocny – głos Steffena zabrzmiał jakoś niezwykle uroczyscie w zupełnej ciszy. – Stortebeker nadpływa! Po tylu latach...

Ruszył do wyjścia. Pierwszy wskoczył do łodzi, pierwszy się znalazł na brzegu. Krysta obserwowała go z pewnym zdziwieniem. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że w tym zawsze opanowanym człowieku, który nigdy nie potrzebował podnosić głosu, aby uzyskać posłuch, musiały się kłębić od dawna jakieś męczące myśli, jeśli tak go wzruszył ten nieznaną jej przedtem zupełnie sygnał. Prawda: inni także byli wzruszeni. Miał się przecież pojawić człowiek, który stosunkowo niedawno rządził na Bałtyku jak księżę dzielny, przed którym drżały najpotężniejsze miasta hanzeatyckie, który na Uznamie, Wolinie i Ranie czuł się jak w domu i wędrując swobodnie po wyspach,

rozrzucał garściami między biedotę zdobyczne złoto. Potem stąd zniknął, wypłynął na Morzu Północnym. Tam także zyskał ogromną sławę. Ale ostatnio zaczęły napływać słuchy o jakiejś nieszczęsnej bitwie...

Gdy stanęli na brzegu, statek był tuż. Jeszcze szedł siłą rozpędu, jeszcze się wydawało, że zwali się między drzewa, zanim go zdążą powstrzymać. Naraz zapadły się jednak kotwice, ściągnęły mocno, skrzyły i niespodziewanie ustawiły dziobem do fali. Spuszczono łódź, kilku ludzi wskoczyło do niej. A w chwilę później naprzeciw Steffena znalazł się Sum.

– Co, wspaniała robota? – zarechotał wesoło. – Stary wilk ma wciąż bystre oko i pewną rękę. Witajcie, bracia! Długo czekaliście na mnie, ale się w końcu doczekaliście. Ja nie zawodzę!

Za kapitanem schodzili już na ląd ci wszyscy, którzy przed dwoma laty odплыli stąd na krzyżackim statku, i po raz pierwszy chyba osada grodziszcza, przestrzegająca zawsze starannie ciszy» zapomniała o ostrożności. Szukano się wzajem, rzucono w objęcia, poklepywano po plecach, w szybko wypowiadanych słowach starano się zamknąć przeszłość. Szum stawał się coraz większy.

– Dość! – Sum jednym słowem przywrócił porządek. – Niechże i ciebie uściskam – odnalazł nareszcie Krystę. – Jak widzę, nadal trzymasz przy boku miecz... Wyrosłaś jeszcze przez ten czas, zmężniałaś. Ho, ho, na czole ukazały się nawet zmarszczki – przyglądał się jej uważnie. – Szybko dojrzewasz... Ale statek piękny, przyznaj! – rozpromienił się znowu. – Nasz statek, rozumiesz? Tamten sprzedałem, aby nie było kłopotu, kupiłem nowy. Chciałem go nazwać twoim imieniem, lecz bałem się trochę, że jacyś hanzeatyccy łotrzykowie mogą wziąć mnie na oko. Nazwałem go więc tymczasem „Jaskółką”. Nie płynie po morzu, ale fruwa. Zabiorę cię kiedyś. Pokażę ci moją Ranę, najcudniejszą wyspę Bałtyku. Tam się zabawisz!

– A co ze Stortebekerem? – przerwał mu Steffen.

Sum przygasł nagle.

– O tym potem – odrzekł, odwracając się zaraz od niego. – Noc ciemna, statek więc zanika zupełnie na tle lasu – zastanowił się głośno. – Z morza nikt go nie może dostrzec. Wszyscy zatem na ląd! – krzyknął donośnie. – Niech i ci nowi zobaczą nasze grodziszcze!

Ruszył pierwszy i ciągle gawędził, lecz czuło się, że teraz bardzo starannie dobiera słowa. Odpłynąwszy znad Gardna, natknął się wkrótce na inny statek krzyżacki i niewiele myśląc, posłał go na dno. Spodobała mu się ta zabawa, w cieśninach duńskich zniszczył dwa inne. Znalazszy się na Morzu Północnym, bez trudu odnalazł Stortebekera i przez dłuższy czas walczył pod jego dowództwem. Gdy się uspokoiło, doszli do zgodnego wniosku, że powinien wrócić na Bałtyk, ale już jako poważny kupiec, chętnie widziany we wszystkich portach. Czujność Hanzy i Krzyżaków była obecnie wielka i trudno by było inaczej utrzymać łączność. Aby uniknąć wszelkich niespodzianek, postanowili kupić nowy zupełnie statek.

Weszli do grodziszczca. Sum, poczuwszy się znowu na starych śmieciach, nabrał ogromnej mocy.

– We Flandrii! – opowiadał z zapałem. – Piękne budują tam statki, i mamy piękny. Sami możecie porównać. Tamten był wielki, i ten jest wielki. Tamten był bardzo zwrotny, lecz ten jest jeszcze zwrotniejszy. A przy tym tak szybki, że nie prześcignie go żaden inny!

– A co ze Stortebekerem? – Steffen jakoś bardzo niepewnie powtórzył pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi poprzednio.

Sum spojrział na niego jak gdyby w złości.

– Powiem krótko – mruknął. – Nie żyje.

Steffen pobladł.

– Co się stało? – zapytał cicho. – Jakieś nieszczęście?...

– Wielkie nieszczęście.

Sum objął rękami głowę i opowiadał krótkimi, urywanymi zdaniami. Przed oczyma wstrząśniętych tą wiadomością słuchaczy wyłaniała się coraz wyraźniej historia, o której chodziły już wprawdzie słuchy, lecz która dotychczas wydawała się mało prawdopodobna. Stortebeker czuł się doskonale na Morzu Północnym, popierała go bowiem nie tylko ludność Fryzji, ale i miejscowi książęta. Niespodziewanie jednak ktoś zdradził jego miejsce pobytu i wypadła na niego znienacka silna flota Hamburga. Doszło do wielkiej bitwy. Kilkuset członków Bractwa Żywienia dostało się do niewoli, wśród nich czterej wielcy dowódcy. Sprowadzono ich do portu, oddano sądowi. I na podstawie jego wyroku stracono wszystkich.

– Ja przebywałem wtedy we Flandrii, pilnując wykończenia naszego statku – mówił dalej. – Wiele więc spraw jest dla mnie niejasnych. Jak to mogło się stać, że Stortebeker się poddał, mając przy sobie tak dużą siłę?... Jest tylko jedno wytłumaczenie: uwierzył komuś na słowo, że puszczą ich wolno, kiedy zapłaci okup. Ten rycerski zwyczaj stosowano przecież niejednokrotnie po obu stronach, aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. A Hamburgczycy jak Krzyżacy: najzwyczajniej złamali słowo i chociaż chciał im dać szczerozłoty łańcuch, którym można by czterokrotnie opasać mury tamtejszej katedry, wykonali natychmiast wyrok!

Oparł się o stół i znowu objął rękami skronie. Steffen patrzył jak odurzony, Gamba twardo zacisnął szczęki, stary Amundsen pobałdł. Człowiek, z którym byli związani na śmierć i życie, odszedł od nich na zawsze... Trwali dotychczas wiernie na tej samotnej, bałtyckiej placówce, bo mimo wszystko wierzyli ciągle w jego szczęśliwy powrót. Teraz zniknął im sprzed oczu cel ich istnienia. Nikt tu odtąd nie zajrzy, nie ma dowódcy. I nikt nie będzie wyładowywał ani zaopatrywał bojowych okrętów...

Mierzchły twarze. Lodowaty chłód ścinał je coraz bardziej żałobną zadumą i przygnębieniem.

– Nikt tam już nie pozostał?... – odezwał się Steffen chrapliwie.

– Ech! – Sum machnął naraz niedbale ręką. – Zdarzało się przecież nieraz, że ginął dowódca. Naszych nadal tam pełno i gdy przyjdzie właściwa chwila, znowu wrócą na Bałtyk!

Odetchnęli wszyscy, oczy spojrzały jaśniej.

– Uzgodniłem niejedno ze Stortebekerem przed wyjazdem do Flandrii – Sum ciągnął dalej. – Ten statek jest wyłączną własnością Żrenicy Swantewita, abyśmy czuli się tutaj swobodnie. Będziemy chcieli ją opuścić, możemy opuścić, chcemy trwać dalej, wolno nam zostać. Ostatnie słowo należy do nas.

– To bardzo ważne – Steffen rozluźnił zmarszczki na czole. – Prawda: Stortebeker umiał zawsze patrzeć daleko w przyszłość... A co do innych spraw? – na twarzy Suma spoczęło ciężko znieruchomiałe nagle spojrzenie. – Też masz jakieś wskazówki?...

– Mam. Decydujemy we trzech: ty, Gamba i ja.

Krysta patrzyła bacznie. Wydało się jej, że w tej chwili dotknięto jakiejś

wielkiej tajemnicy grodziszczu, o której ani ona, ani nikt poza tą trójką nie miał dotychczas pojęcia.

– Nie wszystko z nim zdążyłem omówić – Sum przeniósł kolejną wzrok ze Steffena na Gambę. – Zrozumiałe: nikt z nas nie przewidywał tak rychłego nieszczęścia. Sądzę jednak, że resztę znajdziecie w jego słowach wypowiedzianych przed sądem. Dokładnie je zanotował jeden z naszych przyjaciół, a odpisy krążą obecnie wszędzie. Jeden mam nawet przy sobie.

Wyciągnął pergaminową kartę, rozwinął.

– Słuchajcie uważnie – zamyślnym spojrzeniem powiódł po twarzach. – Takich słów nikt jeszcze nie ośmielił się wypowiedzieć w dzisiejszych, okrutnych czasach przed sądem i chyba dużo wody upłynie w rzekach, zanim się znajdzie ktoś inny, kto je znowu wypowie. A oto one: „Nagromadziliście bogactwa – tak Stortebeker przemawiał do tych, którzy sądzili! – za pomocą rozumu, chytryści, podstęp i dumnie a zacie spoglądacie z wysokości swego majątku. Tego nie mogłem ścierpieć. Przypominacie obraz wymalowany na ścianie Marienhove: na ambonie stoi lis i wygłasza wobec biednych i uciśnionych kazanie o obowiązkach moralnych, pokorze i pobożności. W odważnej i uczciwej walce odbierałem wam to tylko, co zagrabiliście kramarstwem. Kto postępował słusznie: wy czy ja, Bóg to rozsądzi. Nie wy!”

Steffen patrzył na twarze. Ci, którzy zeszli ze statku, znali na pewno to przemówienie. Mimo to ogarnęła ich taka sama nabożna zaduma, jak innych.

– Rzetelne słowa – odezwał się cicho Bjornson. – Tak, to rzeczywiście lis przybiera się...

W górze odezwał się dzwonek, zawiadamiający o pojawieniu się gońca od wschodu. Rzadko się zdarzało, aby niepokojono ich o tej porze, musiała to być bardzo ważna wiadomość. Krysta zerwała się więc natychmiast z miejsca i odpłynęła na brzeg, a gdy wróciła, wydawała się czymś bardzo przejęta. Trzymała w ręku niewielką karteczkę.

– Co nowego? – Steffen popatrzył na nią badawczo.

– Wiadomość od Rycerza z Lasu. Krzyżacy wkroczyli do Nowej Marchii!

Steffen oparł głowę na rękach i trwał długo w zupełnym milczeniu, jak gdyby zmógł go w końcu nieszczęście.

– W trudnych czasach żyjemy – odezwał się wreszcie cicho. – Gdzie rzucisz okiem, tam górą podłość... Nowa Marchia zajęta! Krzyżacy odcięli więc prawie zupełnie Pomorze od Polski i biskup kamiński chyba znowu podniesie głowę. Będzie sporo kłopotów...

Rozejrzał się płochliwie, zatrzymał wzrok dłużej na Kryście.

– A gdzie jest obecnie nasz Rycerz z Lasu? – zagadnął. – Zdaje się, że właśnie tam gdzieś przy granicy.

Potwierdziła jedynie skinieniem. Wydało mu się, że poblądła, i ten jej wewnętrzny niepokój dodał mu nagle mocy.

– Wróćmy do naszych spraw, bo one są najpilniejsze – głos nabrał poważnego, zwykłego brzmienia. – Kto chce, może stąd odejść choćby natychmiast. Tak powiedział Stortebeker, a jego ostatnia wola jest święta. Decydujcie zatem, statek przy brzegu. Kto wstąpi na pokład, otrzyma, co do niego należy, i dożyje spokojnych dni gdzieś we Flandrii, Danii czy Szwecji. Za to zaręczam. Ci, którzy pragną odpłynąć, niech staną za mną.

– A ty co zrobisz?... – Gamba wpatrzył się w niego bacznie.

– Ja pozostanę.

– Więc i ja także.

– Stań zatem za Krystą.

Ludzie bez pośpiechu, z namysłem zaczęli się przesuwać przez izbę i wreszcie Steffen musiał się cofnąć pod ścianę. Obok Krysty stali już wszyscy. Za nim nie było nikogo.

JAGIELLOŃSKA

CHORAŃGIEW

I

Rycerz z Lasu posuwał się powoli doliną Parsęty i omijając z daleka Świdwin, przepatrywał mozolnie ten zakątek pomorskiej ziemi. Rozglądając się ze wzgórz, cofając się często, podkradając nocami pod ludzkie osiedla, sprawiał wrażenie człowieka szukającego uporczywie wśród płataniny borów, bagnisk, potoków i jezior rozwiązania jakiejś trudnej zagadki, nie dającej mu ani chwili spokoju. Czuł, że przed nim wyrasta niewidzialny mur i tak zaczyna twardeć, że wkrótce nie będzie można się przez niego przedostać. Wokół zrobiło się ciasno. Od południa miał granicę świdwińską, ciągłymi wypadami zbrojnych kup siejącą szeroko grozę. Od wschodu, za rzeką, gród Bobolice wydany niedawno Krzyżakom przez Schippenbeila. Na zachodzie i północy rozciągały się posiadłości biskupie, przez które dawniej można się było przesunąć bez większych kłopotów. Dzisiaj i one nabrały mocy i aż się roiły od przeszkód, strzeżonych nie tylko przez liczne załogi, ale i przez gości oraz rycerzy zakonnych, poruszających się wszędzie swobodnie.

Rycerz przemyślał wszystko sumiennie, znowu się cofnął, poszedł bokiem i nareszcie odnalazł przejście. Obmacał je starannie, ostrożnie postąpił naprzód. Wydawało się zupełnie bezpieczne. Poruszył się śmieiej, w nocy przeskoczył przez niewielką, otwartą przestrzeń. Spokój był całkowity. Ale gdy wczesnym rankiem wyrzał z ukrycia, przeszło go mrowie. Prosto na las, w którym przebywał, pędziła zbrojna drużyna.

– Odkryli nas – rzekł do towarzyszących mu, jak zwykle, dwóch wiernych pachołków. – Spróbujmy się cofnąć.

Zawrócili tą samą drogą, którą tu przyjechali. Las był dość duży, ale że

otaczały go zewsząd ludzkie osiedla, człowiek gospodarzył w nim często i tnąc drzewa, równocześnie pozbawił gęstwy. Ukryć się w nim było trudno, poruszać łatwo. Pędzili więc co koń wyskoczy, kiedy jednak znaleźli się na przeciwnym krańcu, przystanęli raptownie. Gdzie rzucili okiem, tam stały na szczerym polu gromady zbrojnych.

– Pułapka – ocenił rycerz. – My patrzyliśmy dobrze, lecz i na nas ktoś patrzył dobrze. A szukać innej drogi chyba nawet nie warto. Na pewno obstawili już wszystko.

– Może się przebić?... – zastanowił się jeden z pachołków.

– Także nie warto. Zebrali, jak widać, wielkie siły i ledwie wyjedziesz z lasu, opadnie cię chmara. Zawróćmy tymczasem, aby jeszcze był czas na myślenie.

Zacisnął usta. Od lat prowadził tę niebezpieczną, zwiadowczą robotę, a chociaż działał niejednokrotnie nawet na Litwie i Żmudzi i nieraz sięgał aż do Malborka, dopisywało mu zawsze szczęście. A teraz dał się zapędzić w matnię właśnie tutaj, w pobliżu Słupska, gdzie znał każdy zakątek. I gdzie miał rozsiansych dokoła oddanych ludzi, baczących pilnie na nieprzyjaciół...

– Trzeba się pogodzić – zaczął zastanawiać się głośno – że wszyscy nie zdołamy się wymknąć... Ktoś może się jednak ocalić, jeśli dopisze mu szczęście i dobrze pokręci głową. Aby się udała ucieczka, trzeba kogoś rzucić im na pożarcie, lecz kogo?... Gdy ja uskoczę, was schwyca i od razu wezmą na męki, aby coś z was wydobyć. Nie powiecie, zetną wam głowy; powiecie, zrobią pewnie to samo. A jeżeli ja się poddam, też mnie wezmą na męki, ale dopiero w Malborku. Zrozumiałe: tajemnic przy mnie dużo i byle kto nie może do nich zaglądać... Czasu zatem zostanie sporo. Muszą doprowadzić mnie do granicy. Ta krótka droga może się okazać niełatwa, gdy trzeba będzie prowadzić jeńca. Tak, to jest w tej chwili najlepsze wyjście...

Dawał szybko wskazówki, pachołkowie słuchali pilnie. Bystry to byli ludzie, niewiele od niego starsi, i chyba już nieraz znajdowali się w podobnych opałach. Ledwie skończył, zsunęli się z siodła i ciągnąc konie za sobą, pobiegli naprzód. On stanął, skupił bardziej myśli, raz jeszcze rozważył sumiennie wszystko. Z tego co widział i słyszał, wniosek był prosty: las obstawiono ze wszystkich stron, za to atak szedł tylko z jednej. Jak za zwierzyną, wiadomo.

Gdyby wszyscy ruszyli w głąb, łatwo by się wymknęła w tłoku, a tak będzie się spychało ją ciągle, aż znajdzie się wreszcie na szczerym polu lub padnie wcześniej. Taki był zwykle rachunek. I ten rachunek należało odmienić...

Rycerz zwiesił jakoś bardzo bezradnie głowę. Cisza koło niego była zupełna. Jak nad otwartym grobem myśli naraz nabrały chłodu i dziwną jasnością, a równocześnie głębią zadumy wypełniły młodzieńczą duszę. Od lat walczy o wielką Polskę, na swój sposób pragnie z nią złączyć Pomorze. Sięga za Odrę i sięga za Niemen, czatuje nad Wisłą; przechwytuje wieści i zrywa wszędzie zwiadowcze, krzyżackie sieci. Śmierć ciągle zagląda mu w oczy, o chłodzie i głodzie odbywa dalekie wędrówki. Nieraz nawet zadaje wrogowi bolesne rany, lecz i wróg bije często. Był księżę Barnim, wspaniały władca, rycerz Jagiełły. Dziś już go nie ma. Przed rokiem zmarł nagle, w sposób zupełnie niezrozumiały. Jego najstarszego brata zamordował ongiś krzyżacki sługa, kiedy oddał Pomorze w lenno polskiej koronie. Barnim wystąpił śmielej. Czyżby więc i za jego śmiercią kryło się coś więcej aniżeli zwykła choroba?...

Rosła zaduma, ściemniały oczy. Czwartym to roku tego nowego, piętnastego stulecia, które według przepowiedni ma przynieść klęski mocarzom, zwycięstwo słabym... Prawda: księżę Bogusław poszedł w ślady brata i zaraz po jego śmierci złożył królowi w Krakowie wiernopoddane śluby. Inny to jednak człowiek. Oręza nie lubi, chętnie za to zawiera pakt. Łamie je często, zawiera nowe. Też prawda: w niełatwym jest położeniu. Klątwa wciąż nad nim wisi, każdy mógłby mu dzisiaj odebrać władzę. Myślą o tym na pewno Krzyżacy... Wszedłszy do Nowej Marchii, osaczyli go dobrze, a i z księstwem szczecińskim mają teraz wspólną granicę. Już trzymają je w garści, już zmusili do zawarcia umowy przeciwko Polsce. Bogusław więc i ze strony swoich najbliższych nie może liczyć dzisiaj na pomoc...

Rycerz coraz bardziej pochylał głowę. Jak za mgłą przesuwają się przed nim szybko wsie, miasta, wypadki. Niespodziewanie pojawiła się także Krysta. Wydała mu się wdzięczniejsza niż kiedykolwiek, przepięknie błyszczały jej ciemne oczy. Cudna dziewczyna!... Daleko potrafi sięgać, z najodleglejszych zakątków umie wydobyć tajemne wieści, często wskazuje drogę. Może już go dostrzegła? Może widzi w tej chwili matnię?...

Przymknął powieki, otworzył. Obraz nie zginął. Stał się nawet ostrzejszy, nabrał wielkiego ciepła. Ujrzał ją nagle w złotym łańcuchu Niekraka, w kodrąbskim borze. Odległe dni... Krótko ją wtedy widział, ocenił Jednakże trafnie. Chciał mieć współpracownika, dał jej wisiołek. Nie przyszło mu wówczas do głowy, że to dziecko prawie zacznie zmieniać wkrótce Pomorze. Samodzielny to dzisiaj człowiek, umiejący stawiać innym warunki, nie lękający się przeciwności, obracający tak samo dobrze mieczem, jak myślą. A przy tym bliski serdecznie człowiek, trwający także wiernie na posterunku i na samo wspomnienie poruszający do głębi duszę...

Spływała z oczu zaduma, z oczu wyjrzała czujność. Z dali zaczął dobiegać jednostajny szum stąpających powoli koni. Posłuchał chwilę i ruszył się również. Trochę początkowo ociężałe, niechętnie. Zaraz jednak pognął rumaka, zadudnił kopytami, donośnym echem rozgłosił swoją obecność. Pędził śladem pachółków, prosto na wroga. Tam go już usłyszano, zagrały rogi. Nacisnął konia ostrogami, poleciał na oślep jakby w panicznym strachu. Coś przed nim nagle rozbłysło, uskoczył w bok. Zabiegli mu drogę inni. Ściął się z kimś, stratował pieszych, uskoczył znowu, porwał za sobą pogoń. Na krótko, ktoś go doganiał. Osiadł znienacka, zwałił go z siodła. Krzyk stawał się coraz większy, pędzono na niego zewsząd. Raz jeszcze rzucił się naprzód, raz jeszcze zawrócił, raz jeszcze zderzył się pierśią w pierś. Uczyniło się kotłowisko, do rogów, klątw i wymyślań przyłączyły się jęki. Doszedł do wniosku, że dość narobił zamętu, aby jego pachółkowie mogli się przemknąć bezpiecznie, i uciekając teraz przed walącą na niego obławą, wypadł wreszcie na pola. Rozejrzał się gorączkowo: liczne oddziały zamykały mu wszelkie drogi.

– Oddaję się w wasze ręce – rzekł podjechawszy do jednego z rycerzy. – Może mi wytłumaczycie, dlaczego napada się tu w biały dzień i to pod ochroną biskupich zamków?

– Ich verstehe nicht* – padły w odpowiedzi na polskie słowa, słowa niemieckie. – Oddajcie miecz. A gdzie reszta?

• Nie rozumiem (nlem.).

– Jaka reszta?...

– Dwaj pachółkowie, którzy jechali z wami.

– Wasza sprawa, nie moja – rycerz wzruszył ramionami. – Jeśli twierdzi-
cie, że byli ze mną, powinni być. Szukajcie dalej.

II

Szumiał łagodnie Bałtyk.

Gdzieś tam daleko, za widnokrzem, znajdował się duński Bornholm, za
nim Wyspy Pirackie, naprzeciw Szwecja. Na okolicznych wodach toczyła się
wojna. Wrogie sobie okręty nieustannie burzyły fale i zmagaly się często w
zaciekłych bitwach, a chociaż Krzyżacy wychodzili z nich na ogół zwycięsko i
panowali nadal na Gotlandii, państwa skandynawskie były wciąż z dział i do-
magały się coraz głośniejszemu zwrotowi zagarniętej podstępnie wyspy. A i w Nowej
Marchii Zakon nie miał spokoju. Po dwóch zaledwie latach panowania zraził
do siebie wszystkich, w kraju szybko narastał powszechny bunt, żądano przy-
łączenia do Polski. A w ślad za tymi okrzykami szły zbrojne napady na pla-
cówki krzyżackie i na rozsyłane po nocach podjazdy...

Krysta dumala. W ciągu tych lat spędzonych nad Gardnem nauczyła się
układać myśli pod rytm nadbiegających od brzegu fal, zaprowadzać w nich
porządek, nadawać właściwy kierunek, przerzucać je łatwo ze wschodu na
zachód i z południa na północ. Dziś było ich mnóstwo, wraz z tymi bowiem o
Nowej Marchii nadbiegły inne o samotnym rycerzu, pojawiającym się jak
gwiazda przelotna na różnych miejscach i jak ta gwiazda rozbłyskującym
wszędzie tylko na krótko. Mimo to nauczyła się już śledzić jego ruchy; odga-
dywała często z góry, gdzie się znajdzie nazajutrz. Ostatnie jednak meldunki
sprawiły jej nieprzewidziane kłopoty. Albo nie doszły do niej wszystkie, albo
coś nie było w porządku. Wpadł na Pomorze od strony Wałcza. Powinien był
pojechać prosto na północ lub się cofnąć natychmiast, za nim bowiem szedł
nieodłącznie krzyżacki cień. A i przed nim nie było dobrze. Nieznacznie nara-
stał wielki tłum zbrojny, osaczał go zewsząd, coraz mocniej zaciskał pierścień.
Wysyłała jedno ostrzeżenie za drugim. Ale czy dotarły one do niego na czas? I
czy zdąży wydobyć się z matni, zanim nie będzie za późno?...

Fala plusnęła mocniej. Krysta raz jeszcze spojrzala na morze i skierowała
się do grodziszcza, do jej uszu bowiem dobiegły czyjeś pośpieszne kroki.

Zdziwiła się trochę. Ujrzała wkrótce Gambę, a on nigdy nie lubił chodzić tak szybko.

– Paskudna wiadomość! – zawiadamiał z daleka. – Rycerz z Lasu w krzyżackich rękach!

– Goniec czeka?...

– Czeka!

Wpadła zadyszana do izby. Boranta już zdążył zapisać wszystko. Przeczytała raz i drugi i zaczęła czytać znów od początku. Czegoś chyba nie zrozumiała, pochyliła się mocniej. Widocznie wyraźniej ułożyły się teraz znaki. Znieruchomiła na chwilę i odwróciła się wreszcie. Gamba wydawał się zaskoczony. Sądząc z poprzedniego podniecenia, spodziewał się ujrzeć na jej twarzy wielki niepokój albo nawet gorączkę, była jednak opanowana jak zwykle. Jedyne oczy wydawały się nieco twardsze, dużo w nich było chłodu. Ale nic nie straciły ze swej zwykłej jasności.

– Schwymano go w poniedziałek – zastanowiła się głośno. – Dziś mamy środę... Bardzo szybko biegła wiadomość. Kto wie...

Urwała, drgnęły niespokojnie powieki.

– Chyba to sprawa bardzo ważna? – spojrzała pytająco na zapatrzonego na nią Steffena.

– Niezmiernie ważna.

– Można więc użyć całej naszej siły?

– Nawet trzeba. Co chcesz uczynić?

– Chwilowo nie pytajcie, zastanawiam się właśnie... Gamba, ściągnij ludzi z dworzyszca.

Siedzący na brzegu jeziora goniec, na którym wiadomość o porwaniu rycerza też sprawiła wstrząsające wrażenie, wpatrywał się w zamyśleniu w grodziszcze. Bardzo się ono zmieniło w ciągu ostatnich lat. Dawniej trzeba się było przeprawiać do niego łodzią, pozorne ruiny sprawiały wrażenie zupełnej pustki. Dzisiaj prowadziła do niego wygodna kładka, jak gdyby mieszkańcy przestali się lękać przypadkowego odkrycia i aby mocniej jeszcze podkreślić swą siłę, zmienili wszystko. Jak chyba przed wiekami, gdy znajdowała się tu piękna świątynia ku czci Swantewita, tak i teraz wznosiła się na wysepce masywna, kamienna budowla i wysunęła się nawet na wodę, aby jak najwięcej zyskać dla siebie miejsca. Z boku widniała okrągła baszta. Nie była jeszcze

skończona. Mimo to już wywierała wielkie wrażenie wykuszami, bogactwem strzelnic i jakimś przedziwnym przystosowaniem całości do tego leśnego za-
kątką. Chociaż były to ciężkie mury obronne, nic w nich nie raziło. I z góry
można było przewidzieć, że gdy ta wieża w końcu wystrzeli w górę i przejrzy
się w wodzie, całemu budynkowi przyda wielkiej lekkości.

Goniec odwrócił głowę: z lasu wypadali ludzie i konie. Podszedł do nich
Gamba, przemówił krótko. Z tarczą w rękę, jakby już miała dosiadać wierz-
chowca, pojawiła się Krysta.

– Przywdziejcie wygodną, ale najlepszą odzież bojową – wydawała szyb-
ko rozkazy. – Borek: zakładaj biskupią zbroję!

– Dzięki serdeczne! Królowo moja...

Runął jej do kolan jak wówczas, kiedy tę zbroję otrzymał w darze. Dotych-
czas nie mógł jej używać, w nocnych bowiem wyprawach byłaby tylko zawa-
dą. Czyścił więc ją stale, oglądał, pieścił, ale z roku na rok narastał w nim
głuchy, męczący ból. Miał przecież majątek w garści, a nie mógł go pokazać
publicznie. A teraz, nareszcie... Cudny to dzień!...

– Śpiesz się – przynagliła go Krysta. – Za chwilę ruszamy.

Borek wpatrzył się w nią jak urzeczony.

– Za chwilę?... – wyjąkał. – W biały dzień?

– Nie marudź! W biały dzień i za Dziwnę. Po co miałbyś dźwigać to żela-
stwo, gdyby było inaczej? Niech ludzie patrzą. Będiesz prowadził!

I Borek prowadził. Pyszny, wspaniały, strojny nie tylko w biskupią zbroję,
ale i w znaki rodowe, wykonane dawno na taki wypadek w Szczecinie. Gdy
wjeżdżał w bramy Wolina, straż wyprężyła się przed nim, jakby ujrzała same-
go księcia. A on rzeczywiście jak książę skinął łaskawie ręką, nabrał zaraz
jeszcze większej godności na widok nadbiegającej gawiedzi, groźnie potoczył
okiem spod uchylonej przyłbicy. Skutek mógłby napęlić pychę nawet naj-
cichsze serce. Ludzie kamienieli z wrażenia, niektórzy żegnali się uroczyście,
kto stał na drodze – odskakiwał natychmiast w bok. Bo oto już sypali się pa-
chołkowie, szły luzem konie niosące juki, nadjeżdżał Kruza. On także był w
pełnej rycerskiej zbroi, miał także godło, miał również własnych pachółków. I
jeszcze jeden prześwietny mąż: rośli Wantimir z uznamskim znakiem, toczący
wokół wzrokiem z tak dostojną powagą, że mógłby iść o lepsze z niejednym

dostojnikiem kościelnym, noszącym biskupią mitrę. I znów inna drużyna! Na jej czele rycerz wspaniałej budowy, chyba wśród wszystkich najstarszy wiekiem. Za nim dorodny giermek tak gładki na twarzy, że trudno od niego odebrać oczy. Trzyma się lekko w siodle, rozgląda bystro, jakoś przedziwnie miękko omiata spojrzeniem zapatrzonych na niego ludzi. Już jest naprzeciw, już się przesunął, już znika w dali... I znów pachotkowie...

Przetoczyło się to wszystko jak cudna zjawy sypiąca skrami w słonecznym blasku, rozdudniło na moście nad Dziwną, zaginęło za rzeką. Ludzie wciąż trwali w zdumieniu. Oszołomił ich ten ogromny poczet i wciąż jeszcze mieli w uszach tętent koni, chrzęst zbroi, metaliczne dźwięki zwisających beztrąsko mieczy. Najbardziej jednak zaskoczyli ich sami jeźdźcy. Zazwyczaj przy takim przejeździe panował podniosły szum, gromko i hucznie padały rozkazy, każdy w jakiś sposób starał się zwrócić na siebie uwagę tłumu. W tych drużynach nie odezwał się nikt. W głuchym milczeniu przemknęły przez ulice, pozostawiły za sobą Bramę Mostową, tętent się wzmógł. Pochyliły się nad grzywami ludzkie postaci, karność wciąż była wielka. A mimo to nie słyszało się nadal ani jednego słowa, jakby to były stwory nie z tego świata, które spłynęły niespodziewanie na ziemię i pędzą teraz naprzód pod jakimś niewidzialnym dowództwem...

Szły równo konie, wzbijał się kurz. Prosto, jak sierpem rzucił, słała się przed nimi golczewska droga. Krysta, jadąca do tej pory z Gambą na końcu, przynagliła swego wierzchowca i zrównała się z prowadzącym na czele Borkiem.

– Jak się czujesz?

– Jakbym się świeżo narodził! Zauważyłaś, jak na mnie patrzono? Wiadomo: Borkowie ród świetny, tylko że do świetności potrzebna jest piękna zbroja. Mam ją nareszcie. Biją więc ludziska pokłony!

– Ale chyba w niej ciężko?...

Zerknął na nią z ukosa, zacisnął na chwilę usta.

– Ciężko – westchnął melancholijnie. – Człowiek przyzwyczał się do lekkości, więc żelastwo uwiera, a i słońce pali niemiłosiernie. Warto by gdzieś odpocząć.

– Dopiero za Golczewem. Zawieś tymczasem przyłbicę na łęku. Po co się męczyć?

– Prawda – spojrzał na nią z wdzięcznością. – Ty masz zawsze doskonałe pomysły! Od tego jest przecież lęk, aby rycerz zawieszał na nim przyłbicę. Niby niewielka, a waży sporo. O czym wspomniałaś?... – zastanowił się. – Aha, o Golczewie! Nie byle jaki to gród, jeśli biskup toczy o niego z księciem zacieklą wojnę, więc i tam trzeba będzie wystąpić godnie. Ja to potrafię, wiedziałaś.

Nabrzmiała z gorąca twarz ochładzała się szybko pod tchnieniem pędu. Poweselał. Radośnie i jasno rozbłyskiwały co chwila oczy.

– Warto by częściej robić takie wypadki – przemówił raźnie. – Człowiek umęczy się, prawda, ale ma przy tym niemało uciechy. A droga przez Wolin, przy naszej obecnej sile, stoi właściwie otworem.

Krysta pokręciła niepewnie głową.

– Na raz sztuka – odrzekła z namysłem. – Udało się dzisiaj, bo zaskoczyliśmy wszystkich i chyba upłynie niemało czasu, zanim ktoś z tego wyłuska prawdę. Może zresztą nie wyłuska jej nigdy. Gdybyśmy jednak zaczęli pojawiać się częściej, wpadniemy w pułapkę.

– Hm, słuszność przy tobie... Może więc wybralibyśmy się w inne strony? Choćby przez Uznam do Wołogoszczy. Pierwszy raz na pewno się uda!

– Może...

Znów mu się zrobiło gorąco. Zasapał od czasu do czasu, zaklął nawet z cicha, ale gdy mijali Golczewo, popatrzył hardo na stojący na górze obronny gród i jak w Wolinie unieruchomił gawieź pańską miną i wspaniałą postawą. Wkrótce powtórzył to samo w Płotach, kiedy jednak Krysta zapadła niespodziewanie w lasy i zarządziła postój, odetchnął z tak wielką ulgą, jakby go zdjęto z krzyża.

– A chłopstwo żali się, że rycerz je uciska i żre co najlepsze, chociaż sam nigdy nie dotknie pługa – przemówił w złości. – Posiedziałyby jeden z drugim choćby przez dzień w takiej żelaznej klatce, to by przestał mędrkować. Zwłaszcza gdyby go postawiono na słońcu. I gdyby ktoś jeszcze uderzył co pewien czas cepem lub młotem w przyłbicę!

– Sobie wymyślaj, nie chłopstwu – osadził go Gamba lekceważąco. – Powiedz otwarcie: Borkowie ród lichy i od dawna nie mieli na sobie porządnej

zbroi. Więc i chodzić w niej nie potrafią.

Borek w jednej chwili odzyskał siły.

– Milcz, ty...

Wantimir położył swą ciężką prawicę na jego ramieniu i przerwał na czas niebezpieczne wywody.

– Daj mu spokój – rzekł pojednawczo. – Ciebie obraził, ale i mnie obraził, toteż ja teraz zadam pytanie. Nie ośmielisz się chyba stwierdzić – spojrzał wyzywająco na Gambę – że ja, syn Dzierżka z Uznamu, pochodzę z lichego rodu? A jednak mówię uczciwie, że też czuję się kiepsko. Przyznaj się zatem i ty. Widać przecież, jak z ciebie paruje zmęczenie. Wcale nie gorzej niż z Borka!

Gamba poklepał go rubasznie po plecach.

– Masz prawdziwie rycerską głowę – odrzekł rozweselony. – W najtwardszym garnku potrafi zachować jasność i to, co powiedziałeś, jest słuszne. Też przyznaję uczciwie!

Legli obok siebie, odpoczęli nieco i już w najlepszej zgodzie zabrali się do jedzenia. Natomiast Kruża, chociaż jechał również w rycerskiej zbroi, był nadal bardzo ruchliwy. Krótko rozmawiał z Krysią, potem się naradził z Borantą i nagle zniknęli obaj. Inni, jeśli nie zdarzy się nic niezwykłego, zakończyli na dzisiaj swoje zajęcia; oni właściwie zaczynali dopiero pracę. Niezbyt daleko stąd mieszkał Wirko, jeden z tych ludzi z grodziszcz, których rozrzucano w różnych miejscach Pomorza, aby kierowali zwiadowczą robotą. Jako gajowy w klasztornym borze miał dużą swobodę ruchów i nikomu nie rzucał się w oczy, toteż korzystał z tego i w swoich rękach skupiał rozliczne nici. Gdy wyjeżdżali znad Gardna, nie wysłali w tę stronę żadnych rozkazów, pędząc bowiem bez wytchnienia i tak by wyprzedzili nawet najszybsze wieści. Teraz jednak trzeba było puścić je wreszcie w świat, zebrać meldunki z okolicy, ustalić wrażliwe miejsca, osaczyć wroga, odnaleźć Rycerza z Lasu. Wiadomości o nim były przecież mało dokładne. Gdzie zdarzył się wypadek, wiadomo. Ale co stało się później? Czy żyje jeszcze? A jeśli żyje, gdzie go umieszczono? Odpowiedzi na te pytania mógł w tej chwili udzielić jedynie Wirko.

– Żyje – powitał ich na wstępie dobrą nowiną. – Tak przynajmniej brzmi wczorajszy meldunek. Gdy go schwytano, zaczęto prowadzić pod silną

strażą w stronę Bobolic, lecz ktoś zaszedł im drogę i w popłochu umknęli na północ. Wiadomo też, że nie schwytano jego pacholków. Ci dali więc komuś znać. Napastnicy już się zlekli, cofną się pewnie bardziej. A że granica, jak się wydaje, dobrze jest obstawiona, pozostaje im tylko Koszalin. Ktoś ich przy tym ściga, muszą się śpieszyć. Czy umkną przed pogonią, dowiemy się wkrótce.

Kruża wyjrzał przez okno. Za nim rozciągał się las. Przed jego oczyma widniała wioska.

– Współpracujesz z nią? – zagadnął.

– Jak najściślej. Zamiast moich dwojga oczu mam tu przynajmniej setkę i w tej chwili też one patrzą. Domyśliłem się od razu, że sprawa jest wyjątkowa...

Ściszył głos, ktoś bowiem lekko zastukał w ścianę. Zjawił się goniec, a ledwie ten wyszedł, pokazał się nowy i odtąd drzwi otwierały się coraz częściej.

– Zaczyna się robić gorąco – Boranta podsumował napływające wieści. – Wiemy już, że Rycerza z Lasu uprowadzono do Koszalina. Wiemy także, że pościg nie zdołał go odbić, a więc wniosek z tego prosty: poruszył się mocniej krzyżacki zwiad, ktoś w nim rozbudził czujność. Moim zdaniem trzeba by wezwać tu Krystę, a i naszych przesunąć na inne miejsce. Jechaliśmy bardzo odważnie. Ktoś mógł wziąć nas na oko i depcze teraz po piętach.

Zapadła noc. Boranta zaginął wkrótce w borze, a wraz z nim goniec spod Koszalina. Gdy dotarli do obozu, spali już wszyscy. Pogadał krótko z Krystą, zbudzono ludzi, ruszono naprzód. W ciągu dnia żelastwo brzęczało ciągle. Obecnie broje przepadły w workach, odzież jakby ściemniała, wokół zapadła głęboka cisza. Zwarła się bardziej cała chorągiew, rozplynęła się prawie zupełnie w mroku. Posuwając się ostrożnie manowcami, szła prosto na Czaplą Górę, a na jej czele jechał Gamba i sprowadzony przez Rana przewodnik.

Boranta natomiast, zabrawszy Krystę, ruszył w przeciwnym kierunku i wkrótce znalazł się znowu w gajówce.

– Złe wieści – powitał ich Kruża. – Rycerza z Lasu osadzono w koszalińskich lochach zamkowych.

Jeszcze nie skończył, a już nadeszła nowa wiadomość: ktoś dążył po ich tropie, po zapadnięciu zmroku przycałił się w lesie. Co z nim zrobić?...

Chwilowo wydaje się bezradny, bo ciemno. O świetle jednak ruszy z pewnością dalej.

Krysta coraz mocniej zaciskała usta. Dotychczas trzymała się w korbach i tłumaczyła wciąż sobie, że w tej wyprawie najbardziej potrzebny jest spokój, starała się jak najdalej odsuwać od siebie niedobre myśli. Te napływające pośpiesznie wieści nasuwały ich coraz więcej, zaczynały parzyć jak ogniem, rozplamieniały policzki. Czas płynął szybko, a tam ginie człowiek. Ofiarny człowiek, wierny sługa polskiego króla. A tu jeszcze gorzej: jeden niezręczny ruch albo niebaczne słowo i zginie cała chorągiew...

– Ktoś obcy – wpadł nowy goniec. – Chyba nic złego. Nadchodzi z naszym człowiekiem.

Krysta odetchnęła głęboko, jakby zrzucała z siebie jakiś ogromny ciężar, i podeszła powoli do okna. Od wsi oderwały się właśnie dwie ludzkie postaci. Przyglądała się im bacznie, coraz więcej czuła się w niej napięcia. W jednej z nich najwyraźniej dostrzegła coś znajomego i naraz gdzieś z głębin pamięci wyłoniła się inna noc, bardzo do tej podobna. Postój na skraju lasu, obok jeziora warnowskie...

Ludzie weszli do środka.

– Zna hasła – przedstawił obcego człowiek miejscowy. – Chce stąd prześląć meldunek na Wolin.

– Kim jesteś? – dał się słyszeć głos Wirki.

– Pachołkiem Rycerza z Lasu. Jarkiem mnie zowią.

– Co o nim wiesz?

– Niewiele...

Jarek opowiedział szybko o napadzie w lesie, jakby uważał to wprawdzie za obowiązek, lecz równocześnie za stratę czasu. Zgodnie z rozkazem pachołkowie podsunęli się pod nagonkę, ukryli w wykrotach. A wtedy rycerz wyskoczył przed nich, udał, że chce przełamać oblęgę, skupił na sobie powszechną uwagę i porwał za sobą wszystkich.

– A wy wymknęliście się wówczas z matni – domyślił się Wirko. – Dobrze. Mów dalej.

Krysta słuchała. Że ten człowiek mówi prawdę, nie wątpiła ani przez chwilę. Pamiętała ten głos, znała także sylwetkę. Więc on się wymknął... Odnalazł wkrótce rycerza Fleminga, ogłosił trwogę. Wiść rozniosła się błyskawicznie.

Drużyny książęce, strzegące granic, zamknęły drogę i dlatego wróg zamiast schronić się z jeńcem w Bobolicach, musiał uciekać do Koszalina.

– A co z drugim pachółkiem? – Krysta odezwała się cicho.

Wydało się w ciemnościach, że Jarek drgnął silnie.

– Pani, to ty?... – dał się słyszeć radosny szept.

– Ja.

Pachółek rzucił się jej do kolan.

– Teraz już jestem pewien zwycięstwa! – wykrzyknął uszczęśliwiony. – Fleming może nie dopuścić do wywiezienia go do Malborka. Ale ty jedna tylko możesz wydobyć go z lochu!

– Dlaczego nie wysłałeś wcześniej wieści na Wolin?

– Wysłałem, może jednak nie doszła. Na wszelki wypadek postanowiłem stąd wysłać także. Pytałaś, pani, o drugiego pachółka... Widziałem go krótko na pustym polu. Chyba też uszedł szczęśliwie. On miał się udać do Słupska. Do księżnej wdowy.

– Ona może coś pomóc?

– To twarda Litwinka, pani! Mój rycerz ufa jej wielce. Chociaż książę Bogusław jest dzisiaj władcą, ona trzyma przy sobie bitne drużyny i pilnuje krzyżackiej granicy tak samo dobrze, jak jej ojciec na Żmudzi.

Krysta znów podeszła do okna. Zachmurzone przedtem silnie niebo przeczyszczało się powoli i już zaczynało przepuszczać na ziemię gwiezdąnoświatę. Zręby chat zarysowały się mocniej, na ścianach i polach kładły się jasne plamy. Coś poruszyło się w różnych miejscach. Wpatrzyła się czujniej, bo wydało się jej, że przy zabudowaniach widzi wszędzie przyczajone postaci.

– Czyżby ludzie nie spali? – spojrzała znowu na izbę.

– Wielka to noc – odpowiedział jej Wirko. – Dlatego nakazałem powszechne czuwanie.

– I jesteś pewien, że nikt tutaj nie zdradzi?...

– Jak siebie samego. Możesz iść między nich, chodzić swobodnie, a gdyby przypadkiem pojawił się wróg, wszyscy chwycą natychmiast za siekiery i widły i staną za tobą murem. Nawet najmłodsze dzieci. Znają cię tu przecież wszyscy!

– I poszliby w bój na mój rozkaz?...

– Jak jeden mąż. Nie tylko z tej wsi. Zewsząd, aż po granicę krzyżacką.

Nawet zza granicy, z ziemi świdwińskiej i z Nowej Marchii. Tam też cię znaję!

Sączyła się coraz żywiej jasna poświata, wyostrzała dachy i drzewa, bielila pola. Księżycy ani gwiazd nadal nie było widać. Pod ich tchnieniem jednak ożywił się już z chwili na chwilę szary przedtem krajobraz.

– Przejdę się – Krysta podeszła do drzwi. – Noc rzeczywiście wielka i trzeba przemyśleć niejedno... Aha! – zwróciła się do pachotka. – Czy nie wiesz przypadkiem, dlaczego twój pan pchał się właśnie w ten biskupi klin, łączący posiadłości krzyżackie z Bałtykiem? I czy nikt go nie ostrzegł przed niebezpieczeństwem?

– Ostrzegął niejedyn. Mimo to szliśmy. Rycerz szukał jakiejś drogi, ale dla kogo, nie wiem. Musiała to być jednak bardzo poważna sprawa, jeśli nie chciał się cofnąć.

– Na pewno...

Krysta pochyliła głowę i rozmyślała nad czymś przez pewien czas.

– Czy otrzymałeś od swego rycerza jeszcze jakieś rozkazy?

– Nie.

– Przechodzisz więc odtąd pod moje. Tymczasem kładź się i śpij, bo na pewno jesteś zdżony. A wy – zwróciła się do innych – czekajcie tu na mnie. Kto nowy nadejdzie, niech też nie wychodzi. W razie nagłej potrzeby szukajcie mnie we wsi.

Doszła do zabudowań, skręciła na drogę. Cisza panowała zupełna. Idąc powoli, wchłaniała ją w siebie, nabierała coraz większego spokoju, pozbywała się dotychczasowego napięcia. Myśli układały się bardzo sprawnie. Pomknęły nad Parsętę, przez pewien czas odbywały razem z Rycerzem z Lasu uciążliwą wędrówkę, potem pobiegły za nim do Koszalina, sięgnęły zaraz na Czaplą Górę, gdzie nad ranem powinien się znaleźć Gamba, i wreszcie zaczęły biegać na pozór beładnie od Kamienia po Malbork, od Świdwina do Kołobrzegu, od Odry po Wisłę. Wielu miejscowości nie widziała nigdy na oczy, a jednak tak wyraźnie pojawiały się przed nią obrazy i odległości, jakby przemierzała od dziecka tę rozległą, pomorską ziemię, poszarpaną dziś mocno przez państwo krzyżackie i Brandenburgię. Naraz zmarszczyła brwi. Minęła przed chwilą ostatnią chatę, przed nią znów były pola. A chociaż nadal panowała dokoła cisza, nie mogła się wyzbyć wrażenia, że słyszy jakiś nieznaczący szmer i ktoś posuwa się za nią. Odwróciła się bez pośpiechu. O kilkanaście kroków przed

sobą ujrzała czającego się pod drzewem człowieka.

– Co tu robisz? – zagadnęła, zwracając do wsi.

– Strzegę cię, pani... We wsi jesteś bezpieczna, tu może zdarzyć się wszystko. Poszliśmy więc za tobą na wszelki wypadek.

Spojrzała dalej: przy sąsiednim drzewie dostrzegła innego mężczyznę. Mięła go i próbowała znów skupić myśli, lecz przychodziło jej to coraz trudniej. Tamci z pewnością szli za nią nadal, a równocześnie czuła, że ktoś się odrywa od każdej chaty, że się do nich przyłącza, że narasta za nią bez przerwy jakiś przedziwny orszak. Doszła do drogi prowadzącej do gajówki i przystanęła. Ktoś się znajdował tuż za nią, najwyraźniej słyszała oddech. Odwróciła głowę: naprzeciw stał w wielkiej ciszy ogromny tłum mężczyzn, kobiet i nawet dzieci, tak przejęty i zapatrzony, jak ta rodzina pasterza, z którą zetknęła się niedługo w golczewskim borze...

– Widzę, że jestem bezpieczna wśród was.

Bardzo ciepło zabrzmiały słowa. Poruszył się ktoś śmielszy, przysunął bliżej. Powoli, na palcach, zaczęli otaczać ją inni.

– Czy można, pani, dotknąć twych szat?... – ktoś szepnął.

Podchodził jeden za drugim, dotykał, całował często ręce i miecz, padał do nóg.

– Królowa – rozległ się wokół szept. – Patrzcie: nasza królowa... Królowa Krysta!...

Zmarszczyła czoło, spojrzała bystrzej.

– Kto wam opowiada – odezwała się cicho – że jestem królową?

– Wszyscy tak mówią! Naszą jesteś królową, bo nas bronisz i nami rządysz. Tymczasem musisz się kryć, wypadasz znienacka. Lecz przyjdzie czas...!

Jakby z lęku, że może podsłuchać wróg, rozplynęły się nagle słowa i znowu zapadło wokół głuche milczenie.

– Dziękuję wam za wszystko – Krysta uniosła powoli głowę. – Żegnajcie, bo na mnie czas. Dziś jeszcze muszę rozpocząć bój.

Skierowała się do gajówki.

– Królowo – dobiegł ją jakiś serdeczny głos. – A ty kiedy wreszcie odpocznesz?...

– Po wojnie.

Szła coraz sprężysiej, mocno i równo rozbrzmiewał krok. Za sobą pozostawiała zupełną ciszę. A i w izbie, gdy do niej Weszła, panowała ona wszechwładnie.

– Wirko – głos jej rozbrzmiał tak mocno, jak nigdy – gońcy pod ręką?

– Czekają na twoje rozkazy.

– Rozsyłaj zatem hasło „bój”. Na całe Pomorze!

– Bój?...

Wirko znieruchomiał, jakby poraził go strach.

– Nad czym się zastanawiasz? Wiesz przecież, co ono oznacza.

– Wiem, oczywiście... Zniszczenie w jednej chwili wszystkich nam znanych krzyżackich szpiegów, a znamy ich mnóstwo. Ale jak bez nich trafimy na ślad nowych, których nam naślą później?...

– Zobaczymy. Teraz trzeba zniszczyć natychmiast tę pierwszą zaporę, bo inaczej nie tylko nie odbijemy jeńca, ale i sami stracimy głowy. Nie ma innego wyboru. Rozsyłaj hasło!

III

Już drugi dzień bojowa chorągiew Swantewita stała w borach pokrywających gęsto Czaplą Górę pod Koszalinem, a chociaż mnóstwo oczu obserwoowało bacznie miasto i zaglądało nawet do wnętrza grodu, nie można było zdobyć dotychczas żadnej pewniejszej wieści. Więzień podobno nadal przebywał w lochu. Podobno mają go sądzić i już przyjechał ze Świdwina jakiś krzyżacki mnich, przed którym się płaszczą wszyscy. Podobno...

Krysta wpatrywała się coraz dłużej w przepływającą obok obozu rzeczulkę. Nie chciało się jej pomieścić w głowie, aby jeńca, na którego rzucono tak wielkie siły, można było sądzić w podrzędnym, dopiero niedawno objętym grodzie. On sam zresztą w to nie wierzył, jak zeznał Jarek, i dlatego się poddał. Liczył poważnie na zwłokę i trudną podróż. Należało więc przypuszczać, że go w końcu wywiozą, ale jak długo można tu czekać? A napaść na zamek?... Wręcz niemożliwe. Wewnątrz prawie wyłącznie obcy, mnóstwo zawsze przejezdnych gości. A przy tym mury. Potężne mury wystawione przez

kamieńskich biskupów przeciw pomorskim książętom, aby strzegły przed nimi dobrze ich posiadłości...

Nadchodził wieczór. Ludzie, nie mając nic do roboty, gawędzili grupkami, a jedynie Wantimir leżał samotnie z boku. Wreszcie i on się ruszył i stanowczym krokiem podszedł do Krysty.

– Nie zniosę dłużej tego nieróbstwa! – przemówił twardo. – Twierdzisz, że trzeba tu siedzieć i czekać cierpliwie, rozumiem. Ale rozumiem także, że mam obowiązki. Ty więc rób swoje, a ja będę robił swoje. W nocy idę po spyżę!

– Poczekać do jutra.

– Nie mogę. Z człowiekiem pół biedy: zje byle co albo nawet nic nie zje, a mimo to kilka dni zawsze jakoś wytrzyma. Z koniem inaczej. Nie dasz mu dzisiaj owsa, jutro opadnie z sił i nieprzyjaciel doścignie cię na byle podjezdźku. Do tego nie mogę dopuścić!

– Pomyślałeś, skąd wziąć?...

– Ba! Wiesz przecież, kim jestem. Nie przychodziłbym do ciebie, nie wiedząc, co robić dalej. Bądź spokojna. Potrzebuję tylko z pięciu ludzi i kilka luzaków. To wszystko.

Zniknął o zmroku. Krysta była nawet rada tej wyprawie, bo beznadziejność czekania bardziej męczyła ludzi niż walka, a zresztą Wantimir miał słuszość: trzeba było jak najszybciej uzupełnić zapasy. Postój mógł skończyć się w każdej chwili, lecz mógł jeszcze trwać długo, nie miała bowiem zamiaru odejść za wcześnie. Miejsce było bardzo bezpieczne. Strzegł go dobrze tęgi bór, pilnowały czujnie okoliczne osiedla, a przy tym wszędzie było stąd blisko. Z wierzchołków drzew Koszalin widoczny był jak na dłoni, droga do Bobolic pod ręką. Gorzej było z gościńcem świdwińskim, leżącym z boku. Tamtędy jednak nie poprowadzą jeńca. Jarek twierdził stanowczo, że z jakichś mu nieznanych powodów Krzyżacy bardzo nie lubią tego gościńca i jeśli już muszą nim iść, idą w wielkiej gromadzie i tylko w biały dzień. A przecież tę sprawę muszą załatwić cichaczem.

Prawda, cichaczem... Krysta przyznała mu słuszość i przyglądała mu się wciąż z wielką uwagą. Bardzo jej przypominał ludzi znad Gardna. Młody, obrotny, niezmiernie ruchliwy, bystry nad podziw, nie wzbudziłyby niczyjego zdziwienia, gdyby go przybrać w rycerską zbroję. Jej okazywał na każdym kroku wielki szacunek, chociaż czuła, że nie wszystko ujawnia. Nie miała

żalu, spełniał pewnie tylko tajne rozkazy. Mało zresztą przebywał w obozie. Do kogoś zaglądał, wciąż był w rozjazdach, uruchamiał jakieś własne, tajemne siły. Coś stale przynosił. A gdy wrócił tego wieczora, wyczuła na pierwszy rzut oka, że przywozi nareszcie jakieś niezwykle wieści. Ledwie rozsiadł konia, natychmiast stanął się przed nią.

– Spotkałem Sławka – rzekł żywo. – To ten drugi pacholek – wyjaśnił. – Też uszedł szczęśliwie i szybko znalazł się w Słupsku. Księżna Jadwiga wzburzyła się, od razu wysłała posłów do Malborka, zażądała stanowczo wydania jeńca. I zagroziła, że jeśli go nie wydadzą lub coś mu się stanie, uderzy na Koszalin i zamknie granicę dla gości krzyżackich.

– Dobra wiadomość – Krysta pokiwała z uznaniem głową. – Zaczyna mi się podobać ta Litwinka... Krzyżacy pewnie zaprzeczą wszystkiemu, lecz że wskazała wyraźnie na Koszalin, muszą stamtąd szybko usunąć jeńca. Co jeszcze?

– Widziałem się również z rycerzem Flemingiem. Przebywa koło Bobolic i czeka na wasze rozkazy.

– Sam jest?

– Ma przy sobie tylko trzech ludzi, ale w każdej chwili może ich mieć ze dwudziestu. W tym kilku rycerzy.

– Zapamiętam. Co dalej?

– Rano wyszedł z Koszalina jakiś skromny na oko mnich...

– I zatrzymał się w dobrach klasztornych w Kurowie. Słyszałam o tym. Sądysz, że może być niebezpieczny?

– Nigdy nic nie wiadomo. Obecny to mnich, przybył statkiem gdzieś od Kamienia. Na wszelki wypadek kazałem naszym ludziom mieć go na oku.

– Dobrze. Jeśli opowiedziałeś już wszystko, kładź się i śpij. Jadłeś co w drodze?

– Jadłem.

I ona położyła się wkrótce. Spała mocno, koło północy jednak otworzyła nagle oczy i zasłuchiwała się czujnie. Coś ciężkiego przesunęło się powoli przez bór. Wstała, obeszła strażę, spotkała Krużę. Ten robił to samo, a w chwilę później przyłączył się do nich Gamba.

– Wantimir chyba nadchodzi – orzekł.

Rzeczywiście on się pokazał. Przywiózł, jak zwykle, obfity łup, ale najbardziej zaskoczył wszystkich jeńcem w mnisim kapturze, z kneblem na ustach i

związanymi z tyłu rękami. A jakby i tych ostrożności jeszcze było za mało, zarzucił mu powróż na szyję i szarpiąc nim od czasu do czasu, nakazywał bezwzględny posłuch.

– Złowiłem nie byle jakiego łotrzyka – oznajmił stając przed Krystą. – Zachowywałem się tam grzecznie, bo to klasztorne grodziszczce i nie było mniichów, lecz mniszki, a ten na mnie od razu z pyskiem! Upomniałem go łagodnie jak ojciec, ten głośniejszy: „Opat cię zarąbie własną ręką, niecnoto! Z piekła za to nie wyjdiesz.” Słyszeliście coś podobnego? Opatem zaczął mnie straszyć! I po niemiecku! Krew mnie zalała, tupnąłem nogą. A ten na mnie z pięściami. Co miałem robić? Trzasnąłem go w głowę, kazałem związać i przywlokłem go tutaj.

– Że też chciało ci się tak męczyć – Gamba ze zdziwieniem pokręcił głową.

– Serce mam miękkie. Bądź co bądź, to znajomek z Uznamu. Tam się łąsił hultaj do mnie, udawał nawet przyjaciela, a tu wymyśla mi od opata. Zdrajca przekłety! Weź go, Kruża, w obroty, bo znasz go także.

Kruża podbiegł do jeńca, wyprowadził go spod drzew na światło i naraz parsknął śmiechem.

– Oj Wancek, Wancek – rzekł, rozwiązując go szybko. – Masz ty nieraz pomysły... Przecież to Erlandsen, nasz najlepszy zwiadowca. Wezwaliśmy go dawno, aby ruszył za nami natychmiast i pomógł, a ty wściekasz się na niego, wiążesz i bijesz. Co ci wpadło do głowy?

Wantimir stropił się, chrząknął niepewnie, wbił oczy w ziemię.

– Dobrze mu tak – mruknął. – Opatem niech mnie nie straszy, bo zawsze tak będzie.

Jeniec odetchnął głęboko i zamiast go zwymyślać, parsknął śmiechem jak Kruża.

– Tak, na niego to pewny sposób – przemówił wesoło. – Bałem się, że powita mnie mile, musiałem więc go z miejsca rozzłościć, i udało się. Ale na przyszłość pamiętaj: opat opatowi nierówny.

– Głupiś! – Wantimir poruszył się wściekle. – Znam wielu. Wszyscy są jednakowi!

– Ale nie Jan z Bukowa, któremu podlegają tutaj cystersi. To bardzo porządny człowiek.

Wantimir rozłożył szeroko ręce, jakby brał wszystkich na świadków tej bezdennej głupoty.

– Pokręciło mu się zupełnie w głowie – westchnął. – Prawda: trzasnąłem go niezłe i mogłem coś tam naruszyć...

Westchnął raz jeszcze i odszedł, a Erlandsen, nie zdradzając żadnych oznak choroby, opowiedział o swej podróży. Wezwanie znad Gardna otrzymał właśnie w chwili, gdy z wozami wypełnionymi workami mąki wyruszał do Wołogoszczy. Załadował je tam na statek, a że pod ręką akurat znalazł się inny, odpływający do Darłowa i Gdańska, wszedł na pokład i już przed dwoma dniami znalazł się w bukowskim klasztorze, gdzie ongiś wyleczono go z ran. Opat przypomniał go sobie natychmiast, przyjął serdecznie i wysłał dziś do Kurowa, aby tam uporządkował rachunki.

– Sam mu to podsunąłem – mówił coraz weselej. – Wiedziałem przecież, że gdzieś jesteście w pobliżu, a gdy ujrzałem Wantimira, aż mi serce zabiło z radości. Trzeba go było jednak dobrze rozzłościć, bo odtąd będę uchodził wśród mnichów za bohatera i śmiało mogę wrócić na Uznam.

– A tam nie będą mieli do ciebie żalu? – Krysta wpatrzyła się w niego uważnie.

Erlandsen znów się roześmiał.

– Człowiek ma serce pełne wdzięczności – odrzekł. – Gdy więc tylko ujrzałem morze, ogarnęła mnie straszliwa tęsknota za mym dawnym opiekunem i dobroczyńcą. Z Wołogoszczy wysłałem list do opata Henryka w Podgławie i opisałem tak pięknie swoje uczucia, że się chyba popłaczę. Otwartą mam drogę!

Twarz Krysty pozostawała nieruchoma jak zwykle, oczy za to nabrały jasności. Wesoły był ten Duńczyk w habitcie, zaraz jednak spoważniał. Bardzo krótko przebywał w tej okolicy, mimo to wiedział już dużo. O porwaniu ryceza było dokoła głośno. Księżna Jadwiga wykazywała wielką ruchliwość, wzywała zewsząd pomocy, słała dokoła listy. Jeden z nich otrzymał także opat bukowski i wcale nie krył swego wzburzenia. A rajcowie miejscy w Koszalinie...

– Zajrzałem i do nich – Erlandsen przemawiał coraz ciszej i zwięźle. – Z dawnych czasów pozostało mi tu sporo znajomych, a że habit łatwo otwiera drzwi, dotarłem więc nawet do zamku. Dlatego...

Przez chwilę w wielkim skupieniu wpatrywał się w Krystę.

– Zastanowiłem się, aby przypadkiem nie palnąć głupstwa – dodał. – Potrzebne ci są pewne wiadomości, rozumiem. To, co teraz powiem, wydaje się jednak ściśle: jutrzejszej nocy poprowadzą jeńca w stronę krzyżackiej granicy. Nie wiem jeszcze jaką drogą, na koniu czy w schowku, w zbroi czy w jakimś przebraniu. W ciągu dnia uda mi się na pewno wydobyć i te wiadomości. Jedno jest niewątpliwe: Krzyżacy zlekli się krzyku, jaki robi księżna Jadwiga, i będą się starali szybko zacierać ślady. Tym bardziej że zabrał głos opat bukowski. Wpływowy to człowiek, zacięty wróg Schippenbeila. A wysłał listy nie tylko do koszańskiego zamku, ale i do Malborka!

Krysta słuchała. Jak bywało często, ożyły przed jej oczyma pobliskie drogi, osiedla, rzeki i bory i przesuwały się z taką wyrazistością, jakby na nie patrzyła. Naraz zmącił się obraz. Podszedł do nich Wantimir.

– Konie odżyły! – oznajmił radośnie. – Zbudziłem kilku ludzi, aby się zajęli karmieniem, bo przecież w każdej chwili mogą być nam potrzebne, a sił im trochę ubyło. Teraz znów nas poniosą pięknie!

Spojrzał z ukosa na Erlandsena i przygaśł.

– Z tym opatem zabiłeś mi klina... – zaczął trzeć w zakłopotaniu policzek.
– Naprawdę ten jest przyzwoity?

– Naprawdę.

– Niesamowite... Nie mogę ci nie wierzyć, jeśli twierdzisz tak stanowczo, ale że napytałeś mi biedy, tego nie kryję. Jeżeli on porządny, widzisz, w takim razie ja okazałem się nieporządny, najeżdżając mu dobra. A i grzech popełniłem...

– Chyba tak.

Wantimir westchnął ciężko.

– Ha, trudno! – machnął ręką. – Grzech grzechem, a konie żreć muszą. Ten opat ma jakie takie pojęcie o naszym języku?

– Używa go na co dzień jak my.

– Doabiłeś mnie ostatecznie! – Wantimir załamał ręce z rozpacz. – Jeszcze miałem cichą nadzieję, że szwargocze tylko po niemiecku jak inni, bo wtedy grzech właściwie żaden; przybłąda, wiadomo. Inny tu jakiś kraj... Ten mówi! Nie widziałem dotychczas takiego opata na naszej pomorskiej ziemi.

Wpatrzył się w ciemne niebo nad ich głowami i przez pewien czas układał zwichrzone myśli.

– Niestety, grzech – doszedł do wniosku. – A jeśli grzech, trzeba go zma-
zać. Jak sądzisz: gdybym poszedł do niego, wypowiedział się szczerze i dał za
ten owies i wieprze, które zabrałem, uczciwą cenę i coś na dodatek, rozgrze-
szy, czy będzie mnie wolał powiesić?

– Moim zdaniem powinien cię rozgrzeszyć – odparł Erlandsen z całą po-
wagą. – Na wszelki wypadek zabiorę się z tobą, a gdyby nie chciał ci dać roz-
grzeszenia, ja z nim pogadam. Nie różniłby się przecież wtedy niczym od opa-
ta z Podgławy czy od tych łotrzyków z Eldeny i Rany, i to mu wygarnę. A
gdyby i te argumenty nie pomogły, puścimy z dymem opactwo. Do tego jed-
nak na pewno nie dojdzie. To naprawdę opat porządny.

Wantimir wziął go w ramiona z nagłej uciechy.

– Kamień zdjąłeś mi z serca! – wykrzyknął. – Chyba nie masz za złe, że
obszedłem się z tobą trochę grubiańsko?...

– Nawet się z tego cieszę – mnich pochylił pokornie głowę. – Dzięki tobie
otrzymałem palmę męczeńską, jako że z narażeniem własnego życia stawałem
w obronie klasztornej majątku. Siostrzyczki kurowskie rozgłoszą to na pew-
no szeroko, a chyba dadzą i na mszę za moją duszę. Z dziesięć lat zupełnego
odpustu mam zapewnione, a gdyby nie słabość ciała, mógłbym ich mieć ze
dwadzieścia. Przyznam się szczerze: w ostatniej chwili obleciał mnie strach,
że rąbniesz mnie mieczem, jakby to zrobił każdy inny na twoim miejscu, usły-
szawszy taką obelgę. To pomniejsza wartość uczynku. Tobie jednak muszę
oddać, że wykazałeś wielką rozwagę!

– Ba! – Wantimir wyprostował się uroczyście. – Z Uznamu przecież po-
chodzę. Odziedziczyło się niemało po przodkach, a że przy tym nieraz trzeba
było się zrećnie wykręcać i spod gniewu opata, więc człowiek nabrał nie byle
jakiej mądrości. Ale teraz już nie marudźmy – rozejrzał się bacznie. – Konie
nakarmione, ludzie kładą się spać. Kładźmy się zatem i my.

Odszedł bardzo rad z siebie, a i nazajutrz nie tracił ani na chwilę ducha.
Dopiero pod wieczór, gdy Krysta niespodziewanie kazała wygasić ogniska,
obruszył się gniewnie. Przygotował polową wędzarnię i właśnie miał zamiar
zawieszać polcie, a oto okazało się, że cała robota pójdzie na marne.

– Nie mogłabyś trochę poczekać? – podbiegł do niej. – Co ja zrobię z tym
mięsem?

– Rozdziel między ludzi. A co się nie zmieści do juków, daj przewodnikom. Dziś w nocy wpadniemy na wroga.

– Ha, jeśli tak... – uspokoił się w jednej chwili. – Zgoda. Zarządzę zaraz, co trzeba.

Był odtąd bardzo posłuszny. Sam w drodze przestrzegał starannie ciszy, swoim przykładem zniewalał do niej innych, baczenie czuwał nad każdym krokiem, lecz poza tym nie obchodziło go nic. Dopiero gdy przystanęli, a do Krysty zaczęli się sypać gońcy, czujnie nadstawił uszu. Okolica wydała mu się znajoma. W pobliżu dróżka, za nią pola i wieś, dalej wądół pokryty z rzadka kępami krzewów... Prawda, tędy przecież przedzierał się do klasztornego dworzyszca w Kurowie! A tam oto...

Podjechała do niego Krysta. Powiadomiła go zwięźle, że na dróżkę przed nim wjedzie wkrótce zbrojna drużyna złożona z dwudziestu ludzi i że gdy tylko go minie, ma na nią uderzyć z tyłu.

– Pamiętaj przy tym – dodała z naciskiem – że trzeba zrobić to znienacka i błyskawicznie. Krzyżackie to wojska. Jeśli damy im choćby chwilę oddechu, pachotkowie zdążą zeskoczyć z koni, osadzą w ziemi włócznie i wtedy niejeden z naszych nadzieje się na nie. Do tego nie możemy dopuścić.

– Rozumiem. Ilu mam do pomocy?

– Dziesięciu.

– Bić wszystkich?

– W tym kłopot. Jest wśród nich czterech rycerzy w pancernych zbrojach, każdy z mieczem i tarczą. Tarcze jednak mają tylko krzyżackie znaki. Gdy wyjeżdżali z Koszalina, wszyscy mieli spuszczone przyłbice. Trzech z nich uniosło je w drodze w górę, lecz w bitwie znowu opuszczają. A że zbroje także są jednakowe, trudno będzie wyłuskać spośród nich tego czwartego.

– A ten czwarty, nasz rycerz?

– Właśnie. Nie uderzysz w nieprzyjaciela, on cię uderzy, uderzysz niewłaściwie, zabijesz swego. Bacz więc pilnie na każdy miecz. Jedna jest tylko możliwość poznania: kto go nie podniesie, ten nasz. I przykaż swoim...

– Dość – Wantimir machnął ręką. – Wiesz przecież: mnie wystarczą dwa słowa. Na włócznie się nie nadzieję, nikogo nie stracę, swojego znajdę. Bądź dobrej myśli.

Został po chwili sam. Rozstawił zρέcznie swych ludzi, kařdemu dał do-
kładne wskazówki i czekał. Na drodze przebiegającej przez wieř dostrzeęł
jakieř postaci. Zniknęły zaraz, przestał więc zaprzęcać nimi głowę, za to bacz-
niej nadstawił ucha. Od Koszalina dobieęał coraz wyraźniej tętent pędzących
koni. Trochę się dziwił: ciąęle szły równo, nikt im dotychczas nie stawiał
przeszkód. Zaczął się zastanawiać poważnie nad przyczynami tej zwłoki, lecz
nagle wyciąęął miecz. Juř tam huczało, juř grzmiały gromkie okrzyki, juř
ziemia dudni, juř widać jeźdźców prawie naprzeciw. Coř ich wstrzymuje,
ogromny popłoch: od strony Bobolic także wzbija się w niebo potężny krzyk.
Łamie się wszystko, Krzyřacy pryskają w wądół. Znowu przeszkoda: wałę się
na nich stamtąd, jak się wydaje, dziesiątki kopyt, którym przywtarzają do wtó-
ru wyciem wilcze, zgłodniałe stada. Zwijają gwałtownie rumaki, pędzą w
ostatnią lukę. Wrzask coraz więkřzy. Grzmia rozpaczliwie niemieckie głosy,
usiłujące jakoř powstrzymać zamętu

Wantimir przymknął oczy, otworzył. Zamroczyła go na chwilę ta nagłość
wypadków, ale zaraz zabawił się w dokładny rachunek. Trzasnęli ich z tyłu,
trzasnęli od czoła, trzasnęli z boku, a jednak jest nadal dwudziestu ludzi. Kar-
ność niezwykła!... Prawda: pomieszalo się wszystko, zbili się w jedną, beřlad-
ną kupę. Nie szkodzi. Na tle ciemno przybranych pachółków mocniej teraz
rozbłyřły zbroje. Jest jeden rycerz, jest drugi, jest trzeci, jest czwarty! Pędzą,
jakby poganiał ich wiatr, wpadają na dróżkę. Przed nimi...

Zamigotały przed jego oczyma przesuwające się szybko cienie. Świsnęł
przeciąęle w skoku, ostatniemu z pachółków zwałił się prawie na kark. Dosię-
gnął zaraz drugiego, nabierał mocy. Z boków sypali się juř jego ludzie. Pognał
rumaka, odtrącił włócznię, wziął kogoř na sztych. Przed nim potężniał panicz-
ny wrzask. Pogonił za nim zaciekle i wciąż szerząc postrach, ujrzał przed sobą
nareszcie jařniejsze światło. Prawda, tutaj polana!... Huczy dokoła las, kopyta
biją w ziemię, aż dudni. Z naprzeciwka wypada Krysta. Jest juř i Gamba, wali
jak burza Borek. Oстрыm klinem wbija się z boku Kruża...

Wantimir leci jak na skrzydłach. Zapařł się nagle przeciwnik, zamknięte
ma wszystkie drogi. Wgryźł się w niego, zanim jeszcze zdąęono odwrócić ku
niemu włócznię, i ujrzawszy przed sobą rycerską zbroję, stuka w nią lekko,
jakby chciał tylko obwieścić swoją obecność. Tamten odwraca się błyska-
wicznie, podnosi miecz. Rąbie go z góry, ogłusza, mocnym pchnięciem

wyrzuca z siodła, pozostawia innym na wykończenie. Bo oto drugi: przyłbica także zamknięta i także wzniesiony miecz. Wantimir czerwienieje z wściekłości, a że jest w doskonałym położeniu, unosi się wysoko w strzemionach i chce trzasnąć z góry.

– Kraków! – pada naraz dobitnie hasło.

Nie bardzo wie, co ono oznacza, bo słyszy je po raz pierwszy, ale że brzmi ono swojsko, opuszcza rękę i oba miecze opadają łagodnie.

– Dobrze, że krzyknąłeś na czas – śmieje się dobrodusznie. – Krysta nic mi wprawdzie nie powiedziała o tym zawołaniu, czuję jednak, żeś nasz. Podnieś przyłbicę, abym się o tym upewnił.

– Kiedy nie mogę. Zaklinowali.

– A, łotry przekłete! Dam ja im!...

Wantimir rozgląda się gorączkowo za przeciwnikiem. Widzi jedynie swoich, macha więc ręką ze zniechęceniem i miecz wkłada do pochwy. Nadjeżdża Krysta.

– Jesteś! – cieszy się. – Zarąbałam jednego w zbroi i już się złąkłam, że ciebie. Ty chyba poznałbyś mnie jednak z daleka. I dał jakiś znak...

Wantimir kręci głową w zdumieniu. Wydało mu się, że w tych słowach, jak na nią, było dużo czułości, lecz zaraz doszedł do wniosku, że się omylił.

– Pomóż mu ściągnąć przyłbicę – słyszy nagłące słowa. – Co z tego, że ją zaklinowano? Nie masz na to sposobu? Ty, rycerz uznamski?

Zabrał się ostro do pracy i uporał się z nią nawet dość szybko. Czas był najwyższy. Od gościńca nadjeżdżali już nowi jeźdźcy, a chociaż nikt nie podejrzewał w nich wroga, na wszelki wypadek należało trzymać się w gotowości. Niedaleko znajdowały się przecież Bobolice, warowny gród wydany w ręce krzyżackie przez kamieńskiego biskupa.

– Wyjedź do nich – odezwała się cicho Krysta. – Nie chcę, aby widziano nas z bliska, cofnę się w las. A oni niech natychmiast uprzątą pobojowisko. Nie powinno być tu żadnego śladu po bitwie.

– Nie powinno – Rycerz z Lasu przytaknął zgodnie.

– Przykaż im także, aby niczego nie rozgłasali. W razie czego: zwyczajna potyczka z bandą pogranicznych rabusiów.

– Słusznie. Powiadomię tylko księżnę Jadwigę. Niech przestanie się martwić o mnie i upominać.

Krysta przysunęła do niego twarz.

– Popelniłbyś wielki błąd – przemówiła z naciskiem. – Powiedzieć jej prawdę można, ale niech szuka dalej i nawet wzmaca codziennie krzyk. Dlaczego Krzyżacy mają wiedzieć, że żyjesz?... Wyślij kogoś mądrego z tym poselstwem do księżny!

Patrzył na nią przez chwilę w wielkim skupieniu.

– Można się uczyć od ciebie mądrości – rzekł. – Doskonały pomysł... Grobowa cisza koło mojej osoby jest akurat bardzo potrzebna.

– Mnie też się tak zdaje. Jedź więc do ludzi i poucz ich o tym również. Są blisko.

– Zaczekasz na mnie?...

– Pozostawię przewodnika na skraju polany.

– Chciałbym zabrać z sobą Fleminga i jego pachołków.

– Zabierz.

Zniknęła zaraz w borze, a za nią inni. Rycerz ruszył naprzeciw nadjeżdżającym. Nadciągał Fleming ze swą drużyną, która pognęła Krzyżaków, wypadając na nich zniemacka od strony Koszalina. Ukazała się drużyna księżnej, która zamknęła im drogę w stronę Bobolic. Napływali zaciekawieni chłopcy z okolicznych wsi, którzy przyczaili się za gościńcem i udając na różny sposób ogromną siłę, ostatecznie zmieszali wroga. Podziękował wszystkim serdecznie za pomoc, omówił pokrótce co najważniejsze, jednemu z rycerzy przekazał poufne zlecenie do księżnej i już miał zamiar zaszyć się w las, gdy ktoś go przytrzymał za rękę.

– A gdzie tamci? – padło pełne zadziwienia pytanie. – Ci, którzy ich tutaj wycięli. I co to za jedni?

– Rycerze jak my. Zrobili swoje i poszli.

– Jacyś niesamowici... Tak się uwinęli, że ojczenasza nawet nie zdążyłem odmówić, gdy znowu zapadła cisza.

– Właśnie! – wtrącił ktoś inny. – Zastanowiło mnie przy tym, że wrzask krzyżacki doskonale było słycać, a tamci nie wypowiedzieli chyba ani jednego słowa. Przynajmniej ja nic nie słyszałem. Ani w czasie bitwy, ani po bitwie. Czary czy co?...

– Chyba czary – roześmiał się Rycerz z Lasu. – Rzeczywiście dziwne to wojska, zawsze bardzo milczące. Ale musicie przyznać, że umieją się bić. I na pewno warto żyć z nimi w zgodzie.

Odjechał, a chociaż za plecami słyszał nadal gwar pełen podniecenia i ciekawości, nie odwracał głowy i odnalazszy przewodnika, wraz z Flemingiem zaszył się w bór. Długo musiał gonić. Ludzie znad Gardna zdążyli się odbić daleko i szli widocznie wciąż naprzód, dotarł do nich bowiem dopiero na postoju, gdy pozywiali się już i przy niewielkich ogniach opiekali kawałki mięsiwa.

– Siadaj – przywołała go Krysta. – Jakże tam było w krzyżackiej niewoli?

Zrzucił z siebie zbroję, zajął miejsce obok, przysiadł się zaraz do nich Fleming, przysiedli inni. Wantimir, pilnujący dotąd karmienia koni, oderwał się wkrótce od tej roboty, zabrawł szynkę przypieczoną niezłe jeszcze pod Czaplą Górą i także się do nich przyłączył.

– Jedzcie – zaprosił gościnnie. – Czym chata bogata, tym rada, a ja jestem niezmiernie rad. Mogłem cię zabić, a nie zabiłem. Znów we właściwej chwili doszła do głosu ta wielka, uznamska rozwaga, znana szeroko od wieków na całym Pomorzu. Ale jak to się stało – skierował na Rycerza z Lasu pełne wyrzutu spojrzenie – że ośmieliłeś się podnieść miecz na mnie? Krysta powiedziała, że kto go podniesie, ten wróg. Mogłem cię zabić!

– Mogłeś... Niestety, nie było innego wyjścia. Zapowiedziano mi z góry, że gdyby ktoś próbował mnie odbić, zginę. Myślałem więc, że kat właśnie zamierza wykonać wyrok i próbowałem się jakoś zasłonić. Na szczęście zdałem sobie sprawę w ostatniej chwili, że robię błąd: tamci mieli przecież na sobie zbroje, ty nie. Dlatego krzyknąłem.

– Szybko potrafisz myśleć, to dobrze... A nie mogłeś wcześniej uskoczyć w bór w czasie tego zamętu?

– Nie znasz widocznie pachołków krzyżackich. Gdy taki otrzyma rozkaz, aby pilnował jeńca, nie odstąpi od niego, choćbyś mu sztych przykładał do gardła. Inni pędzili na oślep. A oni ciągle trzymali włócznie przy moich plecach.

– A to ciekawe!...

Wantimir też odkroił kęs szynki i popadł w głęboką zadumę. Zaczęli przybliżać się ci, którzy dotychczas byli zajęci inną robotą. Podeszedł Kruża, zjawił się Borek i wkrótce zrobiło się tłoczno, każdy bowiem chciał wreszcie

popatrzeć z bliska na tego człowieka, z którym przecież łączyło ich wiele, chociaż nie przebywał w grodziszczu, i za którego nadstawiali niedawno karku.

– Czas na mnie – rycerz wstał. – Muszę być rano na polskiej granicy.

– Gdzie będziesz się tłukł po nocy? – Wantimir spojrział na niego zgorzszony. – Źle ci u nas? Tamci czekali tyle dni, więc poczekają i dłużej. A tobie po tym koszalińskim lochu na pewno należy się wypoczynek.

– Przydałby się. Obowiązek jednak jest obowiązkiem, a on nagli. Bywajcie!

Odszedł na bok, przywołał swoich pachotków. Podprowadzili mu konia.

– Powiedz mi jeszcze jedno – podeszła do niego Krysta. – Dlaczego pchałeś się z takim uporem w ten biskupi klin, chociaż wiedziałeś, że otaczają cię zewsząd?

Włożył nogę w strzemień, pochylił się nad grzywą i przez pewien czas nad czymś rozmyślał.

– No cóż... – przemówił powoli. – Wielka to tajemnica, lecz po tym, co dla mnie uczyniliście, należy się szczerza odpowiedź. Powiem krótko: w Nowej Marchii buntują się wszyscy przeciw Krzyżakom, a rycerze zaczynają już nawet występować zbrojnie.

– O tym wiem.

– Rycerzy marchijskich wspomagają rycerze pomorscy. Zakon zażądał zatem od księcia Bogusława, aby wystąpił przeciw nim zbrojnie, bo w przeciwnym razie oni tam wyślą wojska.

– Aha!...

– Wtrącił się w tę sprawę Jagiełło. Aby podkreślić, że on tu jest królem i ksiączę znajduje się pod jego opieką, postanowił wysłać do Łobezu własną chorągiew. Gdyby Krzyżacy ośmielili się uderzyć teraz, rozpocznie się wojna. Wojna z Polską!

– Wielka to ulga dla Pomorza. Ale jeszcze nie rozumiem..

– Zaraz zrozumiesz. Aby ta chorągiew przedostała się do Łobezu, musi przejść przez posiadłości biskupie, lecz Schippenbeil oddał je przecież dawno pod ochronę Zakonu. On dobrze wie, co się święci, zatkał już wszystkie przejścia. Próbowałem znaleźć jakąś drogę. Niestety, na próżno. I wielki plan

może się przez to rozlecieć, bo Jagiełło pierwszy nie zechce rozpocząć wojny.

Zacisnął usta. Cicho i jakoś bardzo bezradnie zabrzmiały ostatnie zdania, jakby do tego zahartowanego przecież serca zakradło się nagle zwątpienie. Krysta patrzyła na niego z coraz większym zdziwieniem.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się żywo. – Jeśli nie ma przejścia przez państwko biskupie, dlaczego nie pójdziesz najprostszą drogą? Przez Nową Marchię!

– Przecież tam są Krzyżacy. Wycięliby wszystkich na pograniczu.

– Przeceniasz siły zakonne. Podejźmy do ognia. Coś ci pokażę.

Wyciągnęła z sakwy zwój pergaminu, rozłożyła go na kolanie, pochyliła do światła. Ukazały się jakieś znaki, napisy i dziesiątki kresek wijących się we wszystkich kierunkach.

– Spójrz – głos jej nabierał coraz większej twardości. – Masz przed sobą całe Pomorze. Tu ziemia świdwińska i Nowa Marchia. Tu...

– Skąd masz ten opis?

– Sami zrobiliśmy. Między nami są nie tylko wojacy, ale uczeni i mędrcy. Przyjrzyj się dobrze i jeśli coś nie jest w porządku, popraw. Najpierw jednak spójrz na to wąskie gardło, gdzie ziemia świdwińska zbiega się z Nową Marchią. Stąd do Łobezu...

Jak z książki czytała nazwy i odległości, z wielką swobodą biegała palcem po lasach, rzekach, jeziorach i dziesiątkach przedziwnych niekiedy zakątków, których istnienia nie domyślali się może nawet ludzie mieszkający w okolicznych dworzyszczach. Głos stawał się coraz dźwięczniejszy. Jakby pod jego wpływem prężyła się dumnie Swantewitowa chorągiew, bo plan wysuwała niezwykle śmiały i tak porywający, że i oczy rycerza zaczęły płonąć gorącym blaskiem.

– Słucham jak baśni... – otrząsał się z trudem z tego uroku, kiedy wreszcie skończyła. – A jednak to wszystko możliwe! I naprawdę chcielibyście nam pomóc?

Krysta spłoszyła się nagle. Czegoś widocznie nie wzięła pod uwagę w swych obliczeniach, wbiła bowiem oczy w ziemię i przez pewien czas ważyła coś w myślach.

– Dotychczasowa wyprawa była konieczna – odezwała się naraz do wszystkich. – Tej nowej nie przewidywaliśmy, a już dość długo jesteśmy w drodze. Zastanówmy się zatem razem, bo czekałby nas znowu wielki wysiłek. Nie chcecie pójść, nie pójdziemy.

– Wielka sprawa – rzekł krótko Kruża. – Ja idę.

– Znów się nie wyśpię – mruknął Gamba niechętnie. – Iść jednak trzeba. Nie będzie tu polskich wojsk, nie będzie Pomorza.

– Po co to gadanie? – Wantimir wzruszył ramionami. – Ty jesteś wodzem i ty prowadzisz, a zresztą co za różnica, czy wrócimy do domu przez posiadłości biskupie, czy przez Nową Marchię? Tu także możemy w końcu uwikłać się w bitwę, jeśli tak bardzo pilnują przejścia. Jedno tylko mnie niepokoi... Dworzyszca, podobno, bardzo tam nadszarpnięte. Czy więc nie zabraknie owsa dla koni?

– W Nowej Marchii może zabraknąć – roześmiał się rycerz. – Na szczęście będziemy tam krótko. A w Łobezie daję po worku na konia!

Rozchmurzył się Wantimir, rozbawili się wszyscy.

– Radźmy dalej – odezwała się Krysta. – Wejdiesz zatem na ziemię pomorską, aby myślano, że idziesz najprostszą drogą, przez posiadłości biskupie. A w ciemnościach niespodziewanie uskokczysz w bok. Wirko zresztą poprowadzi was pewnie.

Ustalili dokładnie daty, miejscowości, zawołania bojowe i znaki. Rycerz podbiegł do konia.

– Czuję się, jakbym już był w Łobezie – rzekł raźnie. – Takiej niespodzianki chyba nikt jeszcze nie zgotował Krzyżakom!

– Milcz jednak jak zaklęty – przestrzegła go Krysta. – Nawet polscy dowódcy powinni być przekonani, że prowadzisz ich zwyczajną drogą, przynajmniej do czasu, dopóki nie znajdą się w Nowej Marchii. Szpiegów na pewno kręci się przy nich mnóstwo.

– Bądź spokojna, potrafię milczeć. Spotkamy się zatem w ogniu. Bywajcie!

– Bywaj, rycerzu!...

IV

Zapadał wieczór. Nad tą częścią polskiej ziemi, którą w wiekowych zmaganiach zbrojnych zagrabiła Brandenburgia i nadawszy jej nazwę Nowej Marchii przekazała przed dwoma laty Krzyżakom, przedwieczne majowe słońce uśmiechało się wdzięczniej niż kiedykolwiek, lecz też bardziej niż zwykle okrywało purpurą. Rozkładała się coraz szerzej. Jakby od niechcienia wśliznęła się między obłoki, osmaliła im brzegi, zmieniła ich kształty, dodała grozy, przejrzała się gniewnie w rozrzuconych na dole licznie wodach jeziornych. Wkrótce całe niebo nabrało krwawego blasku, zapowiadając jakąś straszliwą burzę, która lada chwila wstrząśnie powietrzem i przy świetle błyskawic, w huku piorunów, w potwornym jęku walących się borów całą tę ziemię zamieni w piekło.

Początkowo jednak nic nie potwierdzało spełnienia się tej przepowiedni. Słońce zapadło za widnokregiem, ukazały się nawet gwiazdy, uspokojeni ludzie ułożyli się do snu. Naraz coś rozbłysło w pobliżu polskiej granicy. Krzyżackie straże spojrzały zdziwione, a wkrótce zaczęła ogarniać je trwoga. Najwyraźniej działo się tam coś niedobrego. Blask coraz bardziej wzbijał się w górę, rozszerzał; luna, jak o zachodzie, zakrwawiała stopniowo niebo. A oto druga! I trzecia... Już cała okolica stanęła w ogniu!... Płoną krzyżackie młyny i spichrze, płoną wierne dworzyszczka. A ogień roznosi się coraz dalej i szybciej, jak gdyby pragnął najmężniejsze serca porazić lękiem i potwierdzić dobitnie, że wieczorne słońce nie ogłasza bez powodu swych przepowiedni...

Biją wokół kościelne dzwony. Od Świdwina, od Drahimia, od Złocienca pędzą na pomoc zbrojne oddziały. Ogień potężnieje, ruszyły się więc także od Mierostawca, te w Kaliszu właśnie dosiadły koni. Bardziej na południe gorzeje Wierzchowo. A oto już nowy pożar!... Rozbłysł tylko jednym płomieniem, lecz bije mocarnie, rozległą luną całkowicie zaćmiewa gwiazdy. Ruszyło się Drawsko, płonie nowe ognisko. Gościńce dudnią od zaciekłego tętentu koni, komenda coraz głośniejsza. Huczą posępnie trąbki i rogi, wojska się dzielą, walą na siebie, gubią kierunek. Dowódcy tracą zupełnie głowy. Pożary widać wszędzie, widzą też zgłiszczka, widzą ogrom zniszczenia, widzą własnych ludzi

łamiących karki w podstępnie urządzonych zasadzkach i wilczych dołach. Ale nigdzie nie mogą zobaczyć wroga...

A ten wróg rzeczywiście był niewidzialny. Mknął manowcami, raz się rozdzielał, to znowu łączył, gdzieindziej podniósł ludność i przy jej pomocy w jednej chwili wymiół wszystko co niewygodne, gdzie indziej sam zniemacka spadł na dworzyszczce. Każdy ruch miał wyliczony dokładnie, w każdym wrażliwszym miejscu czekał na niego przewodnik. A gdy go gdzieś przypadkiem zabrakło, pędził naprzód bez zatrzymania, był to bowiem znak, że wokół jest zupełnie bezpiecznie.

– Dobrze idzie – odezwał się Gamba, przystanąwszy w połowie drogi między Złocińcem a Drawskiem. – Przyznam się teraz szczerze, że trochę byłem na ciebie zły z powodu tej niespodziewanej wyprawy, chociaż nic nie mówiłem, bo inni i tak by mnie zakrakali. Przestałem jednak żałować. Cudny to widok!... Wiesz, co mi przyszło do głowy? Gdybyśmy wdarli się tak niespodziewanie w państwo zakonne, po miesiącu rozpadłaby się cała krzyżacka potęga!

– Zapomniałeś o zamkach – odrzekła Krysta. – Na nie potrzeba nie takiej siły.

– Prawda: zapomniałem o zamkach...

Zmarkotniał nieco i zapatrzył się na niebo, rozświetlone na wschodzie wielkimi łunami. Miały one skupić na sobie uwagę nieprzyjaciela i skupiły, a w tym czasie przemykała niepostrzeżenie bocznymi drogami jagiellońska chorągiew. Obecnie powinna być stąd niedaleko, może już nawet podchodzi pod pomorską granicę Spokojnie tam: Drawsko jest puste, Złocieniec także. I gdyby...

– Wantimir jakoś nie daje znaku – mruknął niechętnie. – Oby znów mu coś nie strzeliło do łba. Przez ten przeklęty owies możemy kiedyś utracić głowy.

– Ale za to twój koń jest wciąż rzeński. To bardzo ważne.

– Prawda: ważne...

Koło nich stała tylko niewielka drużyna. Kruża z większą strzegł tyłów polskiej chorągwi i nieznacznym płomieniem dawał od czasu do czasu znać o miejscu swego pobytu. Wantimir odbił się w bok. Miał nowym wielkim pożarem

zbić z tropu nieprzyjacielskie posiłki i według swego zwyczaju ten obowiązek wykonał bardzo sumiennie. Potem uskoczył w las, zatarł za sobą ślady. A gdy już pewny bezpieczeństwa wyjechał z ukrycia na równą drogę, wpadł prosto na jakiś ogromny tabor. Zmarszczył brwi, bo według otrzymanych wieści nie mogło być tutaj wroga. A zaraz zadziwił się bardziej.

– Wer da? – rozległ się prawie tuż przed nim niemiecki okrzyk.

* Kto tam? (niem.).

Popatrzył bystrzej. Jak spod ziemi wyrósł przed nim krzyżacki pacholek z wymierzoną ku niemu włócznią. Ciął go na wszelki wypadek, zaklął ze złości. Gdzieś z zakamarków zaczęli wypadać inni. To go rozgniewało na dobre. Świślał na swoich ludzi, którzy ciągle jeszcze znajdowali się w cieniu drzew, ruszył do ataku i wymiół wszystkich.

– Okazuje się, że i w najpewniejszym miejscu można się natknąć na to krzyżackie nasienie – westchnął. – Trudno na tej ziemi o spokój.

Rozejrzał się bacznie. Spod wozów wysuwały się nieśmiało inne ludzkie postaci, lecz te nie wydawały się groźne.

– A wy co za jedni? – zagadnął surowo.

– Kupcy z Krakowa, wielmożny panie! – odpowiedziano mu hurmem.

Uspokoił się ostatecznie. Mówili po polsku, a zresztą wiedział, że Kraków to nie tylko stolica, ale i zawołanie bojowe Rycerza z Lasu. Na pewno swoi.

– A tu co was przyniosło? – zapytał życzliwie.

– Krzyżacy nas wloką, wielmożny panie! Ci pacholki, których wycięliście, to straż, którą nam dali przekłęci zdrajcy!

Bardzo mu się spodobały te mocne okrzyki. Od słowa do słowa, zrozumiał wszystko. Krótka to właściwie była historia. Między Polską a księstwami pomorskimi istniała od lat umowa o swobodnym przejeździe kupców i dopóki Nową Marchią rządili Brandenburczycy, nie natrafiano na większe kłopoty. Krzyżacy zabronili przejazdu, pragnąc kierować, jak ongiś, cały handel polski do morza przez miasta pruskie i w ten sposób zagarniać zyski. Niekiedy dali komuś zezwolenie i takie zezwolenie otrzymali właśnie ci kupcy. Ledwie jednak wjechali do Nowej Marchii, wzięto ich pod straż, nałożono areszt na wszystko i wraz z towarem skierowano do Świdwina przez Drawsko. W tym miejscu znaleźli się przed wieczorem, wkrótce mieli wjechać do miasta. Nie spodziewanie jednak na niebie ukazały się łuny.

Natychmiast zepchnięto ich z drogi i kazano czekać do rana, gościńcem bowiem, zgodnie z krzyżackim porządkiem, miało prawo przepływać odtąd jedynie wojsko.

– Dokąd chcieliście zawieźć towar?

– Do Wołogoszczy.

Znajome to były strony... Serce Wantimira stopniało do reszty.

– To chyba przez Łobez? – zagadnął.

– Można przez Łobez.

– Na co więc jeszcze czekacie? – wściekł się nagle. – Strażników nie ma, broń po nich wasza.

– Ale gościniec zamknięty...

– Więc boczną drogą!

Popędził ich ostro, sam pomógł, pomogli inni. Wozy jeden za drugim potoczyły się naprzód. Zatoczył z nimi niewielkie półkole, ominął z daleka Drawsko i korzystając z pomocy przewodnika, poprowadził bezpiecznie po leśnej drodze. Naraz zatrzymał pochód. Przypaść do niego goniec i trzeba było dobrze przemyśleć wieści.

– Pojedziecie dalej sami – orzekł po chwili. – Nic wam się nie stanie, załączam, lecz musicie się śpieszyć. Abyście nie zmylili przypadkiem drogi, daję wam przewodnika. Wynagrodźcie go odpowiednio, gdy będziecie już za granicą. Człowiek bardzo porządny.

Podszedł do niego jeden z kupców w bogatym stroju.

– I wam się należy nagroda – przemówił serdecznie. – Nie wiem, jak mamy dziękować za taką łaskę. Chętnie dam...

– O tym potem – Wantimir machnął niecierpliwie ręką. – Widzę, że trzymacie ładny gąsiorek. Na pewno coś dobrego, lecz i to odłożmy na później, bo przy robocie nie piję, a przy tym nie mam zupełnie czasu. Żegnajcie!

– Może chociaż kusztyczek, wielmożny panie. To dobry miód!

Wantimir, chociaż już ruszył konia, przystanął nagle.

– Hm, miód?... – mruknął. – Na nim ja znam się dobrze. Dajcie no trochę na spróbowanie.

Podano mu kubek. Wziął na język, pomyślał, pociągnął mocniej.

– Wręcz nie do wiary. – zadziwił się. – Zupełnie jak mój uznamski!... Ile ma lat?

– Ponad sto.

– Chwali wam się: uczciliście mnie godnie. A więc za waszą pomyślność!

Wypił do dna, ale gdy chciano mu nalać powtórnie, odmówił stanowczo i znów ruszył konia. Coś mu jednak nie dawało nadal spokoju, więc jeszcze raz się zatrzymał.

– Prawdę mówiąc – rzekł bijąc się z jakimiś myślami – nie wypada, abym ja tylko pił, bo inni, których tu nie widzicie, oddali wam jeszcze większe usługi. Żeby nie było im przykro, zabiorę ten gąsior.

– Damy całą beczułkę!

– Umiecie być wdzięczni i zapamiętam to sobie, lecz beczułki nie wezmę przecież na siodło. Zgłoszę się po nią w Łobezie. A tymczasem dajcie gąsiorrek. Zatkajcie go tylko dobrze, bo może trzeba będzie skoczyć z nim w bitwę.

Wziął go w lewą rękę, przypasaował do boku i odtąd jak ruszył naprzód, tak zatrzymał się dopiero po drugiej stronie Drawska, prawie w tym samym miejscu, gdzie natrafił na kupców. Znów go zatrzymała nieprzewidziana przeszkoda. Przedtem wszystkie wojska pędziły na wschód w stronę pożarów. Teraz jakiś konny oddziałek wracał do miasta i to wzbudziło w nim nagły niepokój. Miał być wielki popłoch i zamęt, na tym opierały się wszelkie rachuby. A jeśli ci jadą w przeciwnym kierunku, to znaczy, że ktoś w ich dowództwie poszedł nareszcie po rozum do głowy i lada chwila może rzucić siły tam, gdzie ich najmniej potrzeba.

Cofnął się nieco, przyczaił w krzakach.

– Jak sądzicie? – szepnął do swoich ludzi. – Nie wymknie się żaden, gdy uderzymy? Bo wypuścić nikogo nie wolno.

– Nie wypuścimy. Ich dziesięciu, nas dziesięciu. Zniszczymy od pierwszego zamachu.

Poszło nad podziw łatwo. Nieprzyjaciel, nie napotykać do tej pory nikogo z obcych, wjechał na nich śmiało, a gdy się w końcu spostrzegł, już było za późno. Wantimir był w siódmym niebie. Bądź co bądź Krzyżaków w Nowej Marchii trochę ubyło, a przy tym gąsior był cały. Przytulił go do siebie i popędził polną dróżką, aby się połączyć z oczekującym na niego zwiadowcą.

Znalazł go w umówionym miejscu, wypytał, odprawił. Wszędzie było bezpiecznie. Doszedł do wniosku, że zadanie wykonał z nawiązką, a Krysta może się zaniepokoić jego trochę przydługą nieobecnością, pognął więc konia i zatrzymał się dopiero przy gościńcu świdwińskim. Tutaj mieli się spotkać. Ponieważ jeszcze nikogo nie było, miał już zamiar dać znak do odpoczynku, gdy niespodziewanie usłyszał tętent. Przyczał się na wszelki wypadek, bo swoi nie powinni nadejść z tej strony, i dobrze uczynił. Znowu dziesięciu zbrojnych wracało do Drawska.

– Sprzątniemy ich?...

– Sprzątniemy!

Uwinęli się w mig, odciągnęli poległych. A ledwie się z tym uporali, ukazali się nowi.

– Niedobrze – Wantimir westchnął. – Co najmniej ze trzydziestu chłopów, a przy tym będą ostrożniejsi. Z pewnością dobiegło coś do ich uszu... Co się dzieje z Kruzą i Krystą? – rozłożył się nagle. – Wszystko chcą zwalić na moją nieszczęsną głowę? Dlaczego nie palą?

Objął niebo rozgorączkowanym spojrzeniem. Łuny zanikały, ginęła czerwień, tu i owdzie ukazały się gwiazdy. Gdyby nie to, że miał przed sobą niewątpliwie krzyżackie znaki, mógłby sądzić, że bitwa za nim i że jakimś cudem już się znalazł na pomorskiej, księżęcej ziemi. Cisza wokół była zupełna.

– Trzeba jednak uderzyć – doszedł do wniosku. – Hultaje rozglądają się bacznie i sami nam w końcu mogą napytać biedy, zawsze więc lepiej wypaść na nich zniecka. A zresztą – wyprostował się hardo – co trzydziestu chłopów, to nie dziesięciu. Taki uszczerbek wśród konnych Krzyżacy odczuwają mocno!

Chyba i innym odniesione dotychczas zwycięstwa bardzo dodały ducha, przytaknięto mu bowiem gorliwie i przeprowadziwszy raz jeszcze sumienny rachunek, ustalono zgodnie, że na jednego przypada trzech tylko wrogów. Dla ludzi znad Gardna nie jest to znów takie straszne.

– Słusznie – potwierdził Wantimir. – Czymś musimy się przecież wyróżniać wśród innych. Tych dwóch pancernych na przedzie mnie pozostawcie. Rękę, jak wiecie, mam tęgą i pruję blachy. A na dodatek podrzucicie jakiegoś pachołka, aby nikomu nie było za ciężko.

Wysunął się bez pośpiechu na drogę. Tamci jechali wolno, musieli mieć bardzo zmęczone konie. Sam więc udawał także wielkie zmęczenie, aby nie

płoszyć za wcześniej, ale gdy znalazł się wreszcie blisko, pchnął swoich gwałtownie z boku, sam zaś runął na czoło. Z pierwszym rycerzem poszło mu łatwo, bo go zupełnie zaskoczył, z drugim za to było coraz więcej kłopotu. On też zwijał się doskonale, ramię również miał tęgie, miał przy tym na sobie żelazną zbroję, do rozbicia której był potrzebny nie lada zamach. Próbował go wziąć sztychem. Nie sięgnął. Próbował roztrzaskać rękę. Usunęła się błyskawicznie. Krew go zaczęła zalewać z wściekłości, na taką bowiem zabawę nie było czasu. Rzucił niespokojne spojrzenie na innych i naraz włosy stanęły mu dęba. Kotłowanina była tam straszna, a on dopiero uporał się z jednym! Prawda: drugi też był bardzo zajęty, ale na jego rachunku wisi przecież jeszcze ten trzeci. Ktoś z jego ludzi ma teraz czterech na karku. Może właśnie ten czwarty go teraz przebija, może...

Wantimir zgrzytnął zębami, zamachnął się lewą ręką, w której trzymał dotychczas gąsior, w straszliwym gniewie trzasnął znienacka w przyłbicę. Pomogło. Krzyżak zatchnął się, ośleplł i odtąd poszło już gładko. Nareszcie można było się dobrać do reszty.

– I z tymi jakoś się udało – odetchnął z ulgą, gdy się wszystko skończyło.
– Padł któryś z naszych?

– Nie.

Trochę było rannych. Obejrzał ich, lecz że nikt się nie słaniał na siodle, machnął ręką i przeniósł wzrok na poległych.

– Niech leżą! – warknął. – Zmarnowałem przez nich stuletni miód. Co ja teraz dam...

Zmroził go naraz jakiś stuk cichy, nierówny, a tak przy tym bliski, jakby mu sięgał karku. Spojrzał przed siebie i krzyknął, zwarto się błyskawicznie. Już ich jednak otoczyła zewsząd wielka gromada.

– Hände hoch!* – padł rozkaz zaciekiły.

* Ręce do góry! (niem.).

Wantimir w odpowiedzi wyciągnął miecz. Zdawał sobie sprawę, że obrona jest beznadziejna, lecz wiedział także, że jeśli tutaj nie padnie, czeka go gorsza śmierć. Wiedzieli to także inni. Krzyknął raz jeszcze, zwarto się mocniej. Nieprzyjaciel uderzył hucznie i nagle odskoczył. Poniósł go gniew, zaatakował

gwałtowniej. Coś mu nie wychodziło. Bił jak o mur, w pocie czoła próbował wyłuskać z niego choć jeden kamień. Jak dotychczas jednak, tylko po jego stronie sypał się gęsto trup...

Wantimir pracował ciężko. Wypadł niekiedy, to znów się nieco cofnął, zajechał z boku, zmiotł kogoś z siodła, wywrócił konia. Przychodziło mu to coraz trudniej. Zewsząd błyskały miecze i włócznie, ręka zaczynała odmawiać mu posłuszeństwa. Czuł, że zbliża się szybko ostatnia chwila i już bronił się tylko, pragnąc odsunąć ją jak najdalej. Naraz odetchnął głęboko, przed nim powstała luka. Popędził rumaka i znieruchomiał: luka stawała się coraz większa. Chryste Panie, co się tu dzieje?... Wróg się odsuwa, wznosi coraz donośniej jakiś burzliwy krzyk. Wantimir kreśli uroczyście znak krzyża, żga konia ostrogą, nabiera rozmachu, próbuje za wszelką cenę osiągnąć wroga. Wciąż bezskutecznie. Na pół przytomnie rzuca dokoła okiem. Aha, jest przy nim Krysta!... Jest także Gamba, są inni. A ci znów co za jedni?... Wali się teraz na Krzyżaków jakaś ogromna siła, młóci jak cepem, kruszy pancerze, roznosi pachółków. Boże sprawiedliwy! Czyżby to była jagiellońska chorągiew?...

Wantimir mruży oczy, otwiera. Porywa go pusty śmiech, jakby komuś wyplątał figła. Zrozumiał nareszcie wszystko, wie, co ma robić. Macha więc radośnie ręką, porywa za sobą swych ludzi, przerzyna się przez podającego już tyły nieprzyjaciela i niespodziewanie zamyka mu drogę do Drawska.

– Baczcie pilnie! – przemawia rozważnie jak zwykle. – Tam w tłoku nie na wiele się przydamy, bo ręce słabe, tu za to liczymy się ciągle na wagę złota. Dopilnujcie, aby żaden z tych hultajów nie przedostał się żywy do miasta!

Sumiennie dopilnowali. Wantimir, bardzo z siebie zadowolony, poruszył konia i objeżdżając na wszelki wypadek pobojuwisko, dotarł w końcu do Krysty. Chwilowo jej nie przeszkadzał. Jagiellońska chorągiew, zebrawszy rannych, szykowała się właśnie do dalszej wędrówki, a ona dawała dowódcy jakieś wskazówki.

– Śpieszcie się – przynagliła na końcu. – W Drawsku biją już dzwony, a tam pozostało sporo pieszych oddziałów. Domyślili się czegoś widocznie i mogą zaskoczyć was przed granicą. Do niej jednak, na szczęście, blisko. A o tyły bądźcie spokojni. Bronimy.

Rozpłynęli się zaraz w mroku. Ludzie znad Gardna pokręcili się jeszcze przez pewien czas po pobojuwisku, lecz wkrótce i oni odskoczyli nieznacznie w bok. Głuszac początkowo tętent na miękkiej roli, dopadli do jakiejś drogi, pomknęli nią śmiało na wschód, jakby od niechcenia podpalili dwa pobliskie krzyżackie młyny. Jeśli ktoś w Drawsku myślał jeszcze o pościgu, w tej chwili chyba machnął na wszystko ręką. Łuny znowu zasnuły niebo. Zawrócili natychmiast i skierowali się w przeciwnym kierunku. Pędzili odtąd bez zatrzymania, nie zauważeni przez nikogo przedostali się przez granicę. W dali ukazały się ciemne zabudowania Łobezu. Skręcili daleko przed miastem, na jakiejś górze zapadli w borze. I tutaj nareszcie dano im wypoczynek.

– Kto chce – odezwała się Krysta – niech się kładzie i śpi.

Nie czuło się w tych słowach szczególnej zachęty, toteż zamiast skorzystać z zezwolenia, znużeni śmiertelnie ludzie zapatrzyli się na nią bacznie. Ruszyła w las. Poszedł za nią natychmiast Borek, poszedł Boranta, poszedł Gamba, zaczęli się zrywać inni. Westchnąwszy ciężko, powlókł się w końcu Wantimir. Chociaż wyszedł cało z tej zawieruchy, nie mógł się wyzbyć wrażenia, że przy swojej wielkiej mądrości palnął jednakże jakieś straszliwe głupstwo. Prawda: o mało nie wygubił drużyny... Chyba nawet zatracił na chwilę czujność, jeśli wróg zdołał podejść tak blisko, może w ogóle nie powinien był wdawać się w bitwy... Nikt mu nic nie wytykał, nikt dotychczas nie powiedział marnego słowa. Tym bardziej się gryzł; był przeświadczony, że okazują mu tylko chwilową litość, aby później wygarnąć ostrzej. Szedł więc bez zapału i patrząc wciąż w ziemię, nie słyszał właściwie nic. Gdy ocknął się wreszcie z tej głębokiej zadumy, ujrzał przed sobą stos chrustu. Zastanowiło go to, popatrzył dalej: stok góry opada tu stromo w dół, u podnóża wije się kręto rzeka, naprzeciw Łobez. Przesunął leniwie wzrok: obok niego znajdowała się Krysta.

– Podpal – rzekła życzliwie. – Tym razem radosny to będzie płomień, niech więc roznieci go twoja ręka. Zasłużyłeś się dziś chyba więcej niż inni.

Potrząsnął głową, jak gdyby nie był pewien, czy się znajduje na swoim miejscu.

– O jakich mówisz zasługach?...

– Patrzcie, udaje skromnisia! – roześmiał się Gamba. – Niby nic nie rozumie, a tam szedł na Krzyżaków jak na wesele.

– Bo trzeba było! – Wantimir warknął, jakby zamierzał gryźć.

– Pewnie, że trzeba. Gdybyś nie wyłuskał ich na czas, doszłoby przecież do gorszej bitwy. Najwyraźniej zamykali nam drogę, przyszłaby im pewnie wkrótce na pomoc piechota z Drawska. A ty popsuleś im szyki i, co najważniejsze, nas ostrzegłeś na czas.. Zaprzątnąłeś ich uwagę, mogliśmy wypaść zniecka. Nie patrz więc na mnie wilkiem. Jak widzisz, uczciwie oceniam twoje zasługi i to wobec wszystkich. Pracowałeś dziś głową świetnie!

– Ba!

Wantimir odzyskał równowagę ducha. Uroczystym spojrzeniem powiódł po otoczeniu i przygasł nagłe.

– Co cię znowu ugryzło? – Gamba poklepał go rubasnie po plecach. – Mówię przecież...

– Nie o to idzie! Wiozłem dla was gąsior miodu. Stuletniego miodu, z Krakowa! W jednej potyczce zdołałem go ocalić, w drugiej także...

– Jak to: z gąsiorem stawaleś do bitwy?

– A co, miałem go może pozostawić Krzyżakom na pastwę? Taki miód? Nie przeszkadzaj, bo tracę wątek! Więc w trzeciej... W trzeciej właśnie potyczce stało się to wielkie nieszczęście. Chcąc nie chcąc, musiałem trzasnąć zakonnego rycerza w gębę. Prawda: położyłem go zaraz. Miód jednak przepadł!

Wantimir westchnął ciężko, inni za to parsknęli śmiechem. Chciał się obruszyć, bo nie widział w tym nic wesołego, ale Krysta na czas wcisnęła mu do ręki płonąca żagiew.

– Podpalaj – przynagliła. – Już czas.

– Hm – mruknął. – Na jaką intencję?...

– Aby zawiadomić pana na Łobezie, że lada chwila nadejdzie jagiellońska chorągiew.

– O, piękna intencja!... Tak piękna, że gotów jestem podpałać takie stopy codziennie. Zrywaj się zatem ze snu, Łobezie!

Płomień poskoczył w górę. W mieście dostrzeżono widocznie natychmiast błyski, zrodził się bowiem cichy szum, a gdy tylko ogień rozbłysnął mocniej, wzbiał się aż tutaj, na górę, ogromny gwar i potężniejąc z chwili na chwilę, coraz radośniej poruszał serca. Od domów oderwały się cienie, konny oddział

wyskoczył widocznie na-przeciw nadciągającej chorągwi. A zaraz wypłynął drugi, lecz ten zaczął się wspinać po stoku.

– Chyba do nas – Krysta odwróciła powoli głowę. – Gamba, sprawdź, co za jedni.

Wróciła do obozowiska i na wszelki wypadek kazała trzymać się w pogotowiu. Według słów Rycerza z Lasu mogła się czuć tutaj zupełnie bezpieczna. Pamiętała jednak, że na pana na Łobezie następował niedawno książę Bogusław, a z takiej walki, choćby rzeczywiście krył się za nią krzyżacki przymus, zawsze mogło wyniknąć jakieś nieszczęście.

Nadjechał Gamba.

– Pięciu pachołków – zawiadamił. – A na ich czele pan na Łobezie i rycerz w złotym łańcuchu.

– Kto taki?...

– Rycerz w złotym łańcuchu. Tak kazał się nazwać i twierdzi, że znasz go dobrze.

– Rzeczywiście znam... Dobrze, zaprowadź ich do ogniska na stoku. A pachołków tu przyslij.

Chciała iść na spotkanie, ale zatrzymał ją Borek.

– Poczekaj – rzekł gorączkowo. – Zaraz przywdzieję zbroję!

– Po co? Tak też dobrze wyglądasz.

Borek ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

– Mądra jesteś, a przecież jeszcze nie wszystko rozumiesz – westchnął. – Aby nas szanowali, trzeba wystąpić dostojnie. Niech wie jakiś tam panek na Łobezie, że on ma koło siebie tylko pachołków, a w twojej świcie chodzą pasowani rycerze. Znam ja dobrze takich łachudrów: dziś im pomożesz, oni cię jutro po łbie. A ten musi nam bić czołem, jeśli przyprowadziliśmy mu na pomoc jagiellońską chorągiew!

Nie wzięła tych wywodów do serca, lecz nie ustąpił, pociągnął swym przykładem Wantimira, Krużę i innych i dopiero gdy byli gotowi, ruszyli wspólnie. Ujrzawszy pana na Łobezie, przyszło jej na myśl, że chyba jednak postąpił słusznie. Dumny to był pan, wysoko zadzierał głowę, wystąpił również w przepięknej zbroi. Zaniepokoilo ją to trochę, ale na szczęście nie on jej wyszedł naprzeciw.

– Znów się widzimy – rycerz Niekrak objął ją w pól. – Po tylu latach...

Stary jestem, a że Kagen na łożu śmierci polecił cię mojej opiece, pozwól, że cię ucałuję jak własną córkę...

Wzruszył się, a i ona poczuła skurcz w gardle. Jak żywe przemknęły przed nią odległe wypadki, kodrąbski dwór, śliczny czerwcowy wieczór. Ujrzała też pełną radości, młodziutką dziewczynę śmiało idącą w las ze złotym łańcuchem na szyi. Ten łańcuch znowu był przy jej piersiach. I tak samo, jak wówczas, rozrzucał wkoło gorące blaski...

– Dawne to czasy – odezwała się cicho. – Kto by wtedy pomyślał, że znajduję się kiedyś w Łobezie, prowadząc przez Nową Marchię jagiellońską chorągiew... I że właśnie was tutaj spotkam...

– Musieliśmy się kiedyś spotkać. A że stało się to tutaj, nic w tym dziwnego. Przyjaciół potrzebował pomocy. Zebrałem więc kilkunastu ludzi, zabrałem synów i przybyłem z Uznamu. Nie przypuszczałem w najśmielszych marzeniach, że stanę się świadkiem naocznym tak wielkiej uroczystości. Rzekniesz mi tamci już nadciągają?

– Powiadomiłam was przecież ognistym znakiem.

– Prawda... A jednak wciąż nie chce pomieścić się w głowie, że to, co wydawało się niemożliwe, nareszcie się spełnia. Wojska polskie wkraczają znów na Pomorze!... Tobie może trudno zrozumieć moje wzruszenie, jeszcze jesteś na to za młoda. Ale wyobraź sobie, że czekasz na coś wielkiego od lat, że tylko w tym widzisz cel swego życia. I oto nadchodzi dzień...

Słowa zaginęły w serdecznym spazmie.

– Wielka w tym wasza zasługa – dodał po chwili spokojniej. – Tak wielka, że pan na Łobezie postanowił złożyć wam gorące podziękowanie jeszcze przed przybyciem jagiellońskiej chorągwi.

– Właśnie! – rycerz potwierdził z takim naciskiem, jakby poczuł się obrażony, że tak długo nie zwraca się na niego uwagi. – Niezmiernie jestem ciekaw, jak dokonaliście tej sztuki. Udało się przemknąć spokojnie?

Zadziwił się, usłyszawszy o pożarach, zdumiał słysząc o bitwach, aż ręce zacisnął z podniecenia, gdy zdał sobie sprawę z ogromu strat, jakie w ciągu tej jednej nocy ponieśli Krzyżacy.

– Wręcz nie do wiary... – odetchnął nareszcie głęboko. – Ech – machnął naraz ręką – to niemożliwe! Jacyś tam...

Wyskoczył nagle z cienia Borek, zachrząścił zbroją i trzasnąwszy dłonią w głowicę miecza, tak zajrzał mu w oczy, że aż się tamten odsunął.

– Kłam śmiesz zadawać naszemu dowódcy? – ryknął. – Odszczekaj natchmiast!

Ale i tamten się wściekł.

– Mnie będziesz pouczał, hultaju, jak mam się zachować? Chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia! – poskoczył naprzód. – Borek jestem!

– Borek jestem! – wrzasnął równocześnie jego przeciwnik.

Zderzyli się w skoku, rozhuczały się zbroje, opadli. Przez chwilę patrzyli na siebie na pół przytomnie.

– Hm, tyś Borek?...

– I tyś Borek?...

Przestąpili z nogi na nogę, pokręcili głowami. Pan na Łobezie wpatrywał się w coraz większym napięciu w swego krewniaka.

– Nasza krew, zaprzeczyć nie mogę – orzekł. – Smark przecież przy mnie, a ciska się, jakbym był jego pachółkiem. Ród dumny, wiadomo... A skądżeś ty, że cię nie znam dotychczas?

– Z Ziemi Dymińskiej!

– Żyjecie tam jeszcze?... Słyszałem, że mnisi dawno was wysłali na żebry.

– Ale się już odradzamy!

Borek znad Gardna trzasnął ręką w zbroję, jakby ją przywoływał na świadka. Rozwidniało się. I dopiero teraz, w świetle powstającego poranka i przy spokojnym umyśle, Borek Łobeski zdał sobie w pełni sprawę z jej niezwyklej piękności.

– Rzeczywiście widać, że się odradzacie – przyznał, wpatrując się w nią z niekłamanym zachwytem. – Królewska zbroja... Jak do niej doszedłeś?

– Bardzo prostą drogą – Borek machnął niedbale ręką. – Otrzymałem w spadku po kamieńskim biskupie.

– Kpisz ze mnie?

– Jakbym śmiał!

Opowiedział krótko o wielkiej obławie i biskupich przygodach. Pan na Łobezie z rozbawienia zaczął się chwytac za boki.

– Daj gęby! – rzucił mu się na szyję. – Słyszałem o tej historii, ale nie przypuszczałem, że tyle było w niej wesołości. Przyznaję głośno: ciskasz się jak szczyry Borek i opowiadasz jak Borek. Choćbym chciał, nie mogę się ciebie wyprzeć!

Odsunął się, obejrzał go raz jeszcze sumiennie i przeniósł oczy na Krystę.

– Wybaczcie, pani, jeśli powiedziałem coś niepotrzebnie – przemówił w zakłopotaniu. – Że tak pięknie przejechałaś przez Nową Marchię, wolno się dziwić i nawet nie wierzyć, bo to rzecz niezwykajna, widocznie jednak możliwa, jeśli nadchodzi jagiellońska chorągiew. Ale żeby utrzymać w garści jakiegoś Borka i tak go przywiązać do siebie i znaku, jak wy zrobiliście z tym żółtodziobem, to już przekracza ludzkie pojęcie. Dotychczas potrafiła to tylko nieboszczka królowa Jadwiga. Za nią Borkowie też chętnie nadstawiali karaku...

Zamyślił się i wbił oczy w ziemię. Nasunęły mu się widocznie jakieś odległe wspomnienia.

– Tak, dopiero teraz widzę, jaką wy macie siłę... – dodał po chwili. – A takich Borków – zapatrzył się w las, gdzie przebłyskiwały zbroje innych rycerzy znad Gardna – chyba między wami jest więcej. Wydaje mi się – zastanowił się nagle – że jest tam i obcy znak... Czyżby szwedzki?

Spoglądał właśnie na stojącego naprzeciw Krużę.

– Szwedzki – odrzekła Krysta. – Nasz rycerz, ale przyjęty do szwedzkiego rodu Bjornsonów.

– Rozumiem...

Rozjaśniało się coraz bardziej. Jak srebrna wstęga zalśniła w dole Rega, tocząca bystre wody między przystrojonymi lasem wysokimi brzegami, wypłynęły ostatecznie z mroku domy Łobezu, wystrzeliła ostro w niebo wieża kościelna. Krysta rzuciła na nią okiem i zaraz odwróciła głowę. Nadjeżdżało dwóch jeźdźców: Wirko, służący dotychczas jagiellońskiej chorągwi za przewodnika, i Rycerz z Lasu.

– Są tuż – oznajmili. – Wskoczyliśmy naprzód, aby was o tym uprzedzić.

Pan na Łobezie odjechał, natomiast Niekrak pozostał i zapatrzył się razem

z innymi na drawską drogę, ginącą w pobliskim borze. Już dochodził stamtąd zgmatwany szum, już można było wyczuć w nim równy tętent dziesiątków koni. Od miasta oderwał się świetny poczet. A równocześnie, jakby na zawołanie, coś rozbłysło naprzeciw i niespodziewanie zaczęła wysypywać się z lasu wielka zbrojna kolumna.

– Boże litościwy!... – wzruszył się Niekrak. – Czekamy co najmniej dwadzieścia lat. Niejeden z nas padł w boju, starając się otworzyć drogę dla tego wojska. I teraz je zsyłasz nareszcie...

Groty coraz rzęsiściej sypały skrami, lśniły cudnie pancerze w świetle poranka, grały bez przerwy barwami rycerskie znaki. Jak wyzwanie do boju, majestatyczne i pełne mocy orły białe odcinały się ostro na tarczach. Chorągiew z chwili na chwilę nabierała prężności, twardo i nieustępliwie biły kopyta w ziemię. A nad tą wojenną chorągwią złożoną z ludzkich piersi i koni bojowych rozwijała się coraz wspanialej na wietrze chorągiew królewska.

– Wielka chorągiew!... – głos Niekraka zadrzał z nadmiernego przejęcia. – I ona nareszcie jest z nami... Boże miłosierny – szeptał coraz żarliwiej. – Spraw w swej łaskawości, aby pozostała między nami na zawsze!...

Ukląkł, z ust popłynęła gorąca modlitwa. Krysta wpatrzyła się w sędziwą postać Łużyczanina w takim napięciu, jakby ukazał jej swoją duszę. Więc tak on naprawdę wyglądał... Wierny stronnik polskiej korony, postrach podgławskich opatów. Boryka się tam z nimi od lat kilkudziesięciu, na miarę własnych możliwości powstrzymuje ich samowolę i wynaradawiające miejscową ludność zapędy. A tu płacze... Rycerz w złotym łańcuchu, człowiek niezwykle prawy. Serdeczny przy tym przyjaciel rdzennego, pomorskiego rycerza Kage-na...

Odsunęła od niego powoli wzrok, spojrzała na wieżę kościelną. Rozjarzyła się w tej chwili mocniej w promieniach wschodzącego słońca, niespodziewanie uderzył dzwon. Szybko nabierał mocy. Już huczał, już bił tak radośnie, jak chyba tylko w największe święto. Przesunęła wzrok niżej: do Łobezu wkraczała właśnie jagiellońska chorągiew.

V

Dzień pochylał się ku zachodowi. Swantewitowa chorągiew spała ciągle kamiennym snem i po raz pierwszy się zdarzyło, że spali wszyscy. Tutaj, nad Regą, strzegli ich bezpieczeństwa synowie rycerza Niekraka. Oni byli wypoczęci, tamci śmiertelnie znużeni. Otoczyli więc obóz własnymi ludźmi i czuwali bacznie, aby chociaż tą drobną przysługą okazać im swoją życzliwość.

Wkrótce jednak ten i ów zaczął przecierać oczy, a równocześnie, jakby na zawołanie, zaskrzypiały na drodze od miasta ładowne wozy. Przywiozły wodę, przywiozły żywność i paszę. Wantimir, obejrzawszy zapasy, radośnie pokręcił głową. Dużo tego było, nie przerazili go więc nadjeżdżający już goście. Ukazali się przywódcy jagiellońskiej chorągwi, pojawił się znowu pan na Łobezie i rycerz w złotym łańcuchu. Chętnych było zresztą niemało, Krysta jednakże nie chciała tłoku. Zbyteczne oczy nie były potrzebne ani jej, ani jej ludziom, toteż gdy nadeszła wiadomość, że jacyś kupcy dopraszają się widzenia, odmówiła stanowczo.

– Zaraz, zaraz – powstrzymał ją łagodnie Wantimir. – Jacy to kupcy? Może z Krakowa?

– Właśnie z Krakowa – przyświadczył jeden z Niekraków, który pilnował drogi.

– W takim razie moi dobrzy znajomi i przy tym dłużnicy. Wyrwałem ich w nocy z krzyżackich rąk wraz z całym dobytkiem. Obiecali mi beczkę miodu, a że pamiętają o tym i raz jeszcze pragną wyrazić wdzięczność, można tylko pochwalić. Niech zajeżdżają. Krakowscy to zresztą łykowie. To też coś znaczy.

Sam im wyjechał naprzeciw, a gdy ich ujrzał przybranych odświętnie, nie omieszkał pochwalić się w duchu, że znowu postąpił mądrze. Ci ludzie znali się na grzeczności. Nie tylko podziękowali raz jeszcze z serca, nie tylko umiejętnie chwalili dzielność swoich wybawców, ale do słodkich słów dołączyli jeszcze kilka baryłek słodkiego miodu. Odpowiedział więc nie mniej pięknie i zabrawszy do obozu, posadził w kręgu.

– Nie dziwcie się – rzekł do Krysty i zebranych rycerzy – że zaprosiłem ich także do towarzystwa, ale tego są warci. W nocy dali mi w podzięcie niezły gąsiorek. Trochę martwiłem się początkowo, bo wieźć go na koniu niełatwo,

ale okazało się szybko, że do ręki dali mi szczęście. Trzy razy szedłem z nim w bój, trzy razy wygrałem z nim bitwy, dzięki niemu rozciągnąłem w końcu tęgiego, krzyżackiego rycerza. Taki to gąsior!

– Co ty mówisz? – zadziwił się pan na Łobezie. – Nawet gąsior może przynosić szczęście?

– Ba!

Wantimir opowiedział dokładnie, co i jak było. Borek patrzył na niego jak urzeczony i wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Nigdy nie słyszałem nic weselszego! – oznajmił hucznie. – Muszę kiedyś spróbować tego sposobu. Szkoda – westchnął – że straciłeś ten gąsior.

– Szkoda – westchnął także Wantimir. – Tak ciężka to strata, że chyba jej nie zapomnę do końca życia.

Kupiec, który częstował go w nocy, rzucił na nich bacznie okiem, zakręcił się nieznacznie i zniknął, a w tym czasie otworzono znajdującą się pod bokiem baryłkę. Rozpoczęła się uczta. Krysta zachęciła do niej, sama nawet wzniosła pierwszy toast za zdrowie gości, ale zaraz wycofała się z ciżby. O swoich ludzi była spokojna. Nad Gardnem trunki rzadko się pojawiały na stole, każdy więc umiał trzymać się w karbach, a i Wantimir, chociaż miał tęgą głowę i nie wylewał za kołnierz, też wiedział dobrze, kiedy się należy zatrzymać. Na wszelki wypadek przeszła się dookoła, pogawędziła przez chwilę z Borantą i przysiadła wreszcie przy kupcach. Trochę ich tym zaskoczyła, bo już zdążyli zauważyć, z jak wielkim szacunkiem odnoszą się do niej wszyscy, a w miarę rozmowy coraz szerzej otwierali oczy. Ta młoda niewiasta doskonale знаła ich sprawy, znała szlaki kupieckie, umowy, traktaty, nawet o Krakowie czy Poznaniu można było rozprawiać z nią tak swobodnie, jakby tam przebywała latami. A ona, słuchając pilnie, równocześnie i od nich dowiadywała się dużo i w końcu tak im przypadła do serca, że zaczęli opowiadać nawet o własnych rodzinach.

Nadbiegł kupiec, który zniknął na początku biesiady. Stanąwszy przed Wantimirem, podsunął mu pod oczy gąsior kubek w kubek podobny do tego, z którym szedł na krzyżackie oddziały.

– Znalazł się jeszcze jeden! – wykrzyknął. – Także stuletni!

Wantimir tak się wzruszył, że wziął go w ramiona i osobiście nalał gościom do kubków.

– Za zdrowie kupców krakowskich! – przemówił raźnie. – Pijmy na szczęście!

– Czy to coś pomoże? – pan na Łobezie trochę lekceważąco wywinął wargi. – Skromniutki to toast.

– Zawsze tak właśnie zaczynam z nowego naczynia. Częstojuje mnie rycerz, piję najpierw za jego zdrowie. Częstojuje mieszczanin, więc zdrowie mieszczanina, chłop – chłopca. Każdy taki toast przynosi mi szczęście!

– Wręcz nie do wiary – pan na Łobezie patrzył teraz na niego w wielkim skupieniu. – Twierdzisz, że nawet chłop może ci przynieść szczęście?...

– Większe czasem niż inni. Zwłaszcza gdy wznosisz toast stuletnim miodem. Sam się zresztą zaraz o tym przekonasz. Pamiętaj tylko: bardzo szczerze musisz spełnić ten toast!

Borek wstał, wyprostował się uroczyście, z wielką życzliwością spojrzął na kupców i wypił. Przez pewien czas trwał w takiej nieruchomości, jakby się zamienił w kamienną bryłę.

– Wancek, słuszność przy tobie! – rozpromienił się nagle. – Czuję się tak rześki, jakbym się na nowo narodził. Więc twierdzisz, że szczęście przy mnie?

– Przy tobie!

Był odtąd bardzo ożywiony, rozprawał wesoło, w końcu zaczął bratać się z każdym i nie ulegało wątpliwości, że trunek nieźle mu uderzył do głowy. Kiedy jednak doszedł do wniosku, że czas wracać do domu i podszedł do Krysty, aby się z nią pożegnać, spłynęło to z niego jak woda.

– Wybaczcie, pani, jeśli niechący coś powiedziałem lub zrobiłem, co by uwłaczało waszej godności – przemówił cicho. – Człowiek postarzał się, a przecież po raz pierwszy dopiero mogłem się zabawić nie tylko w dobrym towarzystwie, ale i w zupełnym spokoju. Bywało nieraz, że trzeba było chwycić za miecz w połowie toastu. Moje majątności, jak chyba wiecie, leżą zarówno po tej, jak i po tamtej stronie krzyżackiej granicy. Gdy tu spróbuję się o coś upomnieć, biją mnie tam. Gdy tam uderzę, tu palą mi wsie, mordują ludzi, tratują pola. I tak ten przeklęty Zakon już się dobrał do mojej skóry, że wprost trudno oddychać...

Przyglądała mu się w skupieniu. Na pooranej zmarszczkami twarzy osiadała coraz głębsza zaduma, przemieniała się w smutek i gorycz i niespodziewanie

powiała śmiertelnym chłodem, jakby do serca zakradła się nagle trwoga.

– Odtąd będzie lepiej – nikłym uśmiechem starał się odsunąć od siebie jakieś bolesne myśli. – Jest nareszcie jagiellońska chorągiew i ona dopilnuje porządku. Wam to tylko zawdzięczam, wiem dobrze. Lecz wiem również, niestety, że poza dobrym słowem nie mam się czym właściwie odwdziżyć, bo Krzyżacy tak mnie poszarпали, że chyba dziś większy ze mnie nędzarz niż z tego mojego krewniaka z Ziemi Dymińskiej. Mimo to przygotowałem dla was drobny upominek. Wciąż się zastanawiałem, czy nie za skromny, i dlatego nie wręczyłem go wcześniej. Przyjmijcie go jednak. Na pamiątkę od rycerza, który ma hardą duszę i chociaż mu nieraz ciężko, buntuje się ciągle przeciw krzyżackiej przemocy... Z serca go daję.

Założył jej na szyję złoty łańcuch, znacznie wprawdzie krótszy od łańcucha pana na Mielęcinie, ale tak samo piękny.

– Na szczęście! – odzyskał wesołość. – Przyjdzie czas gdy Borkowie znów staną na nogi. Ozłocę cię wtedy całą!

Odjechał, a wraz z nim odjechali dowódcy jagiellońskiej chorągwi. Niekra-kowie zostali. Młodzi strzegli nadal obozu, ojciec wdał się w pogawędkę z Rycerzem z Lasu i krakowskimi kupcami. Krysta, rozejrzawszy się po obozie, przyłączyła się też do rozmowy.

– Uradziliśmy niejedno, gdy byłaś zajęta Borkiem – Niekra-k wziął ją pod ramię i odprowadził. – Ponieważ nie jestem już potrzebny w Łobezie, wracam do domu, a kupcy pojedą ze mną. Przyda się im zbrojna opieka, wy też możecie ją wykorzystać. Co macie ciężkiego, włóżcie na wozy.

– Dobry pomysł.

– Przy wozach zresztą możecie pojechać wszyscy. Nie zdziwi to na pewno nikogo. Strony niebezpieczne dla kupców, a w Wolinie chyba pamiętają, że mój poczet był liczny. Na wszelki wypadek pchnę go teraz przez Szczecin. Wy zajmiecie jego miejsce i przeprowadzicie się ze mną spokojnie przez Dziwnę.

Przez dłuższy czas ważyła coś w myślach.

– Chcecie nam oddać przysługę, zabierzcie rannych – odezwała się wreszcie. – Jest ich z dziesięciu. Im przyda się wygodna podróż, resztę jednak poprowadzę innymi drogami. W Wolinie nie wolno nam pokazywać dwukrot-nie twarzy. Za dużo tam oczu na usługach biskupa.

- Czyżby! naprawdę była potrzebna aż tak wielka ostrożność?
- Nie zaszkodzi. Dzięki niej właśnie nikt z naszych nie ginie.

Zapatrzył się w nią w nagłym skupieniu.

– Nikt nie ginie... – powtórzył powoli. – Dopiero w tej chwili zrozumiałem, dlaczego masz taki mir wśród swych ludzi. Prawda: ten, kto jest pewny, że dowódca wysoko ceni jego życie, skoczy za niego w ogień...

Zadumał się. Na pofałdowanej silnie zmarszczkami twarzy ukazywało się coraz więcej światła.

– Zaczynam wierzyć w twoją szczęśliwą gwiazdę – odezwał się znowu. – Tak, przezorność jest na pewno bardzo potrzebna... Zastanów się więc teraz i nad drugim moim pomysłem. Tu, koło Łobezu, granica jest dość wyraźna i mając pod ręką jagiellońską chorągiew, można jakoś jej dopilnować. Gorzej jest koło Słupska. Krzyżacy wrzynają się głęboko i do tego z dwu stron, państwo biskupie wprowadza zamęt do środka. Nie tylko Krzyżak, ale i zwykły zbójca może się wszędzie poruszać swobodnie. Niestety Barnima brakuje. Wszyscy jego dawni wrogowie coraz bardziej podnoszą głowy i uderzają ze wszystkich stron, aby zniszczyć i wdowę. O jakimkolwiek spokoju...

Opowiedział o nieustannych utarczkach, napadach, niszczeniu ludzi i osad. Znała dobrze te sprawy i słuchała jedynie przez grzeczność, wkrótce jednak zaczęła uważniej nadstawiać ucha. Na pograniczu słupsko-krzyżackim powstaje obecnie całkowite bezludzie; kto może, ucieka dalej. I nic nie zapowiada chwilowo zmiany na lepsze.

– Jak na Żmudzi czy Litwie – kończył. – Przyszło mi więc do głowy, czy nie warto by było uwić sobie drugiego gniazda. Nad Gardnem...

– Gdzie?...

– Nad jeziorem Gardno, na ziemi Słowińców. Otóż tam jest niejedno wolne dworzyszczce, które można dziś otrzymać za bezcen. Miałabyś tam wprawdzie na karku Krzyżaków, mogłabyś poruszać się za to otwarcie. Zbrojna osada, przecież to pogranicze. Właśnie jak na Litwie, i księżna Jadwiga już o tym marzy. Siłę, jak widzę, masz dużą, powiększyć ją chyba łatwo. A sądząc z tego, co zrobiłaś dotychczas, nie wątpię, że szybko stanęłabyś ością w gardle i Zakonowi. To dzisiaj niezmiernie ważne. Jeśli tak dalej pójdzie, Krzyżacy szybko zagarną te bezludne ziemie i uznają za swoje.

Przemawiał z rosnącym zapałem. Słuchała uważnie, lecz w oczach ukazywało się coraz więcej czujności.

– Powiedzcie szczerze – przerwała mu nagle. – Chcecie oderwać mnie od Wolina?

– Chcę – spojrzał jej mocno w oczy. – Na Wolinie niewiele teraz masz do roboty, Słowińcom za to bardzo się przydasz. W czasie pokoju i w czasie wojny. A wojna blisko!

– Wierzycie w nią?...

– Święcie w nią wierzę. Ale nie myśl, że tylko o to mi idzie. Wolin pewnego dnia może się okazać dla ciebie za ciasny i warto mieć na taki wypadek jakieś inne schronienie. To mam przede wszystkim na myśli.

– Z serca mówicie, nie wątpię... Dobrze, zastanowię się nad tym. Rzeczywiście tak łatwo nabyć tam jakieś dworzyszczce?

– Powiedziałem: bezludzie. Nie wiem, jak stoisz obecnie z pieniędzmi, ale i nad tym myślałem. Kagen, jak wiesz, złożył na moje ręce niemały majątek, przeznaczony dla ciebie na wiano. Chcesz go zabrać, oddam go w każdej chwili. Wolałbym go jednak nie uszczuplać i co będzie potrzebne na zakup, wyłożę tymczasem ze swego.

– Bardzo dobrzy jesteście...

– Zgadzasz się zatem?

– Powiedziałam: muszę się zastanowić. Do takiej sprawy potrzeba zresztą niejednej głowy, gdyż i o ludziach, którzy tam pójdą, trzeba pomyśleć. Ktoś nam pomoże na miejscu?

– Sama księżna Jadwiga!

Zagadali się do późnej nocy, bo wkrótce i Rycerz z Lasu przyłączył się do rozmowy, ale gdy tylko Niekrak opuścił obóz, zniknęli zaraz także ludzie znad Gardna i to tak cicho, że nikt się w mieście nie spostrzegł. Na placu pozostali jedynie ranni. Koło południa i oni dosiedli koni i mknąc przez bory, zatrzymali się wreszcie przy drodze prowadzącej do Nowogardu. Wkrótce nadjechały krakowskie wozy. Kto gorzej się czuł, przysiadł na nich lub się położył, kto mógł wytrzymać jazdę – nie schodził z konia. A Boranta, sam też zadraśnięty, wyskoczył natychmiast naprzód, aby rozejrzeć się w okolicy, i odtąd już baczyl na wszystko czujnie.

Podróż upływała spokojnie. Minęli Nowogard, za Golczewem wjechali na dobrze im znane drogi, trzeciego dnia ujrzeni przed sobą Troszyn. Ponieważ

dochodziło właśnie południe, a Niekrak nie chciał popasać w Wolinie aby uniknąć zbytecznych pytań i odpowiedzi, tutaj zarządził postój. Nie śpieszył się zbytnio. Zajazd był skromny, posiłek jednak podano smaczny, zjadł go więc ze smakiem i uciął sobie potem niedługą drzemkę. Gdy ruszyli dalej, był w doskonałym nastroju, toteż dziwił się w duchu, że Boranta wciąż się rozgląda bacznie, jakby lada chwila spodziewał się ujrzeć wroga.

– Co cię gnębi? – zagadnął wreszcie, gdy mu się nawinął pod rękę.

– Czuję coś niedobrego w powietrzu. W Wolinie chyba dadzą nam spokój. Wy chronicie nas swoją osobą, a kupcy z Polski, jak wiadomo, są pod szczególną opieką księcia. Ale że towar wiozą nielichy, wieść o nim na pewno już się rozeszła szeroko i aż dziw bierze, że dotychczas nikt na nas nie napadł. Widocznie wasz łańcuch nas strzeże. Tutaj jednak może się zdarzyć wszystko.

– Widzisz chyba podwójnie – rycerz roześmiał się. – W Troszynie zupełny spokój, w zajeździe prawie nie było nikogo...

– Było aż dwóch. A jeden nawet wyskoczył przed nami naprzód.

– Pilno mu było w drogę.

– Możliwe. Ten kawałek do Dziwny jednak to dla łotrzyków ostatnia możliwość. Jeśli tu nas nie napadną, nie napadną już nigdzie. Oni o tym też wiedzą dobrze.

Boranta znowu wyskoczył naprzód. Jechali Puszczą Goleniowską, która otaczała dokoła Troszyn i ginęła dalej w bagnach Grzybny. Bór był tu lichy, podmokła ziemia niewiele mogła utrzymać. Dopiero gdy minęli dwa rozciągające się naprzeciw siebie jeziora, wspiął się nagle w górę, zgęstniał, wypełnił podszyciem najmniejsze luki, coraz częściej pokrywał mrokiem wąski gościńnic. I Niekrak zaczął się teraz rozglądać uważnie, to bezludzie rzeczywiście nadawało się na zasadzkę. Ale kto by się na to odważył? Nie licząc kupców i ich czeladzi, miał przecież przy sobie z piętnastu chłopów...

Dodał mu otuchy ten obrachunek, bo i ci kupcy też chyba byli dobrze zaprawieni do bitki, zajął więc myśli czym innym, za to Boranta nie stracił nic na czujności. Dojechał do czoła, zawrócił, dotarł do końca długiej kolumny, zawrócił znowu. Przy każdym wozie coś omawiał, dawał krótkie rozkazy. Niekrak wciąż go obserwował spod oka. Bawiła go trochę w duchu ta nadmierna ostrożność, lecz nagle przymrużył oczy. Przed nimi gościńnic rozkładał się szeroko, tworząc na rozjeżdżonych piaskach jakby małą polankę. Wozy

pędziły teraz na nią jak oszalałe, przeraźliwie piszczały koła, świstały bity, wszystko zatoneło w obłokach kurzu. Krótco to trwało. Wozy, konie i ludzie jakby zamarli nagle w bezruchu, ale w tej samej chwili wypadło z lasu kilkudziesięciu pieszych i konnych i z mieczami, włóczniami, drągami, widłami rzuciło się z wraskiem na stojącą w bezruchu kolumnę.

Niekrak z trudem gromadził myśli. Że to był napad, nie mogło być wątpliwości. Że tam przewodził jakiś rycerz w nasuniętej na oczy przyłbicy, widać to było dobrze. Najbardziej go jednak zdumiał panujący dookoła porządek. On się znajdował pośrodku. Po prawej i lewej stronie, z tyłu i z przodu otaczały go gęsto wozy, tworząc trudną do przebycia przeszkodę, a na zewnątrz uwijali się ludzie z grodziszczka. Wytrzymali pierwsze natarcie, wspomogli ich jego ludzie, bronili się świetnie krakowscy kupcy. Rozpłomienił go ten widok i wyrwawszy miecz z pochwy, skoczył przez wozy do przodu, gdy naraz znów go ogarnęło wielkie zdumienie. Obrońcy jakby się rozdwoili, jak gdyby część z nich zniknęła na chwilę w borze, a teraz wypada stamtąd, wali po łbach, druzgocze zastawy, tratuje i pędząc wkoło, wygarnia jak miotłą ludzi i włócznie, drągi i widły. Poszli już także naprzód ci, którzy bronili dotąd taboru. Krzyk coraz przeraźliwszy, z wyciem i jękiem wróg szuka ratunku w borze. Docinają go jeszcze, wciąż gonią, wciąż...

Ucichło wszystko. Niekrak oddycha ciężko.

– W drogę! – donośny rozkaz Boranty puszcza znowu w ruch całą kolumnę.

Wozy wytaczają się jeden za drugim, jeźdźcy zajmują wyznaczone im miejsca, wraca dawny porządek. Niekrak i teraz się znajduje pośrodku, ale może się poruszać swobodnie. Ogląda się: jedzie tuż za nim Borek.

– A ty skąd się tu wzięłeś?...

– Krysta mnie porzuciła – rozlega się wesoły, młodzieńczy śmiech. – A wraz ze mną dziesięciu innych. Męczyło ją jakieś niedobre przecucie i jak zwykle, przeczuła dobrze. Wlecemy się za wami nieznacznie od wczoraj. A teraz okazaliśmy się nareszcie potrzebni.

– Prawda... A ci napastnicy? Nie wiesz, co za jedni?

– Rycerz Steinwehr z pobliskiego grodziszczka ze swymi ludźmi. W wolnych chwilach zajmuję się z bratem zbójnictwem. Kiedyś wojowali z

Wolinem i doszło w końcu do tego, że książę Bogusław skazał ich na zapłaceniu miastu niemałej grzywny. Nie zapłacili jej do tej pory. A że Wolinianie wywączali jakoś, że część nas znajduje się przy wozach, postanowili upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i podszepli im to i owo do ucha. Co jest na wozach, miało przypaść napastnikom, my natomiast mieliśmy być wydani w ręce miejskich pachołków. A rajcowie zapomną wtedy o długu.

– Skąd o tym wiesz?

– Od samego Steinwehra. Przed śmiercią wygadał wszystko.

– Nie żyje?...

– Zawisł na gałęzi, jak nakazuje w takich wypadkach prawo. Napadł przecież na kupców w biały dzień, a za taką zbrodnię jedna jest tylko kara. Sumiennie spełniliśmy swój obowiązek i warto by rozgłosić w Wolinie.

– Słusznie, zawiadomię wolińskich rajców. Ależ działacie szybko!... A co z chłopstwem? Wybiliście do nogi?

– Kto by się paprał taką robotą! – Borek machnął ręką lekceważąco. – Tłukliśmy tylko po grzbietach i nawet nie za mocno, bo ostatecznie nie oni winni. Wybrał ich ze swego dworzyszczu i złakomił nagrodą. Toteż jedynie w nagrodę przetrzepaliśmy ich trochę.

Roześmiał się, uśmiechnął się także Niekrak.

– A teraz co zrobisz? Zabierzesz się z nami?

– Walę prosto przez Dziwnę! – Borek wyprężył się hardo. – Niech wiedzą łykowie, że z nami zadzierać nie warto, a że akurat czekają z pachołkami przy bramie, większa siła nam nie zaszkodzi.

– Prawda. Nie zaszkodzi...

BAŁTYCKI WIATR

I

Słońce przetaczało się leniwie po czystym zupełnie niebie, a chociaż pora była popołudniowa, wciąż grzało mocno, toteż Wantimir nie kwapił się do powrotu i obchodził troskliwie kodrąbskie pola. Na szczęście nic nie zmarniało w czasie jego nieobecności. Żyta nawet jakby podrosły, poruszyła się pszenica, pięło się w górę proso, zielenił się pięknie owies. Doszedł do wniosku, że urodzaj będzie w tym roku obfity, uspokojony więc ostatecznie, zsiadł z konia i na skraju lasu rozciągnął się wygodnie na soczystej, majowej trawie. Przytknął oczy, ale nie zasnął. Miał dziś do przemyślenia niemało spraw.

– Dopadłem cię wreszcie, hultaju! – rozległ się nad nim niespodziewanie jakiś tubalny głos.

Zdał sobie sprawę, że to ktoś obcy, nie otwierał jednakże oczu. Sprawiał tym niewątpliwe wrażenie. Tamten nie odezwał się więcej, nie dotknął. Dobry to był znak, świadczył bowiem wymownie, że przybysz tylko z pozoru jest groźny. Wantimir więc uchylił powoli powieki. Przed nim stał pan na Kołczewie.

– Przeszkodziłeś mi w myślach – zgañił go ostro. – Na drugi raz, gdyby znów przysłała ci chętką popatrzeć na mnie, mów ciszej. Czyżbyś mnie jeszcze nie znał?

– Nie znam.

Wantimir przedstawił mu się z należytą powagą.

– A teraz siadaj – zaprosił. – I mów szczerze, o co ci idzie.

– O ten owies... – bąknął pan na Kołczewie.

Wielki spokój człowieka, na którego napadł tak obcesowo, wytrącił go z równowagi. Patrzył przed siebie w zakłopotaniu.

- Mów jaśniej: o jaki owies?
- O ten, który ten łotrzyk z Łęgów otrzymuje skądś na przednówku. Obliczyłem sumiennie: nie może tyle zebrać na swoim polu. Skąd więc go ma? Ja karmię konie sianem, a on owsem! Jaka to sprawiedliwość? Jeśli bierze z Kodrąbia, dlaczego ja nic nie dostaję?
- Bo on nie bierze z Kodrąbia. Dopóki żyje młody Kagen, z tego dworzyszca nikomu się nic nie należy.
- Pan na Kołczewie spłoszył się ostatecznie.
- Ha, trudno – westchnął. – Widocznie się omyliłem. Ale ten łotrzyk nie schodzi mi z głowy... Nie mogę uwierzyć, że to wszystko wyciąga z własnego pola!
- Pan Bóg, widzisz, wspiera pracowitych, a zaręczam ci, że łęgowski rycerz pracuje na ten owies rzetelnie. Pogadamy o tym kiedyś obszerniej. A tymczasem cieszę się, że przyszedłeś, bo miałem się wybrać do ciebie. Czy wiesz, że Kagen bije Krzyżaków na Litwie?
- Nic o tym nie słyszałem...
- Wiedz zatem – Wantimir wpatrywał się w niego z coraz większą uwagą.
- Dopiero co wróciłem z dalekiej podróży i przywiozłem niemało wieści. A dla ciebie coś więcej: podarek od przyjaciela!
- Odpiął od pasa kordzik pięknej roboty i wręczył mu z wielką godnością. Rycerz kolczewski oniemiał z zachwytu.
- Olśniewające!... – zaczął szeptać wzruszony. – Są nawet nasadzone brylanty! Majątek chyba kosztował... I mówisz: od przyjaciela?
- Wantimir objął go pełnym zadumy spojrzeniem.
- Właśnie od młodego Kageny – odrzekł powoli. – Z jego ojcem żyłeś podobno zawsze w wielkiej przyjaźni?
- Święta prawda! Ale że młody przypomniał sobie o mnie... Więc jednak żyje?
- Żyje i bije. Krzyżaków bije, pamiętaj! Ja wkrótce odjadę znowu i tu mnie zastąpi kto inny. Chciałem cię więc prosić przy sposobności, abys jako stary i wierny przyjaciel rodu Kagenów pomógł mi w razie potrzeby.
- Jak mi Bóg miły: pomogę!
- Bardzo serdeczna stała się odtąd ta tak dziwnie rozpoczęta rozmowa. Gdy pan na Kołczewie odjechał, Wantimir znów się wyciągnął na trawie i

otworzył oczy dopiero wówczas, gdy pojawił się rycerz łęgowski. Tego nie potrzebował strofować. Powitali się gorąco, przez dłuższy czas wypytywali wzajem o zdrowie, sięgnęli niespodziewanie do wspomnień. Naraz Wantimir skupił się w sobie i wprowadził tym w nagły niepokój swego rozmówcę.

– Że umiem dotrzymywać słowa – odezwał się uroczyście – wiesz dobrze. Obiecałem ci owies i masz odtąd owies.

– Święta prawda!

– Obiecałem ci jednak więcej: uczciwą zbroję. Biję się w pierś: tej obietnicy nie wykonałem dotychczas!

– Nie mogłeś – pan na Łęgach zaczął go usprawiedliwiać łagodnie. – Sam przecież oglądałem dworzyszczka: co cenniejsze, opat uprzątnął wcześniej.

– Też prawda. Ale obietnicy trzeba dotrzymać, toteż paliła mnie ciągle jak ogniem.

– Niepotrzebnie. Z pustego nie należesz. Rozumiem dobrze.

Pan na Łęgach spoglądał na niego coraz czulej, jakby go błagał o usunięcie z serca wszelkich niepotrzebnych skrupułów. Wantimir za to stawał się coraz twardszy.

– Nie znasz mnie jeszcze – wyprostował się hardo. – Ja nie ustępuję przed przeszkodami. Jeśli kubek pusty, trzeba napęlnić. I napęlniłem! Przywiozłem ci tak piękną zbroję, jakiej nikt chyba nie ma na całym Wolinie. A przy tym krzyżacką!

Pan na Łęgach aż się przeżegnał z przejęcia.

– Krzyżacką, powiadasz?... – wyjąkał. – Czyżbyś zdobył ją własnoręcznie?

– A jakże inaczej? Właśnie w gorącym boju przypomniałem sobie o krzywdzie, jaką Zakon wyrządził ci na Gotlandii, i postanowiłem ją jakoś wyrównać. Kłopotu miałem co prawda niemało, bo trupa leżało mnóstwo i wybór ogromny, czasu za to niewiele. A przy tym trzeba było pomyśleć także o twoim wzroście. W końcu jednak udało się znaleźć piękną. Zobaczysz ją wkrótce.

– Dlatego stąd wyjechałeś!... Aby wziąć udział w bitwie?

– O tym ani słowa nikomu – Wantimir przyłożył palec do ust. – Znasz dobrze Krzyżaków i wiesz, jacy są mściwi, a nałuskałem ich dużo. Wielka to była bitwa. Szkoda, że ciebie nie było ze mną. Pozostawiło się tam mnóstwo bogactwa.

Pan na Łęgach załamał ręce w czarnej rozpacz.

– Co z was za rycerze? – wybuchnął nagle. – Łup zostawiacie na placu? Po co w takim razie wdajecie się w bitwę?

– Trzeba było...

– Ścigali was?

– I!... My ich rąbaliśmy, aż iskry leciały.

– W takim razie nic nie rozumiem. Widocznie miałeś przy sobie, samych pachółków, prawi bowiem rycerze nie wdawaliby się w takie bezużyteczne zabawy. Ciebie rąbią, ty płacisz, ty zarąbiesz – tobie muszą zapłacić. Takie jest przecież rycerskie prawo.

Pana na Łęgach zaczynała ponosić wściekłość.

– No, może uniosłem się niepotrzebnie – załagodził sprawę widząc, że jego rozmówca zwiesił żałośnie głowę. – Dlaczego nie zabrałeś mnie z sobą? – dodał z wyrzutem. – Miecza ani kopii nie lękam się, bo potrafię też dobrze nimi obracać, ale w tym wypadku szedłbym tylko za wami i zbierał. Nie wolno tak marnować dobytku!

Wantimir stuknął się w czoło.

– Ty masz pomysły, sąsiedzie! – wykrzyknął. – Właśnie potrzeba nam było takich mądrych zbieraczy. No, nic straconego – ściszył głos. – Wyjeżdżam obecnie w takie okolice, że łup będzie można zbierać za mną codziennie. I to wozami!

– Jadę z tobą!

– Chwilowo nie można – Wantimir jakoś bardzo markotnie pokręcił głowę. – Muszę się tam najpierw urządzić, aby mieć czym przyjąć gości. Przyrzekam ci jednak, że przynajmniej raz do roku pobędziesz u mnie przez kilka tygodni i wtedy znów zaczniemy podskubywać jakiegoś opata. Tfu! – splunął za siebie. – Nie opata, a krzyżackiego komtura chciałem powiedzieć, bo tamten opat zacości człowiek. Nie owiesz będziesz wtedy zwoził na Wolin. A dopóki cię nie zaproszę, rzuć tu od czasu do czasu gospodarskim okiem na Kagenowe dziedzictwo. Abym ja tam miał wolną głowę.

– Dopilnuję jak swego. Tak mi dopomóż Bóg!

Wantimir objął go przeciągłym spojrzeniem.

– A w razie jakichś kłopotów – dodał z namysłem – pogadaj z Kotczewem... Rozumiesz: w jedności siła.

– Nie będę gadał z takim hultajem! – pan na Łęgach spąsowiał. – Podpatruje mnie ciągle. Chce koniecznie wywachać, skąd mam tyle owsa, a może i sprzedać Schippenbeilowi!

– O to go nie posądzaj, swój przecież człowiek. A i podpatrywał cię odtąd nie będzie.

– Jesteś pewien?...

– Zupełnie. Pogadałem z nim dzisiaj od serca, a że to naprawdę przyjaciel Kagenów jak ty, więc warto z nim trzymać. Co dwie głowy, nie jedna, a dwa miecze też zawsze więcej niż jeden. Zwłaszcza gdybyście spotkali się ze mną w jakiejś wyprawie na krzyżackiego komtura.

Wantimir mrugnął tajemniczo i pan na Łęgach w jednej chwili zrozumiał wszystko. Rozmowa toczyła się odtąd bardzo pogodnie, nie trwała jednak już długo. Od Unina nadjeżdżał jakiś wielki poczet zbrojny i wpadłszy w opłotki Kodrąbia, przesuwał się szybko przytorską drogą, a za nim toczyły się wozy.

– Jedzie zbroja dla ciebie – Wantimir uśmiechnął się mile i wstał. – Nie byle kto ją wiezie: krakowscy kupcy! Tutaj, na widoku, nie mogą jej odebrać, więc rusz za nimi, a ty odmów ze cztery pacierze i rusz się także. Spotkamy się w borze.

Wantimir jechał powoli. Według otrzymanego zlecenia miał czuwać nieznacznie z tyłu nad bezpieczeństwem kolumny, toteż dopiero gdy zapadł w las, a skrzyp kół urwał się nagle, popędził swego wierzchowca. Tam już zdecydowano pośpiesznie wszystko, co należało do ludzi z grodziszczu, czas naglił. Ktoś mógł nadszednąć z nienacka, ktoś mógł wyrzeć przypadkiem z gąszczu. Świadkowie nie byli nikomu potrzebni, toteż uwijano się szybko i wkrótce konie znowu ruszyły naprzód. W kolumnie na pozór nie zmieniło się nic. Wozy płynęły jeden za drugim w ustalonym dawno porządku, Niekrak znajdował się pośrodku, wokół kręcili się czujnie jeźdźcy. Ich twarze były jednak odmienne. Miejsce Boranty i Borka zajął obecnie Kruża ze swą drużyną i on teraz prowadził pochód.

Krysta, czuwająca nad wszystkim i zajęta dotychczas rozmową z panem na Mielęcinie, podjechała do kupców.

– Będziecie mieli odtąd zupełny spokój – rzekła. – Nasi odprowadzą was do Przytoru i dopilnują przeprawy, za Świną już czekają ludzie rycerza Niekraka. Życzę zatem szczęśliwej drogi.

– Serdeczne dzięki. Tyle oddaliście nam usług, że nie wiemy, jak wam wyrazić wdzięczność. Zapłacić przecież nie można. Będziemy błogosławili was za to do śmierci!

Gorące tam padły słowa, niewątpliwie płynące z serca. Krysta, zamiast skrócić w las, jechała dalej i wsłuchując się w nie, równocześnie obserwowała nieznacznie twarze. Musiały jej one nasunąć jakieś niezwykle myśli. Coś rozważała starannie, czuło się w niej coraz większe skupienie. Chyba chciała im coś jeszcze przekazać i zastanawiała się tylko, jak należy postawić sprawę.

– Nie mówiliśmy dotychczas o orężu i zbrojach – jeden z kupców przewał krótkie milczenie. – Jak się mamy rozliczyć?

Nie wszystko wyjęto z wozów. Pozostała niejedna cenna rzecz, znaleziona na polach bitew, która wzbudziła ich zachwyt i którą zakupiliby chętnie, gdyby nie to, że całą gotówkę mieli umieszczoną w towarze.

– Gdzie zamierzacie je sprzedać?

– Najchętniej zrobilibyśmy to w Polsce. Otrzymalibyśmy tam co najmniej podwójną cenę. Rozumiemy jednak, że trzeba się z wami rozliczyć wcześniej, sprzedamy więc w Strzałowie lub Wołogoszczy.

Objęła ich znowu zamyślnym spojrzeniem.

– Zróbmy tak – przemówiła powoli. – Chcicie wieść do Polski, wieźcie. Między nami nie będzie targów. Sami ustalicie cenę i co na nas przypadnie, zatrzymacie u siebie w Krakowie. Ktoś kiedyś zgłosi się tam po należność. Wielu z nas znać. A gdyby przybył ktoś inny, przedstawi wam moje pismo.

Spoglądali na nią w zdumieniu.

– Chcicie nam oddać na słowo?... Bez żadnej poręki?

– Budzicie ufność, wystarczy. Na nas nie możecie narzekać. Z pewnością więc i wy postąpicie z nami uczciwie.

– Umiecie chwytać za serce... Z dala od swoich człowiek odczuwa to mocno. Bądź, pani, najlepszej myśli. Zanim ktoś do nas się zgłosi, postaramy się podwoić złożony w nasze ręce majątek!

– Szczęść wam Boże. Którędy będziecie wracali?

– Krzyżaków musimy unikać jak zarazy. Tędy więc byłaby droga najkrótsza, bo dalej trzeba jechać przez Słupsk i Szczecinek. Ale czy wtedy też tak tutaj będzie bezpiecznie?

– Bądźcie spokojni. Nikt was nie dotknie palcem.

– Krzepisz nam serca, pani... Wyznam szczerze: ten nowy towar będzie jeszcze cenniejszy. Same tkaniny z Flandrii. Droga na Szczecin jest znacznie dłuższa, a przy tym nie brak tam raubritterów, wypadających stale od

Brandenburgii. Ale i Wolin, jak nas przestrzegano, jest niebezpieczny, toteż główimy się ciągle, czy zabrać dużo towaru, czy mało. Gdyby bowiem przydarzyło się...

– Zabierzcie jak najwięcej, nic się nie stanie. Polscy kupcy mogą się czuć na Wolinie jak w domu. Mówcie o tym głośno, za to o nas nigdzie ani jednego słowa. Nawet w Krakowie. Tak wam przykazywałam pod Łobezem i raz jeszcze powtarzam.

– Rozumiemy cię dobrze, pani. Możesz nam ufać, tym bardziej że idzie także o tę jagiellońską chorągiew... A gdy będziemy wracali, jak należy cię powiadomić o naszym przejeździe?

– Sama się dowiem. Nie tylko o waszym, ale o przejeździe każdego polskiego kupca, gdy tylko wkroczy na pomorską ziemię. Tego też nie potrzebujecie ukrywać.

Gościniec ciągle był pusty. Odprowadziła ich aż pod Półwysep Przytorski. Rozmowa chyba była i miła, i bardzo owocna, rozmyślała bowiem o niej do późnej nocy, a i nazajutrz wracała do niej niejednokrotnie, gawędząc ze Steffenem, Bjornsonem czy Krużą. Po południu jednak coraz więcej czasu musiała poświęcać Wantimirowi. Był tak zapracowany, że tego dnia nie odwiedził nawet Kodrąbia. Ostrzył za to broń, czyścił zbroję, przebierał się często, przeglądał w zwierciadle, a przede wszystkim, wzięwszy do pomocy najbardziej oblatanych po świecie mieszkańców grodziszczca, kształcił sumiennie swoich dawnych pachołków.

– Wantimirze, synu Dobka – padały nieustannie mocne wezwania. – Głowa mocniej do tyłu, pierś naprzód!

– Wantimirze, synu Mirka: ręka swobodnie na mieczu, spoglądaj hardziej. Nie jesteś już sługą opata!

Czterech było tych braci stryjecznych, lecz każdy zwał się Wantimirem i każdy cenił wysoko to imię, było ono bowiem równocześnie zawołaniem bojowym i chlubą rodu. Pot łał się z czoła strumieniem, trzeszczały kości. Żaden jednak nie szemrał wiedząc, że przecież ten wielki trud wyjdzie mu w końcu na chwałę.

A i Wantimir chyba się trochę zmęczył. Rzucił wreszcie dokoła niepewnie okiem, zobaczył Krystę.

– Zawsze wiesz, kiedy mi się pokazać! – rzekł ucieszony. – Uczę właśnie

hultajów, jak się należy skłonić przed księżną, gdyby w swej łaskawości zechciała ich dopuścić przed swoje oblicze. Niestety żadnej księżny nie widzieli dotychczas, więc idzie ciężko. Do roboty, próżniaki! – warknął. – O księżnie Jadwidze gadają, że jako Litwinka zwraca uwagę jedynie na męstwo, ale temu nie wiercie. Niewiasta z niej przecież; musi być także łasa na wdzięczność ruchów i gładkie słowa. Przedtem biliście pokłony przed nami. Nie wychodziło, i nawet się temu nie dziwię. Najokazalszy mąż nie zastąpi powabnej niewiasty. Teraz jednak macie przed sobą prawdziwą księżnę!

Odsunął ich nieco, popędził naprzód. Ruszyli równo, skłonili się pięknie, padli do nóg. Poszło tak wspaniale, że aż się zadziwił. Nie brakowało niczego: ani zřęczności, ani pokory, ani uwielbienia i już chciał się uśmiechnąć zadowolony, gdy naraz przyszło mu na myśl, że coś jeszcze nie jest w porządku.

– Więcej godności! – przypomniał ostro. – Stoicie przed królową, a nie przed podgławskim opatem, a ona godność ceni najwyżej. Powtórzyc!

Popracował nad nimi przez pewien czas i wreszcie rozjaśnił oblicze.

– Możecie odsapnąć – machnął łaskawie ręką. – Będą z nich ludzie, zaręczam – uśmiechnął się wesoło do Krysty. – Dla mnie to nie nowina, bo zdo-
bywało się pas rycerski na książęcym dworze, im jednak brakuje trochę śmia-
łości. Zahukali ich mnisi. Nie szkodzi, odrobi się braki. Pochodzą z nie byle
jakiego rodu i dumę wykrzesać z nich łatwo, toteż nad tym słowińskim Gard-
nem nie przyniosą ci wstydu.

Wziął ją pod ramię i odprowadził.

– Daliście mi tyle grosiwa – mruknął zafrasowany – że w głowie się mą-
ci... Nie jestem przyzwyczajony do tak dużych wydatków i lubię oszczędzać,
nic więc nie zmarnuję na pewno. A nawet co innego mi świta w głowie. Wzię-
łabyś mi za złe, gdybym ze dwa dworzyszczka zakupił?

– Za te pieniądze?...

– Za te same. Rozumiesz: ja nie lubię szastać pieniędzmi. A przy tym
umiem się dobrze targować, bo tego, przyznaję uczciwie, opat potrafił na-
uczyć.

– Pozostawiam ci wolną rękę. Co zrobisz, zrobisz na pewno mądrze.

Wantimir rozpromienił się jak to majowe słońce uśmiechające się do grodziszczu i od tej chwili przestał się zajmować oglądą swych wychowanków. Całą uwagę skupił teraz na szatach i broni. Przebierał się ciągle, sięgał do schowków, coś tam odrzucał, przydawał nowe i w końcu tak wystroił siebie, swoich stryjecznych i kilkunastoosobową drużynę, którą zabierał, że gdy na próbę dosiedli koni, sprawiali wrażenie jakiegoś możnego pocztu, któremu na pewno warto się przypodobać, ale lepiej nie wchodzić w drogę.

– Żyje znów Uznam – odetchnął uszczęśliwiony. – Niech ktoś ośmieli się powiedzieć, że nie stać mnie na kupno dworzyszczu!

– Nikt się nie ośmieli – uśmiechnął się Bjornson. – Aby tylko jakiś raubritter nie zechciał cię wziąć do niewoli, bo kąsek miałby smakowity. I nawet naszych pieniędzy może by nie starczyło wtedy na okup.

– Nie weźmie – Wantimir machnął ręką lekceważąco. – Człowiek tak się wyrobił w klasztornych dobrach, że na miłą wyczuje wroga, a z byle łachem nie będąc szedł przecież na kopie. Co dostałem, utrzymam w garści!

Po zapadnięciu zmroku przerzucił na wybrzeże swe rzeczy, sprowadził konie, w pobliżu rozmieścił ludzi. Sum odwiedzał grodziszczu w ustalonych z góry terminach i taki termin wypadał właśnie dzisiejszej nocy. Miał się z nim zabrać i wsiąść dopiero w Ustce. Wygodne to było, bo nie trzeba się było wlec łądem i narażać na najrozmaitsze kłopoty, toteż rad był szczerze z tego pomysłu i gdy ujrzał wreszcie przed sobą statek, tak radośnie zatarł ręce, że aż jego stryjeczni wydali się trochę zdziwieni. Za to stary wilk morski, znalazłszy się na brzegu, mniej był zachwycony tym nieoczekiwanym ładunkiem.

– Oszalałeś? – warknął. – Statek pełny. Ludzi można by jakoś upchnąć, ale konie! A zresztą jak je załadujemy? Na rękach je wniesiesz?

– Wniosę! – potwierdził Wantimir twardo. – I spróbuj mnie zepchnąć!

Sum przeszył go świdrującym spojrzeniem, wyrażając wraz z gniewem całą swą pogardę dla tego szczura lądowego, nie mającego o sprawach morskich żadnego pojęcia. A że akurat wyłonił się przed nim Steffen, doszedł do

wniosku, że jemu należy się więcej i w ostrych słowach zaczął mu czynić wyrzuty.

– Przestań – Steffen poklepał go dobrodusznie. – Sprawa jest przemyślana w każdym szczególe. Przygotowaliśmy co trzeba i nie będzie żadnych kłopotów.

Dał znak. Wypląnęły na morze łodzie z gradziszcza, pociągnęły za sobą jakby wąską rybacką sieć, podały jeden jej koniec na statek, podstawiły tu i owdzie od spodu kozły, naprężyły mocno, i niespodziewanie Wantimir przejechał po tym ruchomym pokładzie tak pewnie, jak gdyby się poruszał po równej drodze. Sum coraz szerzej otwierał oczy. Za pierwszym Wantimirem pojechał drugi, za nim trzeci, poszła cała drużyna. A w chwilę później łodzie znowu zwinęły sieć i ukryły ją w lesie.

– Co, niezły pomysł? – śmiał się Steffen. – Zamiast sznura deski, a wszystko się zwija w kłębek. A przy tym ma tę zaletę, że można dowolnie przedłużyć, o ile tylko nie ma zbyt wielkiej głębi. Nie widziałeś jeszcze tej sztuczki?

Sum dochodził powoli do siebie.

– Przyznaję ze wstydem, że nie widziałem – odrzekł. – Ale że ty masz głowę do takich sztuczek, wiem dobrze. Mądra robota. Nie będzie odtąd potrzeby przeprowadzać ludzi przez Dziwnę...

Patrzył na niebo.

– Wiatr nadciąga z zachodu – orzekł. – Trzeba z niego skorzystać i jak najszybciej przemknąć koło biskupich oczu, aby te konie na pokładzie nie sprawiły nam jakichś kłopotów. Na przyszłość musimy to urządzić inaczej.

– Pomyśl nad tym.

– Pomyślę.

Sum wszedł do łodzi, zadźwięczały kotwice. Krysta patrzyła: uśmiechał się do niej beztrudnie Wantimir, machali rękami jego stryjeczni, żegnała ją serdecznie cała odpływająca drużyna. Statek, wydostawszy się z ciszy, już zaczynał nabierać prędkości, coraz wdzięczniej rozkładał żagle, coraz śmielej roztrącał fale, pozostawiał za sobą coraz to dłuższą, mieniącą się srebrem wstęgę. Niby trzymał się ładu, a jednak odsuwał się od niego bez przerwy. Nieznacznie to robił, jakoś bardzo swobodnie i lekko jak śmigła mewa pędząca nisko nad wodą, dla której nie mają znaczenia ludzkie prawa i więzy...

– Nie patrz za długo – Steffen pociągnął Krystę za sobą. – Odpływający statek budzi zawsze w sercu jakąś dziwną tęsknotę. Człowiekowi potrzebny jest szeroki oddech, jak rybie woda, chciałoby się także polecieć w świat. To też dobrze się stało, że Wantimir odpłynął. Łatwiej nam będzie odtąd o taki oddech.

– Sądzicie, że da sobie radę?...

– A ty?

– Ja w niego wierzę.

Steffen roześmiał się cicho.

– W takim razie ja też – odrzekł. – Kto jak kto, ale uznamscy Wantimirowie, kształceni sumiennie w twardej szkole podgławskich opatów, na pewno dadzą radę Krzyżakom.

II

Słupia toczyła leniwie wody w stronę Bałtyku. Rycerz z Lasu, przechadzając się po nabrzeżu, spoglądał w zamyśleniu na ciemny nurt, na statki rozsiane gęsto i kręcących się ludzi, a równocześnie nadstawiał ciekawie ucha na prowadzone w najrozmaitszych językach rozmowy. Niewielki był ten port w Uście, jednak bardzo ruchliwy. Stąd właśnie prowadziła najkrótsza droga do Polski. Gdy tylko Zakon zaczął stwarzać na Wiśle jakieś trudności, ożywiała się natychmiast i w obu kierunkach płynęły wielkie masy towarów, chociaż i w spokojniejszych czasach miejscowi kupcy nie mogli narzekać. Zawsze chętnie korzystała z niej Wielkopolska. Prowadziła przecież przez Wałcz wprost na Pomorze i mimo że Krzyżacy starali się ją w różny sposób obrzydzać, na ogół była bezpieczna. Książę Barnim dbał o nią troskliwie, nadciągającym wozom wysyłał naprzeciw zbrojne drużyny. Po jego śmierci przejęła ten obowiązek księżna Jadwiga i tak samo bacznie pilnowała porządku.

Kościelny dzwon obwieścił południe. Rycerz spojrzął w dół Słupi, gdzie rzeka łączyła się z morzem, i zmarszczył brwi: jakby na zawołanie, ukazały się żagle. Zaskoczyła go ta dokładność. Właśnie o tej porze tu się umówił, lecz statek nadpływał z daleka i spóźnienie nie byłoby czymś nadzwyczajnym. Wpatrywał się w niego uważnie, ciągle nie wierząc oczom. Piękny to był

statek, niezwykle zwinny, z ogromną zręcznością wyłapywał najmniejsze podmuchy wiatru. Wleciał na rzekę jak na skrzydłach i prując gwałtownie nurt, szybko przybliżał się do nabrzeża.

Rycerz uśmiechnął się do swych myśli. Nie mógł już dalej wątpić. Coraz lepiej widział konie na pokładzie, znajome twarze. Pojawił się także Wantimir.

– Bywaj, bracie! – powitał radośnie, zeskakując pierwszy na ziemię. – Jak widzisz, my jesteśmy na czas, ale muszę przyznać uczciwie, że ty też potrafisz być niezawodny. Wozy w pogotowiu?

– Pojawią się, zanim zdążycie wysadzić konie. Nie mieliście żadnych przygód po drodze?

– Nie. A tu jak nas przyjmą?

– Jak najserdeczniej.

Zaczęła się zbiegać gawiedź, bo chociaż widywano tutaj możnych rycerzy z całego świata, ten poczet bił wszystkich swoją świetnością. A Wantimir, jakby na pokaz, przejechał w wielkiej powadze przez miasto, pomarudził nawet trochę na rynku, kiedy jednak uliczki zostały za nim, przyspieszył pochód. Pochłonął go całkowicie rozciągający się przed nim krajobraz. Był prawie płaski, poprzecinany z rzadka pasmami lasów, bliskością Bałtyku i słonawym powietrzem przypominał mu nieco Uznam, tylko że tutaj nigdzie nie widział zatok i jezior. Zmartwił się tym najwyraźniej, a już ogarnęła go prawdziwa rozpacz, kiedy spojrzął na pola. Wiele z nich leżało odłogiem, żyta i owsy tak nędzne, że gdyby należały do niego, najchętniej by je zorał. Splunął raz i drugi, zamruczał i wreszcie postanowił wypowiedzieć głośno swój sąd o gospodarzach tej ziemi, lecz właśnie wjechali w bramę i przed jego oczyma ukazało się opustoszałe dworzyszczce.

– Wytowno – oznajmił Rycerz z Lasu, zsiadając z konia. – Chociaż ruderą, postanowiłem was tutaj chwilowo umieścić, bo będziecie sami i łatwo dopilnować dobytku. Może ci się zresztą spodoba. Do wzięcia.

– Jezior nigdzie nie widzę – Wantimir westchnął markotnie.

– Blisko za to i do Słupska, i do Bałtyku.

– Prawda... A gdzie gospodarz?

– Uciekł do innego dworzyszczca. Ta ziemia, jego zdaniem, nie nadaje się do niczego, więc nie chce płacić daniny. Jutro go zobaczysz na zjeździe

u księżnej pani. Będzie tam także wójt lęborski.

– Wielka uroczystość – Wantimir popatrzył na niego spod oka. – Czyżby na moją intencję?

– A żebyś wiedział! Tyle o tobie naopowiadałem, że księżna postanowiła ściągnąć na jutro również wójta, abyś na niego popatrzył. Zabrał nam ostatnio kawał ziemi i twierdzi, że jego.

– Zaczyna mi się podobać ten hultaj. Dobrze, popatrzę. A to Wytowno... Dużo by kosztowało?

– Dasz jakąś ładną kolczugę i chyba starczy. Ziemia, jak ci mówiłem, podobno nic nie jest warta.

– Głupi ten, kto tak twierdzi – Wantimir obruszył się. – Ziemia zawsze jest warta tyle, ile gospodarz, a że ten tak ją zlekceważył, więc chyba i tasaka niegodzien. No, zobaczymy. Muszę dobrze się zastanowić...

Sumiennie widocznie przemyślał sprawę, nazajutrz bowiem dobił targu od ręki, a gdy stanął przed księżną, był już nie tylko zamożnym uznamskim rycerzem, ale i właścicielem pobliskiego dworzyszczca, o czym nie omieszkał obwieścić publicznie zaraz po powitaniu.

– Słyszałam – zdziwiła się księżna – że zamierzaliście się osiedlić gdzieś bliżej granicy.

– I nadal o tym myślę. Wytowno wzięłem jedynie dlatego, aby być blisko Słupska i w razie potrzeby służyć zbrojnym ramieniem mojej władczyni. Po to przecież przybyłem na tę słowińską ziemię!

Rycerz z Lasu spoglądał na niego z coraz większym zdziwieniem. Nie ulegało wątpliwości: zręczny był ten Wantimir. Zawsze wiedział, co powiedzieć, a przy tym wygłaszał słowa z taką powagą, że nikt nie mógł posądzić go o pochlebstwo. Świetni zebrali się tu rycerze, niejeden bywał na dworach królewskich, każdy z nich słuchał bacznie. Ale i oni musieli przyznać w duchu, że o takiego człowieka niełatwo.

– Sprawiliście nam dużo radości swoim przybyciem – księżna też go obejmowała coraz życzliwszym spojrzeniem. – Gdy odprowadzę lęborskiego wójta, porozmawiamy obszerniej. A to Wytowno – dodała z troską – nie sprawi wam nadmiernego kłopotu? Ziemia podobno tam licha.

– Nie tyle licha, co zaniedbana – Wantimir westchnął. – Na płacz się zbiera, gdy na nią się patrzy. Ale ja...

Urwał, ktoś bowiem zaczął się przepychać przez ciżbę i naraz ujrzał przed sobą rozplamionego rycerza Jazkę, od którego odkupił dworzyszcze.

– Odpowiesz za tę zniewagę! – rozległ się nad nim tubalny krzyk. – W tym miejscu śmiesz mnie oskarżać?

Wantimir popatrzył na niego surowo.

– Zachowuj się przyzwoicie – burknął. – Stoisz przed księżną panią, a nie na zamkowym dziedzińcu. A przy tym o co się sierzdzisz? Ziemia jest już moja i wolno mi o niej mówić, co mi się żywnie podoba. Zaniedbana!

– Milcz! – Jazka przypadł do niego wściekle. – Nie wiesz, na kogoś trafił. Dziś jeszcze zmiotę ci głowę, przeklęty przybłądo!

Ludzie zmartwieli nagle. Oto dostojny Wantimir zwinął się błyskawicznie, poskoczył naprzód, trzasnął swą zbroją w zbroję rycerza i tak zajrzał mu w oczy, jak Borek Borkowi na górze nad Regą przed przejazdem jagiellońskiej chorągwi. Księżna zmarszczyła brwi. Czupurni byli ci jej rycerze i nieraz skakali sobie do oczu w jej obecności, ale że zawsze stali przy niej wiernie i świetnie władali mieczem, wybaczała im wiele. Zazwyczaj zresztą wystarczało jej jedno słowo, aby uśmierzyć burzę, toteż i do tego zajścia nie przywiązywała nadmiernej wagi. Trochę, co prawda, zaniepokoił ją Wantimir. Nie przyszło jej przedtem na myśl, że może być tak skory do bitki, wydawał się dość ociężały. Teraz okazało się, że w razie potrzeby potrafi być szybki jak błyskawica i że ta jego zewnętrzna nieruchawość jest chyba jedynie maską.

– Więc mnie wyzywasz? – spokoj, z jakim zadał właśnie pytanie, zdawał się potwierdzać to przypuszczenie.

– Wyzywam!

– Wobec tego mam prawo wyboru broni. Zatem na miecze i z konia. Aby nam było trudniej, każdy w lewej ręce będzie trzymał gąsiorek miodu.

Szum, który się zaczął odradzać, umilkł znowu jak nożem uciął, lecz wkrótce huczny śmiech zatrzęsł całą komnatą.

– Nie słyszałam jeszcze o takim turnieju – rozbawiła się także księżna. – Skąd wam to przyszło do głowy?

– Z rozwagi, miłościwa pani. Rąbać każdy z nas potrafi i byle osiłek,

choćby jako tako wyćwiczony w wojennym rzemiośle, zwała nieraz najwspanialszego rycerza. A przy moim sposobie musi ponadto pracować głowa. Sporo mogę o tym powiedzieć, bo kiedyś z gąsiorem szedłem kolejno w trzy bitwy. I to nie byle jakie.

– Łże jak najęty! – rozległy się wokół wesole głosy. – W bój z gąsiorem na rękę... Przecież to niemożliwe!

Wantimir powiódł chłodnym spojrzeniem po twarzach i zaraz przycichło.

– Prawdę mówi – wtrącił się Rycerz z Lasu. – I bynajmniej nie próżnował. Oglądałem na własne oczy potraskane pancerze i powalonych pachotków.

Ucichło zupełnie. Na Wantimirze skupiły się wszystkie spojrzenia.

– Przechodzi ludzkie pojęcie, lecz wierzyć muszę przy takim świadectwie – odezwała się księżna. – Powiedzcie mi tylko jedno: dlaczego tak wam zależało na tym gąsiorze?

– Krakowski był w nim miód, a przy tym stuletni. Nie mogłem przecież porzucić.

Znów zaszumiało jak w ulu i rozpogodził się nawet Jaszka. Księżna rzuciła na niego uważnie okiem.

– Czas zapomnieć o tamtym – rzekła rozweselona. – Prawdę mówiąc, nie ma się o co czubić, bo żadnej zniewagi nie widzę, a miód możecie wypić u mnie bez boju. Świeżo go otrzymałam. Także krakowski!

Szybko doszło do zgody. Był już najwyższy czas, gdyż wchodził właśnie lęborski dostojnik. Niezbyt rośły, układny, podkreślający każdym słowem swą czołobitność i to w sposób nie mażący nikogo, mało przypominał butnych zazwyczaj, krzyżackich rycerzy i na pierwszy rzut oka mógł wydać się nawet miły. Kiedy jednak zaczął mówić, z czym tutaj przybywa, zmienił się znacznie i słowa nabierały coraz więcej ostrości. O ustalonej ongiś granicy między Pomorzem a posiadłościami Zakonu nie wspominał wcale. Znosił za to przed księżną obszerną skargę na jej poddanych, że w okolicach Smółdzina, Żelaza i innych wsi przepędzają i rabują mu bydło, a i pastuchom dają się nieraz dobrze we znaki.

Długa to była przemowa. A że jeden z dworzan, służąc za tłumacza, przekładał ją wiernie na polski, co także zabierało немало czasu, księżna poruszyła się wreszcie zniecierpliwiona.

– Czegoś nie rozumiem w tym dowodzeniu – odezwała się cierpko. – Od kiedy do Smołdzino czy Żelazo należy do was?

Krzyżak objął ją baczny spojrzeniem.

– Tego nie powiedziałem – odparł ostrożnie. – Mówiłem tylko o ziemiach, które leżą obok tych wsi, bo one należą do nas od dawna. Wynaleźliśmy ostatnio cenny dokument, mówiący o tym dokładnie. Otóż to wszystko należało niegdyś do charbrowskiego grodziszcza, a ono przecież zostało do nas włączone. Przeoczyliśmy przedtem tę ważną sprawę, lecz czas już najwyższy, aby się upomnieć o swoje.

Księżna spojrzała na mnicha, siedzącego obok i trzymającego w rękach zwój pergaminów.

– Co o tym sądzie?...

– Wójt nie wie widocznie, że tak było dwieście lat temu. Potem odłączono od Charbrowa wszystko, co się znajduje z tej strony Łeby. A granica przechodzi właśnie na Łebie i traktat mówi o tym wyraźnie.

– Nieprawda! – Krzyżak się uniósł. – Oto traktat: gdzie w nim widzicie choć jedno słowo, potwierdzające słusność waszych wywodów?

Też mnicha wziął do pomocy i spór zaostrzał się coraz bardziej. Księżna już miała zamiar pozostawić ich samych, gdy niespodziewanie wtrącił się do rozmowy Wantimir.

– A tam jest jakieś dworzyszczce do wzięcia? – zagadnął ciekawie.

– Ile dusza zapagnie. Choćby właśnie Żelazo, o którym tyle słyszycie.

– Hartowna nazwa... Kupić można od razu?

– Nawet dziś jeszcze.

– W takim razie kupuję, bo wydaje mi się, że właśnie tam będę najbardziej potrzebny. Zrzucić więc, miłościwa pani, ten kłopot z głowy. Ja się nim teraz zajmę i sam się będę układał z tym wójtem.

– Nic nie wolno ustąpić.

– Bądź spokojna. Jeśli ja raz stanę na jakiejś miedzy, a prawo za mną, już nie tylko nie ustąpię, choćby waliła się na mnie cała chorągiew, ale jeszcze potrafię przyorać sporo od przeciwnika. Więc zgadzasz się, abym przejął

tę sprawę? W moich rękach będzie ona bezpieczna.

Spoglądała na niego przez chwilę niepewnie.

– No cóż, spróbuj – odrzekła powoli. – Abyś tylko przy tym nie stracił życia...

Uśmiechnął się do niej mile i zaraz tak samo mile spojrzął na wójta.

– Witaj zatem, nowy sąsiedzie – skłonił się przed nim, gdy tylko tłumacz wyjaśnił mu treść poprzedniej rozmowy. – Za drobna to sprawa, aby zamącać nią spokój księżnej. Sami się ułożymy. Co należy do ciebie, zabierzesz, co do mnie, zatrzymam przy sobie. A przy sposobnej chwili pogawędzimy po przyjacielsku przy kuflu piwa lub miodu.

Wójt też skłonił się przed nim z wielkim szacunkiem, też się bardzo wydawał zadowolony z takiego obrotu sprawy, też się bardzo uśmiechał mile, lecz równocześnie obserwował go bystro. Doszedł widocznie w końcu do wniosku, że rzeczywiście zyskał bardzo wygodnego sąsiada, bo zaczął go poklepywać po plecach.

– Czuję, że dogadamy się łatwo – rzekł dobrodusznie. – Swego nie dam nikomu, cudzego nie chcę. Bardzo proste są moje reguły.

– Zupełnie jak moje! – ucieszył się serdecznie Wantimir. – Sąsiedzie, bądź dobrej myśli: nie wejdiesz na moje pole, ja nie wejdę na twoje. Zgodą mnie karmiono od dziecka!

Był odtąd niezwykle radosny, a gdy wójt zaczął się zbierać w drogę, odprowadził go aż na dziedziniec i tyle okazywał mu życzliwości, że wśród wrogo nastawionych do Krzyżaków rycerzy i dworzan wzbudził powszechną nieufność. A i księżna zastanawiała się chyba, czy nie wyraziła zgody zbyt pochopnie, zaszyła się bowiem zaraz w kąt i nie przyjmowała nikogo, po południu zaś, gdy ją zaproszono na świadka umowy o Żelazo, nie ukrywała wcale, że robi to bardzo niechętnie.

Wantimir przyglądał się jej spod oka. Był znów skupiony i uroczysty.

– Czyżby miłościwa pani – zagadnął znienacka – również uważała mnie za półgłówka, jak ten bęcwał z Lęborka?

Niewiele czasu upłynęło od śmierci Barnima, a mimo to na twarzy księżnej zdążyły już osiąść troski i wryły na niej wyraźne ślady. W tej chwili jednak

spłonęła ona nagle tak żywo, jak w czasach swej najlepszej młodości.

– Więc wy tylko udawaliście?...

– Przyjaźni nie udaję nigdy. Ofiarowałem mu ją szczerze. Zechce przyjąć, będzie ją miał. Nie zechce, wyciągnę miecz.

– Ale jeśli mu choć na chwilę pozwolicie przesunąć granicę...

– Już ja mu tak ją wyznaczę, że chyba straciłby rozum, próbując przesunąć ją po raz drugi. O to bądź, miłościwa pani, spokojna. A na wszelki wypadek wyślij natychmiast skargę do Malborka, że hultaj sieje tu zamieszanie. To może się przydać w przyszłości.

Oczarował ją znowu i odtąd słuchała go pilnie. Nie zabrał jej zresztą zbyt wiele czasu, miał bowiem jeszcze niejedną sprawę do załatwienia, i gdy tylko podpisano dokument, wyruszył w drogę. Do tej pory wydawał się bardzo pogodny. Kiedy jednak mury zamkowe zostały za nim, zmarszczył zaraz brwi, zamyślił się głęboko, osowiał. Coś go najwyraźniej męczyło. Jadący za nim dwaj ludzie wydawali się trochę zdziwieni, bo zazwyczaj lubił gawędzić, a przy tym zamiast do Wytowna skierował się do Darłowa. Ale i tam tylko pozostał na noc, wczesnym zaś rankiem stanął przed klasztorem w Bukowie i zadzwoniwszy do furty, zażądał rozmowy z opatem. Wpuszczono go bez trudności. Minął refektarz, wszedł do niewielkiej celi. Jakoś bardzo niepewnie pokręcił głową. Jak na głośnego opata, ta siedziba wydała mu się zbyt skromna, a już zdumiał się niepomierne, gdy go w chwilę później zobaczył przed sobą. Z wyglądu był nawet trochę podobny do Henryka z Podgławy: taka sama szczupła, ściągnięta twarz i tak samo przenikliwe spojrzenie. Tamten jednak nosił się bogato, rozmawiał z podwładnymi krótko i oschle, usiąść przy nim nie było wolno. Ten zaś był przybrany skromnie jak ta skromniutka celda i nie tylko posadził go przy sobie, ale i przemówił z miejsca po polsku!...

– Co cię zatem sprowadza? – opat wciąż przyglądał mu się uważnie. – A przede wszystkim powiedz, dlaczego wpatrujesz się we mnie w takim napięciu? Czyżbyś dostrzegł coś niezwykłego?

– Ba! – Wantimir poczuł wracające mu szybko siły. – Nie widziałem odtąd nigdy takiego opata, toteż muszę się przyjrzeć dokładnie. A z czym przychodzi? Hm, długa to historia... Zacznę od tego, że sprowadziłem się właśnie na słowińską ziemię. A wczoraj...

Opowiedział pokrótce o poczynionych zakupach, o rozmowach z księżną i o spotkaniu z lęborskim wójtem. Opat obserwował go z coraz większym zaciekawieniem.

– Pobożny powziąłeś zamiar – pochwalił. – Ludzie na pograniczu tak są wystraszeni i doświadczeni przez los, że należy im się wreszcie jakaś dobra opieka. Więc przyjechałeś tu tylko, aby powiadomić mnie o tym i uzyskać dla swej pracy błogosławieństwo?

Wantimir w popłochu wbił oczy w ziemię.

– Nie tylko – westchnął. – Zanim jednak przystąpię do sprawy, pragnąłbym zadać pytanie. Załóżmy – coraz ostrożniej dobierał słowa – że znalazł się nicpoń, który wdziera się w nocy do klasztornej majątku i zabiera stamtąd kilka wieprzy i sporo owsa... Nie dla rabunku, człek z niego w gruncie bardzo uczciwy. Gdy więc się dowiaduje, że ten majątek należy do wielce świątobliwego opata, sam się zgłasza i chce zapłacić za straty. Przypuśćmy, ojczy wielbny, że się zgłasza do ciebie... Jak byś ty wtedy postąpił?

– A intencja, mówisz, była uczciwa?

– Jak najuczciwsza. Konie trzeba było dobrze nakarmić, bo szły do boju, a ludzi też.

Opat wpatrywał się w niego coraz uważniej.

– Idzie o Kurowo? – zapytał znienacka.

Wantimir poruszył się niespokojnie.

– Mówmy pod tajemnicą spowiedzi – zastrzegł.

– Zgoda – Jan z Bukowa uczynił znak krzyża. – Domyślałem się od początku, że nie zajrzeli tam zwykli rabusie, toteż nikogo nie obciążałem dotychczas grzechem. Jedno tylko było dla mnie niejasne. Poturbowano podobno wielce miłego memu sercu, a bardzo pobożnego zakonnego braciszka.

– Zwykle nieporozumienie. On wybaczył natychmiast.

– Wobec tego i ja rozgrzeszam. Nic złego nie widzę.

Opat wypowiedział sakramentalne słowa i znowu uczynił znak krzyża. Wantimir wpatrywał się w niego jak ogłuszony.

– Nie do wiary... – wyszeptał. – Dług przecież jeszcze nie zapłacony!

– I nie trzeba płacić. Domyślam się, że wielka to była sprawa, o którą ci ludzie stawali wówczas do boju. Pewnie szło o Pomorze?

– O Pomorze!

– Wobec tego niech ten owies i wieprze zostaną wliczone w koszty wyprawy jako udział naszych klasztorów. Wspólna to przecież sprawa. A tobie, jako że postąpiłeś bardzo uczciwie, przychodząc do mnie, udzielam dodatkowego błogosławieństwa. Niech ci się szczęści na tej biednej, słowińskiej ziemi.

Wantimir długo nie mógł z siebie wydobyć słowa. Jadąc tu, był przygotowany co najmniej na długie przemowy, ojcowskie wyrzuty i upomnienia, a przy tym nie wątpił ani przez chwilę, że i pokuta nie będzie lekka. Zamiast tego wszystkiego, zdjęto z niego ciężar, zanim zdążył przyklęknąć; zamiast kary – pozyskał łaskę. A przy tym, co zadziwiło go już najbardziej, po raz pierwszy w życiu usłyszał z ust duchownego, że i Pomorze jest wielką sprawą, na którą klasztory powinny takżełożyć pieniądze...

– Jestem tak przejęty, że trudno mi zebrać myśli – odezwał się cicho. – Taka rozmowa to więcej niż spowiedź i chciałbym się jakoś wywdziękzyć. Pozwól więc, ojcze, że na pamiątkę dzisiejszego spotkania złożę na twoje ręce ten skromny dar z gorącą prośbą, abys go użył na pożytek podległych sobie klasztorów.

Wyjął złotą, nabitą brylantami zapinkę, ale gdy chciał ją wręczyć, przeszył go dreszcz. Siedział teraz przy nim inny zupełnie człowiek: nieprzystępny, surowy i tak gniewny, jakby go śmiertelnie obraził.

– Nie po to dawałem ci rozgrzeszenie, abys za nie zapłacił – i głos nabrał niespodziewanie ostrości. – Schowaj natychmiast, abym nie wyrzucił cię z celi.

– Ja przecież tylko z dobrego serca...

– Schowaj!

Wantimir usłuchał pokornie. Opat zaczął się uspokajać.

– Nie czyn tego nigdy, jeśli chcesz ze mną żyć w zgodzie – przemówił po chwili. – Po to klasztory otrzymały liczne majątki, aby mogły się na nich utrzymać, i dalsze dopłaty są niepotrzebne. Połowa Pomorza należy do nich... A tę zapinkę, jeżeli już postanowiłeś przeznaczyć na zbożny cel, przemień na pieniądze i włóż je w Żelazo. Słyszałem, że spalono tam wszystko. Odbuduj.

Porządnie odbuduj, bo to pograniczne osiedle. Nieprzyjaciel powinien na nim połamać zęby!

Wantimir odzyskał siły.

– Bądź, ojcze, spokojny – rzekł prostując się dumnie. – Ja wiem, jak powinno wyglądać na pograniczu. Nie dworzyszczce zbuduję, lecz gród. Warowny gród, jakich powinno być tutaj pełno!

– Takie masz zamiary... – opat patrzył na niego w wielkim skupieniu. – Wielka to myśl, będę ją błogosławił. A pieniędzy ci starczy?

– Na taką sprawę musi wystarczyć! Mury tam będą kamienne, wierzeje...

Wantimir zapalił się i rozwiódł szeroko nad swą przyszłą siedzibą, a że opat słuchał bardzo uważnie i co chwila dorzucał jakieś słowo pochwały albo zachęty, tak mu w końcu trafił do serca tą życzliwością, że sięgnął do sakwy i wyciągnął spory gąsiorek.

– Stuletni – oznajmił raźnie. – Pilnowałem jak oka w głowie na taki właśnie dzień, a że nie pokazałem go wcześniej, to tylko dlatego, że nie chciałem znów popaść w niełaskę. Sądzę jednak, że teraz można wystawić. Żelazo zahartowane w takim szlachetnym trunku nabierze wielkiej twardości!

– Też tak sądzę – opat uśmiechnął się. – Sęk tylko w tym, że ja wcale nie piję.

– Nie szkodzi, raz wolno. Hartujemy przecież Żelazo. A przy tym krakowski to miód!

– Krakowski, powiadasz?...

Wantimir dostrzegł na półce kubki, zakręcił się zrećcznie i wkrótce stały przed nimi na stole wypełnione po brzegi naczynia.

– Nie namawiałbym do byle czego tak świątobliwej osoby – przemówił z godnością. – Na miodach znam się świetnie, bom rycerz uznamski. Ten, jestem przekonany święcie, można wypić bez grzechu.

– A mimo to wciąż mnie do niego namawiasz. Dzień, prawda, jest niezwyčajny. A miód krakowski... A więc za twoje Żelazo!

– Niech się hartuje!

Wantimir odjechał pełen radosnych myśli i tym razem bardzo był gadatliwy, a gdy się znalazł w końcu w Wytownie, serce mu uderzyło jeszcze weselej.

Nie zmarnowano tu czasu. Ostrokół wyglądał jak nowy, naprawiono bramę, w pustych przedtem otworach znalazły się drzwi, coraz przytulniej zaczynały wyglądać uprzątane pośpiesznie izby. Pochwalił za tę gospodarność, a potem zaszył się w kąt z jednym ze swoich stryjecznych i coś omawiał z nim długo. Rano znów się znalazł na siodle. Zabrawszy dziesięciu ludzi, pędził najkrótszą drogą w stronę Żelaza i im bardziej się do niego przybliżał, tym większe go ogarniało wzruszenie. Bałtyk ciągle widział w oddali, przed nim już pojawiło się Gardno. A ledwie je minął, ukazało się piękne Jezioro Łebskie. Tamto było wielkie, to jeszcze większe. Rozbłyskiwało coraz wspanialej w promieniach słońca i niespodziewanie tak mu światłem chlusnęło w oczy, że aż się zatoczył na siodle.

– Cudowny kraj – rzekł w rozmarzeniu. – A ten łotrzyk łęborski – poniósł go nagle gniew – chce sięgnąć nawet po Gardno! Widzieliście kiedyś takiego szelmę?... No, dam ja mu Gardno!

Zgrzytnął zębami, zgrzytnęli natychmiast jadący za nim jego stryjeczni. Uspokoiło go to mocne poparcie i znów zaczął się rozglądać radośnie. Po prawej stronie ciągnęły się wzdłuż drogi wysokie wzgórza, gęsto pokryte borem, naprzeciw widać było Smołdzino. Minął wieś szybko i spojrzał w górę: pomiędzy drzew wychylała się niewielka kapliczka.

– Rowokół – wyjaśnił. – Siedzi tam we wnętrzu jakiś klecha i wciąż mówi o cudach, lecz Jan z Bukowa nie bardzo mu wierzy. Mądry to opat... „Jeśli tyle cudów – powiada – to gdzie są pieniądze? Ludzie, choćby nikt do tego ich nie namawiał, składaliby na pewno obfite ofiary, a ten ciągle płacze, że trapi go nędza.”

– Hultaj pewnie – osądził krótko jeden z jego stryjecznych. – Ciuła dla siebie, bo na pograniczu trudno go upilnować.

– Też mi to przyszło do głowy. Weźmiemy go odtąd na oko. A jeśli rzeczywiście hultaj, wrzuci się kiedyś na siodło i powiezie świątobliwemu opatowi w podarku. Obiecałem mu to uroczyście.

Minęli wzgórza, bór zniknął. Wśród rozrzuconych szeroko ugorów ukazały się zgliszcza.

– Oto nasze Żelazo – Wantimir smętnie pokiwał głową. – Chłopcy, zabieramy się do roboty! – poruszył się żywo. – Zbudujcie tymczasem jakiś dach,

aby można się pod nim schronić, a ja ruszę do wsi po wozy i ludzi. Na jesieni powinno stać tu piękne grodziszczce. Krysta wtedy przyjedzie!

Był odtąd bardzo ruchliwy. Po południu chrobotąły już piły, coraz donośniej huczały siekiery w pobliskim lesie, nazajutrz zaś tak się rozdudniło wokół, jakby zamierzano pobudować tu miasto. Ludzi zbiegło się mnóstwo. Wantimir, rad z tego ogromnie, przestał się wkrótce wtrącać, bo przywiózł z Woli na nie lada majstrów. Pojawili się zresztą goście. Przyjechał książeccy urzędnik z dokładnym opisem krzyżackiej granicy, a wraz z nim Rycerz z Lasu i kilku innych, pragnących przez ciekawość zobaczyć, jak sobie radzi na tym nieszczęsnym miejscu.

– Jak widzicie, nieźle – zatoczył szeroko ręką. – Po drodze opowiem wam wszystko, lecz teraz się śpieszmy. Czeką nas wielka robota.

Ominąwszy z daleka bagniska, popędził do Cecenowa, skinął na czekające tutaj na niego wozy załadowane ciężkimi balami, poprowadził je dalej i zatrzymał się dopiero przy moście na Łebie.

– Ta rzeka stanowi granicę? – zwrócił się do pisarza.

– Ta właśnie.

– I co do rzeki, jest moje?

– Twoje.

– Wbijajcie słupy! – Wantimir rozkazał ludziom. – A wy – zwrócił się do swych gości – milczcie odtąd jak zakłęci i nie próbujcie mi radzić albo czemuś się przeciwstawiać. Choćby pokazała się naprzeciw cała siła krzyżacka!

Pisarz coraz szerzej otwierał oczy. Wozy przejechały po moście, zrzucono bale na ziemię, dwa z nich zaczęto wbijać.

– Tamten brzeg nie należy do nas! – zapomniał w jednej chwili o nakazie milczenia.

– Kto wam o tym powiedział? – Wantimir popatrzył na niego ze złością. – Jak jest napisane w dokumencie? „Do rzeki” czy „do lewego brzegu rzeki”?

– Do rzeki.

– A więc rzeka należy do mnie i niepotrzebnie zajmujecie mi czas. Gdyby było inaczej, powinni byli napisać, że rzeka jest własnością krzyżacką. Aby nie było więcej pytań, powiem wam krótko: jak wymierzać miedze, uczył

mnie sam opat podgławski! Zawsze trzeba wziąć trochę więcej, aby było potem z czego ustąpić. Bardzo to mądra zasada. Wcale nie gorsza od tej krzyżackiej.

Wbito słupy po obu stronach drogi, zdjęto już z wozów resztę. Część ludzi ruszyła na północ, aby oznaczyć nimi granicę do jeziora Łebsko. Inna, znacznie większa, udała się w przeciwnym kierunku, a wraz z nią Wantimir i goście. Chociaż ktoś pokazywał się niekiedy w pobliżu i przyglądał się z zaciekawieniem robocie, nie przeszkadzał jednakże nikt. Okolica zresztą stawała się coraz dziksza. Łeba rozlewała się szeroko, brzegi zamieniały się w grzęzawiska. Nie ustawano jednakże w pracy i w równych odstępach, dokładnie tam, gdzie tafla wody łączyła się z najbliższą kępką trawy, niezmordowanie wbijano słupy.

– Dobrze idzie – Wantimir odsapnął. – Jeszcze tylko jeden i będzie koniec.

Skoczył na twardszą ziemię i zaraz popatrzył czujnie. Poprzez zarośla i błota przebijał się z trudem wójt łęborski na czele licznej drużyny.

– Uszom nie chciałem wierzyć, kiedy mi składano meldunek! – przemówił wzburzony, znalazłszy się wreszcie obok. – Jak to: wy, człowiek tak mi życzliwy, ośmielacie się wkroczyć na moje ziemie bez zezwolenia? Jakim prawem? I co tu właściwie robicie?

– Wbijam słupy graniczne, sąsiedzie – Wantimir uśmiechnął się do niego przyjaźnie. – Miedza nie wytyczona, to gotowe nieszczęście. Na każdym balu, jak widzicie, kazałem wyrzezać literę „W”, aby było wiadomo, co do mnie należy. Swary przecież nam niepotrzebne.

Wójt potrząsnął głową, jak gdyby chciał lepiej ułożyć myśli.

– Nie wiem, czy śmiać się z waszej głupoty, czy od razu sięgnąć do miecza – przemówił groźnie. – Wara od tego brzegu, bo do mnie należy!

– Prawda. Brzegu jednak wam nie zabieram, tylko wodę.

– A na wiosnę albo jesienią, gdy rzeka rozleje szerzej, przesuniecie może jeszcze dalej te słupy?

– Oczywiście. Prawo za mną, bo rzeka moja.

– Moja jest rzeka!

– Gdzie to macie napisane? – Wantimir też nareszcie poruszył się

groźnie. – Nie zaglądacie do dokumentów, a głos śmiecie na mnie podnosić? Czyżbyście czytać nie potrafili?

Wójtka zaczynała ogarniać wściekłość.

– Powiem wam zwięźle – próbował się jeszcze hamować. – Powiniennem was wrzucić od razu do lochu, bo weszliście na moją ziemię. Ale że mamy być sąsiadami, chwilowo dam spokój, uchodźcie jednak stąd jak najprędzej. Aż za Żelazo, gdzie przebiega moja właściwa granica. W przeciwnym razie wezmę was w łyka!

Wantimir objął go zamyślonym spojrzeniem.

– Wobec tego i ja powiem wam zwięźle – odrzekł powoli. – Jeśli ktoś się ośmieli przybliżyć do mnie, padniecie pierwi.

– Za mną stoi Zakon Krzyżowy!

– Ale życia wam nie przywróci, zastanówcie się zatem dobrze. Zastanówcie się także nad innym moim pomysłem. Ja twierdzę, że moja granica przebiega w tym miejscu. Wy uważacie, że wasza sięga gdzieś pod Smołdzino. Nie mam obecnie czasu, aby dochodzić, przy kim jest słusność, bo najpierw muszę wystawić dworzyszczce. Nie chcę przy tym stracić dobrego sąsiada, a człowiek ze mnie zgodny. Aby więc szybko zakończyć spór, wbijcie też słupy graniczne. Tam właśnie, gdzie waszym zdaniem powinny się one znajdować. A co będzie później, to się zobaczy.

Pisarz pobladł z wrażenia, znieruchomieli rycerze. A i Krzyżak oniemiał.

– Mówicie poważnie?... – bąknął wreszcie niepewnie.

– Nie czas na żarty. Stawiam uczciwie: ja oznaczam swoje, wy swoje. Zgadzaście się zatem?

– Hm, myśl w gruncie niezła... – wójt hamował z trudem radosne myśli. – Kiedy mogę zabrać się do roboty?

– Zaraz. Pozostał mi tylko jeden słup. Wbijemy go i przejeżdżamy za rzekę. Drzewo znajdzie się przecież na miejscu.

– Ludzi musiałbym ściągnąć...

Wantimir poklepał go rubasznie po plecach.

– Nie przejmuj się takim drobiazgiem! – odrzekł. – Sąsiadowi zawsze pomogę chętnie. Jak widzisz, ludzi mi nie brak, a i twoich pacholków zagna się do roboty. Niech nie marnują czasu, próżniaki!

– Czuję, że naprawdę będziemy żyli w wielkiej przyjaźni! – wójt dał narzeczce upust przenikającym go do głębi uczuciom. – Taki sąsiad to prawdziwy skarb i jestem niezmiernie wdzięczny księżnej pani, że właśnie ciebie tu osadziła. Wbijaj więc szybko ten swój ostatni słup. Chciałbym i swoje postawić jeszcze przed zmrokiem.

Wantimir uwinął się rącho i w najlepszej zgodzie wrócili do mostu. Zmarszczył naraz brwi: jeden ze słupów przydrożnych leżał zwalony na ziemi.

– Nieładnie, sąsiedzie – przemówił z niesmakiem. – Nie zapytasz mnie nawet o nic, a każesz rąbać. Powinienem się o to obrazić.

– Daj spokój – wójt przeraził się nie na żarty. – Zrobiłem to w pierwszej złości, chyba rozumiesz. A jutro dopilnuję osobiście, aby postawiono w tym miejscu nowy.

– Zrobisz to?

– Słowo!

– Ruszajmy zatem w drogę. Skłonność do zgody była zawsze największą cnotą mojego rodu.

Zajechali do Żelaza, wybrali co trzeba z leżącego budulca, wymierzyli, załadowali na wozy i znowu ruszyli w drogę. Wójt postanowił wbić pierwszy słup koło Smółdzina.

– Twoja sprawa – Wantimir zgodził się obojętnie.

Słup stanął w ziemi. Wójt popatrzył na niego z namysłem, po chwili wziął do ręki dłuto i wyrył u góry znak krzyża.

– Tak nie można – Wantimir ściosał jednym uderzeniem siekiery. – Ja nie oznaczałem swoich gryfem pomorskim, lecz tylko własną literą, ty więc oznacz tak samo. Dla jakiegoś kawałka miedzy nie będziemy przecież zaprzęтали Zakonu czy książąt. Nasza to sprawa.

Wójt skrzywił się niechętnie, próbował się przeciwstawić, lecz wreszcie machnął ręką i odtąd pracowali w najlepszej zgodzie. Otoczyli pięknie Rowokół, zaszli z drugiej strony, przecięli w połowie Żelazo i znaleźli się wreszcie przy zgliszczach.

– Nie za blisko? – mruknął markotnie Wantimir. – Tak zajechałeś, że nawet na dom zabraknie mi miejsca.

– Prawda – wójt też wydawał się szczerze zmartwiony. – No cóż... Na dobry ład powinienem przyłączyć wszystko aż do drogi, ale że mnie chwyciłeś

za serce, nie będę taki dokładny. Zakon upomni się pewnie w przyszłości o resztę. Trudno, jego ziemia. Ja jednak nie przyłożę do tego palca.

– Dobry z ciebie sąsiad. Nie zapomnę ci tej przysługi.

Odeszli kilkadziesiąt kroków od zgliszcz, słup osadzili porządnie w ziemi. Krzyżak znów wyrył swoją literę.

– Ostatni! – rozprężył radośnie ramiona. – Nareszcie Zakon ma, co należało do niego od dawna.

– I ja mam swoje – ucieszył się niemniej Wantimir. – Widzisz, do czego prowadzi zgoda? Każdy z nas zadowolony i wcale nie było potrzeby wyciągać miecza.

Rozejrzał się po obozowisku. Ludzie przerwali roboty i przyglądali im się w milczeniu.

– Rąbacie – zwrócił się do drwali stojących obok.

Uderzyli mocno, odwinęli, trzasnęli znowu. Ze słupa coraz obficiejsy sypały się drzazgi.

– Co ty wyczyniasz? – wójt przypadł do niego wściekle.

– Ścinam, jak widzisz. Zwalisz mi jeden nad Łebą, więc ten zwałam w zamian.

– Powiedziałem przecież, że tamten postawię!

– Gdy tylko tamten stanie, natychmiast twój znajdzie się znów na tym miejscu. Masz moje słowo. I dobrze pilnuj innych. Za każdy, który tam padnie, jeden z twoich zostanie zrąbany, a że moich jest więcej, w końcu ja będę górą. Warto o tym pamiętać.

Krzyżak spąsował.

– Odpowiesz mi za te kpiny! – przestał zupełnie nad sobą panować. – Twoje słupy runą, a moje zostaną. Krzyżacka to odtąd ziemia!

– Jeszcze raz cię przestrzegam: dopóki będą stały tamte za rzeką, tych nie poruszę. Uczciwie stawiam sprawę, a ty tak się zachowujesz, jakbyś od początku szykował zdradę. Tego nie lubię. Radzę ci więc z dobrego serca: żyjmy w zgodzie, abym przypadkiem nie musiał wyciągnąć miecza.

Wójt zaklął dosadnie, wskoczył na siodło, porwał swoich pachołków i poepędził w stronę granicy. Ludzie parsknęli śmiechem.

– Nam się uczyć od ciebie – pisarz pokręcił głową. – Tak go wykołowaliśmy, że największy mędrzec lepiej by tego nie zrobił. Zastanawiam się tylko, czy nie szkoda było naszego trudu. Przecież on chyba dziś jeszcze każe tam wszystko wyrwać.

– Możliwe. Powiedziałem wam jednak, że na miedzach dobrze się znam. Przy nim biłem słupy graniczne za Łebą? Przy nim. Za jego zgodą? Za jego. To wielki zysk i tak odtąd stawiajcie sprawę, gdyby wtrącił się do niej Malbork. Rzeka należy do nas. Niech wójt teraz się broni!

Zapadał zmierzch. Śmiech nie ustawał, ale że do Słupska było daleko, goście zaczęli się zbierać w drogę. Rycerz z Lasu odprowadził Wantimira na stronę.

– Na przyszłość bądź bardziej ostrożny – rzekł cicho. – Zagrałeś z nim wysoko i rzeczywiście mógł cię pojmać za rzeką. Niemało miał pachotków pod ręką.

– Nie znasz mnie jeszcze – Wantimir machnął niedbale ręką. – Myślisz, że szedłbym na takiego hultaja, nie mając siły?

– Nigdzie jej nie widziałem...

– Bo nasi ludzie umieją się kryć. Dziesięciu szło za nami krok w krok i w razie potrzeby wyróżniliby to tałatajstwo jak wieprze. Ale tak, jak się stało, stało się dobrze: bitwa chwilowo mi niepotrzebna. Dopiero gdy pobuduję grodziszczę, zagram ja mu do tańca!

Zmarszczył groźnie brwi, zasapał, przestąpił twardo z nogi na nogę. Uspokajał się jednak szybko.

– A ty dokąd popędzisz? – zagadnął. – Może na Wolin?

Rycerz rozejrzał się nieznacznie jakby w obawie, że ktoś może podsłuchać.

– Tymczasem na południe – zwierzył się szeptem. – Po ważne wieści. Tobie mogę powiedzieć, w czym rzecz... Otóż w Raciążu, na polskiej stronie, Jagiełło i Witold zjechali się właśnie z wielkim mistrzem Zakonu i wąż się tam wielkie sprawy. Król stawia twarde warunki. A po tym zjeździe Pomorze zostanie na pewno przyłączone do Polski. Bogusław, jako wyklęty, dziś niewiele się liczy, książę na Wołogoszczy jest dość leniwy. Dziś zabrał się jednak do tej sprawy Świątobór szczeciński. A to pan mężny i mądry!

– Boże wszechmocny!... – Wantimir aż się schwycił za głowę z przejęcia. – O tym właśnie myślałem, gdy przeprawialiśmy przez Nową Marchię jagiellońską chorągiew. Więc to był początek?

– Początek.

– Mądry ten Jagiełło... Nie ma Polski bez Pomorza, ale też nie ma Pomorza bez Polski. Stara to prawda. Zajrzyj tu po powrocie.

– Zajrzę, lecz nieco później. Przedtem skoczę riał Wolin.

Wantimir objął go rozbawionym spojrzeniem.

– Tak ci tam pilno? – zagadnął. – Nie dziwię się, jest na co popatrzeć. Pilnuj tylko dobrze serca, aby się nie rozmiłowało nadmiernie, bo zapowiadam z góry: rana będzie ciężka, a zysk żaden.

Pachołek podprowadził konia. Rycerz wskoczył na siodło.

– Nigdy nic nie wiadomo – odkrzyknął wesoło. – Innym się nie powiodło, wiem o tym. A nuż mnie się lepiej poszczęści?

III

Bjornson gawędził żywo z siedzącym obok Steffenem. Zżył się od dawna z grodziszczem, chociaż więc miał pełną swobodę ruchów i mógł odpłynąć w każdej chwili, wcale się do tego nie kwapił. Twierdził stanowczo, że właśnie tu jest potrzebny, i chyba rzeczywiście tak było. Jego znajomość świata przydawała się często. Wbrew przy tym pozorom nie był od niego odcięty i nieraz wysyłał pisma, a zdarzało się, że w pilnych sprawach posługiwał się nawet gońcem. Znajomości miał bardzo rozległe, chyba i duże wpływy. Gdy wspominał kiedyś, że włączy Krużę do swego rodu, nikt nie wziął tego poważnie. W kilka tygodni jednak później Sum przywiózł uroczysty dokument z królewskim podpisem...

Krysta słuchała. Z takich przypadkowych rozmów uczyła się dużo i nieraz wyrastały z nich niezwykle pomysły. Dziś również tak było. Myśli mknęły lekko przez Bałtyk, sięgały do Polski, niespodziewanie ugrzęzły na chwilę w Anglii lub Rzymie, aby znów się znaleźć w grodziszczu. Dzisiaj, co prawda, pojawiały się w nich nagłe luki. Piękne były te ostatnie dni maja i żarzące się słońce ujmowało ciało prężności, a zresztą i inne sprawy napływały bez przerwy do głowy i przesłaniały rozmowę jakimś ciemnym obrazem. Od wyjazdu Wantimira dręczył ją ciągle niepokój. Nie mogła się wyzbyć wrażenia, że jego wędrówka zmieniła zupełnie zarówno jej życie, jak i życie grodziszczu. Przedtem miała wszystko w zasięgu oczu, do każdego trafiała łatwo. Teraz wyrosła

przed nią jakby wielka zasłona. Co znajdowało się przed nią, widziała dobrze, co za nią – ginęło w mroku. A z tego mroku wiało przy tym ogromnym chłodem i bezwiednie rodził się lęk, czy ktoś się tam, przypadkiem nie czai i czy nie wypadnie zniecka, aby rozerwać te prawie klasztorne więzy, jakie łączyły dotąd mocno wszystkich ludzi znad Gardna...

– Dziwne – Bjornson przerwał chwilową ciszę. – Gadam o różnych rzeczach, a prawdę mówiąc, wciąż siedzi mi w głowie Wantimir. Ciekawe, czy da sobie radę... Nałożyliście na niego wielkie zadania.

Wsunął się głębiej w cień spływający z rozłożonych nad nimi szeroko bukowych koron, gawędził dalej. Krysta znowu słuchała bacznie. Że Wantimir wylądował szczęśliwie w Ustce, miała już wieści, i że Rycerz z Lasu zajął się nim serdecznie, wiedziała także. Na inne było jeszcze za wcześnie.

– Chyba da radę – doszedł do wniosku. – Doświadczony nad wiek, przy tym tak prawy w myślach, że aż dziw bierze, że uchwalił się do tej pory na świecie. Powinniśmy mieć z niego pociechę.

Ta sprawa przypominała mi inną. Nad tym słowińskim Gardnem będzie można zawsze znaleźć wypoczynek, bo poza Krzyżakami nie ma tam właściwie innego wroga. Ale takich kryjówek, bardziej jeszcze spokojnych, warto by znaleźć więcej. Choćby na Wyspach Pirackich.

Był tam kiedyś i przez pewien czas myślał nawet o założeniu pustelni. Kamieniste to były wysepki, zupełnie bezludne, a chociaż leżały niedaleko od Bornholmu, rzadko kto tam zaglądał. Dostępu do nich broniły bardzo skutecznie częste wichury, wielka fala i olbrzymie, podwodne głazy.

– A tych głazów i na wierzchu nie ma – zapalał się coraz bardziej. – Można się w nich tak ukryć, że najbystrzejsze oko nie dojrzy, można w nich nawet zbudować pałac. Pieczar też mnóstwo...

Krysta spojrzała w niebo: od Bałtyku nadciągał wiatr. Poruszyły się niespokojnie wierzchołki drzew, jasne dotychczas Gardno niespodziewanie straciło blask. Za wiatrem już nadpływały w pośpiechu chmury i przyciemniały coraz bardziej widnokrąg.

– Będzie burza – Bjornson westchnął. – Ilekroć na nią patrzę, przychodzi

mi na myśl nasza „Jaskółka”. A nuż tam kogoś zmiecie z pokładu...

– Sum, żeglarz wielki – pochwalił Steffen. – Potrafi upilnować ludzi i da sobie radę z największą burzą. Zajrzę chyba do dworzyszczca... – zastanowił się. – Coś mnie męczy, a nie wiem co. Zabierzcie się ze mną?

Poszli wszyscy, a gdy znowu pojawili się nad jeziorem, niebo już było zupełnie ciemne. Krysta widząc, że marudzą na brzegu, weszła do grodziszczca. Zdumiała się nagle: przy stole siedział Wirko i pożywiał się naprędce kawałkiem chleba i boczką.

– Wygłodziłem się w drodze – uśmiechnął się. – Przejechałem śmiało przez wolińskie bramy, bom przecież klasztorny gajowy, ale dla spokoju wolałem nie szukać nigdzie posiłku.

Ugryzł jeszcze kęs, popił i przybliżył się do niej.

– Nie miej mi za złe, że przybywam tu bez wezwania – dodał markotnie. – Otrzymałem jednak z Raciąży tak dziwne wieści, że sam postanowiłem je przywieźć, aby coś się nie pokręciło. Być może zresztą, że wcale nie będę potrzebował wracać do domu. Posłuchaj!

Rzeczywiście musiały to być niezwykle wieści. Krysta coraz bardziej marszczyła czoło i wreszcie spokojna i zawsze opanowana twarz zaczęła pokrywać się taką szarością, jakby zadziwienie sprzęgło się na niej z przenikającym do głębi bólem i smutkiem i orząc ją ciągle, chciało doprowadzić do zupełnej martwoty.

– Jesteś pewien, że wszystko jest prawdą? – spytała cicho, gdy skończył.

– Całkowicie. Wieść pochodzi wprost od koronnego pisarza.

– Król opuścił już Raciąż?

– Razem z Witoldem. A wielki mistrz ruszył się jeszcze wcześniej.

Krysta wyszła znowu na brzeg i zaszywszy się z boku pośród gałęzi, zapatrzyła się w wodę. Oko Swantewita spoczywało w głębokim cieniu. Wpatrywała się w nie w coraz większym napięciu, coś z niego chciała niewątpliwie wyczytać. Było spokojne, może tylko bardziej zadumane niż zwykle. Szukała w nim mozolnie choćby najdrobniejszych przebłysków światła, które dawniej sprawiały jej zawsze dużo radości. Nic nie dostrzegła i wreszcie w poczuciu swej bezradności zwiesiła głowę. Była już pewna: ono także osłabło. Żyło

nadal, to prawda; ciągle ważyło coś w myślach. Ale i jemu zabrakło w tej chwili tego hartu i ognia, którymi przez lata zagrzewało do pracy i boju swoją wierną chorągiew,...

– Aha! – odnalazł ją Wirko. – Zapomniałem ci przekazać jeszcze jedną wiadomość, schwyconą w drodze. Rycerz z Lasu przybędzie dziś w nocy i pragnie się z tobą zobaczyć na miejscu waszego pierwszego spotkania. Rozumiesz coś z tego?

– Rozumiem.

Do końca dnia prawie że nie była uchwytna, a gdy wszyscy poszli już spać, wymknęła się cicho z grodziszcza. Była przekonana, że nikogo nie ma w pobliżu, toteż śmiało wyszła na brzeg, lecz zaraz stanęła w miejscu. Raczej wy-czuła aniżeli poznała w panującym dokoła mroku przechadzającego się powoli Steffena.

– Nie czas na wypoczynek?...

– Te Wyspy Pirackie wciąż mi chodzą po głowie. Stary ma słuszość: przydałaby się nam taka dobra kryjówka.

– Więc ją zagospodarujemy.

– Trzeba będzie to zrobić. Sama tylko idziesz? – zastanowił się. – Może lepiej zabrać kogoś na wszelki wypadek? Przecież i z wilkami nic nie wiadomo. Spokojne one o tej porze roku, ale zdarzają się wśród nich wyrodki, wiesz przecież. A nieszczęście nam niepotrzebne.

– Tasak mam w pogotowiu. Taka rozmowa może zabrać sporo czasu, bo i o Wantimirze pewnie będzie niemało wieści. Po co więc ma się trudzić przy mnie kto inny.

– No cóż... Pozdrów zatem ode mnie rycerza.

– Pozwalacie?

– Nic mu nie mówiłaś o mnie dotychczas?

– Nikomu nie mówię bez waszej zgody.

– Teraz możesz powiedzieć. Niezwykle musi przynosić wieści, jeśli zażą-dał takiej rozmowy. A chyba i tobie postawi różne pytania... Gdyby trzeba było coś postanowić, rozważ starannie i nie czekaj na moją radę. Możemy mu przecież ufać.

Czegoś nie dopowiadał. Wpatrywała się bacznie w pochyloną postać, którą niewątpliwie targał jakiś niepokój.

– Trzeba ruszać – przerwała ciszę. – Obudzić was po powrocie?
– Jeśli przyniesiesz coś ciekawego. A przynajmniej ubrałaś się ciepło? – w głosie Steffena niespodziewanie zabrzmiała troska. – Wicher się wzmacnia. A i deszcz może upaść.

– Pamiętałam o tym.

Wyciągnęła tasak i weszła w bór. Drzewa prawie wcale nie były widoczne, tylko z rzadka można było gdzieś dostrzec skrawek prawie tak samo ciemnego nieba. Mimo to szła pewnie i cicho i trafiła nieomylnie na wzgórek naprzeciw Kodrąbia, gdzie poznała ongiś Rycerza z Lasu. Wtedy on ją zaszedł zniecka. Dziś przybył pierwszy i teraz ona tak nieznacznie przysiadła z boku, że w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć oczom.

– Zjawiasz się jak dobry duch, aby nareszcie rozproszyć mękę – roześmiał się cicho. – Ogarnęła mnie wielka tęsknota, pędziłem więc jak na skrzydłach. Przywożę wspaniałe nowiny!

Jakże dobrze znała ten głos!... Nad Dziwną, gdy noga ugrzęzła jej w chaszczach, dobitnie ogłaszał hasło. Pod Łobezem był zawsze pełen szacunku, pod Kawczą Górą było w nim bardzo dużo miękkości. W tej chwili jednak był tym samym beztroskim i dźwięcznym głosem, jaki usłyszała na tym miejscu przed laty, gdy miała na sobie złoty łańcuch Niekraka.

– Czyżby o Wantimirze?...

– Ba! – nadął policzki i tak wiernie powtórzył ulubiony dźwięk Uznamczyka, jakby to on siedział obok. – O nim także: działa jak błyskawica. Już dwa dworzyszczą zakupił, omotał księżnę, zdumiał rycerzy, wystawił na dudka lęborskiego wójta...

Nasłuchiwała uważnie. I ten dzisiejszy głos był nieco inny. Najwyraźniej czuło się w nim podniecenie, chyba nawet zatracił czujność. Weselił się i płynął wciąż żywo, nie zastanawiając się wcale, że ktoś może podsłuchać.

– To Żelazo, szczerze mówiąc, trochę mu odradzałem – rycerz czuł się coraz swobodniej. – Na Rowokole znajduje się kaplica, a w niej obraz Matki Boskiej, słynący podobno cudami. W każdym razie ludzi napływa sporo. Wspominałem o tym, jako że tłok wam na pewno nie jest potrzebny, a on na to: „Ale widok na jeziora i morze jest piękny! A że ludzi dużo? Nie szkodzi, niech patrzą. Ja też będę czynił tu wkrótce cuda, toteż i mnie będą sławili. A chyba nieraz pomodlą się także szczerze za moją duszę. Może się to przydać po śmierci!”

Poruszył się raźnie, rozbawił bardziej.

– Ciszej – szepnęła. – Bór słucha.

Milczał przez dłuższy czas, jak gdyby to ostrzeżenie wprowadziło go w na-
głe zakłopotanie i wstydząc się teraz, swej swawolności, skupiał się w sobie i
starannie układał myśli.

– Krysto...

– Słucham, rycerzu.

– Dlaczego ty się nigdy nie śmiejesz? – zaczął też szeptać. – Dawniej, ro-
zumiem: miałeś ciągle przed oczyma kodrąbskie wypadki... Pięć lat jednakże
upłynęło od tego czasu, trzeba się zmienić. Jeśli nie możesz czy nie chcesz
śmiać się przy innych, śmieję się przynajmniej przy mnie.

– Tak ci na tym zależy?

– Bardzo mi zależy – przemawiał z coraz większym przejęciem. – Znamy
się od dawna, jedno drugiemu ratuje życie. Prowadzimy przy tym przepiękne
dzieło, o którym może kiedyś będą śpiewali bardowie. Jesteśmy sobie nie-
zmiernie bliscy i byłbym ci gotów przychylić nieba. Bądź więc weselsza.
Wiesz przecież chyba, że cię miłuję?

– Wiem...

– Dawniej o tym nie wspominałem. Wciąż prowadziłem zaciekłą walkę
od Odry po Żmudź, bez przerwy narażałem życie, z dnia na dzień wzywały
mnie obowiązki. Na swoje sprawy nie było czasu. Teraz mówię otwarcie: po-
łączmy się wreszcie na zawsze. Możemy odpocząć. W Łobezie jagiellońska
chorągiew, lada dzień przyłączymy Pomorze do Polski. Żmudź jest znowu w
rękach księcia Witolda. A w Raciążu król wysunął twarde warunki. Zakon
musi ulec przed siłą!

Wicher, szarpiący dotąd wierzchołki, wdarł się niespodziewanie pomiędzy
drzewa, zderzył się z ziemią, trzasnął w gałęzie, chlusnął na twarze. Krysta
drgnęła nieznacznie, jakby się zrobiło jej zimno.

– Kiedy otrzymałeś te wieści?...

– Przed kilkoma dniami, wprost z Wałcza. Jak widzisz, otwieram przed
tobą serce – słowa z chwili na chwilę przybierały na żarliwości. – Gdy cię
pознаłem na tym właśnie pagórku, nie przyszło mi wówczas do głowy, że
kiedyś będę prowadził z tobą taką rozmowę. Wyznaję szczerze... Potem zaczę-
łaś stawać się coraz bliższa, coraz częściej uciekały do ciebie myśli. Byłem na
Litwie, a ty stałaś mi wciąż przed oczyma. Wędrowałem po Polsce, a ze mną

twój obraz. Drżałem nieraz o ciebie, wydobywałem z konia ostatni dech, aby jak najszybciej znaleźć się na Wolinie. Teraz, na szczęście, to wszystko za mną. Ty się umęczyłaś, ja również gonię resztkami sił. Odetchnijmy więc wreszcie razem, bierzmy natychmiast ślub. I niech zniknie raz na zawsze z twojego życia ta nieustanna groza, która sen zdejmuje mi z powiek. Przy mnie będziesz bezpieczna!

Pochylił się, spojrzął jej z bliska w oczy, pochwycił rękę. Nie przeszkadzała. Łagodny to był uścisk i tak żywo przypomniał jej chwile ich pierwszego spotkania, że targnęło nią głębokie wzruszenie.

– Nie spodziewałam się takich słów – przemówiła powoli. – Znam cię zbyt dobrze, aby wątpić, że pragniesz mojego szczęścia i chcesz mi jak najlepiej ułożyć życie. Poniosły cię jednak nadmiernie uczucia, nie przemyślałeś sprawy do końca. Między nami przecież istnieje przepaść. Tyś syn rycerski, ja jestem tylko wyklętą dziewczyną. Gdybym się nawet zgodziła, kto by nam dał ślub?

– Opat z Bukowa załatwi wszystko! – poniosła go radość. – Omówiłem z nim dawno. A jeśli nie on, zrobi to arcybiskup gnieźnieński, jako prawy zwierzchnik kamieńskiego biskupa. I z nim rozmawiałem!

– Dużo trudu włożyłeś... A co by powiedziała na to twoja rodzina?

– Przyjmie cię całym sercem. Zwłaszcza ojciec i matka.

– Znają mnie?...

– Jak własną córkę!

Wtuliła się głębiej w gąszcz, bo wiatr znowu uderzył w twarz.

– Nigdy o nich nie wspominałeś – odezwała się w zamyśleniu. – Nie starałam się dociec, kim są i gdzie żyją, dotychczas bowiem była to twoja jedynie sprawa. Chyba teraz jednak możesz mi coś o nich powiedzieć?

Zwiesił głowę i wydało się, że popadł w zakłopotanie.

– Nie chcesz mówić, nie mów – dodała miękko. – Ciebie znam dobrze. Wystarczy.

Roześmiał się cicho.

– Nie o to idzie – odrzekł jakoś bardzo swawolnie. – Moja rodzina, jak na stosunki pomorskie, nie ma zbyt czystej karty, toteż wolę o niej w tej chwili

nie mówić. A nuż byś mnie nie chciała! Nie, nie myśl nic złego – zastrzegł się szybko. – Jutro czy pojutrze opowiem ci wszystko, a teraz tylko oświadczę krótko: mój ojciec jest na wskroś prawym człowiekiem. Jeszcze mnie nie było na świecie, on bił już Krzyżaków, razem z nieboszczykiem księciem Warcisławem rozwałił biskupie państwko, brał do niewoli gości zakonnych i domagał się wielkim głosem złączenia na zawsze Pomorza z Polską. Jak Niekrak, Borek czy inni. Dziś, niestety, zmogła go starość, toteż ja walczę o to samo w jego zastępstwie. Przecież to święta sprawa!

Mocno i uroczyście zadźwięczał młodzieńczy głos, a chociaż więcej słów już nie padło, wciąż dzwonił w uszach. Krysta jakby się czegoś zlekła, jakoś bardzo bezradnie poruszyła rękami. Nasłuchiwała za to w napięciu: woliński bór huczał coraz gwałtowniej, z potrącanych przez wicher gałęzi nieustannie sypały się na nią liście. Znieruchomiała zupełnie twarz i wciąż smagana zaciekle, nabierała coraz większego hartu.

– Pamiętasz te chwile, gdy spotkaliśmy się tu po raz pierwszy? – rycerz przerwał przydługą ciszę. – Wtedy, co prawda, było zaciszniej. I noc chyba była jaśniejsza?

– Jaśniejsza...

– A pamiętasz – rozweselił się znowu – że obiecałem wówczas zrobić z ciebie królową?

Spojrzała przed siebie: z majaczących w oddali kodrąbskich chat niespodziewanie powiało smutkiem. Zmarszczyła czoło, powoli przymknęła oczy. Wraz z bałtyckim wichrem zaczęły się tłoczyć wokół obrazy powszechnej nędzy, tłumy wyciągające do niej nabożnie ręce, krnąbrni rycerze i głosy wzywające rozpaczliwie pomocy, Nowa Marchia stojąca w ogniu i chorągiew Swantewita, idąca zawsze za nią nieustraszenie w największy bój. Pojawiły się także dzieci. Coraz ich więcej przywdziewało ładne szaty zamiast łachmanów, coraz więcej odchodziło na naukę do miasta. Były w Szczecinie, Poznaniu, Krakowie, były w Danii i Szwecji, były...

Znów świsnął potężniej chłodny, bałtycki wiatr. Oczy Krysty spojrzały jasno.

– Dobrą królową? – spytała cicho.

– Najlepszą ze wszystkich! W jej królestwie nie będzie ani rozboju, ani Krzyżaków!

Wziął ją za rękę, uściśnął tym razem mocno.

– Więc jak? – dodał serdecznie. – Nie śmiałybym zwracać się do ciebie z tą prośbą, gdybym nie czuł od dawna, że i ja jestem ci bliski. Zgadzasz się? Jak powiedziałem, czas wreszcie na wypoczynek. Przez kilka lat będzie na pewno panował spokój.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Jak w Boga samego!

Targnęło nim głębokie wzruszenie. Objęła rękami skronie i długo ważyła coś w myślach. Czekał niecierpliwie.

– Chyba nie wszystko doszło do twoich uszu – odezwała się naraz tak ostrożnie, jak gdyby się bała, że może mu sprawić przykrość. – Co byś powiedział na przykład, gdyby po tym spotkaniu w Raciążu król nie tylko nie wzmocnił swych wojsk na Pomorzu, ale nawet z Łobezu wycofał chorągiew?

– Ucieszyłbym się. To by oznaczało, że ma już dużą siłę i chociaż stanie tylko na granicy, będzie mocno trzymał Krzyżaków w garści.

– A gdyby odkupił za znaczne pieniądze zagrabioną przez nich ongiś ziemię dobrzyńską?

– No cóż – rycerz westchnął. – Aby zniszczyć wrzód ropiejący na własnym ciele, warto było widocznie zapłacić. Przykre to i niesprawiedliwe, niełatwo się z tym pogodzić. W przyszłości jednak może okazać się mądre.

– A gdyby – głos Krysty zaczynał nabierać szorstkości – oddał im Żmudź? Bez żadnych warunków, za darmo.

Aż się poderwał z nagłego wzburzenia.

– Niemożliwe! – wykrzyknął. – Nie po to Witold w krwawych bojach odbierał Żmudź, aby teraz prehandlować ją za ziemię dobrzyńską i jeszcze do tego dopłacić! Ech – roześmiał się trochę sztucznie – żarty się ciebie trzymają. A ja, głupi, tak się przejmuję, że dałem się nabrać!

Znów się zasłuchała uważnie w bór. Jęczał przenikliwie, rozsyłając na wszystkie strony jakąś bolesną skargę.

– Sprawię ci teraz przykrość – w jej głosie nie było już ani śladu miękkości. – Wszystko, o co pytałam, jest prawdą. Żmudź oddana Krzyżakom. Jutro nie będzie w Łobezie jagiellońskiej chorągwi. A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Oto lada dzień Zakon przyłoży Borkowi do gardła miecz i albo

zrobi z niego powolnego sługę, albo zetnie mu głowę. To jest konieczne. Aby dać surowy przykład i przestrzec innych, że nie opłaca się trzymać z Polską!

– Krysto, co ty wygadujesz?...

– Jedynie prawdę. Ty nie wiesz o wszystkim, ja wiem. Nie łudź się zatem, że na Pomorzu nastąpi spokój. Przeciwnie: należy być bardziej czujnym niż kiedykolwiek. Pozostaliśmy znów sami i dziś tylko o tym trzeba pamiętać.

Zerwał się z ziemi, zatoczył, w odruchu bólu ścisnął rękami skronie.

– Boże miłosierny!... – rozjęczał się nagle jak ten woliński bór. – Polska nawet nas opuściła! Jak mogli...

Patrzyła w milczeniu. Wydało się jej, że ma jak na dłoni to mężne serce, bijące zawsze żywo dla wielkiej sprawy. Gorzał w nim bujnie płomień ofiarny, lecz oto teraz, oblany zniecka wodą, wił się w rozpacz i słabnąc z chwili na chwilę, szukał bezradnie jakiegoś wyjścia.

– Popatrz spokojnie – rzekła w skupieniu. – Dla Polski bliższa jest Wisła niż Odra, gdy więc coś trzeba poświęcić, zawsze chętniej odda Pomorze. To zrozumiałe. Zastanawiam się tylko, czy ktoś tam, w Raciążu, myślał o stratach, jakie poniosą tutejsi ludzie?...

Pochylił się nad nią.

– Myślał! – przemówił z wiarą. – Znam dobrze Witolda, nieraz rozmawiałem z Jagiełłą. Jeszcze widocznie potrzebny mu oddech, jeszcze chce wzmocnić wojska. Gdy wzrośnie w siły, roztrzaska Zakon. Ufaj mym słowom: koniec jest bliski!

Krysta wstała.

– W dziwnych czasach żyjemy... – przemówiła z namysłem. – Jest przy mnie pewien szwedzki mnich, człowiek wielkiej mądrości. On twierdzi, że dzisiaj każdy, kto się nie zajmuje rozbojem, jest półzakonnikiem, a często i apostołem, chociaż nie zakłada duchownej sukni. Obojętne, czy to rycerz, chłop czy mieszczanin. Gdy uwierzy w słuszność jakiejś sprawy, potrafi dla niej poświęcić wszystko: majątek, rodzinę, własne szczęście i życie. Ty na pewno należysz do takich, ja również. W połowie drogi nikt z nas się nie zatrzyma, ale w tej chwili każde ma inną. Ty liczysz na wielką wojnę i wielkie zwycięstwo, powinienesz je zatem budować. Ja jednak muszę pozostać tutaj.

Dla mnie bowiem, widzisz, najbliższe jest zawsze Pomorze...

Przypadł jej do kolan, pochwycił ręce.

– I dla mnie – rzekł w uniesieniu. – Idźmy więc odtąd razem! Pojedziemy do Poznania, Płocka, Krakowa, zobaczysz tamtejszych ludzi. Nie tylko dzielni, ale i mądrzy to ludzie; wiedzą lepiej od innych, co to ojczyzna. Oni także za sprawę oddadzą życie!

Spoglądała na niego w zadumie.

– Wierzę ci – z wypowiedzianych powoli słów niespodziewanie powiało smutkiem. – Niestety, ja muszę tu zostać. Ty jednakże idź, buduj razem z nimi zwycięstwo. Czuję, że rzeczywiście może ono być bliskie. A gdy dojdzie do wielkiej wojny, mnie chyba w niej nie zabraknie. Wtedy spotkamy się znowu.

– Dlaczego mamy czekać tak długo?...

– Przecież mówiłeś, że wkrótce wybuchnie – słowa Krysty nabrały nagle ostrości. – Wcześniej się skończy, spotkamy się wcześniej, jeżeli później – to później. O ile do tego czasu się nie rozmyślisz.

Rąbnął zaciekle bałtycki wicher, zatrząsł drzewami. Jakby mu w odpowiedzi, pochyliła się do przodu i wzięwszy tasak do ręki, mocnym krokiem ruszyła w bór.

– Krysto – krzyknął panicznie – zatrzymaj się!

– Jakże się mogę zatrzymać? – rzuciła przez ramię. – Czyżbyś zapomniał, że obiecałeś zrobić ze mnie królową? A królowe nie opuszczają swoich poddanych w chwili nieszczęścia. Kto wie, czy dziś jeszcze nie trzeba będzie wyruszyć w bój.

– Krysto!...

– Bywaj, rycerzu!

SŁOWNIK GEOGRAFICZNY

I OBJAŚNIENIA

Archidiakon – urząd i godność w kościele katolickim. Archidiakon skupiał dawniej z ramienia biskupa całą władzę wykonawczą w podległym mu okręgu, zwłaszcza w zakresie zarządzania majątkiem kościelnym.

Bractwo Żywienia – organizacja kaprów (statków korsarskich, będących na usługach któregoś z państw), powołana w 1390 roku w czasie wojny między Danią a Meklemburgią przez miasta Rostok i Wizmar. Ponieważ jednym z jej zadań było dostarczanie żywności oblężonemu Sztokholmowi, jej członków nazywano powszechnie ze skandynawska „vytagenbrodere”, co przetłumaczono na niemiecki jako „Vitalienbrüder”, a następnie na polskich „Braci „Witalijskich”. Bractwo uniezależniło się szybko od mocodawców, rozrosło i chociaż Krzyżacy na pewien czas zepchnęli je z Bałtyku, później wróciło tam znowu. Jego działalność obejmowała prawie całe stulecie.

Chełmska Góra – obecnie: der Golm, wzgórze wysokości 95 m pod Świnoujściem, Uznam (NRD).

Dranim – historyczna nazwa Starego Drawska. Wbrew pozorom Drabim jest nazwą czysto polską i ma za sobą wiekowe tradycje, toteż wprowadzenie na mapy obecnej nazwy nie wydaje się uzasadnione.

Duńska Góra – wniesiona na mapy jako Domysłów (Wolin). Chyba niesłusznie. Nazwę „Duńska Góra”, którą kartografowie niemieccy przetłumaczyli na „Dannenberg”, spotyka się w najstarszych podaniach wolińskich, sięgających jeszcze czasów przedchrześcijańskich.

Gotlandia – największa wyspa na Bałtyku. W latach 1361–1645 należała do Danii.

Jelęcín – obecnie: Gellenthin, Uznam (NRD).

Kagenowie – stary ród woliński, wywodzący swą nazwę od duńskiego słowa „kag”: słup katowski, pręgierz. Wymarł w XVI wieku.

Koga – średniowieczny statek handlowy lub wojenny, mało zwrotny, ale ładowny.

Kolczewo – figuruje obecnie na mapach jako „Kołczewo” (Wolin).

Lubomice – obecnie: Labomitz, Uznam (NRD).

Mielęcín – obecnie: Mellenthin, Uznam (NRD).

Marzęcin – wniesiony na mapy jako „Mierzęcin”, nad jeziorem Ostrowo w pobliżu Wolina.

Podgława – obecnie: Pudagła, Uznam (NRD).

Pustkowo – ongiś dworzyszcze rodu Kagenów, położone na pograniczu między Duńską Górą (Domysłowem) a Łuskowem. Dziś nie istnieje na mapach.

Rana – starosłowiańska nazwa wyspy Rugii.

Raubritter – rycerz-rozbójnik. Raubritterzy byli częstym zjawiskiem w Niemczech i Brandenburgii, skąd przenikali i na Pomorze.

Smolno, jezioro – obecnie Schmollen See, Uznam (NRD).

Tasak – krótki miecz.

Trzebusz – odczytywana przez niektórych historyków z dawnych dokumentów łacińskich także jako: Trzebucice, Trzebudzice. Obecnie: Triebsees (NRD).

Werder – osada niemiecka założona w roku 1326 pod nazwą Stormesdorf na miejscu dzisiejszej Ognicy. Była to jedyna kolonia, jaką udało się Niemcom założyć na Wolinie w ciągu 600 lat, i na germanizację wyspy nie miała żadnego wpływu.

Wik – przedmieście, zamieszkane zazwyczaj wyłącznie przez ludność słowiańską.

Wołogoszcz – obecnie: Wolgast (NRD).

Wyspy Pirackie – obecnie: Ertholme. Cztery maleńkie, należące do Danii wysepki na północny wschód od Bornholmu, zwane też często Christiansö.

Wójt lęborski – w czasach krzyżackich ziemia lęborska wraz z miastem Lęborkiem stanowiła wójtostwo, podlegające komturowi w Gdańsku.

Zielenin – obecnie: Sellin, Uznam (NRD).

Ziemia Dymińska – tereny na zachód od Wołogoszczy, położone na dawnym pograniczu między księstwami pomorskimi a Meklemburgią. Nazwa od stolicy tej ziemi, Dymina (obecnie: Demmin, NRD).

SPIS TREŚCI

DZWONY WINETY	5
BITWA O WOLINSKI BOR	51
DZIWNA – RZEKA DZIWNA	114
TESTAMENT ZZA GROBU	148
JAGIELLOŃSKA CHORĄGIEW	216
BAŁTYCKI WIATR	273
SŁOWNIK GEOGRAFICZNY I OBJAŚNIENIA	314